

The book cover features a central illustration of a woman with long, flowing white hair, wearing a vibrant orange dress with a white cape. She stands in a snowy, dark forest with gnarled trees. A golden coin hangs from a branch above her. The overall atmosphere is mysterious and magical.

KAMILA  
SZCZUBEŁEK

DEMONY WELESA

# MAGIA WYKŁĘTA

PAPIER  WYKSIEŻYC



KAMILA  
SZCZUBEŁEK

DEMONY WEŁESA

MAGIA  
WYKŁĘTA

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Słupsk 2022

*Redaktor prowadzący*  
Artur Wróblewski

*Redakcja i korekta*  
Iga Wiśniewska

*Mapa*  
Kornelia Powideł

*Projekt okładki*  
Piotr Sokołowski

*Opracowanie okładki*  
Krzysztof Krawiec

*Skład i łamanie*  
Anna Szarko  
e-mail: [anna.szarko@gmail.com](mailto:anna.szarko@gmail.com)

*Konwersja do EPUB/MOBI*  
InkPad.pl

Copyright © by Kamila Szczubełek  
Copyright © for the Polish edition by Papierowy Księżyc 2022

Wydanie I  
Słupsk 2022

ISBN 978-83-65830-22-7

Wydawca:

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Wydawnictwo Papierowy Księżyc  
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12  
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21  
e-mail: [wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl](mailto:wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl)  
[www.papierowyksiezyc.pl](http://www.papierowyksiezyc.pl)



# SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI  
Rozdział XVII  
Rozdział XVIII  
Rozdział XIX  
Rozdział XX  
Rozdział XXI  
Rozdział XXII  
Rozdział XXIII  
Rozdział XXIV  
Rozdział XXV  
Rozdział XXVI  
Epilog



## PROLOG

**W**eles wszedł do Wielkiej Sali, gdzie właśnie zebrali się członkowie Rady Królewskiej Villperuny, przedstawiciele wielkich rodów oraz zasłużeni rycerze. Nikt nie zdawał sobie sprawy z jego przybycia, choć gorączkowe szepty i nerwowe ruchy mogły sugerować, że w jakimś stopniu wyczuwają boską obecność.

Lśniąca szata Welesa sunęła leniwie po marmurowej posadce, zahaczając o stopy szlachetnie urodzonych, siedzących w pierwszym rzędzie. Bóg upił łyk czarnego napoju, który zabrał w srebrnym pucharze z Wyraju. Wiedział, że posiedzenie może być nużące, a cierpki, mocny trunek sprawiał, że był bardziej wyrozumiały i cierpliwy. Stał za plecami Witolda Hardego, najstarszego członka Rady Królewskiej, i spojrzał na pergamin, który starzec trzymał w pomarszczonych dłoniach.

*Zobaczmy, na jakie wyżyny głupoty zabrnje ludzka wyobraźnia podsycona strachem* – pomyślał Weles, po czym położył dłoń na ramieniu Witolda, który właśnie zaczerpnął powietrza przed czytaniem.

*Księżyc czerwienią zajdzie, a w ludziach żądza mordy zapłonie.  
Niepojęte zwalczy ogniem ten, kto zrozumie.*

*Świat zaleją bojownicy, przemierzając bezkres gór, lasów i jezior, by  
zniszczyć to, co chwalone było przez wieki.*

*Na końcu drogi koło odwiecznej walki obróci się, zamykając bieg, da  
życie nowemu.*

Witold Hardy zamilkł, wypowiedziawszy słowa przepowiedni. Nikt nie odważył się choćby westchnąć. Cisza rozlała się po Wielkiej Sali i tylko Weles nie zastygł z grymasem przerażenia na twarzy. Oblicze boga było nad wyraz poważne, ale zamiast strachu, malował się na nim niepokój.

– Sto lat temu do Villperuny przybył wysłannik z grodu zwanego Staropolem. Człowiek ten zaniósł do nadwornego wróża starą przepowiednię, tę, którą właśnie przeczytałem. – Głos Przewodniczącego Rady Królewskiej Witolda Hardego poniósł się po rozległym pomieszczeniu. – Zacząć może jednak winny jestem od historii przeklętego grodu, której to najmłodszy z tutaj zebranych mogą jeszcze nie znać. Widzę lęk w waszych oczach, szanowni, zasłużeni członkowie Rady. Zapewniam, że król dał mi przyzwolenie, bym zaznajomił wszystkich tu zebranych z zagrożeniem czyhającym na nasze królestwo.

Starcy w fioletowych szatach pokiwali niechętnie głowami. Rycerze, którzy nieczęsto mieli okazję brać udział w tak doniosłych wydarzeniach, kręcili się niecierpliwie, wyczekując dalszych słów starego Hardego.

– Mów zatem, Witoldzie – poprosił wielmożę Bor, zajmujący miejsce w pierwszej ławie. – Oby wiedza, którą chcesz zasiać w młodych głowach, nie wywołała tragedii.

Siedzący najbliżej starego Bora zgodnie pokiwali głowami i spojrzeli wymownie na Hardego. Weles dla odmiany popatrzył na Bora wzrokiem pełnym podziwu. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo bóg nie



mógł otwarcie poprzeć słusznej obawy mężczyzny. Nie był w stanie ingerować w los, który właśnie zaciskał pętlę na szyi zgromadzonych.

– Sto lat temu – podjął po chwili Witold, po czym uniósł stary pergamin tak, by wszyscy, nawet ci w odległych ławach, dobrze go widzieli – do Villperuny przywieziono tę przepowiednię. A miejsce, z którego pochodzi, objęte jest klątwą.

Po sali przeszedł szmer. Witold podniósł obie dłonie; długo czekał, nim zgromadzeni umilkli.

– Nieopodal Puszczy Leszego znajduje się stary gród. Tak stary, że w naszych najbardziej zakurzonych księgach próżno szukać choćby słowa o historii tego miejsca. Wiemy jednak, że Staropole w istocie liczy przeszło osiemset lat, bo nim dostojnicy Villperuny poznali treść przepowiedni, wielu z nich odwiedziło mury przeklętego grodu. Zapewne w waszych głowach kołata się pytanie: jakąż to klątwa spoczywa na Staropolu? Otóż jest to miejsce, do którego trafić mogą tylko zrodzeni na przeklętej ziemi. Nie odnajdzie Staropola nawet ten, kto odwiedził je choćby i sto razy, a nie został w nim zrodzony. Nie da się go też zaznaczyć na mapie. Tylko zrodzeni na przeklętej ziemi i bogowie wiedzą, gdzie znajduje się stary gród.

Weles pokręcił przecząco głową.

– Nawet nie wszyscy bogowie potrafią tam trafić – wyznał, choć jego słowa dla ludzi zabrzmiały jak powiew wiatru. Pomyślał o Mocoszy, która wielokrotnie próbowała go tam zaprowadzić i nigdy jej się nie udało.

– W czasach, gdy Villperuna była w dobrych stosunkach z księciem starego grodu – kontynuował Witold – wielu próbowało wytyczyć drogę do Staropola na kartach naszych ziem, jednak wszelkie starania kończyły się klęską. Widać taka wola bogów, by miejsce to omijać, by zostało zapomniane na wieki. Tak też chcieliśmy uczynić, gdy poznaliśmy treść przepowiedni. – Witold odchrząknął. Spojrzał z lękiem na pergamin, po czym przeniósł wzrok na zgromadzonych. – Sto lat temu nasz nadworny

wróż Terriskel, przeczytawszy te słowa, popadł w obłęd i przeklął Villperunę za bratanie się ze Staropolem. Terriskelowi ukazały się wizje tak straszne, że nie mogąc znieść obrazu zagłady, powiesił się na starym dębie. Na wiekowym świętym drzewie, które rozpościera swe gałęzie nad Księżycowym Jeziorem.

– Co dokładnie było w wizjach Terriskela? – dopytał siedzący w piątym rzędzie rycerz.

– Śmierć – odparł Witold. – Morze krwi, zgliszcza i ruiny.

– Czy to nasze królestwo jawiło się w wizjach tego wróża? – Chciał wiedzieć Irma, jeden ze szlachetnie urodzonych. – Witoldzie? Na litość bogów! Dlaczego skrywaliście to w tajemnicy? Ojczce? – Mężczyzna spojrzał na sędziwego Igarina. – Wiedziałeś o tym?

Igarin ze spokojem potwierdził skinieniem głowy.

– Do tej pory – podjął Witold – tylko członkowie Rady Królewskiej byli zaznajomieni z treścią strasznej przepowiedni. Dziś jednak, zważywszy na to, co dzieje się z Księżycowym Jeziorem, nie sposób ukrywać tego, co zdaje się nieuniknione... Nie wiemy, czy w swych strasznych wizjach Terriskel ujrzał zagładę Villperuny czy innego królestwa. Musimy jednak zakładać najgorsze. Nie wolno nam zignorować zagrożenia. Tym bardziej teraz, gdy niegdyś krystaliczna woda Księżycowego Jeziora zaszła szkarłatem niby krwią... Musimy zacząć działać. Musimy zrobić wszystko, by przepowiednia się nie spełniła.

W Wielkiej Sali zawrzało.

*Tak właśnie rodzi się zło – pomyślał bóg, upiwszy łyk ciemnego napoju. W chaosie, strachu i słowach, które każdy może zrozumieć na swój sposób. Brawo, Rodzie. Właśnie zasiałeś plugawe ziarno.*

– Czy to w ogóle możliwe, by powstrzymać przepowiednię? – zapytał Ziemowit, znamienity rycerz herbu Wrona, przekrzykując poruszone głosy. Mężczyzna o ciemnych i czujnych oczach wstał, gdy Witold zaczął

błądzić wzrokiem po Wielkiej Sali, szukając tego, kto zadał pytanie. Ziemowit wyprostował się i zaraz skłonił, gdy ich spojrzenia się spotkały.

– Spokój! – zagrzmiął głos Przewodniczącego.

Wszystkie oczy spoczęły na Witoldzie. Starzec pokręcił głową z niesmakiem, a potem oddał przepowiednię wysłannikowi, który natychmiast zamknął ją w małej szkatułce i opuścił salę. Witold rozmyślał, chodząc powoli po marmurowej posadzce. Stawiał kroki z takim wysiłkiem, jakby miał uwiązane do kostek ciężkie kamienie. Brzemie i odpowiedzialność, jakie na nim spoczęły, dawały mu się we znaki.

– Przepowiadanie, wieszczanie czy wróżenie to nic innego jak magia. Każda magia to moc, którą według naszych uczonych da się ujarzmić – wyjaśnił Przewodniczący Rady. – Obawiamy się, że niektóre praktyki magiczne mogą przyczynić się do wypełnienia przepowiedni. Zatem od tej pory w Villperunie z rozkazu króla Valdima II zabrania się, pod groźbą śmierci, wieszczania i parania magią, której mocy nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Wiedźmom, wróżom, szamanom i szeptuchom zakazuje się sięgania do swych darów, jako że moc ich jest niepojęta i dzika. Należy osłabić wszelkie magiczne ścieżki mogące sprzyjać wypełnianiu się słów spisanych przez przekłętą istotę, która bez wątpienia czerpała z haniebnych, niezrozumiałych przez nas mocy, gdy zrodziła przepowiednię.

Weles przyglądał się staremu Witoldowi z zainteresowaniem. Choć sam pomysł z tłumieniem źródła magii wróżbiarskiej nie był głupi, to już wiara w to, że uda im się powstrzymać źródło mocy, była naiwna do granic możliwości.

– Czy dobrze rozumiem, Witoldzie, że mamy od tej pory wyzbyć się wszelkiej magii? – podjął Radomir herbu Czarny Staw, najmłodszy członek Rady Królewskiej. Wysokie czoło szlachetnie urodzonego zmarszczyło się, a szare oczy skryły pod przymkniętymi powiekami. Choć

był najmniej zasłużonym królewskim doradcą, patrzył na Witolda z wyższością. – Czy tego zażądał nasz miłościwy władca? A znachorzy? I ci sprowadzeni czarodzieje?

– Znachorstwo to nie praktyka magiczna – wtrącił Ziemowit.

– Czarodziejstwo też nie? – zakpił Radomir.

– Magia czarodziejska to magia dobrze poznana – wyjaśnił Witold. – Dzięki czarownikom, którzy mają dar widzenia splotów magicznych, półki czarodziejskich bibliotek uginają się od naukowych pozycji, dokładnie opisujących, w jaki sposób sięgać po tę magię. I co najważniejsze, oni potrafią przewidzieć skutki swoich czynów.

– To nie jest magia, do jakiej przywykły nasze ziemie – przyznał ponuro Igarin.

– Nie sposób z tym dyskutować. – Witold westchnął. – Cóż jednak począć, gdy wszystko wskazuje na to, że magia, którą żywiły się nasze ziemie, może te ziemie zniszczyć? Zaprawdę obca jest nam moc czarodziejska, jako że od wieków w Królestwie Villperuny to wiedźmy i szeptuchy pomagały w sprawach, które wykraczały poza ludzkie możliwości. Czasy jednak nastały takie, że musieliśmy się zwrócić o pomoc do czarodziejów z Królestwa Gorentu.

– Po co sprowadzać czarodziejów i bratać się z nieznanym? – zawołał Irma. – Nie lepiej po prostu zakazać magii?

– A jak twoim zdaniem mielibyśmy poradzić sobie z wiedźmami? Jeśli Sejna wyjdzie ze swojego zamku w Sibigardzie i ruszy na nas z tymi półdemonami, nie poradzimy sobie bez pomocy magii. A jedyną mocą, jaką można władać na tych ziemiach, jest od teraz magia czarodziejska.

Zebrani pokiwali ze zrozumieniem.

– Trzeba je postraszyć zakazem – tłumaczył Witold.

– Jak? – Na twarzy Ziemowita pojawił się grymas niesmaku.

– Jak to jak? – zawołał z wyraźną kpiną w głosie jeden ze starszych rycerzy. – Lochy, tortury, wygnanie, publiczne upokarzanie. Jest w czym

wybierać.

– Tak – przyznał Witold. – Jest w czym wybierać. Obyśmy nie musieli robić tego często. Wróżki, szamani i szepczące powinni się przestraszyć na tyle, by zaniechać praktyk, ale więdźmy... One z pewnością się zbuntują. Najpewniej same zaczną uciekać do Sejny.

– I dobrze! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Dobrze – powtórzył Witold. – Dobrze do czasu, gdy nie przyjdzie im na myśl, by się zemścić.

– Sam rzekłeś, że właśnie po to mamy czarodziejów – przypomniał mu Radomir.

– Tak. Ale na nic zdadzą się nasze starania, by stłumić moc pochodzącą z dzikiej magii, jeśli horda wściekłych więdźm zaatakuje Villperunę i skazi ją nieczystą mocą.

– Co zatem proponujesz? – Chciał wiedzieć Ziemowit.

– Trzeba je złapać i wywieźć pod granicę. Zapędzimy je do budowania murów obronnych. Wszystkich wyłapać nie zdołamy, ale najważniejsze, żeby się ich stąd pozbyć. Wystarczy, że zabroni im się godnie żyć, a same zaczną uciekać i albo dotrą do Sibigardu, albo wpadną w naszą pułapkę. Jeszcze dziś wyślemy pod granicę żołnierzy, którzy wyłapią więdźmy uciekające do Sejny.

– Mamy je wszystkie zabić? – Ziemowit spojrział na Przewodniczącego z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Tylko te, które są nadzwyczajnie niebezpieczne. Nie trzeba nam przelewania krwi. To może wzbudzić gniew bogów. W końcu więdźmy władają magią, a tę, jak wiadomo, szczególnie kocha Weles.

Bóg tylko westchnął ciężko.

*To nie ja będę was karać za igranie z magią – pomyślał. Sami sprowadzicie na siebie nieszczęście.*

– Jak niby mamy zmusić więdźmy do pracy przy budowie murów obronnych? – spytał Ziemowit.

– Nie my. – Witold uśmiechnął się tryumfalnie. – Czarodzieje. Oni mają swoje sposoby.

– A jeśli Sejna ruszy im na ratunek? – rzucił ktoś z tyłu.

– Nasze wojsko i czarodzieje będą na nie czekać przy granicy. Jeśli ma dojść do wojny, w której będą kłać nasze ziemie dziką magią, niech stanie się to jak najdalej od stolicy.

Zebrani zakrzyknęli z uznaniem.

– Uwolnimy nasze ziemie od magii, która może sprzyjać wypełnieniu przepowiedni – Witold przekrzyczał poruszonych mężczyzn, kładąc dłoń na lśniącej złotem broszy w kształcie błyskawicy. – Właśnie tak zapewnimy naszym ziemiom bezpieczeństwo. – Uniósł palec, jakby chciał im pogrozić. – Nie ważcie się jednak pod żadnym pozorem wtajemniczać czarodziejów w historię Staropola i jego klątwy. Zbyt duże jest ryzyko, że któreś z nich zainteresuje się tą sprawą i zacznie bez naszej zgody badać jej okoliczności. Nie chcemy, by zamiast wykonywać nasze polecenia, zajmowali się przeklętym grodem. Jeśli połączą tę groźną przepowiednię z niezwykłym miejscem, możemy być pewni, że zechcą się temu przyjrzeć, a na to nie mamy teraz czasu. Czarodziejom powiemy, że przepowiednia pochodzi z Villperuny. – Urwał i zwilżył usta językiem. – Zostaje jeszcze jedna kwestia. Należy ustalić, co powiemy ludziom. Nie może wyjść na jaw, że chcemy tłumić dziką magię ze względu na przepowiednię. Wiedzmy wiedzą więcej niż my i niechętnie się tą wiedzą dzielić. Co, jeśli wyczytają między wróżebnymi wierszami, że kres naszego królestwa byłby dla nich korzystny? Co, jeśli przeczytawszy wieszczę słowa, poznają sposób na zgładzenie Villperuny? – Witold uderzył pięścią w stół. – Nie możemy pozwolić, by półdemony zniszczyły nasze piękne miasta! Musimy podać inny powód...

Przewodniczący Rady wodził wzrokiem po ścianach Wielkiej Sali, usłanych drogocennymi gobelinami z wizerunkami bogów. Milczał na

tyle długo, że dostojnicy siedzący w bogato rzeźbionych ławach zaczęli pomrukiwać. Wiedzieli, że Witold liczy na ich propozycje.

– W całym królestwie znikają dzieci – zaczął niepewnie Radomir. – Ponoć nie tylko na naszych ziemiach dzieją się te tragedie.

– Kto je porywa?! – zakrzyknął wąsaty rycerz.

– Tego nie wiemy – wyznał Witold i posłał Radomirowi uśmiech pełen uznania. – Ale wiemy, kogo obwinimy za te zbrodnie.

– Wiedzmy – wyszeptał Weles, a gorycz w jego głosie była wyraźniejsza od cierpkiego napoju, który zadrżał w jego dłoni.

– Powiemy, że to wiedzmy porywają dzieci – rzekł Przewodniczący, odwracając się od boga plecami, jakby był świadomy jego karcącego spojrzenia. – Księżyc czerwienią zajdzie, a w ludziach żądza mordu zapłonie – zacytował przepowiednię. – Znikające dzieci świadczą o tym, że słowa zaczęły się już wypełniać. Niewykluczone, że wiedzmy w istocie mają z tym coś wspólnego.

– A co z szamanami, wróżami i szeptuchami? Ich też oskarżymy o porwania?

– Nie. Oni z czasem się ugną i zaniechają swych praktyk. Nie potrzeba nam tu sprowadzać gniew bogów bezsensownym rozlewem krwi. Im zakażemy magii, bo czerpią z tego samego, niepojętego źródła co wiedzmy. Uświadomimy im, że wykonując swe praktyki, umacniają moc tych półdemonów, a to czyni ich współodpowiedzialnymi za znikające dzieci.

Po Wielkiej Sali rozlał się zapach rosy i kwiecistej łąki. Mokosz weszła do pomieszczenia, spoglądając ze zgrozą na zebranych.

– Czy oni właśnie wydali wyrok na wiedzmy? – spytała, gdy Weles wyszedł jej na spotkanie.

– Obawiam się, że tak – przyznał bóg.

– Tyle wysiłku na nic... Na nic zdały się moje próby.

– Nie mów tak, moja droga. Dzięki temu, że słumiłaś zapach noworodków, skrywając je tym samym przed Rodzanicami, ocaliłaś wiele niewinnych dzieci.

– Które teraz pozbawione są losu – przyznała z bólem w głosie bogini płodności i urodzaju.

– Czyż nie lepsza niepewność i wieczna tułaczka od bycia ofiarnym podarunkiem Roda?

Mokosz wzdrygnęła się na wspomnienie imienia pierwszego boga.

– I co teraz poczniemy, Welesie?

– Wiesz, że jest ktoś, kto może nam pomóc.

– Nie – odparła zdecydowanie bogini. Jej lśniąca, jasna twarz wykrzywiła się zgrozą. – On jest niebezpieczny, Welesie. Zresztą – Mokosz machnęła dłonią; posypały się spod niej płatki kwiatów, które zniknęły po chwili, pozostawiając delikatny zapach – i tak nie możesz go o nic poprosić.

– I właśnie to muszę zmienić – odparł Weles.





## ROZDZIAŁ I

**D**rzwi zamknęły się z hukiem. Dorada aż podskoczyła na dźwięk skowytu dobywającego się z pomieszczenia, z którego właśnie uciekła. Nie zdążyła odejść daleko, bo z komnaty pełnej jęków i brzęku spadających przedmiotów wybiegł Ars. Stary szaman przystanął zasapany, schylił się i oparł dłonie o własne kolana.

– Masz w tej chwili wrócić i dokończyć rytuał! – zagrzmiął donośny, choć zachrypnięty głos Arsa.

– Nie jestem szamanką!

– Jesteś! I to całkiem dobrą, tylko niecierpliwą i leniwą. Wracaj tam i dokończ, co zaczęłaś – rozkazał, wskazując komnatę.

– Wcale nie chciałam go przywoływać – upierała się Dorada.

– Nie zamiary się liczą, a czyny. Przywołałaś wyjca, to teraz masz go uspokoić i odesłać skąd przyszedł.

– Uspokoić? Jego nie da się uspokoić!

Ars pokręcił głową. Dorada nie cierpiała, gdy patrzył na nią tym wzrokiem, jakby rozumiał lepiej od niej, co tak naprawdę czuje i potrafi. Nie chciała być szamanką. Nie chciała nią być, odkąd z jej winy utopce zabiły strażników przy bramie Staropola. Jednak od kiedy za sprawą

Elgana w jej duszy zagnieździła się demoniczna moc, miała też inny powód do obrania odmiennej ścieżki. Mieszkała w niej nieokiełznana i niezrozumiała siła – o wiele ciekawsza i bardziej przydatna od przywoływania demonów. Dorada chciała umieć się bronić, walczyć z ludźmi, którzy – odkąd stała się półdemonem – coraz wyraźniej dawali do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana i gdyby nie była córką zamożnego szamana, z pewnością już nie raz podnieśliby na nią rękę.

– Długo będziesz tak stała z nadąsaną miną? – spytał Ars, gdy w komnacie obok rozległ się dźwięk tłuczonych glinianych naczyń.

– Przecież możesz go odesłać. Zajmie ci to mniej niż mnie założenie sukienki.

– Pierwsza zasada szamana: to, co sprowadzisz...

– Sam odprowadzisz – dokończyła Dorada i fuknęła, zirytowana uporem ojca. – Dobrze. Odprowadzę go, ale masz mi nie przeszkadzać. Ty zostajesz tutaj.

Perspektywa pozostawienia córki sam na sam z wyjcem musiała się nie spodobać Arsowi, bo z zasepioną miną podrapał się po siwej brodzie.

– Albo dasz mi spokój i pozwolisz, żebym sama się z nim uporała, albo sam go odprowadzisz. Nawet nie chcę myśleć, co wyjec naopowiada innym demonom o nowej uczennicy słynnego szamana Arsa.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz, młoda panno. – Ars wyprostował się i zaraz zgarbił, gdy coś zagruchotało mu w kręgosłupie. – Niech ci będzie. Tylko odnoś się do demona z szacunkiem. Pamiętaj. Może i wygląda szkaradnie, ale nigdy nie wiesz, jaka historia kryje się za nawet najpaskudniejszą istotą.

– Dobrze, dobrze – powiedziała i weszła do komnaty.

Wyjec właśnie wyciągnął cienkie ramię z zamieram rozsmarowania pozostałego po śniadaniu powidła śliwkowego na starych księgach Arsa, ale zaciekawiony obecnością dziewczyny odwrócił się, po czym rzucił Doradzie pod nogi ciemną maź.

– Włóż do balii – warknęła, gdy wyjec zbierał się do pisku.

Demon, który wyglądem przypominał chudego jak patyk człowieka o wyjątkowo cienkiej i szarej skórze, padł na kolana i zaczął piszczeć. Szarpał podartą, brudną koszulę i co chwila zerkał czerwonymi oczami na Doradę, by sprawdzić, czy ta jest aby odpowiednio mocno zirytowana.

– Jak nie przestaniesz wyc, to naślę na ciebie wąża!

Wyjec zamilkł, wbijając w nią przerażone ślepie.

– Tak! – Dorada zadarła brodę i tym razem ściszyła głos, na wypadek gdyby ojciec tylko udawał, że ostatnio słabo słyszy. – Znam pewnego bardzo potężnego wąża i jak mu powiem, że się mnie nie posłuchałeś, to... to wiesz, co on może ci zrobić.

Dorada doskonale pamiętała, co Elgan zrobił Smętowi, gdy ten zaczął się zatracać w chacie znachora. Wizja spalającej się pod wpływem magii skóry musiała być wyjątkowo przerażająca. Wyjec najpewniej też już kiedyś widział podobne przedstawienie, bo wsadził paluchy do ust i zagryzł czarnymi zębiskami. Chwilę trwał w bezruchu, przyglądając jej się uważnie. Po krótkim namyśle odsunął rękę od pokracznej gęby i cmoknął z niesmakiem.

– Nie bądź taka okrutna, człowiecza istoto – jęknął i nabrał powietrza, by za chwilę wybuchnąć wrzaskiem: – Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa a może ty paskudna, bo kłamliwa szkarada i mój ból tak chcesz uciszyć?! Nie znasz ty żadnego wąża!

– A znam – syknęła i dodała szeptem: – nazywa się Elgan.

Demon jakby skurczył się w sobie i sam cofnął się do balii. Pisnął, gdy omal nie przewrócił się i nie wpadł do wody, do której tak bardzo chciała go zapędzić Dorada, by móc go odesłać.

– Elgan jest moim przyjacielem i jak mu powiem, żeby cię...

Nie dokończyła, bo wyjec nagle zaniósł się śmiechem.

– Łajno mu możesz teraz powiedzieć, głupia kozo! Aaaaaaa!

Śmiech mieszał się z piskiem, a złość w Doradzie wrzała jak metal w kowalskim piecu.

Podniosła jeden z licznych kubków, które porozrzucił wyjec, i cisnęła nim z całej siły w stronę demona. Tym razem nie zdążył złapać równowagi i runął zadkiem do balii. Woda plusnęła, rozlewając się po komnacie.

– Gadaj, co się z nim dzieje, albo odeślę cię gdzieś na chybił trafił. Nie wiem. Może na środek jakiejś wielkiej góry? Albo na dno wielkiego jeziora?

– Aaaaaaa! Co za parszywa istota!

– Mów, co się dzieje z Elganem!

Demon skulił się i zanurzył tak, że jego krzywe wargi znalazły się pod wodą. Wyjec dosłownie nabrał wody w usta, a później wypluł ją na Doradę.

– Tak ze mną pogrywasz?! To proszę bardzo. Won! Prosto do kotła jakiejś wiedźmy!

– Aaaaale zaraz, zaraz, chwila! Powiem, powiem i odeślij mnie, durna kozo, do mojego opuszczonego zamku!

– Gadaj.

– Oszalał. Ten twój wąpierz oszalał, ot co! Zwariował i zatracca się jak zwykły demon. Słyszałem tylko, że wpadł do Nawii i bałagan zrobił taki, że pół nocy chabernice musiały sprzątać jego pałac. Wariat, ot co! Szalony książę ciemności! Zwyzywał wszystkich, rzucał się na inne wąpierce i uciekł, psia jego mać! Wszystkie demony drżą na dźwięk jego imienia. Weles jeden wie, co mu odbiło.

– Gdzie on jest?

– A skąd mam wiedzieć? Byle z dala ode mnie! Aaaaa!

– Przecież demony wyższego rzędu nie mogą się zatracać – zastanawiała się głośno, ignorując piski i chichoty wyjca.

– Ten jak widać może. I to jeszcze jak! A teraz daj mi spokój i odeślij mnie do zamku!

Dorada zgarnęła z podłogi rozrzuconą przez demona mieszankę ziół i wrzuciła ją do balii.

– Wracaj, skąd przybyłeś – zaintonowała nisko, tak jak uczył ją Ars.

Zamknęła oczy i wdychając aromat mieszanki, powoli poruszała ciałem do przodu i na boki. Po chwili do ściśle ustalonych ruchów dołączyła tupanie, łagodne i rytmiczne. W przeciwieństwie do ojca, nie tańczyła przed demonem, pokazując mu, jak dobrze panuje nad rytuałem. Czuła się obco w roli szamanki, jak za ciasny but na zbyt dużej stopie. Demoniczna magia, która od niedawna w niej krążyła, też stawiała opór. Szepty w jej głowie nieustannie podsuwały niebezpieczne myśli. Miała ochotę złapać demona za rękę i uciec razem z nim. Pragnienie wolności i mocy mąciły jej w głowie i stwór zawył przeciągle, czując, że dzieje się coś złego. Dorada otworzyła powieki, ale wyjca już nie było.

– Bogowie... Gdzie ja go posłałam?

Podskoczyła, gdy ojciec zapukał do drzwi.

– Już po wszystkim? – zapytał słabym głosem.

– T-tak! – odpowiedziała i szybko wlała do balii wodę z miętą, która miała oczyścić wykonany rytuał.

Ars wszedł i pochylił się nad balią.

– Już zatarłam ślad. Żeby, no... żeby przypadkiem inne demony nie przedostały się przez ścieżkę.

– A pewna jesteś, że dobrze go poprowadziłaś?

– Ojczy!

Wydęła usta, ale nie po to, żeby pokazać, jak bardzo się dąsa, gdy wątpi w jej zdolności, lecz by nie zdradzić drżenia warg.

– Skoro tak, to dobrze – powiedział Ars i uśmiechnął się szczerze, zadowolony z córki. – Widzisz. Odrobina cierpliwości i możesz góry przenosić.

Przez chwilę miała ochotę wspomnieć mu o Elganie, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Wyjawienie Arsowi prawdy z pewnością sprawiłoby, że ojciec jeszcze zacieklej pilnowałby córki i nigdy nie udałoby jej się spotkać z wąpierzem. W najśmielszych marzeniach nie śniła o tym, że ucieknie i sama go odszuka, to nawet dla niej wydawało się zbyt szalone, ale demoniczna część jej duszy, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej odczuwalna, rozpałała w niej wielkie nadzieje. Czuła, że jeśli zrozumie moc, która w niej drzemie, może zdoła jakoś dać Elganowi znać, że mu wybacza, a wręcz jest mu wdzięczna za uratowanie życia. Wiedziała, że jeśli rozbudzi i ujarzmi moc, Elgan również to poczuje. W końcu to jego uśpiona magia krążyła w jej żyłach.

– Ojciec... – zaczęła i przybrała zwyczajową, nadąsaną minę, by nie wzbudzić podejrzeń. – Po co mi ta nauka? Po co mam być szamanką? Król przecież zakazał wzywania demonów. Zakazał nawet pytania wróżki o los! Na co mi więc szamańskie nauki?

– Król nie będzie żył wiecznie. Jego następca wydaje się bardziej... rozumny. Jeszcze się będą ludzie garnać do ciebie, żebyś im z demonem dała porozmawiać. Choć ich natura pokrętna, a słowa nie zawsze rozumiały, to bez nich będziemy zgubieni. Wszyscy zdają sobie sprawę, że znachorzy mają smykałkę do łączenia ziół, tak by wyganiały z nas choroby, ale na nic by się zdał ich dar starannego mieszania i ważenia wywarów, gdyby nie wiedza demonów o niezwykłej mocy natury.

– Mam więc siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż król pójdzie tańczyć na łąkach Wyraju?

– Cierpliwości, Dorado.

– Nie! Oni mnie nienawidzą! Co, jeśli postanowią mnie zaatakować? Jak się obronię? Zacznę podrygiwać w szamańskim tańcu z nadzieją, że zdążę przywołać kogokolwiek, zanim spadną na mnie ich pięści?

Zamilkła i zacisnęła wargi, żeby nie powiedzieć o trzy słowa za dużo. Trzy słowa: „muszę zostać wiedźmą” mogły sprawić, że ojciec zamknąłby

ją w komnacie i pilnował, żeby żadna niepowołana osoba z nią nie rozmawiała.

– Może... – zaczął Ars, widząc szczere zakłopotanie i strach na twarzy swojej córki – ...wyjedziemy z Villperuny na jakiś czas.

– Uciekanie to nie sposób na rozwiązywanie problemów. Twoje słowa, ojcze.

– Dorado... Ja... Chyba muszę odpocząć – wyszeptał i odszedł w stronę komnaty sypialnej.

Dziewczyna wyjrzała za okno, a później przeniosła wzrok na kuśtykającego ojca.

– Kiedyś mnie zrozumiesz – powiedziała. – Zrozumiesz, że już nie jestem zwykłym człowiekiem. Zrozumiesz, że muszę być silna.

Jej ciało zadrżało, a magia zakołysała nią, jakby pojęła, czego pragnie Dorada. Cienie demonicznej siły zatańczyły pod jej stopami. Spojrzała nerwowo w stronę komnaty sypialnej, ale Ars już był w środku i nie mógł widzieć mocy, przed którą tak bardzo ją przestrzegał. Zarzuciła na siebie płaszcz i wybiegła na zewnątrz. Jeśli Elgan się zatracił, nie miała czasu do stracenia.



## ROZDZIAŁ II

*Czarodziej, jako i nazwa wskazuje, sprawia, że czary się **dzieją**. Człowiek obdarowany przez Welesa magią czyniącą może kształtować moc za pomocą słów i gestów.*

*Czarownik zaś – tu także należy zwrócić uwagę na nazwę – w czarownika i podziwiał jego piękno. Jemu Weles zesłał dar magii widzącej. Jednak żaden czarownik, ni czarownica, nie są zdolni pobudzić do życia magicznych splotów, których majestat przeznaczony jest tylko ich oczom. Obserwując naturę splotów, czarownik może dostarczyć cennej wiedzy czarodziejom, którzy to wprawiają magię w ruch, wyczuwając sploty, lecz nie widząc ich piękna.*

*Zatem magia czarodziejska to dzieło boskie, albowiem żaden człowiek nie jest w stanie podziwiać piękna splotów i jednocześnie czynić z nich czary. Nam, ludziom, zostaje zesłany tylko jeden z dwóch niezwykłych darów.*

*O splotach magicznych i naturze magii czarodziejskiej, Leolin Tarc*

*Ze zbiorów Biblioteki Czarodziejskiej w Rienie*



anda pochyliła się nad starą przepowiednią. W myślach po raz kolejny **W**układała starannie przygotowane sekwencje zaklęć. Nie mogła się pomylić. Miała tylko jedną próbę. Znała zaklęcia tak dobrze, że nawet wybudzona w środku nocy mogłaby wyrecytować formułki od tyłu, ale obecność Witolda Hardego nie pomagała.

Komnata była niewielka i ciemna. Choć byli w niej sami, Wanda czuła się jak w klatce. Znajdowali się na najwyższym piętrze wieży północnej i raczej nikt nie mógł ich obserwować. Pomimo tak ustronnej lokacji wszystkie okna zakryto ciężkimi kotarami. Tylko światła płonących wokół stołu pochodni rozdzierały duszny mrok.

*Jak mam się, do licha, skupić w takich warunkach?* – zaklęła w duchu Wanda.

Utkwiła spojrzenie w koślawych literach przepowiedni. Wiedziała, co zrobić, by skutecznie zabezpieczyć słowa wieszca. Była w stanie ukryć je nawet przed doświadczonym czarodziejem. Jednak to nie przed nimi król chciał zataić przepowiednię, a przed wiedźmami. Najważniejsze było to, by uchronić cenną wiedzę przed ich nieczystymi duszami. Valdim II, król Villperuny, zdecydował, że ochronę zawartej w liście tajemnicy powierzy jej, Wandzie z Rieny, najpiękniejszego i największego miasta na wyspie Gorent.

Pochylając się nad starym pergaminem, czarodziejka czuła na sobie wzrok coraz bardziej zniecierpliwionego Witolda. Jego pot i przenikliwe spojrzenie drażniły ją jak natrętny komar, który tylko czeka na moment nieuwagi, by ukłuć znużoną ofiarę. Zamknęła oczy, aby łatwiej było jej o tym zapomnieć. Powoli recytowała zaklęcia, wodząc nad pergaminem palcami. Starła się wyczuć pod opuszkami lekkie drgania, które mogły pomóc jej odczytać sploty magii otaczające przepowiednię. Wiele by dała, by móc zobaczyć skomplikowane wiązania, które wiły się pod jej dłońmi, jednak ten niezwykły widok był dostępny jedynie czarownikom i czarownicom.

Uśmiechnęła się, gdy sploty wyprężyły się i zaczęły zginać według jej woli. Pierwsze zaklęcie zadziało. Najwyraźniej jej uśmiech nie umknął uwadze Hardego, bo w tym samym momencie mruknął zniecierpliwiony. Wanda ostrzegła go, że proces może się nie udać. Zawsze istniało ryzyko niepowodzenia, a ona, choć pewna swych umiejętności, nie zamierzała narażać się na gniew króla. Pergamin, na którym zapisano słowa przepowiedni, był bardzo stary. Nie mogła mieć pewności, że w czasach, z jakich pochodził, ktoś nie uprawiał przy nim nieznannej jej magii, która zatarłaby wiązania niezbędne do wykonania zaklęcia.

Wokół każdej rzeczy i każdego człowieka wiły się magiczne sploty. Jedni nazywali je energią życia, inni węzłem bogów. Po takich splotach czarownik był w stanie określić, z jakiego okresu pochodzi dany przedmiot, bo każda epoka wytwarzała swój niepowtarzalny wzór. Wanda jako czarodziejka nie widziała wyrytej w magii historii, ale potrafiła wymusić zaklęciem ujawnienie się splotów ochronnych. Wyczuwszy ich wiązania, czarodziej mógł je zniszczyć, a wtedy przedmiot obróciłby się w pył. Mógł je też wzmocnić, zapieczętować zaklęciem lub ukryć przed wzrokiem innych ludzi.

– Udało się – powiedziała, ocierając pot z czoła.

Drobne palce czarodziejki drżały jeszcze lekko z podniecenia i zmęczenia. Witold podszedł do stołu i wyciągnął rękę, która natychmiast odbiła się od listu. Dłoń starca wystrzeliła w powietrze, jakby za sprawą silnego podmuchu. Skinął z uznaniem, spoglądając spod krzaczastych, szarych brwi na Wandę.

– Udało się – powtórzył, rozcierając dłoń. – W takim razie jutro o świcie wyruszysz z nami do Hellenesti. Po drodze zatrzymamy się na dłużej w Białogrodzie, by ogłosić zmiany w prawie. Mieszka tam dosyć sporo dzikich, to znaczy ludzi parających się dziką magią. Wy, czarodzieje, macie ich odwiedzić i dać im do zrozumienia, że ich magia jest niebezpieczna. Mieszka tam też jedna wiedźma. Mam nadzieję, że

uda nam się ją w porę pojmać. – Witold pogładził broszę w kształcie błyskawicy. Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale zrezygnował i przeniósł wzrok na pergamin. – Od tej pory jesteś odpowiedzialna za bezpieczeństwo przepowiedni. Oczywiście przydzielimy ci niezbędną ochronę – zapewnił, gdy dostrzegł niepokój w oczach Wandy. – Będzie nad tobą czuwał Ziemowit.

– Cóż będę musiała zrobić z przepowiednią w Hellenesti?

– Dowiesz się, gdy przyjdzie pora – odparł krótko Witold i skłonił się na pożegnanie.

Wanda odprowadziła go wzrokiem. Kiedy przewodniczący zniknął za drzwiami, padł na nie promień światła, przedarłszy się przez wąską szparę w zasłonie. Przez ten nagły błysk słońca jej myśli powędrowały do dnia, który na zawsze odmienił jej życie. Do dnia, który sprawił, że właśnie teraz stała nad starą przepowiednią i drżała na samą myśl o zadaniu, jakie mogło ją czekać w Hellenesti.

Promień słońca był pierwszym, co ujrzała, gdy lata temu weszła do domu swojego brata. Najpierw oślepiło ją ciepłe światło, a później zamarła na widok Gerika, leżącego na podłodze. Z jego ust sączyła się krew wymieszana z wymiocinami, a ciało drgało arytmicznie, jakby unosiło się na niespokojnej wodzie. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ta krótka wizyta, jaką planowała złożyć swojemu bratu, przerodzi się w długoletni koszmar.

Omdlenia, wymioty i drgawki okazały się okrutną zapowiedzią nikomu nieznaney choroby. W kolejnych tygodniach ciało Gerika zaczęły pokrywać ropne guzy, a skóra na przemian marszczyła się jak u starca, to napinała się i pękała, tworząc bolesne rany. Na nic zdały się jej magia i niezwykły talent do zaklęć. Na nic zdali się wybitni znachorzy w Rienie. Nikt nie potrafił stwierdzić, na co i dlaczego zachorował jej brat, a ona nie mogła siedzieć bezczynnie i patrzeć, jak umiera. Czasami sama już nie wiedziała, czy bardziej nie może znieść widoku trawiącej go choroby,

czy bólu w oczach jego żony i dzieci, które czuły jeszcze większą bezsilność niż ona. Ona przynajmniej próbowała szukać zaklęć, oni mogli tylko patrzeć i czekać.

Gdy Gerik postradał zmysły, a jego słowa brzmiały, jakby żył już na łąkach Wyraju, coś w niej pękło. Zaczęła szukać po całym Gorent wybitnych czarodziejów i znachorów parających się leczeniem. Najpierw wydała całe swoje oszczędności, które zgromadziła, piastując stanowisko asystentki mistrza Ferila w Akademii Magii Czarodziejskiej. Później, gdy straciła już wszystkie pieniądze, pożyczła u kogo tylko się dało. Wpadła w pułapkę długów, którą zapoczątkowała jej nadzieja na cud – bo właśnie tym był powrót do zdrowia Gerika. Sprowadzony aż z Dolvusrka czarodziej poznał się na mocy, która trawiła jej brata. Za słońną opłatą odczynił zaklęcie, które, jak twierdził, musiał rzucić na niego jakiś demon, gdy Gerik rąbał w lesie drewno.

Czarodziej z Wyspy Chorsa zakończył długoletnią tragedię jej brata, ale nie położył kresu jej problemom. Wanda została z długami, o których nigdy nikomu nie powiedziała. W Rienie nigdy nie dostałaby takiej posady, by zarobić wystarczająco dużo srebra na spłacenie długów. Propozycja pracy na zamku w Villperunie zdawała się jedyną szansą na uregulowanie wszystkich zobowiązań.

Choć nie podobało jej się to, co działo się w Villperunie, nie widziała innego rozwiązania. Wanda wzięła do ręki stary pergamin z przepowiednią i zacisnęła na nim palce.

*Zrobię, co do mnie należy.*



## ROZDZIAŁ III

**M**róż ciął bezlitośnie w nos i policzki. Nie oszczędzał też gardła, które paliło zimnym ogniem. Dorada biegła, chcąc jak najszybciej schronić się w komnacie czarodziejki. Zatrzymała się tylko na chwilę przed bramą, by uspokoić nerwy. Nienawidziła tego miejsca. Wiele razy prosiła Wandę, by zamieszkała w mieście, ale ona, w przeciwieństwie do Dorady, zdawała się kochać dwór królewski bardziej niż bogów. Dziewczyna zacisnęła dłonie w pięści i ukrywszy je pod białym płaszczem, weszła na dzieciniec. W drodze do budynku, który zamieszkiwali coraz liczniejsi w Villperunie czarodzieje, minęła kilku strażników i wysoko urodzone dzieci. Jej białe włosy i płaszcz sprawiały, że była niemal niewidzialna na usłanej śniegiem ziemi. Jednak tym razem nie udało jej się przejść przez dziedziniec niezauważenie.

– Zobacz, to ta demonica – wyszeptwała pulchna dziewczynka do ucha swojej przyjaciółki na tyle głośno, że Dorada ją usłyszała. – Mama mówiła, że takich należy wygnać z Villperuny albo spalić. Dlaczego ją tu wpuścili?

– To ta nowa czarodziejka jej pozwala – oburzyła się dziewczynka w czerwonym płaszczu i wyciągnęła przed siebie drobne dłonie. Gdy

wykrzywiła wszystkie palce, udając czarodziejkę w trakcie rzucania zaklęcia, jej pyzata przyjaciółka zanosła się śmiechem.

– Nie chcę takiej czarodziejki na dworze. Ona ma nas chronić, a nie sprowadzać tu jakieś czarty!

Pozostałe dzieci, które wcześniej były zajęte lepieniem bałwana, podeszły do dziewczynek i wspólnie, nie szczędząc szyderczych uwag, patrzyły na Doradę z ukosa.

*Jakim cudem na tych dziecięcych twarzach może się mieścić tyle pogardy?* – zastanawiała się Dorada, starając się jednocześnie jak najszybciej je ominąć.

– Hej! Demonie! Nie boimy się ciebie! – krzyknęła dziewczynka w czerwonym płaszczu.

Dorada odwróciła się i spojrzała na drobną postać, która patrzyła na nią pełnymi odrazy, niebieskimi oczami. Spróbowała skupić się na twarzy dworskiej dziewczynki, wmówić sobie, że to tylko dziecko, że kiedyś może wyrośnie na dobrego człowieka. Już prawie ujarzmiła kłębiącą się w ciele magię ciemności, gdy nagle śnieżna kulka rozbiła się na jej głowie. Wtedy coś w niej pękło. Złość pochwyciła wszelkie dobre myśli i rozszarpała je na drobne kawałki. Czowała, jak demoniczna część dusi ją, naciska, by odpuściła i pozwoliła działać mrocznej sile. Nie panowała nad magią, wpuszczoną przez Elgana do ciała złotowłosej szamanki, którą kiedyś była. Zrobił to, by ratować jej życie. Udało mu się, ale Dorada czowała, jakby jego sukces był połowiczny, jakby jakaś jej część tamtego dnia umarła.

Silne szarpnięcie z głębi trzewi wykrzywiło jej ciało. Słyszała stłumiony, niepewny śmiech dzieci. Magia ciemności okazała się zbyt potężna dla młodej dziewczyny, która jeszcze do niedawna była zwykłym człowiekiem. Jedyne, co mogła zrobić, to nie pozwolić jej dojsć do głosu. Serce łomotało w piersi. Krew wirowała w żyłach, jakby chciała się przez nie wydostać. Dorada zamknęła oczy i przycisnęła nadgarstki do piersi w obawie, że magia zaraz rozerwie jej żyły.

– To demon! – zapiszczał dziecięcy głos.

– Trzeba ją spalić na stosie!

*Muszę się wyciszyć* – powtarzała w myślach. *To tylko dzieci. Tylko dzieci.*

– Tak, spalmy ją!

– Spalmy! – krzyknęły wszystkie chórem, ośmielone jej skuloną, żalosną postawą.

Chciała odejść, ale tym razem magia żyjąca w demonicznej części jej duszy wygrała. Dorada odwróciła się nagle, czując, jak niewidzialna dłoń pcha ją do przodu. Wyciągnęła rękę w kierunku małych oprawców. Dzieci zamilkły i wycofały się powoli. Ich drobne twarze zastygły w przerażeniu. Dorada, kierowana potężną siłą, zbliżała się do nich, nie opuszczając dłoni. Całe jej ciało drżało. Choć lękała się tego, co się z nią dzieje, gdzieś w głębi siebie dostrzegła słodkie uczucie satysfakcji. Powiodła wzrokiem po dzieciach. One się jej bały. Zamilkły. Nikt nie miał już odwagi krzyczeć. Spojrzała na dziewczynkę w czerwonym płaszczu. Wokół jej drobnych, kosztownych pantofli zaczął topnieć śnieg. Dorada widziała mgliste cienie, kryjące się za czerwonym płaszczem małej. Słyszała je, czuła ich obecność. To one tak ją przyciągały. Wijące się chaotycznie cienie chciały, by do nich przyszła. Zacisnęła dłonie i właśnie w tej chwili z nosa dziewczynki popłynęła krew.

– Dosyć!

Znała ten głos. Coś szarpnęło jej ciałem i zakręciło jej się w głowie. Odwróciła się i zobaczyła Fannila Argentsala. Wysoki mężczyzna o jasnej jak śnieg karnacji stał kilka kroków dalej, mierząc w nią srebrzystą kulą, która migotała między wycelowanymi w nią dłońmi. Moc czarodzieja drażniła wszystkie zmysły Dorady.

– Dosyć – powtórzył, tym razem łagodnie, jakby mówił do rozwścieczonego psa, którego można uspokoić głosem. – Wracajcie do środka.

– Ona jest wiedźmą – załkała dziewczynka, ocierając krew spod nosa.  
– Rzuciła na mnie czar!

– Niczego na ciebie nie rzuciła – zapewnił Fannil. – Dorada nie jest wiedźmą i nie włada żadną mocą.

– Ale niech czarodziej zobaczy! – Dziecko wyciągnęło ku niemu zakrwawianą dłoń.

– To nie magia, a strach. Przestraszyłaś się i tyle. Tak się czasami zdarza.

Dzieci popatrzyły niepewnie na Doradę i po chwili parsknęły śmiechem.

– Ona nawet czarować nie potrafi – zakpiła jedna z nich.

– Nie potrafi – powtórzył chłodno Fannil, mierząc Doradę surowym wzrokiem. – A teraz zmykajcie do środka, bo robi się naprawdę zimno.

Dzieci natychmiast posłuchały czarodzieja i pobiegły do zamku. Dorada powoli wyrównywała oddech, czując, jak magia ciemności walczy o swoje i niechętnie chowa się w zakamarkach jej ciała.

– To nie był dobry pomysł – powiedział Fannil Argentsal, gdy Dorada spojrzała mu w oczy, zimne i wyrachowane.

– Nie mają prawa...

– Mają. Zgodnie z obecnie panującym prawem, to ty nie powinnaś się tu pojawiać.

Milczała. Obserwowała czarodzieja, zastanawiając się, co z nią zrobi.

– Im zapewne nikt nie uwierzy, że je zaatakowałaś – mówił, rozglądając się, by sprawdzić, czy nie było innych świadków tego zdarzenia. – Mała raczej zaprzeczy, że w ogóle z tobą rozmawiała, bo będzie jej wstyd, że tak się ciebie wystraszyła. Tym razem trafiłaś na dzieci. Co by się stało, gdybyś straciła panowanie w obecności dorosłego?

– Nie wiem... – wyszeptała.

– No właśnie. Nie wiesz. – Prychnął pogardliwie. – Tym razem ci pomogłem, ale zrobiłem to tylko ze względu na Wandę, która



z niezrozumiałych dla mnie powodów w ciebie wierzy. Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczna jest ta moc? Uwalniając ją, wzmacniasz wiedźmy, które porywają niewinne istoty.

Dorada milczała. Łzy złości i goryczy napływały jej do oczu. Nie wierzyła w te oskarżenia. O znikających dzieciach wiedziała już od dawna. Sama zajmowała się tą sprawą z Elganem. Wtedy w świątyni widziała w jego oczach, że rozwikłał tę zagadkę, ale nie chciał się z nią podzielić swoim odkryciem.

*To musi być ktoś potężniejszy od wiedźm – myślała. Gdyby to były one, Elgan powiedziałby mi o tym w starej świątyni, w której miał wizję z milczącą dziewczynką.*

– Masz szczęście, że tędy przechodziłem.

– Dlaczego?

– Słucham?

– Dlaczego mu pomagacie? – spytała Dorada, ocierając z czoła zimny pot. – Dlaczego stanęliście po jego stronie?

Fannil Argentsal wstrzymał na chwilę oddech, uniósł podbródek i spojrzał z góry na Doradę. Miała wrażenie, że za chwilę nie wytrzyma i albo uderzy w nią magią, albo zaprowadzi do królewskiego kata.

– Chyba zapomniałaś, z kim rozmawiasz. – Fannil podszedł do niej i schylił się, zbliżając twarz tak, że Dorada wzdrygnęła się, gdy lodowaty wzrok czarodzieja przeszył ją na wskroś. Nie była pewna, czy użył magii, czy po prostu przerażała ją jego ludzka natura.

– Wybacz – wycodziła przez zęby i spuściła wzrok.

Z trudem powstrzymała się od wypowiedzenia obelg pod adresem szalonego króla i jego popleczników. Kłótnia tylko pogorszyłaby jej sytuację. Sama bała się swojej mocy i nie była dumna z tego, co przed chwilą zrobiła. Musiała jednak nauczyć się bronić.

*Szydzące ze mnie dzieci to dopiero początek – pomyślała, muskając końcówki białych włosów. Wyglądam jak wiedźma. Prędzej czy później*

*będą chcieli się mnie stąd pozbyć albo nawet...*

– Idź teraz do Wandy i powiedz jej, co zrobiłaś. – Z rozmyślań wyrwał ją chłodny głos Fannila.

Dorada ukloniła się i czym prędzej zeszła czarodziejowi z drogi.

Zapukała kilkakrotnie, ale nikt się nie odezwał. Szarpnęła za klamkę. Zirytowana tym, że drzwi ani drgnęły, Dorada kopnęła je i jęknęła z bólu. Przekląła w myślach dzień, w którym zamiast poprosić szeptuchę, by nauczyła ją magii szeptanej otwierającej drzwi, poprosiła o szept wzmacniający zapach.

*Co mi strzeliło do głowy?* – zganiła się w myślach. *Mogła mnie nauczyć tylu pożytecznych szeptów, a ja wybrałam jakieś durne pachnidełko...* Pomyślała o Smęcie, pokracczym, miłym demonie, który jako jedyny bardzo skorzystał z tej umiejętności. Na chwilę zapomniała o dziewczynce w czerwonym płaszczu. *Ach, kochany Smętku, mam nadzieję, że przynajmniej tobie jakoś się ułożyło...*

Usiadła na progu, opierając plecy o drzwi. Przyciągnęła do siebie kolana, by było jej cieplej, i zamknęła powieki. Myślała o Smęcie, szalonej wiedźmie Zorzannie oraz Elganie, który uratował ją przed śmiercią i porzucił. Powoli uczucia i myśli zamieniały się w sen.

Obudził ją głos Wandy.

– Na wszystkich bogów, Dorado! Masz sopele zamiast włosów...

Kilka czarnych loków czarodziejki opadło na jej twarz. Dorada spojrzała w szare, zatroskane oczy Wandy.

– Jeszcze chwila, a wyiębiłabyś się na śmierć! Wstawaj. Prędko! Musisz natychmiast się ogrzać.

Czarodziejka pomogła jej się podnieść i zaprowadziła prosto do kominka, w którym już płonął zbawienny ogień. W środku pachniało starymi księgami i czarną porzeczką.

– Dobrze, że sobie nie pofolgowałam i rozpałam go rano. Ta poranna magia jest okropna. – Twarz czarodziejki wykrzywił grymas. –

Siadaj, kochana. Zaraz zrobię ci coś ciepłego do picia.

– Gdzie byłaś?

– Mieliśmy zebranie Rady Czarodziejów.

Dorada uśmiechnęła się tylko współczująco, starając się ukryć niepokój.

*Na zebraniach Rady Czarodziejów powinni się zapewne stawić wszyscy czarodzieje. Fannil Argentsal tego ranka był na dziecińcu i powstrzymał mnie przed całkowitą utratą kontroli. Dlaczego mnie okłamujesz, Wando?*

– Tak rano? – spytała zamiast tego.

– Mamy ważne zadanie. Jutro o świcie wyjeżdżam do...

– Wyjeżdżasz?! – Dziewczyna zerwała się na równe nogi. – A Elgan? Obiecałaś! Obiecałaś, że zanieśiesz mu medalion!

– Dorado, nie unoś się, proszę. Obiecałam i dotrzymam obietnicy. Mam jednak obowiązki względem królestwa. Złożyłam władcy przysięgę i muszę wykonać powierzone mi zadania. To moja praca. Mój obowiązek.

Dorada kolejny raz tego dnia powstrzymała się od powiedzenia na głos, co myśli o królu Villperuny.

– W takim razie oddaj mi medalion – zażądała, wyciągając dłoń. – Sama mu go zwrócę.

– Sama? – Wanda uśmiechnęła się pobłażliwie i pokręciła głową. – Chyba zapomniałaś, kim on jest.

– Jest wążem, który kiedyś był człowiekiem. Doskonale o tym pamiętam.

– Nikt nie zostaje wężem przez przypadek – odparła chłodno czarodziejka, nalewając do kubka pachnący różą i miodem napój. Machnęła dłonią w stronę naczyń i po chwili iskrząca magia podgrzała wodę, uwalniając zapach płynących w niej suszonych kwiatów i ziół. – Może nie pamięta, kim jest, ale na pewno nie był dobrym człowiekiem, skoro stał się demo...

Wanda przygryzła wargę i pośpiesznie odstawiła dzban, z którego ulatywała aromatyczna para.

– Przepraszam – powiedziała, podając Doradzie kubek. – Wiesz, że...

– W porządku. Nie gniewam się. Nie za to...

Chwilę niezręcznej ciszy przerwało ciche pukanie do drzwi. Wanda posłała kilka srebrnych iskier w stronę wejścia.

– Otwarte! – zawołała.

Zza progu wychylił się drobny mężczyzna w szarych szatach i spiczastym kapeluszu.

– Wybacz, czarodziejko Wando, że przeszkadzam, ale kazano mi wezwać panią do wozowni.

– Kto kazał mnie wezwać?

– Czarodziejka Maranti. – Posłaniec uśmiechnął się przepraszająco. – Uparła się, że wszyscy czarodzieje powinni udzielić mocy opiekuńczej jednocześnie.

– To zwykły czar ochronny na wozy i konie. Co za różnica, czy zrobimy to razem, czy osobno? – Wanda westchnęła i uniosła ramiona, jakby właśnie przemawiała do bogów. Choć z wyrazu jej twarzy można było wyczytać wyraźną pogardę dla Maranti, nałożyła jednak na siebie ciemnozielony płaszcz i podeszła do drzwi. – Pozostali już tam są?

– Nie. Tylko Maranti, ale już posłaliśmy po resztę.

– Wybacz mi, Dorado. Muszę na chwilę cię opuścić. To nie potrwa długo. Proszę, nie wychodź na ten mróz, zanim się nie ogrzejesz.

Dziewczyna pokiwała głową, po czym wyciągnęła się wygodnie w fotelu, by zapewnić Wandę, że grzecznie tu na nią poczeka. Nie wytrzymała jednak długo w tej pozycji. Chwilę po tym, jak drzwi się zamknęły, wstała i podeszła do wysokich pod sam sufit regałów, na których piętrzyły się stosy książek. Zachłannie wodziła po nich wzrokiem, wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu. Jej uwagę przykuł cienki złoty tom.

Stała na palcach i wyciągnęła rękę. Już prawie chwyciła jego błyszczący grzbiet, gdy nagle za jej plecami rozległ się męski głos.

– Ciekawy wybór.

Obróciła się i przywarła plecami do półki.

– Ja jednak poleciłbym tobie inną księgę.

Zdezorientowana utkwiała wzrok w mężczyźnie w ciemnej szacie, który powoli szedł w jej stronę. Zatrzymał się przed regałem i zaczął wodzić palcami po starych woluminach.

– Ja tylko chciałam coś poczytać. Cokolwiek. Czekam na Wandę i żeby się nie nudzi...

– Proszę. Ostatni rozdział jest najciekawszy. – Nieznajomy uśmiechnął się i podał jej grubą, czarną księgę. Dorada uważnie obserwowała człowieka pachnącego ziołami i chłodem poranka. Miała wrażenie, że już go kiedyś widziała.

– Kim pan...?

Bursztynowe oczy zamigotały złotymi refleksami, choć stał tyłem do kominka i okna. Dorada odruchowo zmrużyła powieki, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Ach, racja. Gdzie moje maniery. Herrigen z Rieny. Jestem czarodziejem.

– Z Rieny? To rodzinne miasto Wandy.

– Moje także – wyznał i poprawił włosy koloru ciemnego miodu, które co rusz opadały na jego smukłą twarz.

– Wanda nie mówiła, że przybył nowy czarodziej...

– Gdzie ona się podziała? – przerwał jej, uśmiechając się do niej jak serdeczny przyjaciel. Dorada, zmęczona już rozmową z Wandą, nie wypomniała mu, że zignorował jej uwagę.

*Czarodzieje zaczynają mnie naprawdę irytować – pomyślała.*

– Jakaś Matati wezwała ją do wspólnych... czarów.

– Maranti?

– Yhm.

– No to nie mam co liczyć, że Wanda za chwilę się tu zjawi. Skora Maranti zawołała Wandę, to mnie też pewnie szuka. Cóż, bywaj...

– ...Dorada.

Herigen przez chwilę milczał. Uśmiechnął się i znów złote refleksy zaślniły w jego oczach.

– Miło było cię poznać, Dorado. Do zobaczenia.

Patrzyła, jak czarodziej odchodzi, mając nadzieję, że się odwróci. Chciała jeszcze raz spojrzeć mu w oczy i upewnić się, że migoczące złote drobinki w jego tęczęwkach to było zwykłe przywidzenie. Nie odwrócił się jednak. Zniknął za drzwiami i Dorada została sama w wielkiej, cichej komnacie wypełnionej księgami.

*Księga!*

Spojrzała na gruby, oprawiony czarną skórą manuskrypt. Pogładziła opuszkami palców wyżłobiony na okładce kołowrót poprzecierany czymś ostrym, jakby ktoś chciał go ukryć. Nieregularne cienie zatańczyły pod jej stopami. Przerażona rzuciła księgę na biurko czarodziejki. Ciche szepty w jej głowie ucichły równie szybko, jak się pojawiły. Dorada zacisnęła powieki.

*Muszę być silna – mówiła sobie w myślach. Nie jestem już szamanką. Nie jestem już nawet do końca człowiekiem. Muszę nauczyć się panowania nad mocą. Albo ja ją poskromię, albo ona przejmie nade mną kontrolę.*

Podeszła do starej księgi i ostrożnie położyła na niej dłoń. Policzyła w myślach do dziesięciu, starając się opanować strach. Tym razem nic się nie wydarzyło. Poczuvszy się nieco pewniej, Dorada odetchnęła z ulgą.

*O którym rozdziale mówił ten dziwny czarodziej?*

Usiadła za biurkiem Wandy i powoli przysunęła do siebie księgę. Po chwili uznała, że cienie musiały dać jej spokój, więc zaczęła przewracać pożątkłe strony.

– Ostatni rozdział jest najciekawszy... – powtórzyła szeptem słowa Herrigena.

Odnalazła właściwą stronę i zmrużyła powieki. Pismo było koślawe i nazbyt ozdobne, co utrudniało lekturę. Z trudem odczytała tytuł rozdziału: *O plugawych praktykach wiedźmowych*. Dorada wstrzymała oddech.

*Skąd on wiedział...?*

Wystraszona zamknęła z hukiem księgę. Kurz uniósł się w powietrzu, migocząc odbitym światłem porannego słońca. Wyrzała przez okno w obawie, że żołnierze czekają już na nią, by zawlec ją do kata albo wepchnąć do lochu. Nikogo jednak nie było. Oddychała szybko i łapczywie, jakby właśnie znalazła kryjówkę po długiej ucieczce. Potarła dłońią oczy i pośpiesznie schowała księgę za krawędź, która przepasała suknię. Narzuciła na siebie biały płaszcz, zakrywając szczelnie wolumin. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić.

*Może to czysty przypadek – pomyślała. Może ten czarodziej się zwyczajnie pomylił? Pewnie dał mi nie tę księgę, którą zamierzał. Może miałam trafić na rozdział o ziołach i ich leczniczych właściwościach?*

Wanda kazała jej poczekać, ale jak mogła czekać, gdy w końcu znalazła w tych dziwnych okolicznościach właściwą księgę?

– Wanda... Niech to licho – zaklęła pod nosem.

Owinęła pas wokół płaszcza i napisała krótką notatkę do czarodziejki.

***Wybacz, kochana Wando. Musiałam wyjść. Odwiedzę cię wieczorem.***

Przeczytała tekst i dopisała:

***Nie martw się o mnie. Już się ogrzałam.***

Na szczęście drzwi czarodziejki zamykały się same, gdy tylko magia wyczuwała, że nikogo nie ma w środku. Dorada wymknęła się więc, dziękując w duchu, że Wanda jest tak zdolną czarodziejką i nie musi czekać na jej powrót.





## ROZDZIAŁ IV

*Wieszczenie i praktyki wiedźmowe są bardzo interesującym i nie dość dobrze zgłębnionym obszarem badań nauk magicznych. O ile o wiedźmowej magii istnieją zapiski i mnóstwo nieweryfikowalnych hipotez, o tyle moc wróży i wrózek pozostaje jedną wielką niewiadomą. Przypuszcza się, że wieszcząc, człowiek łączy się z mocą Rodzanic, jako że jedynie boginie losu zdolne są wejrzeć w przyszłość, którą same wyznaczyły człowiekowi. Wróżka i wróż obdarzeni niezwykłym darem wieszczenia mogą ujrzeć to, co dopiero nadejdzie. Jednak wizje i słowa Rodzanic niejasne są dla zwykłego człowieka.*

*Należy zatem zadać sobie pytanie: czy wróż w ogóle jest w stanie pojąć to, co zostaje mu ukazane?*

*Rozmyślenia nad wolną wolą, Fatilini Opp  
Ze zbiorów Biblioteki Czarodziejskiej w Rienie*

**N**a obrzeżach Villperuny cuchnęło odchodami i brudem. Dorada już dawno przywykła do smrodu najbiedniejszej dzielnicy rozciągającej się wzdłuż murów królewskiego miasta. Bardziej odrażające i przerażające było dla niej obserwowanie, jak z dnia na dzień na

obrzeżach przybywa ludzi. Minęła grupkę żebraków. Jeden szarpnął jej biały płaszcz i chwycił wystającą spod niego suknię. Wyrwała mu się z łatwością. Liche, powykręcane z zimna ciało mężczyzny runęło na kolana. Chciał coś za nią krzyknąć, ale rozległ się tylko świszczący kaszel. Każdej nocy mróz zbierał swoje żniwa. W połach płaszcza Dorada niosła zwinięty ze stołu czarodziejki woreczek z orzechami dla Jagny. Wiedziała, że mężczyzna, tak jak dziesiątki mu podobnych nędzarzy, może nie doczekać jutra, a ona nie mogła pomóc im wszystkim. Oddaliła się, by nie ściągnąć uwagi innych wygłodniałych mieszkańców Villperuny.

Nie biegła. Szła równym krokiem po trzeszczącym pod stopami śniegu. Nie bała się tych ludzi, wręcz przeciwnie. Wśród biednych czuła się najlepiej. Odkąd rozeszła się wieść o tym, że stała się półdemonem, omijała dwór szerokim łukiem. Chodziła tam tylko, by spotykać się z Wandą, i wykraść jej cenne księgi. Było jej wstyd, że okłamuje czarodziejkę, ale wiedziała, że ta nigdy z własnej woli nie dałaby jej manuskryptów, które Doradę szczególnie interesowały. Prędzej czy później domyśliłaby się, co wspólnego mają ze sobą wszystkie pozycje. Poza tym Wanda też ją okłamywała. Dorada była wściekła z powodu wszystkich sekretów czarodziejki i przede wszystkim za odwołanie spotkania z Elganem. Czasami miała ochotę zabrać jej naszyjnik ze staropolańskim kłosem i osobiście oddać go wąpierzowi. Tylko jak zerwać wisior z szyi tak czujnej czarodziejki? Po pierwszej nieudanej próbie poddała się i obiecała Wandzie, że już nigdy więcej tego nie zrobi. Z jednej strony wiedziała, że czarodziejka nie pozwala jej zbliżyć się do Elgana z troski o nią, z drugiej zaś strony irytowało ją ciągłe traktowanie jej jak szczególnego dziecka, na które trzeba chuchać i dmuchać, bo zewsząd grozi mu niebezpieczeństwo. Już niemal zapomniała o porwaniu i o dziwnym bólu połączonym z ekstazą, jakiej doświadczyła, gdy białowłosy wąpierz wbił w jej szyję kły. Wtedy zrozumiała, dlaczego wiedźma Zorzanna chciała, by Elgan nakłuił ją i dał choć odrobinę swojej

mocy. Domyśliła się, że w małych dawkach magia ciemności może być czymś w rodzaju niezwykle pożywnego posiłku, który nie tylko doskonale smakuje, lecz także dostarcza nadludzkiej siły.

Spojrzała na wynędzniałą chatę, w której teraz mieszkała Jagna, niegdyś znana i szanowana villperuńska wróżka. Wygnana z dworu za poglądy i wykonywaną profesję.

*Gdyby nie Ars, mnie też by tu pewnie zesłali – pomyślała. A może nawet wypędziliby za bramy miasta? Dopóki boją się mojego ojca, jestem bezpieczna.*

Dorada zacisnęła ramiona na płaszczu, w miejscu, gdzie schowała orzechy i księgę, którą tego ranka ukradła Wandzie.

*Och, Wando, nie możesz się na mnie gniewać za to, że chcę umieć o siebie zadbać...*

Zapukała do drzwi. Przeszłowała z nogi na nogę, by rozgrzać ciało. Wbrew słowom notatki, którą zostawiła Wandzie na stole, nie zdążyła się porządnie ogrzać w komnacie czarodziejki. Miała wrażenie, że igra z mroźną naturą zimy i stąpa po cienkim lodzie, który za chwilę pęknie pod jej stopami, a ona zanurzy się w czarnej, zimnej pustce.

Zapukała jeszcze raz. Głośniej. Na tyle głośno, że przechodząca obok kobieta zwróciła na nią uwagę. Uderzyła odrętwiałą z zimna dłonią mocniej, bo rozpacz powoli odbierała jej rozsądek. Nikt nie odpowiadał. Przeszło jej przez myśl, że ktoś dowiedział się, po co Dorada tu przychodzi, i doniósł na wróżkę. Zrobiło jej się jeszcze zimniej, gdy zdała sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo naraża biedną Jagnę. Rozejrzała się w panice. Wokół widziała tylko kilku żebraków, stare kobiety i rzucające się śnieżkami dzieci, tak chude i blade, że Doradzie ścisnęło się serce, gdy jedna z dziewczynek uśmiechnęła się do niej w biegu. W oczach małej migotało prawdziwe szczęście. Mimowolnie Dorada pomyślała o dworskich, wyperfumowanych dzieciach, które nawet

w zabawie miały na twarzy wymalowane znużenie i nieustanny niedosyt.

*Czy żeby docenić życie, trzeba najpierw wszystko stracić?*

To była ostatnia myśl, jaka się pojawiła, nim usłyszała ciche skrzypienie drzwi.

– Wchodź, słodziutka, do środka.

Wróżka zdjęła z Dorady płaszcz i szybko narzuciła na nią gruby koc.

– Oj, złociutka. Ty na siebie musisz uważać. Zbyt zimno jest na długie spacerki.

– Dobrze cię widzieć, Jagno – odparła Dorada, uśmiechając się szczerze na widok pogodnej twarzy starej kobiety.

W chałupie wróżki panował mrok, przez który przebijał się słaby płomień z paleniska. Jagna podeszła do ognia i dorzuciła kilka gałęzi. Doradzie ścisnęło się serce na widok opatulonej wełnianym kocem staruszki. Miała już swoje lata, które dopiero po wygnaniu jej z dworu zaczęły uwydatniać się na zadbanej, wiecznie uśmiechniętej twarzy wróżki.

– Zaraz powinno się zrobić cieplej, ale może nie ściągaj jeszcze koca.

– Wróżka podeszła do niej i pogładziła białe włosy Dorady. – Bardzo zmarzłaś... Przepraszam... Wybacz, że musiałaś tak długo czekać na tym paskudnym mrozie, byłam w transie.

Dorada wzięła od Jagny gorący kubek z ziołami i machnęła ręką, dając znać, że się nie gniewa. Po kilku łykach nieprzyjemne zimno gnieżdżące się w jej dłoniach zaczęło ustępować miejsca ciepłu aromatycznego wywaru. Kiedy tylko nabrała sił, wyciągnęła ukradzioną księgę i ułożyła na kolanach. W skupieniu szukała odpowiedniego fragmentu tekstu.

– Widzę, że jesteś dziś bardzo zdecydowana.

Wróżka zaśmiała się serdecznie i wzięła od Dorady drewniany kubek, do którego dołała pachnący miętą i suszonymi kwiatami napój.

– Wypij jeszcze trochę – nalegała. Spojrzała na księgę. – Czy to jest to, czego szukałaś?

– Tak. Znalazłam to, czego szukałam i... chyba jestem już gotowa. – Dorada zachłannie upiła kilka łyków wywaru i wskazała palcem poszarpaną kartkę. – To tutaj. W tym rozdziale kapłan napisał o rytuale przejścia. Trochę jest... niedokładny. Nie wiem, czy... Zresztą, sama zobacz.

Wróżka przysunęła księgę bliżej i zaczęła czytać:

*...wiedźma, by do świata swego plugawego się udać, wyzbyć myśli się miała przed złączeniem dłoni z czerwoną mocą demonów. Wszelakie troski i radości na ziemi, gdzie przekłete ciało zostawić miała, by do świata demonów się udać, jako istota wolna od ludzkiej myśli. Tako i dowód jest to kolejny na to, że wiedźmowe praktyki w pogardzie mają człowieka. Skrywają swe demoniczne światy, by kiedy stamtąd na człowieka klęskę zesać i...*

– Co tam zobaczę? – przerwała jej Dorada.

– Nie wiem, dziecino.

– A jeśli tam naprawdę są jakieś groźne demony?

– A czy wokół nas już ich nie ma? – Jagna uśmiechnęła się gorzko. – Gdyby w istocie było tam tak niebezpiecznie, żadna z wiedźm nie odważyłaby się szukać swojego świata.

– Gdzie jest ten świat?

Jagna zamknęła księgę i dołała ciepłego naparu do swojego kubka.

– Kiedyś, za młodu, poznałam jedną wiedźmę – zaczęła i wzięła łyk, by zwilżyć gardło. – Zanim w Villperunieostałam na dobre, wędrowałam od wioski do wioski, wróżąc za pajdę chleba i miskę kaszy. Pewnego wieczoru piękna, młoda wiedźma odwiedziła moją chatę. Jakie było me zdziwienie, gdy poprosiła mnie o wróżbę. Rozbawiła mnie wtedy i to bardzo. Chyba niemiło jej się zrobiło, gdy zaśmiałam jej się w twarz. Toż

ty wiedźmą jesteś, powiedziałam jej, wiedźmom się nie wróży. Tylko ludzki los przez boskie Rodzanice jest utkany, tylko taki los wróżby mogą odczytać.

– I co na to wiedźma?

– Oburzyła się. Zwyczywała mnie i powiedziała, że łajno wiem o wrózeniu i jakbym dobrą wieszczką była, tobym wiedziała, że wiedźmom bogowie los także utkali, tyle że wiedźmy na niego wpływ mają i mogą go zmieniać, a człowiek jedynie może się z nim pogodzić.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Dorada wpatrywała się w zamkniętą księgę, zła na uczonego, który ją spisał, gdyż szczędził szczegółów na temat tego, jak dokładnie wiedźmy przenosiły się do swego świata gdzieindziej.

– Jeszcze mi przyszło w życiu spotkać się z tą wiedźmą po raz drugi.

– Jagna spojrzała gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. – Tu. W Villperunie.

– W Villperunie? Czy ona jeszcze tu jest?

– Nie... To było dawno temu, a już wówczas wiedźma wiedziała, że to miasto nieprzyjazne jest takim jak ona, choć wtedy jeszcze ludzie po prostu się wiedźm bali, zamiast nimi gardzić. Niektórzy nawet szanowali.

– Gdzie ją spotkałaś?

– Znow do mnie przyszła. Spytała, czy nauczyłam się już swej sztuki i powiem jej wróżbę. Byłam młoda i zbyt dumna, by tym razem odmówić. Chciałam jej udowodnić, że jestem potężną wróżką i...

Jagna wstrzymała oddech, jej oczy rozszerzyły się, twarz napięła, jakby właśnie zobaczyła przed sobą wygłodniałego wilka.

– I...? – ponagliła ją Dorada.

– ... i rzuciłam jej ości.

– O, bogowie...

– Byłam młoda i głupia. Myślałam, że po prostu je rzucę i zmyślę coś, co mogłoby zaspokoić ciekawość wiedźmy. Nie musiałam snuć kłamstw...

Ości przemówiły. Cicho, ale bardzo wyraźnie, tak jak zawsze. Są wróże lubujący się w rzucaniu ości. Podoba im się owiany tajemnicą sposób, w jaki do nas szepczą. To swego rodzaju mistyczna zagadka, umysłowa uczta, ale mnie zawsze krew w żyłach marzła na samą myśl o ościach.

– Co z przepowiednią?

– Przepowiednia... Ości ułożyły się w ciche szepty i przemówiły od razu. – Zawahała się i otarła usta, jakby chciała zdjąć z nich niewidzialną pieczęć. Wzięła oddech i na jednym wydechu wyrecytowała słowa przepowiedni. – *Człowiek... demon... złość bogów płonie... świat zadrży, gdy wiedźma śpiącej w niej mocy użyje...* – Jagna wzdrygnęła się i spojrzała Doradzie w oczy. – Nie powiedziałam jej tego. Uznałam, że tak będzie lepiej.

– Bogowie... – Dorada pokręciła głową z niedowierzaniem. – Jagno... Przecież musiałś wiedzieć, że przepowiedni nie można zatrzymywać dla siebie.

– Wiedziałam, dziecińo. Oj, wiedziałam. I obawiam się, że los zakpił ze mnie, nie z wiedźmy... Ale dosyć już o tym. To, o czym chciałam ci powiedzieć, wiedźma zdradziła mi, zanim rzuciłam ości. W ramach zapłaty obiecała odpowiedzieć na nurtujące mnie pytanie. Nie od dziś ciekawość wiedźmowych praktyk zaprzęta moje myśli. Od dawna czułam, że moc, którą posiadają wiedźmy, jest szczególna...

Wróżka spojrzała na nią zamyślona. Przez chwilę mrużyła powieki, trwając tak, wpatrzona w Doradę.

– Jagno?

– Zapytałam ją o wiedźmowe światy. Zaśmiała się, ale nie zbyła mego pytania. Rzekła mi jedynie, że żadne one wiedźmowe, że każdy ma swoje miejsce, które w pewnym stopniu powiązane jest z tym światem, który znamy. Mówiła tak, jakbyśmy w zasadzie wszyscy byli połączeni, a jednak oddzieleni czymś, co nazwała ślepotą. Twierdziła, że ludzie

nieposiadający w sobie demonicznej części, która łączy wiedźmy ze światem bogów, nie mogą widzieć tego, co one.

– W jaki sposób demoniczna część łączy je ze światem bogów?

– Każdy demon ma w sobie magię, choć u większości jest ona uśpiona. Bez tej magii, będącej podarunkiem Welesa, taka istota by nie istniała. Nie da się żyć bez bijącego serca, a jednak demony to potrafią.

Dorada położyła dłoń na piersi. Czuła wyraźne uderzenia.

– Mnie nie musi trzymać przy życiu magia Welesa – stwierdziła. – Czy w takim razie mam w sobie moc boga magii i tajemnic?

– Niewykluczone. Według tej wiedźmy tak właśnie jest.

– Jak w takim razie mam jej użyć, by zobaczyć mój świat, którego nie mogłam dostrzec przed przemianą?

– Wydaje mi się, że odpowiedź znajduje się właśnie w tej księdze. Musisz oczyścić głowę z wszelkich myśli. – Jagna zamilkła na chwilę. Zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. – Są wśród podopiecznych Welesa istoty potężne i rozumne, bardziej od znamienitych uczonych. Trudno nazwać je demonami, bo bardziej przypominają ludzi niż odrażające stwory.

– Mówisz o wampirach?

– Nie tylko. Demony niższego rzędu, takie jak strzygi, też ponoć często kierują się sprytem, co świadczy o ich bystrym pomyślunku – tłumaczyła Jagna. – Zdaje mi się jednak, że większość demonów nie kłopotczy się myśleniem. To ludzka przypadłość, zwykle demony kierują się raczej przecuciem i potrzebą, która pcha je do działania.

Dorada pomyślała o Smęcie. Małomównym, skrytym demonie, który samemu księciu ciemności tłumaczył, że zamiast ganić Mirosława, powinien docenić to, że człowiek zabiega w ogóle o jego przyjaźń.

*Może dlatego Weles nie wziął go pod swoją opiekę? Może Smęt zbyt mocno jest związany myślą ze światem ludzi i nie pasuje do reszty jemu podobnych? A Lilija?* – Dorada przywołała w pamięci rusałkę, którą



spotkała w Puszczy Leszego. *Och, tak. Ona z całą pewnością jest przykładowym demonem i nie kła się myśleniem.*

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – spytała, gdy Jagna podniosła się, by dorzucić gałęzi do paleniska.

– Od twojego ojca. Kiedyś bardzo się przyjaźniliśmy. – Uśmiechnęła się do siebie, po czym spojrzała na Doradę. – Gotowa?

Ogień wzbił się i zasyczał, jakby ją wzywał.

– Dalej nie wiem, co dokładnie mam zrobić.

– To, co mówi księga. Wyzbyć się myśli i pozwolić czuć swojej demonicznej części... właśnie wtedy dostrzeżesz swój świat.

– Moja demoniczna częśćka go dostrzeże... – Dorada wzdrygnęła się na wspomnienie poranka i tego, co zrobiła dziewczynce w czerwonym płaszczu. – Ciągłe nie mam pewności, czy to bezpieczne.

Czekała, aż Jagna zapewni, że nic jej tam nie grozi. Wróżka jednak milczała. Ogień wzbił się, gdy dorzuciła do niego drewna, a jego blask zatańczył na starej księdze. Dziewczyna przysunęła ją i zaczęła czytać jeszcze raz fragment, który miał ją nauczyć, jak ma się dostać do swojego świata.

– Wahasz się, dziecino. Dlaczego?

– Może... może król ma rację... Może ludzie nie powinni bratać się z demonami i praktykować nie do końca zrozumianą moc?

– Czym różni się ta moc od mocy twojej czarodziejki? – spytała Jagna z wyraźną kpina w głosie.

– Magia czarodziejska jest nauką. Jest mnóstwo ksiąg, uczonych... Czarownice potrafią wnikać w czary i precyzyjnie je opisać. Są dokładne receptury, natężenie wszystkich...

– I co z tego? – przerwała jej Jagna.

– Moc czarodziejską da się kontrolować, przewidzieć. A to... sama powiedziałaś, że nie wiesz, co zastanę po drugiej stronie.

– Magia wiedźm czy wróżbiarstwo są dużo bardziej złożone. Co nie oznacza, że są gorsze. To moc istot odważnych, śmiałych. Chcesz być silna? Chcesz móc obronić się przed tymi, którzy z uśmiechem na twarzy wbiliby ci widły między żebra?

Dorada milczała.

– To nie jest zła magia, dziecino. To magia starsza od tej, w którą bawi się ta twoja czarodziejka. To, że nie opisano jej w setkach ksiąg, nie czyni jej gorszą... Zresztą, kto ci broni spisać księgę o twych dokonaniach? Choć, jeśli ci życie drogie, lepiej nie w Villperunie...

Na zewnątrz grupka dzieci zaśmiała się chórem. Dorada odruchowo odwróciła się w ich stronę, ale jej wzrok napotkał tylko ścianę i wiszące na niej amulety. W chałupie wróżki nie było okien. Słabe snopy światła przeciskały się przez nieszczelny dach, co sprawiło, że Dorada poczuła się jak w celi więziennej w podziemiach zamku. Na wspomnienie wizyty w tym okropnym miejscu przeszły ją ciarki.

– Jeśli chcesz wyjść i rozważyć raz jeszcze tę decyzję, zrozumieć to, dziecino – powiedziała Jagna, wyrывая Doradę z zamyślenia.

– Tu nie ma nad czym rozważać. – Zamknęła księgę i wstała. Lekko zakręciło jej się w głowie od nagłego ruchu, więc oparła dłonie o blat stołu.

*Ta dziwna moc odbiera mi siły* – pomyślała ze zgrozą, ale nie podzieliła się tym spostrzeżeniem z wróżką, która już wystarczająco się o nią martwiła. *Jeśli jej nie ujarzmię, stanę się kimś, kogo nawet Elgan nie będzie w stanie znieść.*

– Albo to zrobię, albo mnie stąd przegnają, gdy tylko ojciec podupadnie na zdrowiu... – stwierdziła i powoli zbliżyła się do ognia. Potarła dłonie, przyglądając im się czule, jakby miała ich już nigdy nie zobaczyć.

*Muszę odnaleźć mój świat. Może właśnie tam dowiem się, jak stać się wiedźmą. Tylko jak, na bogów, wyzbyć się myśli, gdy właśnie mam wsadzić*

*rękę do ognia?! Przecież wiemy nie płoną... ale skąd mam wiedzieć, czy nie czują bólu? Niechaj będzie wola...*

– Widzę, jak tańczą na twojej buzi grymasy. – Jagna złapała rękę Dorady, gdy ta niemal zetknęła się z płonieniem. – Nie jesteś skupiona. Oczyść głowę z myśli – poleciła.

– Nie dam rady – uznała, odsuwając się od paleniska.

– Dasz. Będę cały czas przy tobie. Jeśli coś pójdzie nie tak, wyciągnę twoją dłoń. Skup się, dziecino.

Ogień wznosił się i opadał. Dorada przypomniała sobie noc w jaskini Zorzanny. Obserwowała wtedy ukradkiem, jak Elgan ściska dłoń wiedźmy w płomieniach.

*On jej zaufał – uświadomiła sobie, zaciskając dłonie w pięści. Gdyby to było niebezpieczne, na pewno by tego nie zrobił. Przecież jest księciem ciemności, wiedział, co robi. Wiedźma też wiedziała. Wiedźma o księżycowych włosach...*

Dorada wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś wspomni Zorzannę i pożałuje, że z nią nie rozmawiała.

*Dlaczego wtedy nie zapytałam jej o to, gdzie zabrała Elgana? Mogła mi wytłumaczyć, jak to zrobić... Co ja bredzę? Skąd mogłam wtedy wiedzieć, że sama stanę się półdemonem?*

Tamtej nocy lękała się ognia, który tańczył wokół dłoni Elgana i Zorzanny. Drżała z przerażenia, wpatrzona w palenisko, czekała w napięciu, aż wiedźma i wampir otworzą oczy. Nigdy nie zapomni tego strachu. Teraz jednak ogień wydawał jej się taki spokojny. Potężny, ale spokojny. Dorada chwyciła się tego przekonania, usiłując wyobrazić sobie, że jest płomieniem. Bez pośpiechu zbliżała swoją dłoń do potężnego żywiołu. Czuła, jak umysł się oczyszcza. Po chwili jednak ciche głosy zaczęły wkradać się do jej głowy, jak chmara bzyczących komarów.

*Czarodziejki też wyzbywają się złych uczuć, by skupić w sobie moc – wyszeptał nieproszony głos. To, co teraz robisz, nie różni się tak bardzo od tego, co robi Wanda...*

*Sio!* – krzyknęła do natrętnych wspomnień, gdy przyłapała się na błądzeniu w myślach.

Ponownie wyobraziła sobie płomień. Wpatrywała się w jego taniec i powoli zatracala się w pięknie nieokiełznanych płomieni. Umysł wypełniła błoga cisza. Zadrzała, gdy jej dłoń zetknęła się z ogniem. Głosy w myślach znów zaatakowały, tym razem głośniejsze. Czuła ich wrogość, narastającą agresję. Wyobraziła sobie, że je odpycha. Konsekwentnie wypierała je ze swojej głowy, a one powracały jak wierny pies, na przemian zawodząc żałośnie i warcząc. Nie poddawała się. Obserwowała, jak niechętnie oddalają się od niej, jak cichną. Wraz ze znikającym zgiełkiem myśli i uczuć pojawiała się pustka. Dorada uśmiechnęła się do niej. Pustka była taka obojętna i bezpieczna. Wszystko, co jeszcze przed chwilą wypełniało jej głowę, było już daleko. Zanurzyła rękę w ogniu i nagle jedna myśl przedarła się przez ocean spokoju: *Elgan... tak bardzo cię teraz potrzebuję...*

Coś szarpnęło jej ciałem. Otworzyła oczy i od razu je zamknęła, oślepiona bielą miejsca, w którym się znalazła. Roztarła powieki i ostrożnie je uniosła. Chwilę zajęło, nim przyzwyczała się do iskrzącego w słońcu śniegu. Przeszło jej przez myśl, że znalazła się na zewnątrz. Szybko jednak odrzuciła ten pomysł. Nigdzie w Villperunie nie było tak wielkiej polany oprószonej białym puchem, żeby nie można było dostrzec jakiegoś budynku. Tu widziała tylko ciągnącą się w nieskończoność linię horyzontu.

*Może to pusty plac, na którym mam zbudować swój świat? Tylko jak?*

Drobne płatki śniegu wirowały przed jej oczami. Choć przyprawiały ją o zawrót głowy, nie miała niczego innego, na czym mogłaby skupić wzrok.

– Jest tu ktoś?! – zawołała, robiąc kilka kroków. – Co ja wyprawiam...

Roztarła zmarznięte dłonie. Świat, w którym się znalazła, zdawał się dużo zimniejszy od srogiej zimy w Villperunie. Zacisnęła koc na piersi i ruszyła przed siebie. Z każdym krokiem wiatr wzmaczał się, a płatki śniegu dotkliwiej smagały jej twarz. Śnieżycą była tak gęsta, że nie widziała, co ma przed sobą. W panice zaczęła biec. Mróz wkradał się w jej ciało i wbijał od środka swoje lodowate szpony, jakby chciał ją rozszarpać. Rozkaszła się, gdy płuca zapiekły zimnym ogniem. Chciała jak najszybciej dotrzeć do czegokolwiek. Uciec z tego opuszczonego, niebezpiecznego miejsca.

*Przecież coś musi tu być! O bogowie, wybaczcie mi moją zuchwałość. Za kogo ja się miałam? Jestem zbyt słaba na bycie wiedźmą...*

Myśli zatrzymały się wraz z nią na skalnej ścianie. Dorada jęknęła z bólu i chwyciła się za głowę. Po jej czole rozlało się przyjemne, wilgotne ciepło. Starła ze skroni krew i zachłysnęła się strachem. Odrętwiałymi z zimna palcami szukała wyjścia, mamrocząc pod nosem modlitwy do Welesa, boga magii i tajemnic. Modliła się o drzwi, o przejście, które zabrałoby ją z tego wrogiego miejsca. Nagle opuszki Dorady natrafiły na chropowatą powierzchnię, która w jej głowie jawiła się jako wyjście z tego świata. W pośpiechu przebierała rękoma po twardych wypustkach.

– To drzewo... – wyszeptała i zbliżyła nos, by powąchać twarde nitki, które wczepiały się w jakąś szorstką ścianę.

Wiatr ustał. Po chwili odpuściła również śnieżycą i Dorada mogła w końcu spojrzeć na znalezisko. Nie pomyliła się, choć nie miała też do końca racji. Ze skał przebijały liczne gałęzie, które wiły się wokół kamiennej ściany.

– Co to, do licha, ma być?!

Zbliżyła twarz do plątaniny gałęzi, spomiędzy których przebijała słaba, żółta poświata. Znacznie różniła się od ostrego światła po jej

stronie, którego promienie odbijały się od śniegu, bezlitośnie rażą Doradę w oczy. Zauważyła, że gdzieś tam mur jest popękany. Zmrużyła jedno oko, a drugie przyłożyła do szpary. Coś poruszało się w ciepłym blasku po drugiej stronie, jakby rozpalone słońcem powietrze. Dorada, zachęcona nadzieją odnalezienia wyjścia z tego świata, pośpiesznie odłamała kawałki skały, by powiększyć otwór. Teraz w prześwicie mieściła się niemal cała jej głowa. Kamienna ściana była dość gruba i Dorada nie mogła wychylić się na tyle, by rozejrzeć się i zobaczyć, co skrywa tamten świat, czy w ogóle jest lepszy od tego. Czekwała, aż wzrok przyzwyczai się do nowego otoczenia. Nagle rozległ się trzask pękających ścian. Zanim zdążyła odskoczyć, poczuła palce zaciskające się na jej ramionach. Szarpała się, ale dłonie, które ją pochwyciły, nie ustępowały. Krzyczała, rozdzierając ciszę białego świata, który jakby za sprawą jej wołania ożywił się i powołał do życia śnieżną zamieć. Śnieg szalał, a ona szarpała się i piszczała. Po chwili zamarła, a wraz z nią wiatr i niesione nim białe płatki. Po drugiej stronie obraz zaczął się klarować. Tuż przed Doradą zafalowało czyjeś oblicze. Zamrugowała kilkakrotnie i wstrzymała oddech. Z całych sił starała się uspokoić. Czuła, że im bardziej się denerwuje, tym gorzej widzi osobę po drugiej stronie.

*Ja... chyba znam tego człowieka* – myślała, wpatrując się usilnie w zamazaną postać, która wciąż zaciskała palce na jej ramionach.

– Gdzie go masz...? – wyszeptał znajomy głos.

Dorada zadrżała.

– Elgan? Bogowie... to ty?

– Musisz mi go oddać! – warknął obraz po drugiej stronie.

Była pewna, że to głos Elgana. Nie mogłaby go pomylić z żadnym innym.

– Elgan, to naprawdę ty?!

Obraz zgęstniał i po chwili widziała go na tyle wyraźnie, by wyzbyć się wszelkich wątpliwości. Po drugiej stronie stał Elgan. Na widok jego chudej, wykrzywionej bólem twarzy, pokrytej ranami i brudem, Doradę ogarnął smutek, a łzy same napłynęły do oczu. Spod górnej wargi wapiersza wystawały zakrwawione kły.

– Bogowie, Elgan... Co ci się stało?

– Oddaj mi go... Musisz... mi go... oddać.

Słyszała, jak ciężko dyszy, jakby z trudem nabierał powietrze.

– Co takiego muszę ci oddać?

– Medalion. Mój... medalion – cedził przez zęby wolno, niewyraźnie, jakby mówienie sprawiało mu niewyobrażalny ból.

Poczuła, jak silna dłoń wapiersza uwalnia jej ramię, po czym natychmiast zaciska się na szyi.

– Gdzie on jest?!

Ostre pazury wodziły chaotycznie po jej ciele.

– Gdzie go masz?! Mów!

– Nie mam go... Elgan, wybacz, ja go nie mam. Nie mam!

Zacisnął dłoń mocniej, tak że z trudem łapała powietrze.

– Dałem ci go! Musisz mi go oddać...

Po policzkach Dorady płynęły łzy. Słyszała w jego głosie rozpacz, agonię, ból, którego nawet nie była w stanie sobie wyobrazić. Elgan zwolnił uścisk, a Dorada zanosła się kaszlem. Łapczywie chwyciła powietrze i krztusiła się nim co chwila.

– Wybacz mi... – wyszeptała, gdy ból i strach ustąpił na tyle, by była w stanie mówić. – Dałam go Wandzie. Przepraszam. Odzyskam go. Obiecuję...

Chciała zapytać, dlaczego tak cierpi. Dlaczego tak ją potraktował? Gdzie teraz jest? Dlaczego ją odtrącił? W głowie kłębiło się mnóstwo pytań.

– Elgan – zaczęła, ale nagle coś szarpnęło ją do tyłu i ocknęła się w ramionach wróżki.

Zapłakana Jagna obejmowała ją i ścisnęła mocno w ramionach. Dorada czuła, jak wróżka drży, a jej serce bije jak szalone.

– Dziecino, wybacz... Co ja sobie, głupia, myślałam? Już dobrze, dziecino. Jesteś bezpieczna.

Dorada nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Próbowła pozbierać myśli. Z jednej strony zdawało jej się to tak rzeczywiste, jakby przed chwilą naprawdę rozmawiała z Elganem, z drugiej zaś – wiedziała, że przecież cały ten czas siedziała przed paleniskiem.

*To się działo tylko w mojej wyobraźni, w mojej głowie. Przecież Elgan nie jest wiedźmą, nie porusza się po światach. Ale jest księciem ciemności... Bogowie, czy ja postradałam rozum?*

Oczy zaszyły jej łzami, gdy wspomniała jego głos.

*Muszę oddać mu medalion! Muszę powiedzieć Wandzie, że nie może dłużej czekać.*

Wstała i choć nogi uginały się pod nią, jakby właśnie wypita kubek mocnej gorzałki, podeszła do drzwi.

– Dziecino, zostań, póki nie nabierzesz sił – nalegała Jagna.

– On nie może czekać – wymamrotała.

– On? O czym ty mówisz, Dorado?

Chciała wyjaśnić, ale oczy zaszyły jej mgłą, a ciało bezwładnie osunęło się na ziemię.





## ROZDZIAŁ V

Kły zaślniły czerwienią w blasku księżyca.

*Zabiłem ją* – uświadomił sobie Elgan, gdy szum krwi na chwilę przestał zagłuszać jego myśli.

Nadgarstkiem stał posokę z warg. Dłonie trzęsły mu się tak bardzo, że drobny przegub kobiety wyslizgiwał się z lepkich od krwi palców.

– Psia mać – wydyszał i chwycił nadgarstek oburącz, by sprawdzić puls wieśniaczki, którą zaatakował w przypływie słabości.

Potrzebował krwi. Musiał wypić choć odrobinę, żeby do reszty nie oszaleć.

– Dlaczego wyszłaś z chałupy w środku nocy?! – warknął na nią Elgan.

Jeszcze przed chwilą polował na lisa, ale wyczuwszy nieopodal silną, młodą krew, zaniechał pogoni za zwierzęciem i zatopił kły w kobiecie. Miał zamiar tylko ją osłabić i zostawić jej na kilka kolejnych nocy pamiątkę w postaci koszmarów. Jednak ona leżała teraz martwa na mokrej od śniegu ziemi, z oczami utkwionymi w gałęziach drzew i migotliwym świetle księżyca.

Spojrzał na drżące z gniewu i podniecenia dłonie. Krew człowieka zaczęła już przyjemnie krążyć w jego żyłach, otulając mocą skołatane nerwy. Myśli stopniowo składały się w całość i nagle przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę w Wyraju.

Pamiętał tylko tyle, że chciał znaleźć Welesa. Chciał go zmusić do ukarania Itrisa. Sam nie potrafił w tym stanie odszukać białowłosego wapiersza. Elgan czuł, że popada w jakiś rodzaj obłędu. Nie potrafił już tak dobrze jak kiedyś hamować żądzы krwi, a sny zamieniły się w pasmo dziwnych wizji, w których błądził po białym świecie, poznanym niegdyś u wiedźmy Zorzanny.

– Dlaczego za mną łazisz? – warknął, gdy wyczuł zapach palącego słońca i demonicznej krwi.

Drobna postać wyłoniła się zza drzewa. Południca powoli, jakby w obawie, że Elgan się na nią rzuci, zbliżyła się i kucnęła przy ciele kobiety.

– Odeszła już do Wyraju – stwierdziła, zamykając powieki ofierze. – Nie cierpiała długo.

– Nie musisz mnie pocieszać.

– Oczywiście, że nie muszę. – Marianna odgarnęła popielate włosy i spojrzała na Elgana oczami łagodnymi jak bezchmurne niebo. – Nie zrobiłeś nic złego. Taka twoja natura. Jesteś wapierszem, a ona powinna o tej porze siedzieć w chacie.

– Dlaczego za mną łazisz? – powtórzył Elgan.

– Weles mnie o to prosił.

Elgan rąbnął pięścią w drzewo. Spod jego palców wydostała się magia. Gęsta mgła opadła na ziemię i wystrzeliła w stronę południcy. Opary mocy otuliły jej stopy, powoli wspinały się po długiej tunice. W spokojnym spojrzeniu Marianny pojawił się cień obawy. Wapiersz łypnął na nią wściekłym wzrokiem.

– Gdzie on jest? – syknął, powstrzymując się z całych sił, żeby się na nią nie rzucić.

– Pan jest teraz bardzo zajęty.

– Gdzie on jest?! – ryknął i ruszył w stronę południcy, która nie mogła się wycofać, uwiązana jego mocą.

Jasna tunika Marianny pachniała zbożem i ciepłem słonecznego dnia. Ten zapach tak bardzo kojarzył się Elganowi ze wspólnymi rozmowami z Marianną i Welesem przy Jeziorze Wieczności, że nie był w stanie stłumić złości. Chwycił jej szyję oburącz i zacisnął palce. Był wściekły. Wiedział, że południca może znać miejsce pobytu boga. Magia ciemności wzbiła się na wysokość ich ramion. Szary dym leniwie krążył wokół demonów, połyskując fioletowymi iskrami.

– Elganie – zaczęła łagodnie. – To do ciebie niepodobne.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Kłamiesz! – syknął.

Marianna położyła drobne palce na dłoniach wąpierz, które uciskały jej szyję.

– Po co miałabym cię okłamywać?

Wąpierz milczał. Uważnie badał jej mimikę. Nie było w jej spojrzeniu choć krzty złej woli. Oczy, które w zetknięciu z promieniami słońca płoną żywym ogniem, teraz spokojnie mu się przyglądały. Rozluźnił uścisk, ale nie zabrał dłoni z jej szyi, jakby w obawie, że Marianna ucieknie. Lubił ją. Nie dziwił się, że Weles też obdarzył południcę szczególną sympatią i po części uwolnił od zemsty Swaroga – boga słońca, ognia i kowalstwa. Marianna, jak każdy demon, skrywała tajemnicę. Jednak ona, w przeciwieństwie do Elgana, dokładnie zdawała sobie sprawę z tego, co zrobiła za życia. Wąpierz nigdy się nie dowiedział, jakim czynem wywołała gniew Swaroga, który w złości uczynił ją południcą – demonem skazanym na wieczne cierpienie, siejącym śmierć, ból i zamęt. Istotą

płonącą żywym ogniem i nienawiścią w blasku południowego słońca. Elgan nigdy nie zapomni dnia, w którym Weles postanowił wziąć ją pod swoją opiekę i zawarł układ ze Swarogiem. Byli wtedy w jakiejś małej wiosce pod Hellenesti, gdzie Weles miał nauczyć go, jak szybko i bezboleśnie zamieniać się w kota. Jednak tamtego dnia zamiast żmudnej praktyki zmniejszania ciała do rozmiarów zwierzęcia, Elgan po raz pierwszy zobaczył, jak okrutny los może spotkać człowieka po śmierci. Pamiętał, jak Weles przyglądał się płonącej żywym ogniem Mariannie. Jak uważnie obserwował jej rozpaczliwe ruchy, gdy starała się skryć przed promieniami słońca. Wtedy wydało mu się, że boga po prostu ciekawi kara, jaką wymierzył jej Swaróg. Ten jednak, gdy Marianna upadła wycieńczona w cieniu drzewa, podał jej dłoń i wyszeptał coś do ucha. Od tamtej pory południca nie musiała już błąkać się po świecie. Stała się częścią Nawii – królestwa w Wyraju rządzonego przez Welesa.

Marianna nie cierpiała już katuszy każdego dnia. Swaróg przystał na propozycję Welesa i w zamian za pradawne runy zdjął z południcy część kary. Marianna mogła za dnia przebywać w Nawii, gdzie magia Swaroga nie sięgała, jednak zobowiązana była wychodzić na pole w lato, gdy ludzie zbierają plony i pracują w pocie czoła, by zebrać życiodajne zboża. Każdy, kto spotka w południe Mariannę, ginie okrutną śmiercią, którą południca opłakuje w pieśniach nad Jeziorem Wieczności w królestwie Welesa. Mogła więc żyć we względnym spokoju wiosną, jesienią i zimą.

Marianna była najłagodniejszą i najmiłszą istotą, jaką znał. Nie mógł pojąć, jak Swaróg mógł zesłać na nią tak okrutną zemstę.

– O czym myślisz? – spytała.

– O tym, jak bardzo nie rozumiem bogów – odparł szorstko, choć wcale nie chciał być dla niej oschły.

– Zmieniłeś się.

– Może zawsze taki byłem? Może właśnie teraz jestem sobą?

– Nie. To nie jesteś ty. Chcę ci pomóc, Elganie, ale nie wiem, co się z tobą dzieje. – Marianna położyła dłoń na jego czole. – Co kryje się w twojej głowie?

Elgan patrzył w jej spokojne oczy, wciąż trzymając dłonie na jej szyi.

– Co czujesz, gdy w południe wychodzisz na pole? – spytał. – Co czuje południca, gdy promienie słońca rozbudzają demoniczną krew? Nie patrz tak na mnie. Kto jak kto, ale ty powinnaś mnie zrozumieć.

– Obłąd nie jest mi obcy – przyznała. – Jednak ja znam jego źródło. Jestem demonem przeklętym przez Swaroga. On promieniami słońca wyzwala we mnie szaleństwo. Taki już mój los. Jestem południcą, ale ty... Ciebie nigdy nie mogłam zrozumieć. – W milczeniu delikatnie odsunęła dłonie Elgana od szyi i pogładziła go po brudnych, zlepionych krwią włosach. – Słyszałam, jak krzyczałeś we śnie. Chciałeś, by ktoś ci coś oddał. Co?

Elgan odtrącił jej dłoń i stanął tyłem do ciała kobiety, która jeszcze niedawno miała marzenia i plany. Nie chciał patrzeć na swoją ofiarę. Była dowodem jego zatracania.

– Nie pamiętam. Za każdym razem, gdy budzę się po tych dziwnych snach, one się rozplywają. Uciekają przede mną, jakby nie chciały, bym o nich w ogóle myślał.

– O tym tak bardzo chcesz porozmawiać z naszym Panem?

– Weles ma gdzieś moje problemy – warknął i ruszył w stronę lasu. Czuł, jak ponownie wzbiera w nim fala złości.

– Nie bluźnij, Elganie. Nasz Pan darzy cię szczególnym uczuciem.

Zatrzymał się i odwrócił gwałtownie. Wycelował w południcę palec.

– Jesteś ślepa, Marianno. Widzisz tylko jego lśniąca szatę i potęgę. To bóg tajemnic i magii. Nigdy nie dowiesz się, o czym tak naprawdę myśli. Nigdy nie dowiesz się, jakie tajemnice skrywa bóg tajemnic.

Drżał. Trząsał się, choć ilość krwi, którą wypił, powinna utrzymać go w dobrej formie co najmniej do wiosny.

– Wróc do Wyraju – nalegała Marianna.

– Nie...

Elgan skulił się, gdy coś wykręciło mu trzewia. Padł na kolana i dotknął czołem wilgotnej ziemi. Przez chwilę obawiał się, że wraz z krwią kobiety wypił jakąś truciznę. Wiedział jednak, że to niemożliwe. To jego głowa wykańczała całe ciało. Myśli zatruwały go od środka.

– Co się z tobą dzieje? – Południca kucnęła przed nim.

Elgan milczał. Chciał umrzeć. Zniknąć.

– Elganie... wróc do Wyraju – nalegała Marianna. – To ziemie ludzi tak źle na ciebie wpływają. Wróc. Zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

– Zostaw mnie samego.

– Obiecałam Welesowi...

– Nie dbam o to, co mu obiecałaś! – warknął i położył się na boku, gdy magia ciemności zaczęła rozpierać jego ciało, jakby chciała się z niego wydostać.

– Nie mogę patrzeć, jak cierpisz. Wróc ze mną do Wyraju. Nie mogę cię tu zostawić...

– Wynoś się – wycedził przez kły. Nie chciał, by go zostawiła, ale jeszcze bardziej nie chciał, by ukrywała przed nim plany Welesa. – Idź – powtórzył i przewrócił się na drugi bok, odwracając się od niej plecami.

Południca jeszcze długo trwała obok niego w milczeniu, nim usłyszał powolne kroki. Wiedział, że nie odeszła daleko. Spróbował wstać, ale nie panował nad drżeniem nóg i po kilku próbach zrezygnował. Oparł się o pień drzewa, po czym zamknął powieki. Znowu ogarnęła go senność.

– Nie... Tylko nie ten przeklęty, biały świat...



## ROZDZIAŁ VI

**M**irosław czuł, jak jego dłonie, mimo skórzanych rękawic, powoli zamieniają się w sople lodu. Ścisnął mocniej lejce i ponaglił kłacz. Przez chwilę zdawało mu się, że to jego przemarznięte palce zachrzęściły i pękły jak lodowe sople, ale szybko odetchnął z ulgą, gdy zdał sobie sprawę, że ten przeraźliwy chrupot dobywał się spod kopyt Zimy. Dopiero teraz zauważył, że pod warstwą trzeszczącego śniegu prześwituje cienka skorupa zamarznętej wody. Spojrzał na mały staw, w którym ktoś albo coś wyrąbało w lodzie otwory.

– Czyżby utopce wyszły tej nocy na spacer? – zastanawiał się na głos. – Coś musiało tu rozlać tę wodę.

Przez pękający lód miał wrażenie, że tego dnia zamiast białym puchem, świat pokryty był drobnymi, trzaskającymi kośćmi. Mirosław wzdrygnął się na tę myśl, która na krótką chwilę stała się bardzo wyraźna, niemal rzeczywista. Szybko jednak zapomniał o makabrycznej wizji, gdy jego oczom ukazała się karczma Za świętym gajem. Tam czekała już na niego Liwiana, córka karczmarza, a wraz z nią upragniony ciepły posiłek. Przy wejściu poczuł wyraźnie aromat jego ulubionego mięsiwa w sosie z suszonych grzybów.

- No, Zima, jesteśmy na miejscu – rzucił i zeskoczył na twardy śnieg.
- Nie patrz tak na mnie.

Ciemne, szkliste oczy klaczy zdawały się przenikać wprost do duszy młodego wróza. Zima parsknęła i tupnęła kopytem.

- Nie wiem, kiedy wróci. Kiedyś na pewno. Skoro obiecał, że po ciebie przyjdzie, to tak zrobi. Słowo wampierza jest jak... jak woda. Albo nie, jest jak... śmierć. Nie wiesz, kiedy się zjawi, ale jej przybycie jest nieuchronne.

Klacz zarżała i trąciła pyskiem piegowaty policzek Mirosława.

- Dobrze, już dobrze. Nie będę więcej żartował z Elgana. Przecież wiesz, że go lubię. Choć nie można powiedzieć, żeby odwzajemniał to uczucie... Myślisz, że kiedyś się do mnie przekona?

*O ile w ogóle wróci – pomyślał Mirosław. Może wcale nie udało mu się uratować Dorady i ukrył się na końcu świata? Dorada... biedna Dorada.*

Przez chwilę korciło go, żeby rzucić ości i dowiedzieć się, czy szamanka żyje. Po powrocie do Opolicy poprzysiągł sobie, że tego nie zrobi.

*Nadzieja czasem lepsza jest od prawdy – wspomniął słowa Jarala.*

Znachor miał rację. Teraz przynajmniej mógł się łudzić, że jeszcze kiedyś zobaczy roześmianą twarz Dorady.

- Mirosław?! – Usłyszał za plecami głos karczmarza. – Liwianka już na ciebie czeka! Chodź, bo ducha wyzioniesz na tym mrozie!

- Idę, idę! – Poklepał Zimę po karku i zaprowadził ją do stajni.

Gdy wszedł do izby karczemnej, od razu poczuł się lepiej. Ciepło odeгнаło złe myśli, a zapach soczewicy, grzybów i polewki śledziowej ścisnął mu żołądek. Spojrzał na ogromny snop siana, na którym wczoraj powiesił z Liwianą mnóstwo suszonych owoców i plecionych ozdób. Na widok sali pięknie przygotowanej do Szczodrego Wieczoru usta same ułożyły się w uśmiech.



– O, Mirosław! – zawołała zza szynkwasu Liwiana. – Chodź, zjesz w izbie kuchennej, bo dziś się tu ludzi zjedzie jak na targ w dzień świąteczny. Mówię ci, zwariować można, tyle roboty mamcia dała mi z samego rana. A tatko, jak wyszedł, tak go ni widu, ni słyhu.

– Przed chwilą go widziałem... – Mirosław spojrział w stronę drzwi, ale karczmarza już tam nie było. – Mogę ci w czymś pomóc?

– To się trochę spóźniłeś. – Liwiana udała oburzenie, po czym zaśmiała się serdecznie. Czerwone korale podskoczyły rytmicznie na jej piersiach. – Sporo już zrobiłam, ale jutro tobyś przyszedł. Za kilka nocy najpiękniejszy w całym roku Szczodry Wieczór, a nic praktycznie nie jest jeszcze gotowe. Oj, ja roboty dla ciebie znajdę. O to się martwić nie musisz. Jakiś markotny dziś jesteś, Mirosławie.

– Zmęczony jestem. Byłem z Zimą pod puszcą. Ostatnio ma tyle energii, że w ogóle nie chce wracać do stajni.

– Tobym chciała mieć tyle siły, co ta biała klacz. Przyrządzić jeszcze śledzie w cebuli trzeba, pierożki polepić, kapustę doprawić, a siły we mnie tyle, co w tej spasionej świni Kowalika.

– Idą Szczodre Gody... nie ma czasu na nudę.

– O, żebyś wiedział!

Lubił Szczodre Gody za niezwykłą atmosferę tych świąt. W ten czas, w którym światło zwyciężało nad ciemnością, gdy dzień stawał się coraz dłuższy, ludzie zdawali się miłsi, wyrozumialsii. Nawet jego przybrana matka była dla niego wyjątkowo dobra i nie ganiła go za najdrobniejsze przewiny. W tym roku po raz pierwszy miał spędzić zimowe święto poza domem.

– Wiesz, Mirosławie, cały roczek czekam na Szczodre Gody, ale jak się już zacznie czas przygotowań, tobym na wszystkie czorty klęła. A matula wścieka się jak bluźnię, bom młoda jeszcze i mówi, że takim gadaniem demona zapraszam do siebie. Rzekła mi kiedyś, że mnie demon

opęta i brzydka się stanę jak stara Ulenka. Możliwe takie dziwy są, Mirosławie?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Ale demona widziałeś?

– Tak... ale nie sądzę, żeby chciały mieszkać w człowieku. Demony raczej stronią od ludzi, a jeśli przychodzą, to zazwyczaj żeby zrobić krzywdę i uciec.

– Krzywdę zrobić... O, bogowie! I ty się tych demonów nie boisz?

– Zależy których. Umieram z głodu, Liwiano.

– Ach, ja głupia! Przepraszam. Siadaj prędko. Zaraz dam mięsiwo.

Mirosław spojrział na drobne, gliniane naczynia, w których karczmarka trzymała zioła. Wziął odrobinę rozmarynu i roztarł w palcach. Korciło go, by zadać pytanie i rzucić zioła przed siebie. Myśli o Doradzie stały się ostatnio bardziej uporczywe, wręcz nie do zniesienia. Nachylił się nad dłonią i wciągnął powietrze. Intensywny zapach wdarł się do jego głowy i zaszumiał cicho. Nęcił pustą melodią, obiecując wiedzę. Mirosław zacisnął palce. Suszone zioła nie miały takiej mocy jak ości. Zioła tylko igrały z prawdą, wodząc człowieka za nos. Pokazywały to, co wróż chciał zobaczyć, jednocześnie skrywając w szumie informacji prawdę. Ale on i taką prawdę potrafił dostrzec.

Liwiana postawiła przed nim drewnianą misę, z której unosiła się aromatyczna para.

– A co to ja mówiłam? – Córka karczmarki siadła naprzeciwko z kubkiem gorącego wywaru z dzikich jagód. – A, tak! Demony. To jak? Ile ich widziałeś?

– Po co o to pytasz?

– Bom ciekawa. – Liwiana wyraźnie poczerwieniła na twarzy.

– Yhm. – Wróż strzepnął zioła do miski i chwycił za drewnianą łyżkę. Obserwował Liwianę, pochłaniając pośpiesznie posiłek, jakby przeczuwał, że za chwilę ktoś będzie coś od niego chciał.

– Bo... – Liwiana ścisnęła nerwowo kubek, wpatrując się w niego oczami winowajcy.

– Bo?

– Bo ja powiedziałam Piwarczykowi, żeś ty pogromcą demonów jest.

– Co takiego?! – Drewniana łycha wyslizgnęła mu się z rąk i wpadła do misy, rozbryzgując sos.

– Coś się Piwarczykowi w chałupie załęgło. Pomocy szukał. To kogo miałam mu innego polecić? A we wiosce tylko znachor, co by mógł zaradzić. A Jaral wiadomo jaki jest. On tylko zioła by jakie dał Piwarczykowi i tyle roboty. Zestarzał się i ochoty ni ma już z demonami wojować. A to sprawa poważna. Sam obaczyć musisz.

– Przecież ja nie jestem szamanem.

– A demony widzisz? Widzisz. To przynajmniej powiesz Piwarczykowi, z czym ma do czynienia.

Sos grzybowy nagle stracił smak i Mirosław tylko grzebał łyżką w misce.

– To ten, co mu ostatnio żona przy porodzie zmarła? – spytał.

– Ten, ten. Biedaczysko. Nie dość, że taka tragedia, to jeszcze jaki demon mu w domu zamieszkał.

– A skąd pewność, że to demon?

– A sam sobie Piwarczyk dzban miodu wylał na podłogę? Można, jak kto niegramotny, dzban przewrócić i się krztyna poleje, ale nie caluśki wylać, tak że się ani kropelka nie ostała.

– Może od gorzałki mu się w głowie pomieszało?

– A by ci język usechł, takie rzeczy gadasz! – Liwiana przewróciła oczami i uniosła ręce. – Na wszystkich potężnych bogów klnę się, że to człowiek dobry i niczym nie zawinił. Jako...

– Dobrze, już dobrze. Przecież mu pomogę. Jeśli, oczywiście, będę umiał...

Najbardziej obawiał się porońca. Dusza kobiety najpewniej uleciała prosto do Wyraju, ale małemu dziecku, któremu los wydarł życie, nim zdążyło się zacząć, trudno było rozstać się z tą ziemią. Słyszał o demonach nienarodzonych dzieci i tych, które zmarły zaraz po urodzeniu. Kiedyś bardzo długo rozmawiał na ich temat z Ollim, dziwnym znachorem, który nie chciał wyjawić mu, skąd przybył. Znachor o potężnej wiedzy, a zachowaniem przypominał bardziej obłąkanego przybłędę niż uczonego.

– Skończyłeś już? – spytała Liwiana nagłym głosem. – Idziemy?

Mirosław nawet nie zauważył, kiedy założyła płaszcz. Stała przed nim gotowa do wyjścia. Wróż spojrział tylko na niedojedzone mięsivo i westchnął ciężko.

– No to w drogę...

Do chaty Piwarczyka doszli nim Mirosław zdążył w ogóle pomyśleć o zawołaniu Jarala do pomocy. Gdy tylko znaleźli się w środku, od razu pożałował, że nie ma przy nim znachora. Coś kryło się w chałupie i wróż był już pewny, że Liwiana niestety miała rację. Gdzieś w izbie czaił się demon. Nie widział go, ale wyraźnie wyczuwał jego obecność. Takie same delikatne wibracje czuł, gdy był w pobliżu Smęta. Drgania powietrza, które muskały ciepłem twarz wróża, stawały się coraz wyraźniejsze.

*Co ja wtedy zrobiłem, żeby go ujrzeć? – zastanawiał się Mirosław. Elgan coś mi powiedział... ale co? Na pewno coś z „rudzielcem”. Na bogów, nie przypomnę sobie!*

– No i? Widzisz go?

– Nie, ale...

Coś musnęło jego dłoń. Odwrócił się i przez chwilę w kącie izby dostrzegł falujące, gęste powietrze. Skupił się, tak jak to zwykł robić przy wróżbach. Szukał elementów, które mogłyby ułożyć się w całość. Wodził wzrokiem w miejscu, gdzie spodziewał się demona, wyobrażając sobie rozrzucone, bezbarwne zioła, które za chwilę staną się wizją. Po chwili

z przeźroczystej mgły wyłonił się drobny stwór. Wyglądem przypominał spuchnięte niemowlę o żółtawej skórze, którą pokrywały kręcone włoski. Demon wykrzywił się i wybuchnął śmiechem, machając energicznie cienkim, długim na ramię ogonem. Z bezzębnej buzi wyleciało kilka suszonych śliwek.

– To chichitun – oznajmił Mirosław i odetchnął z ulgą.

*Lepszy chichitun niż poroniec. Chyba...* – pomyślał i skrzywił się, gdy demon znów wyszczerzył bezzębną gębę.

– To znaczy co? Groźny bardzo?

Liwiana szturchnęła Mirosława w ramię.

– Groźny?

– Nie. Chyba nie... – Odwrócił się do Piwarczyka. – Czy moglibyście zostawić mnie sam na sam z demonem?

– Mnie dwa razy prosić nie musisz – odparł. – Pozbędzisz się go, to ci napitku dam, ile tylko wola.

Piwarczyk narzucił płaszcz i wyszedł. Liwiana stała przez chwilę nieruchomo, po czym opadła na stołek i założyła nogę na nogę.

– Nie ma mowy! Sam z demonem nie zostaniesz. A jak coś się stanie? Kto po pomoc do znachora pobiegnie?

Chichitun zaśmiał się i skoczył na ławę. Podniósł gliniany kubek, który po chwili wylądował z hukiem na podłodze. Mirosław złapał Liwianę za ramię i pociągnął w stronę wyjścia.

– Co ty wyprawiasz?! Auć!

– Musisz stąd wyjść. Teraz. O mnie się nie martw. Jak coś się stanie, to będę krzyczał. I nie wchodź tu, póki nie zawołam.

– Po moim trupie.

– Prędeż po moim... Liwiano, proszę, zaraz będzie ciemno. Chciałbym się z nim dogadać, nim zapadnie mrok.

Nadašana córka karczmarki poczerwieniała na twarzy.

– Liwiano...

– No dobrze! Ale jak coś się stanie, to pamiętaj, żeś sam mnie wygonił.

– Yhm. Idź już i nie wchodź, póki nie zawołam.

– Dobrze, już dobrze. Sam sobie będziesz winny!

Zatrzasnął szybko drzwi i spojrzał w stronę ławy. Demona już tam nie było. Nie musiał długo szukać. Trzask spadającego garnka dobiegł go z drugiej izby.

*Tylko nie to...* – pomyślał, gdy jego oczom ukazało się pomieszczenie, w którym Piwarczyk warzył piwo.

Wysoka do kolan beczka przewaliła się tuż przed jego stopami. Zbite belki pękły od uderzenia i po izbie rozlał się pachnący jałowcem trunek.

*Prędzej Piwarczyk zabije mnie za ten bałagan niż zrobi to ten przeklęty demon.*

– Przestań! – zawołał Mirosław, gdy kolejna beczka zakołysała się niebezpiecznie. W ostatniej chwili zdążył ją złapać, ale żelazne okucie rozplynęło się pod jego dłońmi i deski ustąpiły, uwalniając aromatyczny napój.

– No pięknie... – jęknął, patrząc na mokre od piwa ubranie.

Chichitun skoczył na kolejną beczkę, po czym rzucił się w stronę Mirosława, odbił od rudej czupryny i pobiegł w płasach do drugiej izby. Mirosław pognał za nim, zostawiając za sobą pachnącą jałowcem kałużę. Dyszał i klął pod nosem, patrząc spod zmarszczonych brwi na chichituna.

– Czego tutaj szukasz? – Mirosław zadarł brodę, by spojrzeć na demona, który wskoczył na górne półki.

– Psoty! – wyseplenił bezzębny stwór, chichocząc bez przerwy. – Tu potrzebne są psoty!

– Tu potrzebne są psoty? – powtórzył bezmyślnie. – Po co?

– Bo smutek w tej chałupie, jak w krowiej... – zamiast dokończyć, zaniósł się piskliwym śmiechem.

– Ale zrzucanie przedmiotów i wylewanie miodu po całej izbie nie sprawi, że Piwarczyk będzie wesoły.

Chichitun chwycił suszone zioła i rozrzucił je z góry, cały czas chichocząc.

*Czy wszystkie demony nie mogłyby być takie jak Smęt?* – pomyślał, wspominając dawnego towarzysza drogi, którego zostawili w Lesie Czarnoboga.

– Jest coś, co mogę zrobić, abyś stąd poszedł? – spytał zrezygnowany wróż.

– Ale ja nie mogę odejść! Tu jest smutno!

– O bogowie... jak do tego doszło, że taki demon istnieje? – wymamrotał pod nosem i wziął głęboki oddech. – A jak Piwarczyk się zaśmieje, to pójdziesz?

– Zaśmieje? – Stwór zatrzymał się i wlepił ciemne, szkliste oczy w Mirosława. – Przecież on gębę ma smutną jak topielica, gdy patrzy w swe wodne odbicie!

– Znajdę sposób, by poprawić mu humor.

– Ty? – Chichitum podrapał się po lokach sterczących na środku głowy. – Ty nie wyglądasz na takiego, co potrafi rozbawić. Oczka twe rozmarzone jak u żaby, która wody w życiu nie widziała, a jej pragnie. A we włosach żar taki, że spali najlichszy dowcip! – Demon zachichotał skrzekliwie i skoczył półkę wyżej. – Ale nie martw się, pokraczny człowieku. Ja go rozbawię!

Ruchy chichituna stawały się coraz bardziej nerwowe. Sterczący ogon jakby przyśpieszył i teraz demon nie potrzebował już rąk do zwalania przedmiotów. Wszystko w zasięgu ogona lądowało natychmiast na ziemi.

*Czyli Piwarczyk musi się szczerze ucieszyć, a wtedy chichitun odejdzie.*

Demon zrzucił naczynia jedno po drugim. Mirosław chciał go złapać, przytrzymać do czasu, aż zawoła Piwarczyka i wszystko mu wyjaśni.

Podstawił stołek, po czym wspiął się na niego. Już prawie pochwycił demona, gdy ten zeskoczył na stół.

– No i co ja mam teraz zrobić?

W momencie, gdy wypowiedział te słowa, pod jego stopami rozbiło się naczynie. Musiało krążyć jeszcze chwilę przed tym, jak demon zeskoczył z półek, aż w końcu dzban stracił równowagę i spadł, rozbijając się w drobny mak. Mirosław spojrział w dół i zobaczył rozrzucone ości.

– O nie...– wyszeptał. – Nie... nie...

Na odwrócenie wzroku było już za późno. Serce na chwilę przestało bić, gdy zdał sobie sprawę, że przed chwilą zadał pytanie, wyzwalając tym samym wieszczą moc ości. Ich szept odbijał się echem w jego głowie. Czas jakby się zatrzymał.

*...w drogę ...gdzie puszcza...*

– Nie... Nie chcę tego słuchać! – Mirosław zakrył uszy, ale szepty nie ucichły.

*...drzewa wołają ...tam czekać będą na ciebie ...w drogę ...gdzie woda...*

– Nie... Nigdzie się stąd nie ruszę!

*...gdy dwa księżycy jednym się staną ...wyruszysz, by skraść przeznaczenie...*

*...nim pierwszy promień obwieści dzień lata ...zawrócisz, a zgubisz los świata...*

*...drzewa wołają ...sen bliski jest, prawdę ukazać ...gdzie słońce, tam spleciesz los świata...*

– Mirosław?

*...w drogę ...w drogę ...gdzie puszcza...*

Głos Liwiany pobrzmiewał gdzieś w oddali. Szepty narastały, zagłuszając mowę dziewczyny. Widział tylko, jak pochyła się nad nim i coś mówi.

*Musiałem zemdleć – pomyślał, gdy głosy zamilkły.*



– Co on ci zrobił?! Na bogów... Ty walczyłeś! Mirosławie, ty walczyłeś z demonem! Musimy szybko do Jarala iść, może jaki urok na ciebie zesłał ten stwór?!

– To nie on... – wychrypiał i wsparł się na łokciach.

– Jak to?

– Piwarczyk musi dzisiaj w izbie gościnnej... w waszej karczmie spać. Muszę... ja muszę teraz odpocząć... Jutro z rana przyjdę i wytłumaczę Piwarczykowi, co ma zrobić, by chichitun odszedł.

Liwiana wpatrywała się w niego oczami, w których wyraźnie widział brak zrozumienia.

– Wytłumaczę wszystko jutro. Mam niewiele czasu... Muszę szybko wrócić do siebie i się położyć.

Magia ości była potężna, a tych w naczyniu było wiele, zbyt wiele. Wiedział, że może za chwilę stracić przytomność. Podniósł się i stał przez moment, próbując złapać równowagę. Spojrzał na Piwarczyka.

– Dlaczego trzymasz w domu ości?

– To Renka trzymała. Chciała, żebyś jej przyszłość dziecka naszego wywróżył... Dobrze, że z tym do ciebie nie pognęła... Czasami lepiej nie wiedzieć, jaki parszywy los nas czeka.

Mirosław narzucił na przemoczone ubranie płaszcz.

– Tak... Czasami lepiej nie wiedzieć... – wyszeptał i wyszedł chwiejnym krokiem. Mroźne powietrze otrzeźwiło go trochę. Miał nadzieję, że Liwiana i Piwarczyk nie będą musieli go nieść do chałupy.



## ROZDZIAŁ VII

**K**onie przebierały w miejscu kopytami i rżały piskliwie, jakby urażone tym, że ludzie zmuszają je do drogi w tak mroźny czas. Słońce jeszcze nie wzeszło, wokół panował mrok. Nad trójką czarodziejów unosiły się srebrne iskry magii, oświetlając ich blade twarze. Tylko skóra Maranti lśniła w blasku magii ciepłym odcieniem gryczanego miodu. Nagle rozległ się niski dźwięk rogu.

– Czas w drogę! – krzyknął jeden z rycerzy stojących na straży poselstwa.

Wanda spojrzała na konne wojsko, które szczelnie otaczało powóz jednych z najważniejszych ludzi w Villperunie. W bogato zdobionym wnętrzu siedziało dwóch przedstawicieli Rady Królewskiej i Ziemowit, którego nazywano Wroną od zwierzęcia zdobiącego herb jego rodu. Ziemowit cieszył się sławą znamienitego rycerza, najsprawniejszego w fechtunku w całym królestwie Villperuny.

Czarodziejka uśmiechnęła się do Ziemowita, który właśnie wychylił się z powozu i skłonił na przywitanie.

Woźnica czarodziejów machnął ręką, dając znak, że mogą już ruszać.

– Gotowa? – spytał Fannil Argentsal, otwierając drzwi.

– Chyba tak. – Wanda roztarła dłonie, po których pełzały niewidzialne iskry. Mrowiły nieprzyjemnie, jakby za chwilę miała użyć magii. – Gdzie jest Herrigen?

– Powiedział, że król odwołał go z misji.

– Co takiego?! Dlaczego?

Fannil tylko wzruszył ramionami i wsiadł do powozu. Wanda rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem Herrigena. Miała nadzieję, że Fannil się myli. Jedyne, na co napotkały jej oczy, to ciemność i tnący ją zimny wiatr.

– To źle wróży... – zasepiła się Maranti. – Czar ochronny rzuciliśmy we czworo, a wyjeżdża tylko trójka...

– Ty i te twoje przesady – zakpiła Wanda, choć sama poczuła się niepewnie. Tłumaczyła to sobie brakiem Herrigena, którego znała z nich wszystkich najdłużej. Jego obecność dawała jej poczucie stałości, bezpieczeństwa. Nie mogła jednak ukryć przed sobą myśli, które szeptały, że nie chodzi o samego czarodzieja, który w ostatniej chwili został odwołany, a o samą misję. Spojrzała na Maranti, która nie odrywała od niej swoich czarnych oczu. Jej ciemne krótkie loki sterczały na wszystkie strony, sztywne, niewzruszone podmuchami.

*Czy wszyscy ludzie z południa mają tak świdrujące spojrzenie?* – zastanawiała się Wanda, zirytowana natarczywością czarodziejki.

– Wsiadacie? Czy będziecie tak dumać, aż wszyscy zamarzniemy? – zawołał Fannil ze środka.

Maranti weszła pierwsza, mrucząc coś pod nosem w swoim rodzimym języku. Wanda właśnie miała pójść w jej ślady, gdy nagle za plecami usłyszała znajomy głos.

– Zaczekaj! Nie wsiadaj!

W oddali coraz wyraźniej widziała zarys kobiecej sylwetki. Zbliżająca się ku niej postać wołała jej imię, z trudem łapiąc mroźne powietrze. Biegła, potykając się co chwila o własne nogi. Wyglądała na bardzo słabą.

– Dorada...?

Wanda zmrużyła powieki i gdy upewniła się, że to córka szamana, ruszyła w jej stronę, nie zważając na protesty Fannila, któremu nakazała, by na nią poczekali. Modląc się do bogów, by nikt jej nie zauważył, chwyciła Doradę za ramię i zaciągnęła na tyły opuszczonego budynku, w którym niegdyś znajdowała się wozownia.

– Co się z tobą działo? Wyszłaś bez pożegnania... Na bogów! Jak ty wyglądasz?!

– Musisz mu go oddać – wydyszała Dorada. – Musisz oddać Elganowi medalion.

– Już o tym rozmawialiśmy, Do...

– Nie! – Chwyciła czarodziejkę za płaszcz. – On go potrzebuje! Teraz!

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Wanda obserwowała szaleństwo i obłęd, które kłębiły się w oczach Dorady. Widziała, jak ta drobna dziewczyna cierpi, jak walczy z potężną siłą, której nie rozumie. Chciała jej pomóc, ale nie miała pojęcia, jak postępować z półdemonami. Jedynym rozwiązaniem zdawała się nauka wiedźmowych praktyk, ale te były niebezpieczne i, co najważniejsze, w Villperunie zakazane.

– Dorado?

– On... Ja czuję jego ból... Musisz oddać mu medalion.

Wanda zawahała się.

*Czy to możliwe, że łączy ich jakaś nić? – pomyślała. W końcu to ten przeklęty wąpierz wpoił jej demoniczną magię.*

– Oddam mu medalion, jak tylko wrócę z misji.

– Nie!

Wanda odskoczyła, gdy oczy Dorady pociemniały złowieszczo, a wiatr poderwał jej białe włosy. Stary budynek zaskrzypiał za jej plecami, jakby i on wyczuł zło, którym skalana była dusza młodej kobiety. Coś

syknęło przeciągle i zamilkło równie nagle, jak się odezwało. Choć spowijała je ciemność i tylko słaby blask księżyca oświetlał postać Dorady, czarodziejka dostrzegła wokół dziewczyny wijące się cienie. Bezwiednie cofnęła się o krok. Odwróciła się, by sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie zbliżył się z pochodnią -- to wyjaśniłoby te dziwne nieregularne kształty pod stopami Dorady. Nikogo jednak nie dostrzegła. W jednej chwili Wandzie zrobiło się gorąco, jakby ktoś rozpałił wokół potężne ognisko. Kilka kropel potu zrosiło jej czoło. Gdzieś jakby zza ściany dochodziły do niej dźwięki podobne do szeptów.

*To tylko wiatr. Tylko wiatr* – uspokajała się w duchu. *A może ona...?*

Nie miała wiele czasu do namysłu, bo Dorada rzuciła się na nią i zaczęła szarpać jej suknię. Ocknęła się, gdy dziewczyna chwyciła ramię i pociągnęła z całej siły, której na szczęście miała w sobie niewiele.

– Co ty wyprawiasz?! Na miłość bogów! – Wanda z łatwością wyrywała jej ramię. – Co się z tobą dzieje?!

Córka szamana drapała na oślep ramiona czarodziejki, próbując dostać się do naszyjnika. Kilka drobnych kropel krwi zalśniło na szyi Wandy.

– Dorado! Przestań! – zawołała i złapała ją za nadgarstki. Ukradkiem spojrzała w dół. Po dziwnych cieniach nie było śladu. Wanda uznała, że to zmęczenie i niepokój igrały z jej wyobraźnią.

– On nie może czekać! Nie może... – syknęła dziewczyna i osunęła się wykończona. – Dlaczego mi go po prostu nie oddasz?

– Wando? – rozległ się nieopodal głos Ziemowita, rycerza, który miał sprawować opiekę nad nią i przepowiednią.

Czarodziejka nakazała Doradzie milczenie, po czym wychyliła się zza budynku.

– Pilna potrzeba – zełgała, nadając swojej wypowiedzi wstydlawy ton. – Bądź łaskaw poczekać przy wozach.

Rycerz posłusznie oddalił się, zostawiając ją samą.

Wanda uklękła na śniegu obok Dorady. Chciała ją przytulić, ale ta odepchnęła ją, nie pozwalając się zbliżyć.

– Mam niewiele czasu, więc słuchaj mnie uważnie. Jesteś jeszcze zbyt słaba na takie podróże. Widzę, że ostatnio gorzej radzisz sobie z równowagą między duszą a demoniczną częścią. Poza tym... Na litość bogów, on jest wążem.

Dorada ze złością otarła łzę wierzchem dłoni i pokręciła głową.

– Obiecuję, że go dostarczę. W drodze powrotnej pojedę prosto do Wioski za Bukowym Lasem. Proszę cię, Dorado... uważaj na siebie. Wróc do ojca i nie włącz się po Villperunie. Czekać na mój powrót. Gdy wrócę, przekażę ci wieści od Elgana.

Dorada spojrzała na nią oczami pełnymi rezygnacji i goryczy. Wanda odniosła wrażenie, że gdyby dziewczyna miała więcej siły, rzuciłaby się na nią ponownie.

*Zmieniła się – pomyślała czarodziejka. Kiedy po raz pierwszy ją spotkałam w chacie czarownicy, Dorada była naiwnym dzieckiem, które uczyło się, że po każdej podjętej decyzji przychodzi czas konsekwencji... Teraz jest kobietą. Niebezpieczną kobietą, przepełnioną goryczą i żalem przez to, co ją spotkało. Bogowie... Do czego by była zdolna tak skrzywdzona i uparta istota, gdyby stała się wiedźmą?*

– Muszę już iść – oznajmiła.

Przez chwilę trwały w milczeniu wpatrzone w siebie. Wandę przeszedł dreszcz podobny do tego, który poczuła na wieść o odwołaniu z misji Herrigena, ale tym razem wyraźnie poczuła ingerencję jakiejś mocy.

*No bogów... Co się z nią dzieje?*

– Dasz radę dojść do domu? – spytała i zamilkła, gdy usłyszała swój własny głos. Była przerażona.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wstała i powoli odeszła, nie żegnając się nawet pogardliwym spojrzeniem. Wanda obserwowała ją jeszcze przez chwilę.

*Zajmę się nią po powrocie...*

– Wanda! Rusz się! – Krzyk Fannila wyrwał ją z rozmyślań.

Gdy wsiadła do powozu, od razu ukryła podrapaną szyję za gęstymi, czarnymi lokami, a drżące dłonie wsunęła pod płaszcz.

– Czyżbyś właśnie spotkała się z tą małą demonicą? – spytał Fannil z drwiącym uśmiechem na twarzy.

Wanda zadrżała. Wiedziała, że nie ma sensu kłamać, bo czarodziej mógł jednak dostrzec Doradę w tym samym momencie, co ona.

– Pochwaliła ci się, co zrobiła wczoraj rano? Nie?

Nie musiała prosić o wyjaśnienie. Fannil Argentsal sam zaczął opowiadać o Doradzie, która nie potrafi kontrolować swojej mocy. Mówił ze szczegółami, nie szczędząc przy tym szyderczych uwag. Niepokój narastał, a Wanda czuła, jak powoli zapada się we własnym strachu. Słowa czarodzieja rozmywały się w cichych szeptach niosących się echem w jej duszy.



Zapach czarnej porzeczki wypełnił komnatę czarodziejek, gdy Wanda wylała kilka kropel zapachowego olejku na złączone palce. Roztarła ciecz w dłoniach, po czym wmasowała ją w swoje gęste czarne loki. Po długiej i męczącej podróży delectowała się każdą wygodą, jakiej dostarczała jej posiadłość pana Białogrodu. Na miejsce dotarli już o zmroku. Po trzech dniach spędzonych w powozie marzyła, by położyć się na miękkim pościeliu i dać odpocząć napiętym mięśniom. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Zdążyła jedynie wziąć porządną kąpiel i nie zostało jej zbyt

wiele czasu, by przygotować się na powitalną ucztę, jaką wyprawiano w tych stronach, gdy zjawiali się królewscy wysłannicy.

Wanda starannie upinała loki srebrnymi spinkami w kształcie owoców porzeczki. Myślała o Doradzie. Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła ją w Villperunie w tym stanie. Pocieszał ją jedynie fakt, że jest przy niej Ars. I choć szaman zajmował się magią, która była zakazana, wiedziała, że starzec wykaże się mądrością i usłucha rozkazu władcy.

*Może nauczy swoją córkę pokory? Gdybym tylko mogła jej powiedzieć, jak bardzo niebezpieczna jest moc, która w niej drzemie, może sama nabrałaby pokory?*

Stęknienia młodszej czarodziejki wyrwały ją z rozmyślań. Wanda spojrzała w lustrzanym odbiciu na Maranti, szamoczącą się ze zbyt ciasną sukienką.

– Chyba posmakowała ci tutejsza kuchnia – skomentowała Wanda.

– A żebyś wiedziała. Na Ziemiach Raroga nie mamy tak tłustych potraw.

Maranti jęknęła, gdy szew na samym środku brzucha nie wytrzymał jej zamiłowania do jedzenia i pękł, rujnując złotą suknię.

– No i co ja teraz zrobię? – lamentowała, szarpiąc rozpruty materiał jakby chciała go na powrót złączyć.

– Rzuć czar cofający – zaproponowała Wanda bez cienia kpiny w głosie, choć wiedziała, że coś takiego nie istnieje.

Ciemne, ufne oczy Maranti napełniły się nadzieją. Była dużo młodsza od Wandy i choć ukończyła już dwudziesty rok życia, nadal wyglądem przypominała bardziej niesforną dziewczynkę niż kobietę. W dodatku była niska i krągła, co nieco upodabniało ją do uroczego niedźwiadka.

– A pomogłabyś mi z tym czarem, Wando?

– Maranti, czy ty w ogóle ukończyłaś Akademię?

Młoda czarodziejka przygryzła wargę i odwróciła wzrok.



– Nie wierzę... – Wanda otarła dłonie jedwabną chustą, by pozbyć się z nich olejku, po czym odwróciła się do dziewczyny. Właśnie zrozumiała, że ona wcale nie jest aż tak przesądna, jak jej się zdawało. Nalegała, by rzucić czar ochronny razem, bo sama nie była w stanie tego zrobić. Maranti tylko podłączyła się pod wiązania pozostałych i wzmocniła je mocą, która w niej drzemie.

– Powiedz mi zatem, jak do tego doszło, że Akademia wysłała właśnie ciebie? Z tego co wiem, jesteś jedyną czarodziejką z Ziem Raroga.

– Bo nasz władca niezbyt przepada za Villperuną...

– I z tego powodu postanowił wesprzeć Valdima II, wysyłając czarodziejkę, by mu służyła?

– Villperuna obiecała, że jeśli się sprawdzę, to przez dwa lata będziemy mogli sprzedawać nasze produkty bez opłat przewozowych. A... – twarz Maranti pociemniała ze wstydu – nasz władca równie mocno wierzy w obietnice Villperuny, co uczeni Akademii w moje umiejętności, więc...

*Więc stałaś się ich żartem. Jawną kpinką, której jednak uczeni Villperuny nie byli w stanie dostrzec, bo nie znają się na magii czarodziejskiej – pomyślała z goryczą.*

– Załóż po prostu inną sukienkę – doradziła, by zmienić temat. Nachyliła się nad skrzynią Maranti i wyciągnęła z niej zwiewną suknię z falbankami. – W tej zielonej będzie ci ładniej.

– Dziękuję, Wando. – Maranti wzięła od niej ubranie i spojrzała błagalnym wzrokiem. – Nie powiesz nikomu, prawda? Proszę... Obiecuję, że nie będę ci wadzić. Muszę tylko wytrzymać do końca misji i...

– I?

– I wtedy darują mi życie.

Wanda oniemiała. Jej wyobraźnia nie potrafiła wymyślić żadnej zbrodni, jaką mogłaby popełnić ta niska, przysadzista dziewczyna o skórze ciemnej i lśniącej jak kapelusz borowika.

– Za co?

Maranti opadła na fotel. Przez dziurę w sukience wylał się jej krągły brzuch, ale zdawała się tym nie przejmować.

– To długa historia. Naprawdę chcesz ją poznać?

– Umieram z ciekawości.

– Słyszałaś o Pierwszym Ogrodzie Mokoszy?

– W Ahari?

– Yhm – przytaknęła Maranti. – W Ahari znajduje się moja Akademia i na dwudzieste urodziny każdy adept idzie ze swym mistrzem do Pierwszego Ogrodu Mokoszy, by zdobyć wyjątkową umiejętność. Czar przeznaczony tylko czarodziejom zrodzonym na Ziemiach Raroga, bo tylko my możemy wejść do Pierwszego Ogrodu, w którym kwitną tysiące kwiatów, a każdy z nich jest inny, wyjątkowy. Czy w Gorent uczą was o Wiązaniach Kwiatów?

– Tak, ale częściej używamy nazwy Czar Mokoszy. Ponoć istniejące tam od wieków sploty pozwalają na nabycie umiejętności podobnej do magii szeptanej. Dobrze pamiętam?

– I tak, i nie. Szeptuchy tylko wzmacniają zapachy, a my, czarodzieje, możemy nabyć w Ogrodzie dar wyczarowania zapachu gdziekolwiek i kiedykolwiek zechcemy.

– Niech zgadnę. Nie udało ci się nauczyć tego czaru?

Maranti spuściła wzrok i zaczęła miąć w dłoniach porwaną suknię.

– Mistrz Zakłęcz stwierdził, że nie nadaję się do pięknych rzeczy i nigdy nie nauczę się czaru zapachu choćby najlichszego kwiatka w całym Ogrodzie. – Milczała przez chwilę. Spojrzała na rozdarty materiał. – A ja stwierdziłam, że skoro nie nadaję się do rzeczy pięknych, to może powinnam zająć się tymi brzydkimi.

– Aż boję się pytać, do jakich jeszcze wniosków doszłaś.

Młoda czarodziejka uśmiechnęła się jak niegrzeczne dziecko, które właśnie coś nabroiło, ale w ogóle tego nie żałowało.

– Chciałam dopiec Irvinie – wyznała.

– A Irvina jest...?

– Córką jednego ze Starszych Rady Czarodziejskiej. – Maranti spochmurniała na twarzy na wspomnienie nielubianej koleżanki. Zaczęła nerwowo okręcać na palcu jeden ze swych sprężystych loków, które sterczały na wszystkie strony jak kolce u jeża. – Chciałam się tylko odegrać za to, że kpi ze mnie na każdym zajęciach. Pewnej nocy zakradłam się pod jej komnatę. Irvina mieszkała razem ze wszystkimi czarodziejkami we wschodnim skrzydle Akademii. Drzwi oczywiście były zamknięte, ale otwór na klucz był wystarczająco duży, bym mogła posłać zakłęcie zapachu.

– Czyli jednak czegoś się nauczyłaś w Pierwszym Ogrodzie – skomentowała Wanda.

– Tak... Zakradłam się do niego nocą i... pomyślałam, że niezwykle sploty, które umożliwiają nabycie czaru zapachu jednej, wybranej rośliny, działają nie tylko na kwiaty, które tam rosną, ale... no... na wszystko.

– To bardzo ciekawy wniosek – przyznała Wanda. – I?

– I... spędziłam w Ogrodzie niemal całą noc nad słojem z... z końskimi ekskrementami...

Wanda westchnęła i przewróciła oczami, gdy Maranti zachichotała.

– Bardzo wyszukane słowo na niezbyt wyszukany pomysł. Kontynuuj.

– Sporo czasu mi zajęło, by dopasować wiązania, ale moje sploty w końcu przełamały opór i uwięziły zapach.

– Raczej odór.

Maranti przytaknęła i skrzywiła się, jakby właśnie poczuła wspomnianą woń końskich odchodów.

– Tamtej nocy posłałam jej iskry rozpylające.

– Zadziałało?

– Tak.

– Czyli jednak potrafisz czarować – zakpiła Wanda. – I za to chcą cię zabić?

– Irvina omal się nie udusiła własnymi wymiocinami. Gdyby nie jej pies, który zaczął szczekać... prawdopodobnie by nie żyła...

– A ty, aby przypieczętować ten głupi pomysł, dałaś się złapać?

– Nie. Domyślili się po splotach, że to moja sprawka.

– Jak?

– Czarownik Jul twierdzi, że moje sploty są poszarpane, jakby je stado wilków chciało zniszczyć.

– Bogowie... To niepoważne.

– Ale Irvi jest naprawdę wredną osobą...

– To niepoważne, że władca Ziem Raroga wysłał cię do Villperuny.

I co ja mam teraz z tobą zrobić?

Oczy Maranti rozszerzyły się, a pulchna buzia spięta w grymasie desperacji.

– Błagam... Nie mów nikomu... Proszę... Oni mnie zabiją, jeśli król odeśle mnie przed ustalonym terminem.

– Do kiedy masz tutaj zostać?

– Do przyszłej zimy. Nie wydasz mnie?

Maranti spojrzała błagalnym wzrokiem na Wandę.

– Nie wydam. Postaraj się tylko nie robić głupich rzeczy. Najlepiej każdy pomysł omów najpierw ze mną, zanim zaczniesz działać. A teraz przebierz się czym prędzej, bo zrobiło się późno.

– Musimy tam iść?

– Niestety musimy.

Kiedy Maranti uporała się z ubiorem i niesfornymi włosami, wyszły na wąski korytarz i skierowały się w stronę komnaty, w której czekała już na nie powitalna uczta. Po chwili Wanda usłyszała stukot butów Ziemowita. Rycerz chodził za nią jak cień. Jego obowiązkiem było chronienie czarodziejki, a przede wszystkim przepowiedni, która została

jej powierzona. Za każdym razem, gdy myślała o tajemniczym zadaniu, jakie miała do wykonania w Hellenesti, ogarniał ją niepokój. Z jednej strony cieszyła się, że król obdarzył ją tak wielkim zaufaniem, że dał jej na przechowanie stary pergamin, a z drugiej – niepewność i strach, że nie poradzi sobie z zadaniem czasami wywoływały w niej przemożną chęć ucieczki. Choć ona w przeciwieństwie do Maranti miała wybór, nie chciała się poddać. Jej porażka wiązałaby się z brakiem zarobku, a to oznaczałoby, że nie spłaci długów.

– Gdzie jest Fannil? – spytała, by odgonić natrętne myśli.

– W ogrodzie. Modli się do Chorsa. Dziś jest pełnia, więc zajmie mu to pewnie pół nocy.

– Że też sama nie wpadłam na ten pomysł, by uniknąć wystawnej uczyty – westchnęła Wanda. – To chyba tutaj.

Ziemowit wyprzedził czarodziejki i otworzył masywne drzwi. Już przy wejściu uderzył ich zapach rozmaitych potraw, gwar śmiechów i rozmów, a także muzyka, przy której bawiła się część gości. Suto zastawione stoły ułożone były w podkówkę i ciągnęły się wzdłuż sali. Na środku stała czwórka muzykantów, a wokół nich wirowały barwne suknie zamożnych mieszkanek Białogrodu. Wanda, Maranti i Ziemowit zajęli miejsce przy Radomirze, który wnioskuje po wypitym do połowy napitku, musiał na nich czekać już od dłuższego czasu.

– Kazmira jeszcze nie ma? – zapytał Ziemowit i sięgnął po misę z pieczonymi przepiórkami.

Wanda omiotła wzrokiem salę w poszukiwaniu kogoś, kto wyglądałby na pana wielkiego miasta.

– Nie ma – odparł Radomir. – Nie ma i bardzo mi się to nie podoba. Powinien już dawno siedzieć tutaj spity jak najgorszy pijak.

– Może jest chory? – zasugerowała Maranti.

– Nie. – Radomir pogładził spiczastą brodę palcami. Marszczył brwi, jakby nad czymś intensywnie myślał. – Witold widział go zaraz po tym,

jak przybyliśmy. Był zmęczony i powiedział, że nie przyjdzie na ucztę. Pan Białogrodu miał go osobiście zaprowadzić do komnaty.

– W takim razie powinien niedługo się zjawić – stwierdziła Wanda i nalała sobie wina do srebrnego kielicha.

Sączyła słodki trunek, podziwiając bogactwa Kazmira, pana Białogrodu, który wyprawił tak wystawne przyjęcie tylko po to, by przywitać sześcioro królewskich wysłanników. Nie mogła się doczekać, by zwiedzić to miasto za dnia i zobaczyć piękne budynki oraz ogrody, o których opowiadał jej Ziemowit. Z racji tego, że rycerz nie odstępował jej niemal na krok, to z nim rozmawiała najczęściej w trakcie podróży. Lubiła go. Był obowiązkowy i honorowy, choć czuła, że nie do końca jej ufał. Ludzie zamieszkujący te ziemie nie spotykali często czarodziejów. W zasadzie większość żyła i umierała, nie poznając ani jednego człowieka z czarodziejską mocą. Bardziej prawdopodobne było spotkać w Villperunie czarownika bądź czarownicę, bo tych dość często wydawało na świat królestwo Valdima.

– To chyba on – syknęła Maranti do jej ucha.

Nagle muzyka ucichła. Wszyscy jakby na zawołanie wycofali się do ścian, zostawiając środek pusty. Wanda spojrzała na wejście do sali balowej, wyteżając zmęczony podróżą wzrok.

Pan Białogrodu wszedł wolnym krokiem, mierząc zebranych surowym spojrzeniem spod krzaczastych ciemnych brwi. Zatrzymał się niedaleko drzwi, jakby na kogoś czekał.

– Chwała dobrym bogom – zagrzmiął donośny głos Kazmira. – Chwała im, że tak licznie i w zdrowiu przybyliście, by powitać królewskich wysłanników.

Poprawił ciemny kaftan, pod którym Wanda dostrzegła poplamioną lnianą koszulę. Miał podkrążone oczy. Czarodziejka zwróciła również uwagę na drżenie jego rąk – Radomir nie przesadził, gdy porównał go do najgorszego pijaka. Kazmir ewidentnie tego dnia odmówił sobie trunku.

*Może bał się, że upije się nim przyjedziemy – pomyślała.*

– Dawno nie było w mych progach tak ważnych dostojników – podjął po chwili milczenia Kazmir. – Mniemam, że ważny musi być powód ich wizyty, bo wiecie, że wśród wysłanników znajdują się czarodzieje.

W komnacie rozległy się ciche pomruki. Pan Białogrodu wskazał dłonią Wandę i Maranti. Wszyscy skierowali na nie zaciekawione i podejrzliwe spojrzenia. Choć ona widziała Kazmira na oczy pierwszy raz, on nie miał problemu z rozpoznaniem w nich czarodziejek. Radomira i Ziemowita musiał już wcześniej poznać. Została tylko ona i Maranti ze srebrną błyskawicą połyskującą na sukni. Królewski symbol nosili tylko najważniejsi pracownicy zamku. Starsi członkowie Rady posiadali złote błyskawice, natomiast ci mniej zasłużeni i czarodzieje otrzymywali srebrne.

– Wypijmy zatem zdrowie pięknych czarodziejek, które zaszczyliły nas dziś swą obecnością.

Wanda wyczuła wyraźną kpinę w jego głosie. Spojrzała na Ziemowita i wystarczyła jej chwila, by zrozumieć, że i on wyczuwa coś niedobrego.

– Nie myślcie, drogie czarodziejki, że tylko tym skromnym poczęstunkiem witam was w Białogrodzie. Ba! W naszym królestwie, bo przecież od niedawna stąpacie po ziemiach Villperuny. Znajcie zatem dobroć i szczodrość tutejszych ludzi. Zapraszam na wieczór zabawy i uciech!

– Co on wyprawia? – syknął pod nosem Radomir.

Ziemowit nie odpowiedział, ale jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza. W wejściu pojawiły się dwie smukłe kobiety. Obie miały wplecione w grube warkocze polne kwiaty, które, choć panowała sroga zima, wyglądały, jakby dopiero co zerwały je na łące. W dłoniach trzymały wiklinowe kosze.

– Szeptuchy – skomentował rycerz. – Tylko one potrafią ożywić uschnięte rośliny.

– Czy pan tego miasta właśnie planuje urządzić pokaz z udziałem dzikiej magii? – Wanda spojrzała na Ziemowita. Rycerz przytaknął. – Przecież nie może! Właśnie po to tu przybyliśmy, by tego zakazać. On na pewno już o tym wie. Wieści o takich rzeczach docierają zazwyczaj do możnych władców szybciej od królewskich wysłanników. Nie wierzę, że Kazmir nie ma w Villperunie swoich ludzi, którzy mu donoszą o takich nowinach.

– Z pewnością ma niejednego człowieka w stolicy – odparł chłodno.  
– Ale jeszcze nie ogłosiliśmy oficjalnego rozkazu króla, a na ucztach powitalnych nie można ustanawiać nowego prawa.

– Co takiego?

– Niezbędne środki ostrożności – wyjaśnił Radomir. – Zbyt dużo niebezpiecznych praw uchwalono na ucztach powitalnych przy zbyt mocnych trunkach.

Szeptuchy zaczęły rozrzucać suszone kwiaty po całej sali. Zabrzmiały dźwięki lutni i lir, a po chwili do sennej melodii wygrywanej na instrumentach dołączył delikatny głos rybałta, który ubierał sylaby w melancholijne dźwięki, pełne tęsknoty i pasji.

– Przecież to jakiś absurd. Trzeba je natychmiast powstrzymać! – syknęła Wanda. – One za chwilę zaczną używać dzikiej magii.

– Nie możemy łamać prawa, które sami reprezentujemy – tłumaczył chłodno Ziemowit. Czarodziejka widziała, że rycerz sam jest zły na swoje słowa, ale nie wyglądał, jakby zamierzał zmienić zdanie.

– Tu nie chodzi o ustanawianie nowego prawa, a o powiadomienie o zmianach – nalegała.

– Zgodnie z przyjętymi zasadami o zmianach w prawie mamy obowiązek informować na posiedzeniu rady miasta, które odbędzie się jutro rano. Zanim Kazmir nie podpisze dokumentu, przyjmując tym samym do wiadomości obowiązek egzekwowania nowych zasad, nie możemy karać ludzi za coś, czego jeszcze nie są świadomi.



Chciała podważyć jego słowa, ale wystarczyło stanowcze spojrzenie rycerza, by zdała sobie sprawę, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Bądź czujna. To jedyne, co możesz teraz zrobić. Obawiam się, że Kazmir coś zaplanował.

Wanda bezwiednie dotknęła fioletowych falban na ramieniu, pod którymi ukryła przepowiednię. Kątem oka dostrzegła, jak Kazmir podchodzi do stołu. Szeptuchy kołysały się w rytm muzyki, rozrzucając na zgromadzonych suszone kwiaty, które za sprawą ich szeptów ożywały w locie, przybierając intensywne barwy i zapach. Pan Białogrodu patrzył na nie z wyrazem zadowolenia mieszającego się ze strachem. Wlewał w siebie kielichy mocnego trunku jeden za drugim. Wiedział, że kara za to, co zrobił, go nie minie.

Maranti szturchnęła Wandę łokciem.

– O co chodzi?

– To wiedźma – wymamrotała młoda czarodziejka ze wzrokiem utkwionym w głównym wejściu.

Zza wirujących w powietrzu płatków maków, szaławii i rumianków wyłoniła się wysoka kobieta o pociągłej, surowej twarzy. Jej oczy były niemal tak jasne jak włosy, które opadały swobodnie aż do kostek, zdobiąc białymi pasmami czarną suknię. Na wyciągniętych dłoniach płonął ogień.

– Tego już za wiele! – zawołała Wanda, ale nie zdołała przekrzyczeć okrzyków zachwyty zgromadzonych. Nim zdążyła przygotować dłonie na wykonanie czaru, wiedźma chuchnęła na tańczące płonienie, posyłając maleńkie ogniste języki w górę, gdzie zderzyły się z fruwającymi płatkami i spaliwszy je, uwolniły aromat tak intensywny, że Wanda straciła równowagę i osunęła się na podłogę. Czuła, jak zapach otula jej umysł i blokuje wszelkie myśli. Było jej dobrze. Błogość, jaka na nią spłynęła, zawładnęła duszą i ciałem. Wiedźma szła powoli w jej stronę, a Wanda

patrzyła w jej jasne, zielone oczy z czułością i wdzięcznością za to cudowne uczucie, jakim ją obdarzyła.

– Witaj, czarodziejko – przemówiła silnym, a zarazem niezwykle zmysłowym głosem.

Wanda podała jej rękę. Na dłoniach wiedźmy już nie płonął ogień, ale czuła wyraźne ciepło, jakie od nich biło. Nieznajoma kucnęła obok i pogładziła ciemne loki czarodziejki.

– Powiedz, moja droga, po co tu przyjechałaś?

– Żeby zakazać wam używania magii.

– Nam? Nam, wiedźmom?

– Tak. Wiedźmom, szeptuchom, wróżom i szamanom.

– Och, widzę, że wymieniłaś wszystkie magiczne profesje oprócz swojej. Dlaczego?

– Wasza magia jest dzika. Niebezpieczna.

– A wasza? W czym jest lepsza od mojej?

Wandzie zrobiło się wstyd, że tak źle mówi o cudownej mocy wiedźmy. Magii potrafiącej dać błogość i radość, jakiej nie czuła od lat.

– Mamy księgi – tłumaczyła, choć nie chciała ranić uczuć potężnej nieznajomej. – Magia czarodziejska to nauka dobrze przebadana. Wiemy, co robimy. Wiemy, do czego może doprowadzić nasza moc. Mamy czarowników i czarownice, którzy potrafią ujrzyć sploty i w razie pomyłki, dzięki ich darowi widzenia, jesteśmy w stanie naprawić szkody.

– Hmm. – Wiedźma uśmiechnęła się słabo. – Bardzo ładnie to wszystko wymyślili. A powiedz mi, czarodziejko o oczach szarych jak burzowe chmury, dlaczego tak bardzo boicie się naszej mocy?

Coś w jej duszy krzyczało, by zamilkła. Ciało Wandy zadrżało, jakby chciało ją ostrzec, a ona nie mogła się nadziwić, dlaczego intuicja podpowiada ucieczkę, skoro w tym miejscu było jej tak dobrze. Wiedźma ponagliła ją spojrzeniem.

– Wasza moc sprzyja wypełnieniu przepowiedni – przemówiła łagodnie i ufnie, jakby właśnie miała wytłumaczyć coś swej serdecznej przyjaciółce. – Magia wieszczona jest równie dzika, co twoja magia ognia. Jest wielce prawdopodobne, że czerpicie moc z tego samego źródła. Im częściej używacie mocy, tym mocniejsza staje się siła, która ją wprawia w ruch. Musicie zatem zaprzestać sięgania do źródła, by wyszło. By jego moc osłabła, dzięki czemu przepowiednia się nie spełni.

– Jakaż to przepowiednia sprawiła, że chcecie się pozbyć naszej mocy?

Wanda zamknęła oczy. Choć jej umysł dryfował na fali upojenia i bezgranicznej błogości, odnalazła w pamięci słowa wieszca.

– Księżyc czerwienią zajdzie, a w ludziach żądza mordy zapłonie. Niepojęte zwalczy ogniem ten, kto zrozumie. Świat zaleją bojownicy, przemierzając bezkres gór, lasów i jezior, by zniszczyć to, co chwalone było przez wieki. Na końcu drogi koło odwiecznej walki obróci się, zamykając bieg, da życie nowemu.

– A skąd ta śmieszna przepowiednia pochodzi? – zapytała rozbawiona wiedźma.

– Z Villperuny.

Nieznajoma milczała. Przyglądała jej się długo. Z oddali dochodziły Wandę odgłosy beztroskiej zabawy. Jedni delektowali się jedzeniem, jakby to sami bogowie przyrządzali potrawy, inni tańczyli powoli, niezgrabnie, trochę wbrew muzyce. Maranti siedziała wpatrzona w Ziemowita, który kiwał się na boki z nieobecny wzrokiem i tajemniczym uśmiechem. Nagle wiedźma poderwała się. Białe włosy zafalowały i opadły na czarną suknię, by po chwili zniknąć z oczu czarodziejki. Wandzie zrobiło się przykro, że ją zostawiła, ale błogość krążąca w jej ciele szybko wyparła uczucie straty. Kobieta wodziła wzrokiem po rozmarzonych twarzach mieszkańców Białogrodu,

pograżonych w akcie tworzenia muzykantach i popiele, który okrył mozaikową podłogę, gdy płatki kwiatów strawił ogień.

Nagle coś szarpnęło jej ramię. Spojrzała w błękitne oczy mężczyzny, który skrywał usta i nos za granatową chustą. Choć serce podpowiadało jej, że może mu zaufać, nie chciała z nim iść. Szarpnął mocniej i Wanda poderwała się wbrew woli.

– Fannil – wyszeptała, gdy kilka srebrnych iskier spoczęło na jej twarzy, szczypiąc nieprzyjemnie skórę.

Powoli wracała do niej świadomość. Czarodziej posłał w Maranti magię i po chwili ona również była w stanie go rozpoznać. Zaciągnął je do wyjścia. Gdy tylko znalazła się na korytarzu, Wanda wzięła głęboki oddech, jakby chciała powietrzem usunąć z głowy kwietny aromat.

*Odurzyła mnie* – pomyślała ze zgrozą, przypomniawszy sobie, o co pytała wiedźma.

– Bogowie – jęknęła.

– Co tam się, do licha, stało? – spytał czarodziej.

– Wiedźma – mamrotała nieskładnie, bo zgroza dusiła jej gardło. – Szeptuchy i wiedźma. One nas odurzyły.

– Jak?

– Magią...

– Pozwoliłaś, żeby wiedźma i szeptuchy używały magii? To po co my tu, do cholery, przyjechaliśmy?!

Fannil pochodził z wyspy Chorsa i tak jak ona nie znał jeszcze wszystkich panujących w Villperunie obyczajów. Wanda nie miała siły tłumaczyć mu absurdu całej tej sytuacji.

– Trzeba wyciągnąć stamtąd Ziemowita i Radomira – powiedziała, patrząc z lękiem na drzwi do komnaty.

– Próbowałem, ale ich niewyszkolone umysły są słabe. Nawet magia nie była w stanie doprowadzić ich do porządku.

– Ziemowit musi posłać żołnierzy – kontynuowała Wanda. Nie brała nawet pod uwagę możliwości, że będą czekać, aż wszyscy sami wrócą do siebie. – Trzeba znaleźć tę wiedźmę. Natychmiast.

– Wanda... Ty się cała trzęsiesz. – Fannil ujął jej ramiona. – Co ona ci zrobiła?

– Wie o przepowiedni. Powiedziałam jej...

– Jasny Chorsie... – zaklął czarodziej. – Jak?! Jak to możliwe, że wyciągnęła z ciebie tę informację?!

– Nie wiem.

– Nie wiesz?! Przecież nawet nasze zaklęcia prawdy nie potrafią wydobyć z człowieka informacji, a jedynie zabijają, gdy ktoś skłamie.

Maranti odciągnęła Wandę od Fannila, który w przypiływie złości zacisnął na niej palce i zaczął nią potrząsać.

– Chyba nie czas na kłótnie – zganiła ich młoda czarodziejka. – Trzeba wymyślić, jak wydostać stamtąd członków Rady.

– Próbowałem. Ziemowit jest zbyt silny. W dodatku wydaje mi się, że ta magia osłabia każdego, kto próbuje wyciągnąć człowieka będącego pod wpływem jej działania. Nawet we trójkę będzie ciężko. Stawiał opór, jakbym chciał go do kata zaciągnąć, a mi ręce drętwiały, jakbym szarpał się z nim tam już pół dnia.

Wanda spojrzała na Matani, która zagryzała nerwowo wargę.

– Chyba będziesz się mogła w końcu wykazać – powiedziała i złapała czarodziejkę za nadgarstek. Zaciągnęła ją przed drzwi do komnaty. – Rzucaj tego swojego śmierdziucha.

– Co takie...? – Maranti urwała, a na jej pulchnej twarzy pojawił się uśmiech.

Nie trzeba było prosić dwa razy, bo młoda adeptka sztuki magicznej natychmiast przystąpiła do wykonania swojego popisowego czaru.

– Zakryjcie czymś nos – pouczyła czarodziejów, gdy spod jej palców wyleciało kilka białych iskier.

Spadające drobinki magii uderzyły o podłogę, po czym zmieniły się w zgniłozielone smugi światła, które zaczęły wić się w stronę gości. Słodki aromat kwiatów zniknął. Odór końskich odchodów zaatakował nosy szykownych panien i dostojników, wywołując wymioty. Czarodzieje wyprowadzili z pomieszczenia członków Rady Królewskiej i dali im chwilę na dojsie do siebie.

– Ziemowicie – zaczęła Wanda, gdy upewniła się, że rycerz nie będzie zwracał kolacji. Był cały blady, ale bystrość jego spojrzenia wróciła już na dobre, więc uznała, że zrozumie, co ma mu do przekazania. – Musimy działać szybko. Zdradziłam wiedźmie treść przepowiedni oraz prawdziwe powody naszych działań.

– Dlaczego? – spytał krótko rycerz.

– Byłam odurzona, jak my wszyscy. Nie panowałam nad sobą...

Radomir łypnął na Wandę wzrokiem drapieżnika, jakby chciał ją zabić. Miał coś powiedzieć, ale Ziemowit powstrzymał go, wchodząc mu w słowo.

– W takim razie nie ma chwili do stracenia. Wanda i Fannil, wy pójdziecie ze mną zebrać żołnierzy. Musimy przeszukać miasto i okolice jeszcze dziś. Jeśli wiedźma i szeptuchy uciekły, nie są daleko. Ty, Maranti, pójdiesz z Radomirem do Witolda. Powiedzcie mu, co tutaj zaszło.

Wszyscy rozeszli się, by jak najszybciej wykonać powierzone zadanie. Cała trójka w pośpiechu ubrała się i ruszyła w stronę karczmy, gdzie nocowali żołnierze królewskiej armii. Wanda biegła ramię w ramię z Ziemowitem, modląc się do Welesa, by pomógł im schwytać wiedźmę, która z pewnością zamierzała wyjawic tajemnicę Sejnii, władczyni Ziemi Wiedźm. Uczta mająca być pięknym, choć nużącym obowiązkiem, zmieniła się w długą noc, spędzoną na poszukiwaniach i tłumieniu wyrzutów sumienia.



## ROZDZIAŁ VIII

**T**ej nocy Opolica była wyjątkowo piękna. Oświetlona pełnym księżycem, skryta pod śnieżną pierzyną, wyglądała jakby zapadła w zimowy sen. Wielu mieszkańców udało się do Świętego Gaju, by tam czcić nocnych bogów i czerpać moc z księżyca, który tylko w pełni mógł usłyszeć ich prośby i obdarzyć pomyślnością.

Mirosław zamiast zanosić modły do bogów, wolał ogrzać się przy karczemnym stole z Piwarczykiem. Czekał w zamyśleniu na Liwianę, która obiecała przynieść misę kaszy i chleb własnej roboty.

Z izby kuchennej, w której stał ogromny piec z rusztem, dochodziły zapachy pieczonego mięsa, warzyw i owoców. Młody wróż skulił się, by stłumić burczenie w brzuchu, którego i tak pewnie nikt by w tym zgiełku nie usłyszał.

– No i co ja mam niby teraz zrobić? – spytał cały czerwony od zimna Piwarczyk, gdy Liwiana wróciła z posiłkiem.

– Ogrzać się i zjeść porządnie – powiedziała, stawiając przed mężczyzną misę z kaszą i skwarkami. – Jak człowiek głodny, a nie daj dobry Perunie i zmarznięty do tego, to nic dobrego nie wymyśli. Prawda, Mirosławie?

Rudzielec ocknął się, gdy usłyszał swoje imię, i odruchowo przytaknął Liwianie. W głowie wciąż słyszał echo przepowiedni.

– Podjemy jak trzeba i Mirosław coś zaraz wymyśli. No już, łapcie za łychy i do dzieła. Nie ma co się tak smucić.

*...gdy dwa księżycy jednym się staną ...wyruszysz, by skraść przeznaczenie...*

– Mirosław? Jedz, bo stygnie! Matka tym razem ci odgrzewać nie będzie. Takie pobojuwisko dzisiaj, że nie wie, bidulka, w co ręce włożyć. No jedz, jedz, bo i mnie zaraz do roboty pogoni, a chciałam usłyszeć, co Piwarczykowi poradzisz.

Mirosław w trakcie posiłku przysłuchiwał się w rozmowom i śmiechom rozchodzącym się po karczmie. Z całych sił starał się odgonić od siebie niechciane wspomnienie o wróżbie wyszeptanej przez ości.

Nadchodzący Szczodry Wieczór sprawił, że karczma wypełniła się licznymi kupcami, tymi najodważniejszymi, którym niestraszna była wyprawa przez puszcę. Cena towarów wzrastała wraz z niebezpieczeństwem przeprawy, toteż śmiałkowie, którym uda się dotrzeć do Białogrodu czy Villperuny jeszcze przed Szczodrym Wieczorem, zarobią tyle, że do lata nie będą musieli wychylać nosa ze swoich domów.

– Mam już dość tych kupców.

– Wyglądają jak najemne zbiry – skwitował Mirosław, z trudem przełknąwszy porcję kaszy, gdy jego wzrok spotkał wściekłe, przekrwione oczy pryszczatego kupca. – W Villperunie kupców czasami trudno było odróżnić od panów mieszkających na dworze.

– Przez puszcę przyjdzie im się przeprawić – zaczął wciąż markotny Piwarczyk – a tam każda silna para rąk na wagę złota. Byłe sprytny kupczyk nie dałby rady takim interesom.

– Z leszowymi demonami na nic im się zdają te silne ramiona. Im taka rusałka zaśpiewa i pędem polecą za nią, a i się nie obejrzy, jak



przepadnie na wieki – powiedziała karczmarzowa córka.

– Liwiana ma rację – przyznał Mirosław. – Na dziki, wilki i niedźwiedzie krzepy pewnie im wystarczy, ale nie tylko one mieszkają w puszczy... Dlaczego oni to robią? Przecież to szaleństwo.

– Zawsze mają jakiegoś towarzysza. – Liwiana zniżyła głos, jakby właśnie objaśniała najskrytszą tajemnicę. – Kiedyś to Jaral się z nimi wyprawiał. No nie patrz tak na mnie, Mirosławie. Jaral chłop kiedyś był na schwał! A odważny... Matula mówi, że dziewczki to się sznurem za nim ustawiały. A on tylko te swoje księgi i zioła, aż się sam jeden ostał. Ale o czym to ja? A, do puszczy jak chodzili? Jaral może i znachor, czarów robić nie umie, ale wywary zna, eliksiry, do tego dym potrafi z ziół taki palić, co to ponoć rusałkom na wymioty się od niego zbiera. To i za nie byle jaką opłatą prowadził takich przez puszcę. Sam wiesz, Mirosławie, że Jaral obrotny i zdatny przez puszcę prowadzić. Ino ciebie nam kiedyś z drugiej strony sprowadził.

Piwarczyk po raz pierwszy uniósł wzrok znad miski i spojrzał z zaciekawieniem na wróża.

– To prawda. Przywędrowałem tu z Jaralem przez puszcę. Tyle tylko, że nas żadne licho, dzięki bogom, nie spotkało.

– Ano nie spotkało, bo znachor wie, jak takie licho odpędzić od siebie – zapewniła gorliwie Liwiana.

– O wilku mowa – powiedział Piwarczyk, wskazując brodą wejście.

Do karczmy weszły dwie osoby. Odziany w brunatny płaszcz, zgarbiony znachor, a tuż za nim drobna postać, skryta pod czarnym kapturem. Choć w pomieszczeniu było ciepło od trzaskających w piecu płomieni i czerwonych od gorzałki kupców, nieznajomy nie zdjął odzienia. Jaral skinął tylko nerwowo głową na przywitanie i minął ich, udając się z towarzyszem na sam koniec karczmy.

– A to kto? – spytała Liwiana.

– Nie mam pojęcia... – Mirosław wychylił się zza stołu, starając się dostrzec jakiś szczegół, który sprawiłby, że nagle rozpozna nieznanego gościa. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. – Jaral nie wspominał, że na kogoś czeka.

Znachor zniknął za kupcami rozprawiającymi o niebezpiecznych wyprawach. Mężczyźni przekrzykiwali się, waląc pięściami w suto zastawione stoły. Czasami któryś na dowód swej siły rąbnął siedzącego obok towarzysza, na co reszta zanosila się gromkim śmiechem.

– Kto to może być? – zastanawiała się Liwiana, patrząc z odrazą na pijanych mężczyzn.

– Może nowy znachor? – zasugerował Piwarczyk.

Liwiana drgnęła, jakby właśnie sobie o czymś przypomniała i spojrzała wymownie na Mirosława.

– No i? – spytała, wskazując dyskretnie Piwarczyka. – Co z tym demonem?

– Demonem? – powtórzył bezwiednie Mirosław, wciąż wypatrując skrytego w kącie karczmy Jarala.

– No z tym chichitańcem, czy jak mu tam.

– Chichitunem – poprawił wróż, a jego piegowatą twarz wykrzywił grymas bezradności. – To dość dziwny demon. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, wynika, że przychodzi do chałup, w których panuje żałoba.

– I jeszcze dokłada biedakowi zgryzoty? – oburzyła się Liwiana. – Co za lichy!

– A jak się go pozbyć? – Piwarczyk znów utkwiał wzrok w prawie nietkniętej kaszy.

– Musisz pogodzić się ze stratą. Zacząć czerpać radość z tego, co dali nam bogowie.

– Jak mam czerpać radość, na miłego Peruna? Mirosławie, toć żem właśnie co żonę stracił i dziecko, co jeszcze nawet duszy nie zdołało z pierwszym wdechem ugościć. Jak tu radość czerpać?

*A cóż ja ci takiego mam powiedzieć, biedaczyno – pomyślał młody wróż. To już kapłanów postuga, leczyć duszę.*

Mirosław czuł pełne napięcia oczekiwanie. Wiedział, że Liwiana i Piwarczyk pokładają w jego słowach wszelką nadzieję. Z niezręcznej sytuacji wybawił go trzask pękającej deski. Zwiastunem poważniejszej bójki tego wieczoru było połamane krzesło. Wszyscy jak na zawołanie zwrócili głowy w stronę awanturników.

Po drugiej stronie karczmy, przy trzech złączonych stołach, zawrzało.

– Com rzekł, tak było! – wrzasnął przysadzisty kupiec, który wyglądem w żadnym razie nie przypominał wywyższających się na każdym kroku handlarzy z Villperuny. – Sam jeden zarazę ubiłem. Przeto nikt mi tu skakać do gardła nie będzie, bo to samiuśko zrobię, co z tym stworem przeklętym. – Mężczyzna opróżnił zawartość kufła i rąbnął nim o stół. – Chyba że kto gotów stanąć do bitki? Co?

– A ja!

– Tyś, Wańka, taki szybki?

– Tyle prawdy w twoich bajaniach, ile w Jelochu świętości!

Zgromadzeni nagrodzili żart gromkimi brawami i śmiechem, a rzeczony Jeloch skulił się nad kuflem piwa pod salwą poklepywań i kuksańców.

– Nie będziesz mi, psi synu, kpić z tego, com mówił. To, com rzekł, samiuśka prawda!

– Tyś się, Biedrawa, piwska ino zbyt opił i w głowie ci się miesza. Jeszcze krasnoluda brakuje w tej bajce – zarechotał Wańka.

– O ty bagienniku wyklęty! Takiś mądry? – Biedrawa wstał, ledwo utrzymując się na nogach, po czym wsparł się potężnymi ramionami o stół. – To stań tu ino przede mną! Zaraz bogowie osądzą, kto prawdę rzekł, a kto tylko śmiały w gębie!

Wańka uśmiechnął się nerwowo. Najwidoczniej nie spodziewał się aż takiej zawziętości Biedrawy. Inni kupcy podnieśli się od sąsiednich stołów i podeszli bliżej, by nie przegapić widowiska.

– No co jest, Wańka?! Strach obleciał? Zmora na piersi usiadła? Boś taki blady, jakby cię kie lichy dusiło.

– Albo strzyga w rzyć przylała! – zarechotał jeden z kupców.

W karczmie znów rozległy się pijackie śmiechy i nawoływania do bitki. Ktoś był na tyle podekscytowany, że rozbił kufel o podłogę, wrzeszcząc:

– Niechaj mocarny Perun rozstrzygnie, kto rację ma!

– Nikt mi się tu bić w imię bogów nie będzie! – wrzasnęła cała czerwona od złości karczmarka, przepychając się przez większych od siebie o połowę kupców. – No już ci! Koniec przedstawienia! Wracać do stołów albo won z karczmy!

Gospodyni zdzieliła mokrą szmatą bogom ducha winnego Jelocha, który już całkiem schował się ze wstydu pod stołem. Kupcy mamrotali pod wąsami obelżywe wiązanki i urażeni tym, że karczmarka śmiała przerwać ich spory, z ostentacyjnym ociąganiem rozeszli się do swoich stołów.

– I żeby tu wracać nie musiała, bo w stajni spać bedzieta!

Biedrawa odprowadził karczmarkę błędnym, pijackim wzrokiem. Gdy tylko wszystkie fałdki jej ciała zniknęły za drzwiami kuchennymi, mężczyzna rozejrzał się i nie wypowiedziawszy ani słowa, oddalił się od stołu, zataczając koślawe półokręgi.

– Tak się karczmarki wystraszył, że do wychodka popędził! – krzyknął Wańka, zanosząc się śmiechem. – I nie wracaj, bo sam cię tą brudną ścierą po łbie wysmagam!

Rechot biesiadników uciął przeciągły świst topora, który przeleciał tuż przed twarzą Wańki. Po chwili kolejny toporek poszybował i rąbnął z hukiem w ścianę, szczęśliwie omijając skulone głowy kupców.

– Rozum żeś postradał, Biedrawa! – krzyknął tęgi mężczyzna w filcowej czapce, którą teraz trzymał kurczowo pulchnymi paluchami.

– No łajno ma we łbie! Toporami w nas rzuca!

– Łapać go, nim po kolejny chwyci! – zawołał ten, który najmniej wypił tego wieczoru i nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa. Zanim jednak zdążył dobiec do Biedrawy, ten już zamachnął się kolejnym toporkiem.

Kupiec szamotał się z oszalałym Biedrawą, a Wańka, korzystając z nieuwagi swego wroga, rzucił się na wbite w drewnianą ścianę narzędzia niedosłej zbrodni i, wyklinając Biedrawę, pociągnął ile sił w ramionach za trzonek największego topora.

– Ja ci dam, psi synu, toporkami rzucać... – warknął pod nosem, wciąż bezskutecznie ciągnąc drewnianą rączkę.

Wszystkie oczy skupione były na walce śmiałka z rozwścieczonym Biedrawą. Tylko Mirosław dostrzegł siłującego się z toporem Wańkę.

– A żeby was czarty, psia mać, zabrały prosto do Welesa! A żeby wam Weles dusze rozszarpał! – krzyczała karczmarka, wymachując brudną ścierką. – Ostatni raz was, łachudry, goszczę w naszej karczmie! Przestać tej jatki, bo na zbity pysk wyrzucę! Na dworze bedzieta spać! A nich wam tyłki zamarzną, psia mać!

Na nic jednak zdały się jej groźby. Duch walki już na dobre opętał kupców, zachęconych do bitki mocnym trunkiem. Ci goście, którzy byli najbliżej wyjścia, zebrali się czym prędzej, by i ich demony wojny nie dotknęły swymi pazurami.

– Zaczekaj przed karczmą na matkę i biegnijcie po ojca – polecił Liwianie Mirosław. Po chwili namysłu zwrócił się do Piwarczyka: – Zwołaj wszystkich silnych chłopów, a ty, Liwiano, jeśli zdołasz, przynieś z chaty Jarala jaskólcze ziele.

– Przecież to działa uspokajająco tylko na demony. Pamiętam, boś sam kiedyś mi tłumaczył.

– Jak się zaraz nie uspokoją, to na pewno jakieś licho sprowadzą. O ile już się coś nie zjawilo...

Mirosław niemal siłą wypchnął Liwianę i Piwarczyka z karczmy, po czym, przełknawszy z trudem ślinę, wszedł w trwającą w najlepsze bijatykę. Po kilku kuksańcach i kopniakach odnalazł czerwoną z rozpacz i złości karczmarkę. Z wielkim wysiłkiem zmusił ją, by poszła do kuchni.

– Liwiana czeka na zewnątrz. Niech karczmarzowa czym prędzej do niej dołączy i biegnie po pomoc.

– Toć oni mi całą karczmę rozniosą! – załkała.

– Na nic zda się teraz płacz, karczmarzowo. Trzeba działać. I to szybko!

Mirosław odczekał, aż matka Liwiany bezpiecznie wyjdzie tylnymi drzwiami, po czym wziął głęboki oddech i znieruchomiał.

*No i co ja mam teraz poczyć? Walczyć?*

Spojrzał na swoje mizerne ramiona i pomacał wystające żebra.

– Coś przecież muszę zrobić – wymamrotał, drapiąc się po rudej czuprynie.

Wyjrzał zza drzwi kuchennych i poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Banda rozwścieczonych kupców szalała w tańcu pięści i kopniaków. Mężczyźni tłukli się gołymi rękami, wyklinając wszystkich i wszystko, co tylko im ślina na język przyniosła. Mirosław przymknął drzwi, gdy zbłąkany dzban poszybował w jego stronę. Dźwięk tłuczonej gliny niął pod wrzaskiem biesiadników. Patrząc na kłębiące się w pijackich oczach szaleństwo, Mirosław tracił nadzieję na zatrzymanie tego chaosu. Wstrzymał oddech i z sercem szalejącym w drobnej klatce piersiowej nasłuchiwał śmiechów zwiastujących przybycie biesów. Demony wojny, które, jak głosi legenda, zbuntowały się wieki temu i wyrwały spod panowania Welesa, swojego stwórcy, mogły lada chwila zjawić się w karczmie. Te stworzenia tylko czekały na podobne okazje. Złość

i zawiść, które trawiły obijających sobie mordy kupców, były dla biesów niczym słodki nektar kwiatowy dla pszczoły.

*Gdy biesy zwęszą okazję i zjawią się w karczmie – myślał przerażony wróż – nawet Jaral sobie z nimi nie poradzi. Dzięki bogom nikt nikogo nie zabił. Chyba nie... O gromowładny Perunie, ześlij na tych szaleńców swą błyskawicę, by rozjaśnić ich dusze!*

Z chaosu myśli wyrwały go okrzyki przybyłych na ratunek mieszkańców Opolicy. Mirosław ponownie wyjrzał zza drzwi i odetchnął z ulgą. Do karczmy wpadli wszyscy rośli i silni mieszkańcy.

– Dzięki ci, Perunie... – wyszeptał.

Przez chwilę przyglądał się, jak dzielni chłopci, wyposażeni w solidne garnki i patelnie, przywracają porządek. Wzrok Mirosława padł na Wańkę, który z uporem szaleńca wciąż starał się wyciągnąć wbity w ścianę topór.

– O nie, nie, nie, nie, nie.... – wyjąkał wróż.

Wańka ledwo trzymał się na nogach. Choć było to dla Mirosława oczywiste, że bliżej Wańce do padnięcia z wysiłku niż do walki, skoro nie był w stanie z drewnianej deski wyciągnąć toporka, to i tak przerażała go myśl, że topór może dostać się w jego nieobliczalne ręce. Jeśli padnie w tej karczmie choć jeden trup, będą musieli wołać na pomoc innych znachorów albo wiedźmę, bo te najlepiej radziły sobie z biesami.

Mirosław przedarł się przez tłum, tylko dwa razy obrywając po głowie. Nie mając wiele czasu na obmyślanie strategii, wyminął Wańkę i położył dłonie na dwóch największych toporach wystających ze ściany. Poczł pod palcami, jak twardy metal powoli ustępuje i ugina się niczym topniejący śnieg.

– A co ty mi tu, synku?! – wrzasnął zaskoczony Wańka. – Won mi stąd, ty...

Rąbnął wroza pięścią po głowie, tak mocno, że Mirosławowi pociemniało przed oczami. Kupiec zamachnął się, by tym razem

skutecznie pozbyć się chłopaka, ale jego ręka zawisła w powietrzu, gdy pijackie oczy spoczęły na płynącym leniwie żelazie.

– Co, na bogów... – wymamrotał, cofając się o krok.

Metal rozlał się po drewnie, przetapiając się srebrnymi strugami przez dębowe słoje.

– Toć to wiedźmok jaki być musi – stwierdził Wańka i jakby ośmielony tym, że zrozumiał otaczający go świat i tylko on może go uratować, podszedł do chłopaka i rąbnął go pięścią w skroń.

Mirosław nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Ocknął się na podłodze. Pierwszym, co poczuł, była jego obolała dłoń, która odruchowo zacisnęła się na trzonku. Otworzył oczy i ujrzał jasno świecący księżyc w pełni, prześwitujący przez powstały na skutek bójki otwór w drewnianej ścianie.

*Gdzie ja jestem?* – pomyślał, mrużąc powieki.

Blask księżycy sprawił, że pulsująca bólem skroń dotkliwie przypomniła mu o wymierzonym przez Wańkę ciosie. Spojrzał w lewo, skąd doszedł go niski jęk. Wańka leżał trzy kroki dalej, skulony jak dziecko przerażone podniebnymi grzmotami Peruna.

– Litości! – skomlał zasmarkany od płaczu mężczyzna. – Ja chciałem tylko pomóc... To wiedźmok jakiś, przysięgam! Jemu to pod rękoma toporek się stopił.

Mirosław dostrzegł drobną, zakapturzoną postać, odzianą w ciemną szatę.

*To ten sam człowiek, który przyszedł do karczmy z Jaralem* – stwierdził, gdy tajemniczy gość wyprostował się, a ciemność skrywana pod cienkim kapturem skierowała wzrok w jego stronę. Gdyby mógł, cofnąłby się, ale leżąc na karczemnej podłodze, tylko poczuł, jak plecy wtulają się w klepisko.

Zakapturzona postać nachyliła się nad nim, zasłaniając jasno świecący księżyc. Gdy drobne palce zrzuciły zwiewny materiał z głowy,



zdawało mu się, że na powrót widzi księżycowe, podniebne królestwo Chorsa, choć tym razem dziwnie postrzępione. Na myśl przywędrowały mu legendy o Chorsie, księżycowym bogu, który to właśnie z nocnego słońca spoglądał na ludzi i nocą zsyłał sny. Kiedyś Jaral powiedział mu, że to właśnie Chors jest jego opiekunem, bo tylko ten bóg jest w stanie panować nad magią wróżebną, niezwykłą i ulotną jak sen.

Gdy postać przemówiła, Mirosław szybko zdał sobie sprawę, że to jednak nie Chors we własnej osobie.

– A więc nasze drogi ponownie się skrzyżowały.

Kobięcy głos odbił się echem od wspomnienia, które zdawało się już bardzo odległe.

– Ja ciebie znam – wymamrotał półprzytomny wróż. – Jesteś...

– Zorzanna.

Wiedźma wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wstać.

– Masz w sobie moc ognia – wyszeptała z podziwem, nie puszczając jego dłoni. – Czuję ją wyraźnie. Wygląda na to, że chyba właśnie ciebie szukałam.

– Mnie... szukałaś?

– Wstawaj, chłopcze. Musisz szybko dojść do siebie, bo wyruszamy jutro, jak tylko ta hołota będzie zdatna do drogi.

Sztywne jak drzazgi, księżycowe włosy Zorzanny świeciły w blasku prawdziwego księżyca.

– Gdy dwa księżyce jednym się staną... – wyszeptał Mirosław, przypomniawszy sobie słowa przepowiedni.

Wtedy zrozumiał, że nie ucieknie od losu, który ułożyły dla niego rzucone ości.



## ROZDZIAŁ IX

**P**rzez pradawną puszcze wiła się wyboista droga królewskiego traktu. Od setek lat nikt już chętnie nie korzystał z tego szlaku, bo z każdą zimą popadał w coraz większą ruinę. Nie zachęcały też liczne zaginięcia ludzi w pradawnej puszczy. Niemal wszyscy trzymali się od niej z daleka i, mimo znacznie dłuższej trasy, wybierali okrężną drogę przez góry lub morze, omijając królestwo Leszego. Ci, którzy podejmowali ryzyko wtargnięcia na teren leśnych demonów, często wracali z obłędem w oczach i z dnia na dzień tracili rozum.

Śmiałkowie, którzy odważyli się na podróż między prastarymi drzewami, jechali w ciszy, czujnie nasłuchując odgłosów natury. Poza dźwiękami lasu słuchać było tylko skrzypienie wozów i pomruki niezadowolonego Wańki.

– Co on taki markotny? – spytał szeptem Mirosław.

Sójka, najmłodszy z kupców i jedyny, który nie obijał mord towarzyszy we wczorajszej bójce, zaśmiał się pod nosem.

– Bo się baby przestraszył. Wszyscy teraz żartują, że jak następnym razem wiedźma choćby spojrzy na niego, to Wańka się obsra ze strachu.

– A oni wszyscy tacy prędcy do patrzenia wiedźmie w oczy – skomentował Mirosław. – Żaden nawet słowa z nią nie zamienił. Tylko przytakują, potulni jak baranki.

– Że sami się boją, nie znaczy, że z innego pośmiać się nie wolno.

Mirosława korciło, by powiedzieć, co myśli o takim zachowaniu. Choć Sójka miał niemal tak samo liche ciało co on, wolał nie zadzierać z człowiekiem, który brata się z ludźmi mogącymi bez większego wysiłku złamać mu nos, a z twarzy zrobić łąkę usłaną kolorowymi siniakami.

– A co właściwie mu Zorzanna wczoraj zrobiła? – spytał wróż.

– Toż byłeś tam. Nie pamiętasz?

– Chyba zemdlałem... Obudziłem się, gdy Wańka już leżał skulony.

– Dobrze, że ta wiedźma stanęła między wami, bo by ci Wańka wszystkie kości połamał. Nie karmią cię w tej Opolicy? Wyglądasz, jakby cię nawet strzyga zjeść nie chciała, boś zbyt ościsty.

Mirosław spojrział na wątłe ciało Sójki, zastanawiając się, czy sam kiedykolwiek widział swoje odbicie. Koścista pociągła twarz najmłodszego kupca nie odstraszyłaby nawet starego kota.

*Może jak długo przebywa się wśród tęgich mężczyzn, to po jakimś czasie człowiek nabiera przekonania, że sam jest tak samo silny?* – zastanawiał się wróż.

– Nie w smak mi ostatnio jedzenie... – wyznał, uznając, że nie warto uświadamiać Sójki, że w walce zapewne mieliby równie mizerne wyniki. – Co z tym Wańką?

– A, no tak. – Sójka zacmokał i podrapał się po brudnej czuprynie. – A bo ja wiem. Wiedźma tylko dłoń uniosła, a ten skulił się jak jakie dziecko przed burzą. Nawet go nie dotknęła, a ten jak nie zacznie jęczeć, a skomleć! Jak pies jaki zagłodzony. Mówią, że mu ogień w oczach tańczył.

– Czyli co zrobiła?

– Ja tam wnikać nie będę. Było nie było, Wańka się przed babą ukorzył, a to u nas się nie godzi.

– Dlaczego?

– Nie godzi i tyle – powiedział Sójka i niezdarnie splunął przez lewe ramię, opluwając przy okazji siebie i wróża.

Mirosław zrozumiał, że to koniec rozmowy. Pogłaskał delikatną sierść Zimy. Długo się zastanawiał, czy ją zabrać. Mógł ją zostawić w Opolicy pod opieką Liwiany, ale ciągle nachodziły go złe myśli.

*Co powiedziała by Elgan, gdyby dowiedział się, że zostawiłem jego konia pod opieką córki karczmarki? A nie daj dobry Perunie, by ktoś go jeszcze wykradł podczas mojej nieobecności. Wąpierz nigdy by mi tego nie wybaczył.*

Wiedział, że od tego, jak zadba o konia, będzie w dużej mierze zależała ich niezwykła przyjaźń, w którą – mimo uszczypliwości Elgana – głęboko wierzył. Posiadanie wąpierza za przyjaciela Mirosław uważał za dar od bogów i za nic w świecie nie chciał, by ten dar w przypływie złości zatopił w nim zęby i zesłał do Nawii albo, jeśli bogowie byliby mu przychylni, do pięknych ziem Górnego Wyraju. Ostatecznie zdecydował wziąć Zimę i prosić bogów, by mieli ją w swojej opiece w trakcie tej szalonej misji, o której wiedźma nic nie chciała mu wczoraj zdradzić. Elgan jako pierwszy dostrzegł otaczającą Mirosława magię, ale dopiero Zorzanna powiedziała mu, że magia jest nie tylko wokół niego, lecz także w środku.

– Do czego jestem ci potrzebny? – spytał Mirosław, gdy Zorzanna zrównała z nim swoją czarną klacz.

– Dowiesz się w swoim czasie.

– A jeśli... jeśli mi się to nie spodoba i odmówię?

– Możesz odmówić. Droga wolna. Nie sądzę jednak, że zawrócisz.

Młody wróż przygryzł nerwowo wargę. Dzięki wyprawie z Elganem przywykł już do zdawkowych i pogardliwych odpowiedzi. Tym razem jednak jego cierpliwość i pokora słabły z każdym oschle wypowiedzianym

przez Zorzannę słowem. Przez chwilę zastanawiał się, czy wiedźma wiedziała o przeznaczeniu, jakie zgotowały mu wróżebne ości. Jednak to było niemożliwe. Tamtego dnia w chacie Piwarczyka był tylko on i chichitun.

– Nie zawrócisz – zapewniła Zorzanna, widząc na jego twarzy wahanie.

– Skąd ta pewność? – wybuchnął.

Wiedźma ku jego zdziwieniu tylko się uśmiechnęła i wyminęła go ostentacyjnie. Wpatrywał się w jej czarny płaszcz, powstrzymując przemożną ochotę zawrócenia konia i pognania, póki dzień młody, z powrotem do Opolicy.

*Po co ja się w to wplątałem? Przeklęte ości. Przeklęty dar wróżenia. Posłuchałem ości i jak ten osioł poszedłem za wiedźmą.*

*...gdy dwa księżycy jednym się staną...*

Mirosław nie miał wątpliwości co do tego, że chodziło o Zorzannę i jej sterczące białe włosy, które przesłoniły księżyc, gdy leżał półprzytomny na podłodze izby karczemnej. Czuł, że właśnie wtedy słowa przepowiedni zaczęły się wypełniać.

*Przecież jeszcze mogę wrócić. Nie oddaliliśmy się na tyle, bym nie poradził sobie z drogą powrotną w pojedynkę. Wrócę do wioski. Tak. Wrócę i pójdę do karczmy zjeść gorącej polewki. O bogowie, ile bym dał za gorącą polewkę!*

Spojrzał na skórzane rękawice, na których mróz wymalował iskrzące, lodowe zygzaki. Pociągnął za lejce, by zatrzymać klacz i skierował ją na pobocze. Kupcy mijali go w milczeniu, racząc go pogardliwymi, nieco wystraszonymi spojrzeniami. Zamknął powieki, zastanawiając się, co zrobić. Mógł wrócić, ale wtedy nie dowie się niczego więcej o mocy, którą

dostrzegła w nim Zorzanna. Co gorsza, sprzeciwi się przepowiedni wyszeptanej przez ości.

*Masz w sobie moc ognia.*

Mirosław podniósł powieki, licząc na to, że Zorzanna zawróciła, by przekonać go do pozostania. Nikogo jednak nie było. Tylko skrzypiące koła wozów.

*Masz w sobie moc ognia.*

Słowa wiedźmy zaszumiały gdzieś jakby w głębi lasu. Mirosław zeskoczył z Zimy i pociągnął ją za sobą. Wszedł między potężne konary drzew, ale nikogo tam nie dostrzegł. Kiedy w oddali coś zaszumiało złowieszczo, niby szepty demonów, wskoczył z powrotem na klacz i czym prędzej wrócił na trakt.

*Chyba tracę rozsądek – pomyślał, wpatrzony w głębię lasu. To moja głowa płata mi figle. Wszystko przez te przeklęte ości! Po cóż się pchałem do tej piwarczykowej chaty? Trzeba było posłać Jarala...*

– Ty się, młody, o kłopoty prosisz – burknął Sójka, zbliżając się na koniu. – Zgubiłeś coś? Lepiej prędko szukaj, bo samemu ostać w tej puszczy, to jak stryczek sobie na szyi uwiązać.

– Ja tylko... Nieważne. – Mirosław machnął ręką i wgramolił się na Zimę.

– Ty z tą wiedźmą do Sibigardu jedziesz? – spytał Sójka ściszone głosem. – Bo tyś nie kupiec przecież.

Gardło wróza zacisnęło się z przerażenia. Już miał pisnąć w panice, zakrzyknąć, tak by wiedźma go usłyszała, że przecież tylko do Białogrodu mieli jechać. W trakcie żadnej z nielicznych i zagmatwanych rozmów, jakie z nią odbył, nie było mowy o Sibigardzie. Otworzył usta i w tej samej chwili Zima zarżała, wierzgając niespokojnie. Omal nie stracił równowagi i tylko bogowie wiedzieli, jakim cudem w ostatniej chwili chwycił mocniej lejce.

– W porządku? – spytał Sójka. – Dziwna ta klacz. Przecie nic w okolicy teraz nie ma, a ta wystraszona, jakby stado wilków zobaczyła.

– Wszystko w porządku, to... – Wróż sam nie wiedział, o co chodzi, ale przyznanie, że to klacz wąpięra i nie wiadomo, na jakie okolicznością wyszkolił ją demon, nie wydawało się dobrym pomysłem – ...to pewnie zmęczenie.

– Zmęczenie? – Sójka zaśmiał się i poklepał Mirosława po plecach. – Prędzej bym wiedźmę o to podejrzewał, bo blada i gębę ma skrzywioną jakby noc całą z demonami walczyła. Klacz wygląda na taką, co to by mogła sama cię do tego Sibigardu zawieźć.

*Sibigard* – powtórzył gorączkowo w myślach. *Na miłych bogów, Sibigard?!*

Mirosław aż zacisnął wargi, by te nie ułożyły się w grymas przerażenia. Stwierdził, że lepiej nie zdradzać się z tym, że kompletnie nie ma pojęcia, co robi.

– Skąd wiesz, że zmierza do Sibigardu? – zaczął wróż, starając się nadać groźnego tonu swojej wypowiedzi.

– Przypadkiem usłyszałem – zaperzył się Sójka.

Mirosławowi trudno było sobie wyobrazić, jak duży musiał być ten przypadek.

– A co usłyszałeś?

– Z tym waszym znachorem gadała w stajni karczemnej. Konie przyprowadzili, ja akurat w drugim kącie byłem. Ciemnica tam, jak w jakiej jaskini, a akurat też z wyprawy wróciłem, tylko chwilę wcześniej. Byłem w lesie, bo...

– A co usłyszałeś? – przerwał mu Mirosław.

– No... że do Sibigardu wiedźma chce jechać. Ten stary zwyzywał ją od szalonych ładacznic. Odważny, nie powiem. Żeby tak wiedźmie pyskować, to trzeba albo demonem być, albo szalonym.

– A usłyszałeś po co?

– Ja nie podsłuchiwałem!

Sójka poczerwieniał, jakby nagle do niego dotarło, że Mirosław może wszystko powtórzyć wiedźmie.

– Błagam. – Sójka spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. Usta drżały mu lekko. – Ja nikomu nie powiem. Przypadkiem usłyszałem. Przysięgam.

– To nikomu nie mów i będzie w porządku.

– Tak zrobię – zapewnił kupiec.

Młodzieniec ukłonił się na tyle nisko, na ile pozwalało mu siedzenie na koniu. Mirosław zmarszczył brwi osłupiały, nie mogąc uwierzyć, że ktoś kłaniał mu się, jakby był jakimś wielkim panem. Był tylko wątłym piegowatym chłopakiem, którego wiedźma zgarnęła niemal jak swoją własność, nie racząc powiedzieć mu, do czego jest jej potrzebny. Co prawda nie opierał się Zorzannie. Nie musiała go związać, ale wystarczyło jedno jej wściekłe spojrzenie, by bał się odmówić. A to prawie to samo, co być spętanym i wbrew woli zaciągniętym do szaleńczej karawany. Kupiec jednak tego nie wiedział. Zapewne był przekonany, że Mirosław z nią współpracuje. Sójka wyprostował się i patrzył wyczekująco.

*Mam mu powiedzieć, co ma robić? Na litość bogów, ta wiedźma wzbudza u nich większy postrach niż królewski kat.*

– Nie opóźniajmy wyprawy – odezwał się po chwili Mirosław, po czym napiął mięśnie łydek i delikatnie pchnął biodrami. Zima ruszyła, kołysząc jednostajnym, monotonnym kłusem niespokojne myśli Mirosława.





Gdy zapadł zmrok, Mirosław przypomniał sobie o pierwszej nocy w puszczy po opuszczeniu Villperuny. Wtedy jeszcze tak bardzo nie ufał Jaralowi i każdy najdrobniejszy szmer był jak zwiastun rychłej śmierci. Długo męczył się z wytworami swojej barwnej wyobraźni, nim sen zesłał mu ukojenie.

Obudziło go bolesne szturchnięcie.

– Wstawaj. Szybko – syknęła cicho wiedźma. – Tylko się nie drzyj, bo go rozochocisz.

Mirosław nawet nie zdążył zadać pytania; Zorzanna od razu wywlekła go z namiotu. W ostatniej chwili chwycił płaszcz i półprzytomny wciągnął go na siebie, wsuwając pośpiesznie nogi do butów.

– O co...?

– Ciiii!

Wiedźma złapała go za poły płaszcza i pociągnęła za wóz. Kucali w milczeniu, skryci nie wiadomo przed czym. Mirosław chciał znów spytać, po co wiedźma wywlekła go na ten mróz w środku nocy, ale ta tylko klepnęła go w tył głowy, nakazując milczenie. Trwali tak chwilę wpatrzeni w ciemność, którą przecinał jedynie słaby płomień ogniska.

– Płomień gaśnie – zauważył Mirosław. – Trzeba czym prędzej drewna dołożyć.

– Siedź na dupie – syknęła wiedźma, szarpiąc go za rękaw. – Nie po to tu przylazłeś. Zamknij gębę i patrz.

– Gdzie mam patrzeć?

– Przed siebie – warknęła, a potem westchnęła zirytowana.

Mirosław stracił poczucie czasu. Zdawało mu się, że tkwią tak za wozem już pół nocy. Mróz nie mógł już bardziej dokuczać. Miał wrażenie, że opanował każdy kawałek jego ciała, a on sam stał się jednym wielkim soptem.

– Nie śpij – zganiła go wiedźma.

Wróż zamrugał ciężkimi powiekami i zamiast zapewnień o pełnej czujności, z jego ust wyrwało się tylko ciche chrząknięcie.

– Co to jest? – spytała Zorzanna, wskazując coś przed nimi.

W jej głosie Mirosław nie słyszał ani krzty ciekawości. Zapewne to był jakiś test. Ton głosu wiedźmy wybrzmiał wyraźną nutą irytacji i pogardy dla niewiedzy. Znał ten ton doskonale z praktyk u Jarala.

Skierował wzrok na miejsce wskazane przez cienki, zakrzywiony palec Zorzanny. Gorejące płomienie oświetlały potężną sylwetkę Biedrawy.

– Nie odwracaj wzroku – nakazała wiedźma.

– Przecież za potrzebą wyszedł. To nie wypada...

– Patrz, bo drugiej takiej szansy pewnie mieć nie będziesz.

Mirosław czuł, jak policzki czerwienieją mu od wstydu. Na szczęście Biedrawa stał do nich plecami i nie musiał podziwiać jego przyrodzenia, co znacznie uspokoiło Mirosława. Spokój jednak nie trwał zbyt długo, bo mężczyzna, skończywszy z jednym, zabrał się za drugie. Odwrócił się i z męką wymalowaną na twarzy ściągnął spodnie niżej. Szybko wyszło na jaw, co wywołało ten bolesny grymas. Głośne, przeciągłe pierdnięcia niosły się bez końca po śpiącym lesie. Choć stali od Biedrawy dobre dziesięć kroków, Mirosław odruchowo zakrył nos dłonią. Po chwili dłoń sama odsunęła się od twarzy, odsłaniając rozdziawione usta. Za Biedrawą coś zamigotało, a po chwili oczom wróża ukazała się postać kobiety. Wewnątrz niej wirował dym, który co chwila żarzył się płomiennym blaskiem. Wyglądała jak rzeźba wyryta w popiele, z tym że ten popiół za nic sobie miał ziemskie prawa.

– O bogowie... To... demon – wydusił w końcu z siebie.

– Źle. Ale dobrze, że raczyłeś go w końcu dostrzec. A więc, co to jest?

Mirosław przełknął ślinę i jeszcze raz spojrział na migoczącą czerwonym światłem poświatę kobiety.

– Czy ten zgarbiony dureń cię czegokolwiek nauczył? Nie wiesz, co to jest? To może wiesz, skąd się tutaj wzięła? Co czujesz, gdy na nią patrzysz?

*Skąd mam, na miłego Peruna, wiedzieć, co to... co ona tutaj robi?*

Wbrew sobie spojrział na widmo kobiety. Może nie wiedział, skąd się tutaj wzięła, za to doskonale czuł bijące od niej złość, gorycz i palącą żądzę zemsty.

– To jakiś demon.

– Źle.

– Jak to źle?! To przecież nie człowiek, nie zwierzę, to musi być demon.

– Ale nim nie jest.

– Skoro nim nie jest, to czy jest czymś bardziej niebezpiecznym?

– W tej postaci nie.

– Dzięki bogom...

– Bogów w to nie mieszaj. To człowiek jest jej panem.

– Jak człowiek? Niech Zorzannie potężny Weles wybaczy to bluźnierstwo.

Wiedźma zaśmiała się cicho.

– Weles nie ma z tym plugastwem nic wspólnego. Już nie... – dodała z kpiną. – Kiedyś w istocie można było powiedzieć, że to demon. Jeden z wielu demonów Welesa, ale ta bestia już nim nie jest. Weles opiekuje się demonami, nie tymi ludzkimi wytworami. Porzucił je, a raczej to one się wyrwały spod jego władzy.

Mirosław milczał. Czekał w napięciu na wyjaśnienie. Słyszał legendy o biesach, demonach wojny, które odwróciły się od Welesa, ale nikt nigdy nie stwierdził, że nie są one demonami.

– Spójrz na nią. To ludzie ją stworzyli ze swego gniewu, arogancji i zawiści – powiedziała wiedźma. – Przypomnij sobie, co stało się

w karczmie. Ludzie też władają magią, ale jej nie kontrolują. Na te czorty to i żaden bóg nie pomoże.

– To bies... – Mirosław momentalnie przypomniał sobie bójkę w karczmie. – Ale powiedziałaś, że jest nieszkodliwy.

– Nic wielkiego się nie stało, więc i bies z niej jak z Jarala znachor. Będzie nękać Biedrawę we śnie jeszcze dwie, trzy noce, podsyci nienawiść i zniknie. Jest słaba. Zobacz, jak rozmywa się za każdym razem, gdy oddali się od Biedrawy.

– Dlaczego bies przybrał postać kobiety? Przecież Biedrawa wściekł się, że nikt mu nie uwierzył, że utłukł jakiegoś potwora.

– Tak właśnie powiedział. A od kiedy to należy wierzyć w to, co ludzie wygadują? Głupiś ty, Mirosławie, jak Jaral. Dobrze, że cię zabrałam, bo masz potencjał. Potencjał magiczny, bo ten myślowy to nie wiem, czy uratuję.

*Doprawdy Elgan w spódnicy* – pomyślał chłopak i westchnął z nostalgią.

Może wąpierz nie był uosobieniem idealnego przyjaciela, ale w głębi duszy wróż wierzył, że darzy go sympatią, tylko nie potrafi jej okazać. Ostatecznym dowodem na to, że Elgan jest jego przyjacielem, było ofiarowanie mu pod opiekę Zimy.

*Przecież nie oddałby mi tak wspaniałej klaczy, gdybym nie był godnym zaufania przyjacielem?*

Brakowało mu Elgana. Jego wrednych przytyków, za które zawsze obrywał od Dorady.

*Dorada... Gdzie jesteś, dobra przyjaciółko? Oby nie na łąkach Wyraju...*

– Całkiem ci rozum odebrało?! Raz skarciłam i już ci mowę odjęło? Bogowie, jakie to wrażliwe teraz wszystko. Jak tak się boczyć będziesz, to łajno się nauczysz.

– Zamyśliłem się.

– Też coś – prychnęła wiedźma. – To może odpowiesz w końcu, myślicielu, na moje pytanie.

Wróż spojrział jeszcze raz na biesa. Choć swoim widokiem wzbudzała niepokój i gniew, nie sposób było odmówić jej piękna.

– Poszło o kobietę.

– No widzisz. Jak cię dobrze złąjąc, to i myśleć zaczynasz. Oczywiście, że poszło o kobietę.

– Dziękuję, że mi ją pokazałaś – powiedział z pokorą wróż. – Czy to koniec nauki na dziś? Możemy wracać do namiotów?

– Koniec? O nie. To dopiero początek.

Coś błysnęło w oczach wiedźmy, choć byli skryci w całkowitym mroku. Mirosław dostrzegł kątem oka buchający ogień. Płomienie wzbily się kilkakrotnie i opadły, a wraz z nimi Biedrawa. Padł do tyłu z cichym plaśnięciem źle strawionej kapusty. Wróż skrzywił się na samą myśl o tym, co wydostało się z kupca.

– Idziemy – zarządziła wiedźma.

Nie czekając na reakcję, Zorzanna ruszyła w stronę kupca. Mężczyzna wydawał się pogrążony w głębokim śnie, choć trudno było wyobrazić sobie, jak można zasnąć w takich warunkach. Mirosław wlepił wzrok w biesa. Kobieta stała nad nieruchomym ciałem Biedrawy, wpatrując się w niego z zaciekawieniem.

– Nie widzi nas – oznajmiła wiedźma, wyciągając z płaszcza skórzaną sakiewkę. – Ale nie mamy wiele czasu. Słuchaj uważnie i nie zadawaj głupich pytań. – Wysypała z woreczka ciemny pył na swoją dłoń, którą szybko zacisnęła.

– Co to jest?

– Popiół, durniu, a co może trzymać w sakiewce wiedźma? Niech cię bogowie mają w opiece, jak jeszcze raz zadasz pytanie. Nie gap się na mnie, tylko na nią. Odliczę do trzech. Na trzy ja rzucam w nią popiołem, a ty dotykasz jej głowy.

- Co takie...? – urwał, gdy wiedźma pogroziła mu zaciśniętą pięścią.
- Jeden.

Mirosław przełknął głośno ślinę i poczuł, jak zimny pot oblewa jego zziębnięte ciało. Wydawało mu się, że nie może być już bardziej przerażony, gdy nagle widmowa kobieta spojrzała mu prosto w oczy.

- Dwa. Trzy! – wykrzyczała pośpiesznie wiedźma. – Teraz!

Proch poszybował w stronę biesa, a wraz z nim ręka Mirosława. Ciemne drobinki wbiły się w ciało kobiety, rozpalając je tak, jak ogień doprowadza żelazo do iskrzenia żarem. Kobieta zawyła dziwnym, stłumionym, cienkim głosem. Mirosław trzymał dłoń na jej płonącym czole. Bies szarpał się, ale dłoń wróża go więziła, co jeszcze bardziej go rozzłościło.

- Nie puszczaj, póki się nie wypali! – rozkazała Zorzanna.

Chciał jej coś odpowiedzieć, ale gardło miał tak ściśnięte, że jedyne, co z niego wyszło, to cichy jęk. Miał ochotę oderwać dłoń od iskrzącej żarem istoty, ale bardziej od rozwścieczonych oczu stworzonego przez człowieka demona bał się tego, co może się stać, gdy zerwie więź i uwolni oszalałego biesa. Wiedźma cisnęła drugą garść popiołu. Widmo kobiety oślepiło ich ognistym blaskiem i znikło.

- Co się... z nią... stało? – wyjąkał Mirosław, stojąc ciągle w tej samej pozycji.

- Opuść tę rękę, bo ci cała krew ucieknie.

- Co się...?

- Co się, co się. A zaraz się okaże – warknęła Zorzanna i pociągnęła Mirosława do ogniska. – Rękę w ogień.

- Co?

- Włóż rękę w ogień – powtórzyła bez emocji, jakby właśnie kazała mu osiodłać konia.

- Przecież się poparzę! – zaprotestował piskliwie i odchrząknął szybko. Zdążył już polubić swój nowy głos. Głos mężczyzny, a nie

chłopaka, któremu ledwie co wyrosły cienkie wąsiki pod nosem. – Nie zrobię tego.

– Nie mów takim niskim głosem, bo jeszcze się krowy zlecą. Wielkie byłoby ich rozczarowanie na widok takiego byka. A teraz bez gadania, bo nam się noc kończy i trzeba będzie ruszać w drogę. Ręka w ogień.

Tym razem słowom wiedźmy towarzyszył czyn. Zorzanna chwyciła wątłe ramię wróża i wepchnęła je w ognisko. Płomienie podskoczyły z sykiem i opadły.

– Aaaaaaa!

– Całą puszcę chcesz wybudzić?! – zganiła go, wyciągając poparzoną dłoń Mirosława. – Tylko mi tu nie becz. Nic ci nie będzie – mówiła nacierając go jakąś śmierdzącą substancją, którą wyjęła z kieszeni płaszcza.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Chciałam sprawdzić.

– Sprawdzić? Co sprawdzić? Mogłaś spalić mi rękę! – uzalał się Mirosław, choć skóra przestała już płonąć ostrym bólem. Teraz czuł jedynie lekkie mrowienie.

– Wiedza wymaga poświęceń. Kto by pomyślał... – mamrotała pod nosem, wcierając zbawienną maść. – A byłam pewna, że syn wiedźmy potrafi ujarzmić biesa i...

– Syn wiedźmy?! – wrzasnął wróż. Nieśmiało położył dłoń na jej ramieniu. – Czy ty jesteś moją...

– A niech mnie ręce bogów bronią przed takimi pomysłami! – Zorzanna odrzuciła jego rękę, jakby właśnie wpełzł na nią wyjątkowo obrzydliwy robal. – Do reszty zdurniałeś?!

– W takim razie skąd wiesz, że moją matką jest wiedźma?

– A stąd, że zamiast władać ogniem, ty go dusisz w sobie. Tylko dziecko wiedźmy jest do tego zdolne.

– Myślałem, że wiedźmy nie mogą mieć dzieci.

– Nie z ludźmi.

– Z demonami?

– A od kiedy to demony dysponują sprawnym nasieniem? – Zorzanna wybuchła pogardliwym śmiechem. – Głupszego pytania w życiu nie słyszałam.

Mirosław przygryzł wargi, by powstrzymać się od dalszych pytań. Zdążył się już nauczyć, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć od Zorzanny, najlepiej milczeć i czekać.

– Wiedźmy to półdemony – zaczęła mówić po chwili, zgodnie z oczekiwaniami wróża. – Nie lubię tego określenia, ale ani ludzie, ani wiedźmy nie wymyśliły jeszcze lepszego. Tak jak tylko kocur z kotką, a pies z suką mogą spłodzić potomka, tak i wiedźma może urodzić, ale tylko gdy spółkowała z podobną jej istotą.

– Z półdemonem – wyszeptał Mirosław.

– Yhm.

– Nie wiedziałem, że mężczyźni też mogą być wiedźmami.

– Wiedźmaki to rzadkość, ale się zdarzają. Stąd i taki wybryk natury jak ty, jest czymś niespotykanym.

– Czy to znaczy, że ja też mam w sobie demoniczną cząstkę?

– A jak sądzisz? – spytała Zorzanna, bez wszechobecnej w jej wypowiedziach kpiny. Wiedźma była szczerze zainteresowana jego odpowiedzią, bo, co się jej wyjątkowo rzadko zdarzało, spojrzała na Mirosława.

– Nie władam żadną mocą ani nadludzką siłą... Mam tylko tę bezużyteczną umiejętność topienia metali.

– Nie ma bezużytecznych umiejętności. Są tylko próżni ludzie, którzy nie potrafią znaleźć dla swych darów zastosowania.

Mirosław milczał przez chwilę, zastanawiając się nad słowami Zorzanny.

– Więc? – ponagliła go. – Jesteś półdemonem?



– Chyba... nie.

– Oczywiście, że nie. Życie w tym świecie może dać tylko żywa istota. Demony nie należą do tego świata. Nie są w rozumieniu człowieka żywą istotą. To, z czego ty powstałeś, to ludzkie cząstki więdźmy i więdźmaka. Ale przez całe życie będziesz czuł, że czegoś ci brakuje. Twój umysł pamięta to uczucie obecności demonicznej cząstki z czasów, gdy jeszcze bezpiecznie pluskałeś się w brzuchy matki. Wraz z przyjsciem na ten świat utraciłeś bliskość więdźmowej mocy. Nigdy nie pogodzisz się z tą stratą. To dlatego tak ciągnie cię do demonów. Pamiętam tę noc, gdy Jaral przyproawdził mi tego przekłętego wąpierz. Znachor z pewnością dołączył do niego dla pieniędzy albo ze strachu. Ta zielonooka dziewczka zapewne się w nim zadurzyła, ale ty... Ty byłeś dla mnie zagadką. Po co młody chłopak łązi z wąpierzem? Życie mu niemiłe? Szalony? Na początku pomyślałam, że jesteś jednym z tych niespełna rozumu, co przygód szukają, ale wystarczyło chwilę dłużej się przyjrzeć, żeby zdać sobie sprawę, że w tobie jest więcej strachu niż szaleństwa. W karczmie, gdy dotknąłeś tych toporów, nagle wszystko stało się jasne. Ty po prostu nie potrafisz wytrzymać bez obecności demonów w twoim życiu i będziesz to piętno miał wyryte w duszy aż do śmierci.

– To mało pocieszające – starał się zażartować, by rozładować atmosferę.

Ta poważna Zorzanna go przerażała. Wolał ją uszczypliwą i kpiącą, wtedy czuł się bezpiecznie. Teraz miał wrażenie, że jest nagi, a ona bez skrępowania patrzy na niego i w dodatku udaje, że nic się nie stało.

– Koniec pogadanki. Idę spać, jeszcze trochę minie, nim wzejdzie słońce. A ty – przeniosła wzrok na chrapiącego w krzakach Biedrawę – obudź go, bo tu na śmierć zamarznie.

Chciał ją zatrzymać. Zapytać w końcu o Sibigard. Ciągle miał nadzieję, że to tylko głupi wymysł Sójki. Zawołał jednak tylko za oddalającą się więdźmą:

– Jak mam go obudzić?!

– Walnij go po gębie – powiedziała i odeszła. Po trzech krokach odwróciła się i dodała: – I odskocz od razu, bo jak się zorientuje, że w gównie leży, to może ci ze złości oddać.



## ROZDZIAŁ X

**N**ie znaleźli ani wiedźmy, ani szeptuch. Za to Kazmir, pan Białogrodu, dosyć szybko dał się pojmać. Ponoć pierwszy znalazł go Witold Hardy. Jemu jedynemu przyszło na myśl, by pójść od razu do komnaty Kazmira. Pan Białogrodu leżał pijany w kącie, w dłoni trzymał sztylet. Wyglądał, jakby chciał się zabić, ale nie starczyło mu siły lub odwagi – o ile można w ogóle w tych okolicznościach mówić o odwadze. Pościg za dzikimi trwał całą noc, lecz żołnierze i czarodzieje nie trafili na choćby najlichszy ślad.

Wanda i Ziemowit postanowili przeszukać dom wiedźmy, licząc na to, że natrafią na jakąś wskazówkę, która mogłaby zdradzić miejsce kryjówki. Fannil i Maranti mieli przesłuchać ludzi mieszkających w sąsiedztwie szeptuch, by ustalić, czy kiedyś wspominały o swoich zamiarach ucieczki. Każdy człowiek posiadał choć jednego przyjaciela, któremu często mówił rzeczy mogące go pogrozić. Czarodzieje liczyli, że za pomocą swojej magii, a właściwie lęku, jaki wzbudzała w ludziach ich moc, mogliby z takiego przyjaciela wiele wydobyć.

– Muszą być w mieście – odezwał się Ziemowit, gdy dotarli na miejsce. – Skoro ich nie złapaliśmy, to znaczy, że nie uciekały.

Wanda przytaknęła. Była zmęczona i wściekła na siebie, że nie zareagowała w porę i nie powstrzymała tego przedstawienia. Choć rycerz tłumaczył jej, że gdyby postąpiła wbrew przyjętej etykietce, mogłaby skończyć w lochu, bo dla ludzi, którzy by ją sądzili, panujące od wieków prawa były ważniejsze niż niezwykle okoliczności, jakie wystąpiły wskutek przepowiedni.

– To musi być tutaj. – Wanda zatrzymała klacz i spojrzała przed siebie.

Chata wiedźmy znajdowała się daleko od miasta. Skryta za starymi drzewami, wyglądała równie wiekowo, co potężne dęby, których konary wiły się wokół budynku. Wandzie nie podobała się ta okolica. Miała w sobie coś z pustych lochów, które nawet bez skazańców wzbudzały niepokój i przemożną chęć ucieczki. Zamkowe lochy były miejscem, o którym nikt nie chciał mówić nawet szeptem. Miejscem, którego trzeba unikać. Jadąc w stronę domostwa wiedźmy, czuła, jakby postępowała wbrew rozumowi.

– Zastanawia mnie, dlaczego wiedźma postanowiła porozmawiać właśnie ze mną. Dlaczego nie podeszła do ciebie albo Radomira? Przecież bardziej prawdopodobne było, że to członkowie Rady są zaznajomieni z przepowiednią, a nie nowoprzybyła czarodziejka.

– Może chciała cię upokorzyć. – Ziemowit zawahał się, gdy zobaczył oburzenie na jej twarzy. – Władasz mocą, której od wieków nie spotykamy na tych ziemiach. Znamy czarowników, ale czarodzieje... Cóż, jesteście dla nas czymś nowym.

– Obcym – poprawiła go Wanda. – Na Welesa... – wyszeptała, uświadomiwszy sobie coś.

Wanda i Ziemowit jakby na zawołanie zatrzymali konie i spojrzeli na siebie. Słabe podmuchy wiatru targały ich czarnymi włosami.

– O co chodzi? – spytał.

– Ile razy czytałeś tę przepowiednię?

– Ani razu. Tylko ją słyszałem na zebraniu Rady.

– Ile razy ją słyszałeś? – dociekała.

– Raz.

– Domyślam się, że nie pamiętasz zbyt wiele.

Ziemowit poczerwieniał na twarzy.

– Pamiętam ogólny sens. To wystarczy.

– Oczywiście, że wystarczy – zapewniła Wanda, widząc coraz większe zakłopotanie w oczach rycerza. – Chodzi mi wyłącznie o to, że jestem jedyną osobą znającą na pamięć przepowiednię. Poza Witoldem, którego na uczcie nie było.

Cienkie linie zmarszczek zarysowały się na czole Ziemowita. Zmrużył powieki, bacznie się jej przyglądając.

– Co ty sugerujesz, Wando?

– Że musiała skądś wiedzieć. Dobrze to zaplanowała. Podeszła od razu do mnie. Nie traciła czasu na wypytywanie członków Rady, którzy powinni przyjść jej na myśl jako pierwsi.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że właśnie zasugerowałaś, że mamy wśród nas zdrajcę?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Bogowie... Tylko tego brakowało. Porozmawiam o tym dzisiaj z Witoldem.

– Myślisz, że nadal są w Białogrodzie? – zmieniła temat.

– Gdyby uciekały, znaleźlibyśmy je tamtej nocy – stwierdził Ziemowit.

– Co w takim razie proponujesz? – Wanda zeskokczyła z konia.

– Trzeba jakoś zmotywować mieszkańców do mówienia.

– Maranti i Fannil właśnie to robią.

– Nie. – Ziemowit zmarszczył nos i zacmokał. – To nie wystarczy. Oni nie są w stanie porozmawiać ze wszystkimi.

– Chcesz, żebyśmy kazali żołnierzom rozmawiać z każdym mieszkańcem Białogrodu? To znaczy, straszyć i grozić każdemu mieszkańcowi – poprawiła się Wanda.

– To zajmie zbyt dużo czasu, a i skutek może być mierny. Trzeba kogoś dla przykładu poddać torturom, żeby ludzie faktycznie się wystraszyli i zaczęli gadać. A z pewnością któreś z nich ukrywa u siebie szeptuchy. Może nawet i wiedźmę.

Wanda nie popierała pomysłu torturowania kogokolwiek dla przykładu. Dziwiła się jednak, że właśnie takiej strategii nie obrali członkowie Rady.

– Dlaczego w takim razie jeszcze nie zastosowaliście tych tortur?

Ziemowit zerknął na nią kątem oka. Lewy kącik ust rycerza uniósł się lekko. Wanda czuła, jak jej policzki pokrywają się rumieńcami. Nie chciała, by myślał o niej jak o bezdusznej czarodziejce, która przybyła do Villperuny w poszukiwaniu sławy, bogactwa i władzy. Ziemowit był honorowym i obowiązkowym rycerzem, ale mimo swojego oddania królestwu, należał do tych mężczyzn, którzy najpierw się zastanawiają nim zacząć działać. Nie wykonywał ślepo powierzonych mu rozkazów. Nawet wtedy na balu widziała, że z trudem przyszło mu zastosowanie się do panującego prawa.

Przywiązali konie do drzewa i ruszyli w stronę wejścia.

– Coraz bardziej mnie zaskakujesz. Chciałabyś osobiście przeprowadzić przesłuchanie?

– Nie – zapewniła Wanda. – Nie podobają mi się takie praktyki. Myślałam jednak, że władza nie uznaje litości.

– Bo nie uznaje. Tu nie chodzi o litość, tylko o prawo. Mamy okres Szczodrych Godów, a w Białogrodzie jest to szczególny czas. Nie wolno nam teraz używać tutaj siły. No chyba że w obronie własnej.

– Dlaczego?

– Siedem lat temu w przeddzień Szczodrych Godów zabito na placu kilku mężczyzn; złodziei, którzy chcieli okraść dom pana Białogrodu. Nazajutrz zaczęły się dziać straszne rzeczy. Ludzie chorowali i padali jak muchy, a cały kolejny rok był pełen nieurodzaju, głodu i cierpienia.

– I dlatego teraz przemoc przed Szczodrymi Godami jest zakazana?

– Nie inaczej. Kapłani orzekli, że to kara zesłana przez bogów za to, że w przeddzień tak ważnego święta, przesilenia zimowego, mieszkańcy Białogrodu zbezczęścili ziemię krwią takich szubrawców. Od tamtej pory na tydzień przed świętem nie można przelewać krwi. Takie jest prawo i wola bogów. Z bogami lepiej nie zadzierać.

– I król Villperuny zgodził się, by ustanowić prawo obowiązujące tylko w jednym mieście?

– Zrobił to na prośbę kapłanów – tłumaczył Ziemowit. – Valdim II jest bardzo oddany bogom.

– Od tych waszych praw zaczyna mnie boleć głowa – odparła i pchnęła drzwi.

Wnętrze było niemal puste, a w powietrzu unosił się zapach oleju lnianego, wosku i ziół. Wyglądało, jakby ktoś właśnie się stąd wyprowadził. Wiedźma najwyraźniej bardzo się spieszyła, bo po podłodze walały się księgi i pojedyncze kartki. Za stertą woluminów coś błysnęło. Wanda zmrużyła oczy i gdy tylko do niej dotarło, co ma przed sobą, pobiegła w stronę migoczącego światła.

– Stój! – krzyknął za nią Ziemowit, ale ona klęczała już przed dopalającym się ogarkiem.

Zdmuchnęła płomień, przekonana, że w ostatnim momencie ratuje chatę przed pożarem. Ogień jednak zamiast ukorzyć się przed żywiołem powietrza, wzbił się i zajął walające się kartki. Pokryty woskiem i olejem pergamin zaczął się palić w błyskawicznym tempie. Nim Wanda zdążyła się zorientować, płomienie wokół niej zatoczyły krąg. Rozejrzała się w poszukiwaniu wody, którą mogłaby wprawić w ruch swoją mocą. Jednak

w pomieszczeniu nie było choćby niedopitego naparu. Przerazenie i gorąc utrudniały myślenie. Zebrała w sobie tyle odwagi, ile miała i ruszyła na spotkanie żywiołowi. Chciała szybko przebiec przez płomienie, ale gdy tylko znalazła się tak blisko, że żar palił jej oczy, strach odbierał jej władzę nad ciałem.

Ziemowit też próbował przebiec przez ścianę ognia, by ją stamtąd wydostać, ale i on nie był w stanie pokonać lęku.

– To jakaś ich magia! – krzyknęła, gdy rycerz po raz drugi zbierał się w sobie, by przebiec przez ogień. – Nie damy rady tego przekroczyć.

– Jestem rycerzem! Psia mać! – zaklął Ziemowit, a potem rzucił się w płomienie. Zdołał jedynie musnąć czerwone języki, po czym odbił się od nich, jakby one same go wypchnęły.

– Weź jakieś naczynie i wypełnij je śniegiem! – poleciła mu Wanda.

Ziemowit walczył przez chwilę ze sobą. Był rycerzem. Honor nakazywał mu pobiec w płomienie, by uratować kobietę.

– Ziemowicie, błagam, pośpiesz się! To jest magia!

Rycerz zaklął siarczyście pod nosem i wziął największy gar. Bez zbędnych pytań wybiegł z chałupy.

– Trzymaj go tak, żebym widziała śnieg! – zawołała, gdy wbiegł zdyszany z naczyniem pełnym białego puchu.

Czarodziejka uformowała dłonie w kulę. Zamknęła powieki, by móc się lepiej skupić. Musiała znaleźć w sobie równowagę. Nie czuć ani radości, ani smutku, wyzbyć się wszelkich myśli. Ćwiczyła sztukę wyciszania przez wiele lat w Akademii. Przeszła setki prób w bardzo trudnych warunkach, jednak po raz pierwszy znalazła się w sytuacji, w której nikt jej nie pomoże, nawet jeśli stanie się jasne, że nie poradzi sobie z próbą i należy ją wyciągnąć w ostatniej chwili z płomieni.

*Tutaj ta chwila będzie w istocie moją ostatnią* – pomyślała i zacisnęła mocniej powieki. *Skup się, Wanda!*



Po chwili między jej palcami zawirowwały srebrne iskry. Otworzyła oczy i skierowała wzrok na topniejący śnieg. Drobinki magii poszybowały nad płomieniami i zanurkowały w naczyniu. Wodny wir zatoczył koło nad Ziemowitem, który z szeroko otwartymi oczami obserwował popis magicznych umiejętności czarodziejki. Wanda ostrożnie uniosła dłoń i skierowała wodę w swoją stronę. Płomienie zasyczały jak rozwścieczone węże. Jęknęła z wysiłku, gdy wir zaczął przedzierać się przez ścianę ognia. Powoli wyznaczała cienką linię, która miała stać się jedyną drogą ucieczki. Pot lał się po jej czole strumieniami. Chciała krzyknąć, ale wiedziała, że jeśli się podda, zginie w męczarniach. Strach utrudniał skupienie na czarach. Opadła na kolana, czując, że zadanie może ją przerosnąć. Dłonie zdrętwiały od ilości magii, jaką musiała w nich zgromadzić, a serce łomotało w piersi jak szalone. Miała wrażenie, że za chwilę to jej własna magia zakończy jej życie, nie wiedźmowy ogień.

Zemdlała.

Obudził ją cichy głos Ziemowita. Nie wiedziała, ile czasu była nieświadoma. Zamrugła piekącymi powiekami i stęknęła z bólu, bo silne ramiona rycerza oplotły ją ciasno, jak sznur szyję wisielca. Chciała go zganić za to, że tak mocno ją trzyma. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że cała się trzęsie, a on stara się ją ogrzać. Ziemowit klęczał, trzymając Wandę na swoich udach.

– Już po wszystkim – wyszeptał.

W jego głosie słyszała ulgę i wstyd. Domyślała się, że będzie sobie to wypominał do końca życia. Trwali w uścisku, a płomienie pożerały starą chatę wiedźmy. Trawiły drewno i wspomnienia, które nagromadził w sobie wiekowy dom. Chmura dymu zakryła niebo niczym złowrogi zwiastun nadchodzących czasów.

– Zapłaci mi za to – wycharczała czarodziejka przez poranione żarem gardło.

– Dopilnuję, by tak się stało – obiecał Ziemowit.

Czuła się bezpieczna w jego ramionach. Chciała tak trwać bez końca. Myśl, że prawdopodobnie jeszcze nie raz będzie musiała mieć do czynienia z wiedźmami, napawała ją zgrozą. Przez chwilę wściekała się na samą siebie za to, że przyjechała do Villperuny. Szybko jednak przypomniała sobie o powodzie tak odważnej decyzji. Musiała spłacić dług, który zaciągnęła u czarodziejów i znachorów, by uleczyć Gerika, swego jedynego brata. Nie mogła dopuścić do tego, by to jego dzieci do końca swego życia pracowały na spłatę długu. Wanda traktowała je jak własne, których nigdy nie będzie mogła posiadać. Taka już się urodziła. Jałowa, jak zwykli określać to znachorzy i czarodzieje parający się leczeniem.

– Odnajdę ją – wyszeptała, czując jak los nadaje jej życiu nowy cel. – Odnajdę tę wiedźmę.



## ROZDZIAŁ XI

Zapach pieczonej kaczki, kaszy ze skwarkami i kiełbas był niczym w porównaniu do woni ciepłej krwi. Pora obiadowa zgromadziła w miastowej karczmie rzemieślników, przejezdnych kupców i wędrowców. Życiodajny płyn ludzi zmęczonych poranną pracą bądź tułaczką pachniał oszołamiająco.

– Nie idź tam. Zostań tu – mamrotał pod nosem Elgan, skryty za leśną gęstwina, zza której obserwował karczmę. – Nie idź. Złap jakieś zwierzę.

Mówił coraz głośniej i szybciej, jakby od tego zależało, czy się powstrzyma. Wbijał przy tym ostre paznokcie w korę wiekowego dębu.

– Nie idź tam. Zostań tu.

Nagle za plecami usłyszał chrapliwy chichot. Odwrócił się i wyciągnął przed siebie dygoczącą dłoń. Mgła zawirowała wokół jego palców.

– Precz – wycharczał Elgan. – Precz, bo...

Nie dokończył. W wąskich słupach światła słońca, które przebijało się przez oprószone śniegiem gałęzie, dostrzegł sylwetki dwóch demonów.

– Strzygi – wyszeptał i w tym samym momencie mgła wokół jego ręki załśniła niebieskimi drobinkami.

– Wąpierzuk straszy nas Niebieską Przyjemnością – skomentowała niska, przysadzista strzyga.

– On jeszcze nie wie – zachichotała druga. Była wielkości dorosłego niedźwiedzia, a zęby miała tak ostre, że wokół jej spękanych warg widać było liczne rany, z których sączyła się ropa.

Promienie słońca rozlały się po rdzawej barwie cielsk demonów.

Mniejsza strzyga rzuciła z brzękiem łańcuchy i zabrała się za kopanie dołu. Demon rył szponami skutą mrozem ziemię, wydając przy tym serię warknięć i sapnięć.

– Już kiedyś strzygi próbowały mnie zakopać. – Elgan wskazał na siebie i zachwiał się. – Jak widać nie wyszło, bo wciąż stoję na powierzchni tej ziemi.

– Już niedługo będziesz podziwiał jej wnętrze.

Elgan uniósł dłoń, gotów wymierzyć wiązkę magii w bezczelną strzygę, ale zastygł, gdy zza drzewa wyłoniła się znajoma twarz.

– Kalia...

Wąpierzycyca o stalowych oczach uśmiechnęła się do niego na przywitanie. Jej srebrne włosy wiły się nad pociągłą twarzą, tworząc coś na wzór misternego koku, który w zamyśle miał przypominać rogi. Szła w jego kierunku, chybocząc się lekko raz na jedną, raz na drugą stronę, jakby leniwie tańczyła w rytm muzyki. Zatrzymała się dziesięć kroków przed nim.

– Znalazłam cię – powiedziała, przechylając lekko głowę. Jej ciemnozielona suknia zafalowała, gdy Elgan przywołał magię ciemności. Mgła zatoczyła koło wokół jego ciała. – Nie pomoże ci magia ciemności.

– Wydaje mi się, że potrafię używać mocy lepiej od ciebie – syknął Elgan. – Nawet strzygi ci nie pomogą.

– One? – Kalia spojrzała kątem oka na demony. – One mają cię tylko związać i zakopać w ziemi.

– Nigdy nie grzeszyłaś rozumem. Tak bardzo znudziły ci się tańce na salonach i podgryzanie bogatych paniczów, że postanowiłaś się ze mną zmierzyć?

– Gdyby to ode mnie zależało, nie pofatygowałabym się tutaj, żeby choćby na ciebie splunąć.

– Itris... – wycedził przez kły.

– Serdecznie cię pozdrawia.

– Nie ma odwagi sam się ze mną zmierzyć?

– Ma w tym momencie ważniejsze sprawy na głowie. Z tobą rozprawi się, gdy nadejdzie czas. A teraz ja zakopię cię w tym lesie, żeby Itris nie musiał już cię szukać po całym świecie.

– Niedoczekanie twoje – warknął Elgan i zamachnął się magią. Wiązka mocy musnęła czubek srebrzystego koku wąpierzycy.

Kalia pokręciła głową z niesmakiem.

– Chętnie odpłaciłabym ci się za to powolnym obdzieraniem ze skóry, ale Itris kazał mi cię tylko zakopać.

– Itris ci kazał – powtórzył jej słowa. – A może Rod?

– Nie jesteś godzien, by o nim rozmawiać – syknęła.

– Porozmawiajmy więc o Itrisie. Co go tak zajmuje? Porywanie dzieci?

Kalia milczała. Wpatrywała się w niego z zaciętością.

– Co z nimi robicie? Wbijacie sztylet prosto w serce? Skrapiacie ziemię niewinną krwią, a później palicie ich ciała? Tego właśnie chce wasz pan? Poświęcenia? Ofiary? Szaleńczej czci?

– Zamilcz.

– Popełniłaś błąd, Kalio. Powinnaś była zostać wierna Welesowi. Przyjdzie czas, gdy gorzko pożałujesz zdrady.

– Zamknij się, bo nie ręczę, że zastosuję się do polecenia Itrisa.

Kalia uniosła dłonie i czule pogładziła swój misterny kok.

Przez chwilę Elgan myślał, że wąpierzycyca kompletnie postradała rozum i poprawia fryzurę w najmniej odpowiednim momencie. Ta jednak po chwili wyjęła skrytą we włosach drobną fiołkę. Z szyderczym uśmiechem Kalia pomachała mu przed oczami naczyniem wypełnionym gęstym, ciemnym płynem.

– Poznajesz? – spytała. – To chyba należało kiedyś do ciebie.

*Moja krew...* – myślał, patrząc na naczynie. *Skąd do li... Świątynia praboga...*

Dreszcz niepokoju przebiegł po plecach Elgana, gdy uświadomił sobie, że może nie wyjść obronną ręką z tego starcia. Nie chodziło tylko o beznadziejny stan, w jakim się znajdował od dłuższego czasu, lecz także o przewagę, jaką dawała Kalii jego krew. Dobrowolnie oddana krew, której kiedyś Itris zażądał od niego w zamian za darowanie życia Doradzie, w rękach Kalii była potężną bronią.

– Coś ci mina zrzęda, Elganie. Chciałbyś może coś jeszcze dodać, zanim wrzucę cię do tej dziury?

Wąpierz przeniósł wzrok na strzygi, które już kończyły wykopywanie dołu. Demony zarechotały, dostrzegłszy przerażenie w jego oczach.

– Dlaczego? – spytał, by grać na zwłokę. – Dlaczego dołączyłaś do Roda?

Kalia nie dała się wciągnąć w jego plan. Odkorkowała fiołkę i powąchała zawartość. Po chwili z plątaniny srebrnych kosmyków wyjęła drugie naczynie, mieniące się różnorodnymi kolorami. Zaklęty w środku ogień opadał i wzbijał się, zmieniając za każdym razem barwę. Na twarzy Kali tańczyły niebieskie, zielone i czerwone cienie.

*Magia Roda...* – pomyślał, gdy wąpierzycyca przechyliła zawartość wirujących, różnobarwnych płomyków do fiołki z jego krwią.

– Nie rób tego! – zawołał i cisnął w nią magią.

Jego przeciwniczka była na to gotowa. W porę chwyciła naczynia w jedną dłoń, a drugą odparła atak, wymachując w powietrzu znak rozprasający. Wyrysowane koło odbiło niebieskie drobinki. Iskry magii ciemności przedarły się przez gałęzie, a niektóre wbiły się w ciała zaskoczonych strzyg. Demony zawyły przeciągle, patrząc na Kalię z wyrzutem. Wąpierzycza zaśmiała się, po czym wymieszała krew z magią Roda i wychyliła fiolkę. Powoli, z satysfakcją oblizwała wargi, patrząc na Elgana.

– Zabawę czas zacząć.

Poczuł dziwne mrowienie rozlewające się po całym ciele. Nagle skóra napięła się niebezpiecznie, jakby miała za chwilę rozerwać się na jego oczach.

– Jesteś gotowy na odpoczynek? – spytała, obchodząc go dookoła. – Dla twojego własnego bezpieczeństwa najpierw zwiążemy cię łańcuchami, a później będziesz miał dużo czasu na przemyślenia. Dlaczego patrzysz na mnie z taką nienawiścią? Przecież lubisz myśleć. Ty wiecznie coś sobie wyobrażasz w tej głowie. Milczysz i błędzisz tymi ślicznymi, błękitnymi oczkami. Może i zyskałeś dzięki temu wiele wielbicielek, ale ja od zawsze cię nie lubiłam, wiesz?

– Dlaczego? – spytał szeptem, bo słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte zgrozą gardło.

– Bo jesteś inny – syknęła. – Chcesz być inny. Czujesz się od nas lepszy. Książę ponad wszystkie wąpierce. Nie jesteś lepszy.

– Jakbym słyszał Itrisa... – zakpił, choć wiedział, że gorzko tego pożałuje.

Nie musiał długo czekać na gniew Kalii. Z jej dłoni opadła gęsta mgła, która powoli pełzła w stronę Elgana. Ucieczka nie miała sensu. Ukląkł i położył dłonie na ziemi. Spod jego palców wydostał się jasny, migoczący zielonymi refleksami dym.

– Na nic ci się zda obrona – skomentowała jego desperacki próby. – Tylko się zmęczysz.

– Zaryzykuję.

– Dobrze. Niech więc się zacznie.

Zielone iskry zasyczały, gdy magia Kalii zatknęła się z dymem ochronnym Elgana.

Powietrze wypełniło się zapachem palonego drewna i rozżarzonego metalu. Wąpierzycy uniosła dłoń. Elgan poczuł, jak jego ciało wiotczeje, by za chwilę wybuchnąć ostrym bólem. Wiedział, że Kalia właśnie wysłała swoją moc bezpośrednio do jego krwi. Dopóki w żyłach wąpierzycy krążyła jego posoka, mogła torturować go do woli.

Skupił całą moc, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Cienki słup magii wystrzelił z jego dłoni i ranił Kalię w udo. Wąpierzycy spojrzała na rozdartą suknię i pokręciła głową z irytacją.

– To jedna z moich ulubionych kreacji. Jak mogłeś?

Własna niemoc i rozbawienie w jej głosie doprowadzały go do furii. Był osłabiony. Choć wola walki jeszcze się w nim tliła, ciało nie chciało słuchać jego błagalnych prośb. Gdyby to było zwykłe starcie, nawet w tym beznadziejnym stanie mógł z nią wygrać. Elgan nie wiedział, jak długo jego krew przetrwa w ciele Kalii, ale nie łudził się, że uda mu się utrzymać obronę na tyle długo, by moc dobrowolnie oddanej krwi wygasła.

*Musi być jakiś sposób* – myślał gorączkowo, gdy żyły pulsowały obcą magią.

Strzygi zawyły podniecone tym, co miało się za chwilę stać.

Elgan zaczął się cofać, gdy jeden z demonów zamachał łańcuchem. Strzyga rzuciła się na niego i zaczęła ciasno oplatać ciało wąpierzycy. Próbował przywołać magię, ale dłonie nie chciały go słuchać. Kopnął zbliżającą się do niego drugą strzygę i przetoczył się pod pień zwałonego drzewa.



– Jak zwierzę w potrzasku – skomentowała Kalia. – Wiesz, chyba po raz pierwszy wywołałeś we mnie odrobinę podziwu. Myślałam, że szybciej się poddasz.

Elgan poczuł, jak szpony strzygi wbijają się w jego kark. Demon zawlókł go przed wykopaną w ziemi dziurę i kopniakiem posłał w dół. Kalia kucnęła na brzegu i spojrzała na niego z góry.

– I właśnie tutaj jest twoje miejsce, Elganie.

Zgarnęła ziemię i rzuciła mu ją w twarz. Strzygi zawyły z radości, po czym poszły w jej ślad.

– Co do...? – syknęła wąpierzycy, gdy ciepły blask rozlał się po leśnej gęstwinie.

Kalia poderwała się z furią i pognąła w stronę światła, które pulsowało miarowo, stając się coraz jaśniejsze.

Elgan nie miał pojęcia, co się dzieje, ale szybko skorzystał z chwili nieuwagi przeciwniczki i przywołał tyle mocy, ile zdołał. Magia Roda musiała być w jakiś sposób zależna od woli wąpierzycy, bo gdy ta odeszła, poczuł, jak nieprzyjemne mrowienie odpuszcza. Łącuchy rozjarzyły się czerwienią. Nabrzmiące metalowe koła zwolniły uścisk, po czym opadły z cichym brzękiem. Elgan wdrapał się po ścianie ziemi i wyjrzał na powierzchnię.

– Marianna... – wyszeptał i wygramolił się z miejsca kaźni. – Nie! Nie rób tego!

Południca, zamiast włóczyć się po pięknych ogrodach Wyraju, gdzie kara Swaroga jej nie sięgała, teraz stała w pełnym słońcu niczym męczennica, która dobrowolnie pragnie odpokutować swe przewiny. Cienkie słupy światła życiodajnej kuli wbijały się w jej ciało, rozpalając delikatną skórę. Popielate włosy Marianny płonęły żywym ogniem, a niegdyś łagodne, błękitne źrenice jarzyły się czerwienią.

– Zdradziłaś Welesa. – Głos południcy poniósł się po lesie, jakby to nie jedna zatracona kobieta, a chór wściekłych demonów zagrzmiał

nagromadzoną latami furia.

Kalia klasnęła w dłonie, z których buchnął niebieski dym. Południca zawyła, a z jej ciała wy dostał się gorący podmuch. Buchające żarem powietrze uderzyło w chmurę magii, oślepiając tym samym wąpierzycę, która padła, tracąc równowagę. Kalia szybko poderwała się i cisnęła w południcę wąskimi strumieniami magii, które owinęły się wokół jej ciała, zostawiając liczne zadrapania.

– Brać ją! – ryknęła.

Na rozkaz wąpierzycy strzygi rzuciły się na przeciwniczkę. Jedna złapała jej nogi, by uniemożliwić Mariannie poruszanie. Druga niechętnie chwyciła ją w pasie, krępując dłonie. Demony nie wytrzymały zbyt długo, bo żar spływający z włosów południcy palił ich skórę.

– Bezżyteczne pasożyty! – warknęła Kalia, gdy strzygi z piskiem uciekły w głąb lasu. Zawzięcie rzucała w stronę Marianny wiązki magii, ale ta odpierała gorącymi podmuchami każdy atak.

Elgan był tak wyczerpany torturami, jakie zadała mu wąpierzycy, że ledwo trzymał się na nogach. Zaczął czołgać się w stronę Kalii.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – zawołała południca.

– Marianno, nie rób tego – wycharczał. – Skryj się w cieniu!

Ale ona go nie słuchała. Elgan doskonale wiedział, że szaleństwo, które za sprawą promieni słońca właśnie opętało południcę, już przejęło kontrolę nad jej decyzjami.

Stała w najbardziej oświetlonym miejscu, tam, gdzie gałęzie chwilę temu runęły pod naporem magii ciemności, gdy Elgan próbował odeprzeć atak Kalii. Powietrze nagle zgęstniało, dusząc gorącym jak w upalny letni dzień. Ciało Marianny rozjarzyło się oślepiającym blaskiem. Czas jakby się zatrzymał. Wszystkie dźwięki i zapachy zniknęły.

Elgan domyślał się, co za chwilę nastąpi. Już kiedyś był świadkiem obłądu Marianny, ale wtedy obecność Welesa stłumiła jej moc. Wycofał się prędko i wskoczył do dołu, z którego nie tak dawno temu rozpaczliwie

chciał się uwolnić. Nad jego głową rozbłysnął oślepiający blask. Ukrył twarz w ramionach w obawie, że za chwilę spłynie na niego palące powietrze.

Gdy uniósł powieki i wy dostał się z dołu, Marianna leżała bezwładnie na ziemi, a kilka kroków od niej Kalia kuliła się z bólu, dysząc ciężko. Co rusz próbowała dźwignąć się na nogi, ale one tylko uginały się pod nią, jakby dopiero uczyła się chodzić. Skóra wąpierzycy była czerwona i spękana. Wyglądała, jakby w ostatnim momencie uciekła ze stosu. Elgan wiedział, że jeszcze długo nie będzie mogła zakładać swoich pięknych kreacji, odsłaniających niemal całe, niegdyś perfekcyjne ciało.

Powoli podszedł do Kalii i nachylił się nad nią. Pot z jego czoła skapywał na poranione ramiona wąpierzycy i skwierczał cicho.

– Nie zakopię cię w tej dziurze tylko dlatego, że chcę, abyś pozdrowiła ode mnie Itrisa – powiedział i odszedł w stronę południcy.

Marianna patrzyła na niego nieobecny wzrokiem.

– Dlaczego? – zapytał i położył dłonie na jej policzkach. Cienka warstwa mgły otuliła jej ciało.

– Bo jesteś tego warty – wyszeptała.

– Nie – odparł i przygryzł wargę ze złości. Był wściekły na nią, na siebie, a przede wszystkim na Itrisa. – Marianno, nie wiem, jak mogę ci pomóc. Moja magia powinna ci ulżyć w cierpieniu, ale nie wiem...

– Dojdę do siebie – przerwała mu, chwytając dłoń wąpierza, która wciąż tkwiła na jej policzku. – Zaprowadź mnie do Wyraju.

– Marianno...

– Tylko mnie zaprowadź. Nie oczekuję, że zostaniesz.

– Nie mogę tego zrobić. Nie wrócę tam.

– Dlaczego tak się uparłeś? Masz ciągle żal do Welesa?

– Nie ja się od niego odciąłem. To on zniknął bez słowa. Teraz, gdy jest tak bardzo potrzebny.

– Elganie. Zaufaj mu.

– Chciałbym mu zaufać, ale nie daje mi ku temu szansy. On nas opuścił.

– Nie mów tak, proszę.

Widząc, jak bardzo rani jej uczucia, nie powiedział już ani słowa, choć bardzo chciał wyrzucić z siebie złość i żal, jakie żywił do Welesa. Nie mógł wybaczyć mu tego, że nie ukarał Itrisa za zdradę, że nie rozszarpał jego duszy na drobne kawałki. Jedyne, czego pragnął, to zemsta za to, co ten zdrajca zrobił Doradzie. Tymczasem Weles zniknął, a Itris bawi się w najlepsze, nasyłając na niego Kalię i strzygi.

Jeszcze chwilę trwali w milczeniu, nim południca była w stanie się podnieść. Elgan wypuścił wolno powietrze i pomógł Mariannie wstać, gdy ta dała znak, że jest gotowa.

– Zaprowadzę cię tylko przed Drzewo Życia. Do Nawii wejdiesz sama. Wyraj już nie jest moim domem. Nie jest, dopóki nie ma w nim Welesa – wyznał Elgan i wystawił ramię, by mogła się na nim wesprzeć.  
– Dziękuję, Marianno. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Minęli skuloną z bólu i złości Kalię. Elgan słyszał pogrożki z ust wapierycy i cichy szloch. Spojrzał przed siebie, zastanawiając się, jak długo zajmie im wyprawa do Wyraju w tym opłakanym stanie, w którym oboje się znajdowali.

*Tylko cię tam zostawię, Marianno, i wrócę na ziemię ludzi, by odnaleźć Itrisa. Odnajdę go, choćbym miał się do reszty zatracić i zginąć.*



## ROZDZIAŁ XII

**D**orada siedziała przed płotem ze skrzyżowanymi nogami. Obserwowała ze wzgórza niknące pod białym puchem budynki Villperuny. Zamknęła oczy i pogładziła powietrze dłonią, wyobrażając sobie, że dotyka płomieni. Za każdym razem, gdy łączyła się z ogniem, szło jej coraz lepiej. Czuła go wyraźniej. Ostatnio nawet udało jej się dostać do swojego świata. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ten, do którego trafiła zeszłej nocy, w niczym nie przypominał śnieżnej pustyni, jaką widziała za każdym razem, gdy zanurzała dłoń w płomieniach u Jagny. Wczoraj, gdy Ars po kryjomu udał się do miasta, wezwany do jakiegoś obłąkanego chłopca, Dorada po raz pierwszy spróbowała wejść do ognia sama. Z jednej strony dziękowała bogom, że błąkający się po domu wilczur, którego przygarnął ojciec, pomógł jej wrócić do świata ludzi, z drugiej jednak – więcej było w niej żalu o to, że ten przeklęty pies przewrócił ją i straciła kontakt z ogniem.

Zacisnęła mocniej powieki na wspomnienie wczorajszej wyprawy w dziwny, piękny świat. Jej świat. Świat, w którym słońce świeciło jasno i przyjaźnie. Świat, w którym ziemia pokryta była zieloną, pachnącą trawą i roślinnością tętniącą życiem niepohamowanym ludzkimi dłońmi. Nagle

przypomniało jej się, że gdy zawędrowała w głąb lasu, ujrzała piękną fontannę. Była równie urokliwa jak ta ze Staropola, tylko że fontanna w jej świetle zamiast wodą, tryskała ogniem. Pięknym, migoczącym złotem i czerwienią ogniem. Uśmiechnęła się na wspomnienie tego niezwykłego widoku.

Z rozmyślań wyrwał ją przeciągły dźwięk rogu, do którego po chwili dołączyły miarowe uderzenia bębnów. Dorada zerwała się i zbiegła ze wzgórza. Dźwięki dochodziły z centralnej części Villperuny. Coś musiało się dziać na placu targowym. Biegła co tchu, targana złym przecuciem. Gdy tylko znalazła się w pobliżu, od razu zobaczyła kłębiących się wokół placu ludzi.

– Co się dzieje? – wydyszała, zaczepiając starszą kobietę.

– Palić będą.

– Co takiego? Co będą palić?

– Nie co, tylko kogo! – zawołał mężczyzna za jej plecami.

Dorada czuła, jak jej ciało sztywnieje od zimna i strachu.

– Dziką będą palić – wyjaśniła inna kobieta. – Za to, że złą magią się para. Dzieci nam przez takich znikają!

Dorada chwyciła za ramiona kobietę i przyciągnęła do siebie.

– Kogo będą palić?

– Wróżkę jakąś. – Kobieta szarpnęła się, ale dłonie Dorady zacisnęły się mocniej na jej ramionach. – Puść mnie, panienko, bo zaraz się zaczniesz, a tu niczego nie widać. Bliżej trzeba.

– Bogowie... – wyszeptała Dorada, zwalniając uścisk. Stała odrętwiała, choć ciało domagało się, by uciekała jak najdalej.

*Zaczęło się... – pomyślała. Wiedziałam... wiedziałam, że na upominaniu się nie skończy... Bogowie... Bogowie, co mam teraz zrobić?*

Spojrzała w stronę placu. Nie była już w stanie trzeźwo myśleć. Krzyki ludzi wdzierały się do jej głowy, jak drobne szpile wbijały się, sprawiając przenikliwy ból. Jej dusza wyła, błagając o pomoc. Zadrzała,

gdy pod stopami przechodniów zamajaczyły cienie. Czuła je, tak samo jak wtedy, gdy zaatakowała dziewczynkę w czerwonym płaszczu. Słyszała, jak szepczą, a raczej czuła ich szept, bo nie mogła nazwać tego dźwiękiem. Miała wrażenie, że dotykają jej obolałej duszy, szarpiąc delikatnie, zapraszały do ciemnego, pełnego mocy miejsca. Oderwała wzrok od ziemi i spojrzała przed siebie. Wokół niej zrobiła się przestrzeń. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cała dygoce, a ludzie omijają ją w pośpiechu szerokim łukiem, unikając jej wzroku. Nikomu nie było spieszno pomagać obcej, podejrzanej dziewczynie, gdy za chwilę miało się odbyć widowisko, jakiego w Villperunie dawno nie było. Zerkali z ukosa na kobietę o białych włosach, po czym mijali ją, jakby nie istniała. Nikt nie chciał ryzykować i spoufalać się z półdemonem.

*No tak... Nie widzę, nie słyszę, to bogowie wybaczą mi, nawet jeśli ta dziewczyna właśnie umiera* – pomyślała z goryczą.

Miała ochotę wpakować w nich całą magię, która krążyła w jej żyłach. Przeraziła się na myśl, że znów może stracić kontrolę. Zamknęła powieki i skupiła się na opanowaniu oddechu, tak jak uczyła ją Wanda.

– Już stoi! Zaraz będą stos układać! – krzyknął ktoś z przodu.

– Banda wygłodniałych psów – wyszeptała drżącym głosem Dorada, patrząc spod na wpół przymkniętych powiek na ludzi, którzy zaczęli się przeciskać z jeszcze większą zawziętością.

Rzuciła się w stronę podekscytowanego tłumu, rozpychając ramionami zgromadzonych. Musiała się upewnić. Musiała zobaczyć na własne oczy. Gdzieś w głębi duszy tliła się jeszcze nadzieja, że ludzie się mylą, że to tylko głupi żart. Jej ciało dygotało coraz bardziej, więc nie musiała już się przejmować motłochem. Mieszkańcy Villperuny sami schodzili jej z drogi, obawiając się, że nie tylko szaleństwo się w niej zaległo, lecz także jakaś choroba. Gdy dotarła na miejsce, wypełniła ją fala gorąca. Przestała drżeć, ale wrażenie płonącej żywym ogniem krwi

gwałtownie narastało. Zdawało jej się, że za chwilę to ona zapłonie, a nie ta nieszczęsna wróżka.

– Tylko nie ona... – wyszeptała, gdy znalazła się na tyle blisko, by mogła dostrzec twarz ofiary.

Na drewnianym podeście stała przywiązana do słupa Jagna. Choć skrępowana jak zwierzę, dumnie unosiła głowę, patrząc z pogardą na zebranych przed nią ludzi. Większość po prostu stała zaciekawiona, tylko nieliczni krzyczeli, wyzywając ją od czarcich pomiotów. Dorada omiotła wzrokiem zwolenników królewskiego rozkazu palenia na stosie.

– Śmierć wszystkim dzikim! Śmierć wszystkim dzikim! – skandował tłum, a stojący na podeście królewski urzędnik przytakiwał gorliwie, zachęcając innych do przyłączenia.

– Dzieci nam kradną! – krzyczały zrozpaczone kobiety. – Niech nam odda nasze dzieci!

– Czarci pomiot! Śmierć wszystkim dzikim! Śmierć wszystkim dzikim!

Stopniowo coraz więcej ludzi przyłączało się do skandowania, jakby każdy okrzyk zagrzewał kolejną osobę do ataku. Liczne obelgi zawierały słowo „dziki”, bo tak król Villperuny nakazał nazywać wszystkich, którzy parali się magią inną niż czarodziejską. Mimo narastającej wrzawy, Dorada wciąż widziała u wielu zgromadzonych ludzi kłębiącą się w oczach panikę, niechęć względem planowanego mordy.

Nagonka na dzikich nie trwała dość długo, by skutecznie wpoić wszystkim nienawiść do wróżek, wiedźm czy szeptuch. Narzucanie ludziom poglądów to długi i żmudny proces, ale król dokładnie wiedział, co zrobić, by go przyspieszyć. Strach. Wywołanie strachu zawsze sprzyja indoktrynacji. Człowiek, który się boi o własne życie, nie będzie się zastanawiał nad trafnością osądu władcy. Człowiek zastraszony będzie instynktownie walczył o przetrwanie, o swoją rodzinę, nie zaś o słuszność decyzji podejmowanych przez króla. Im więcej dzikich spala



na stosie, tym chętniej ludzie będą donosić, w obawie przed tym, by to oni nie znaleźli się na środku placu Targowego.

Tłum zamilkł, gdy urzędnik w białej szacie wstał i rozwinął pergamin, zasłaniając tym samym srebrną błyskawicę, która dumnie wisiła na jego szyi.

– Z rozkazu króla Valdima II uznaję Jagnę z Sośnicy winną czynu zabronionego, jakim jest wróżenie. Skazana została przyłapana na czynie zabronionym wczorajszej nocy, gdy potajemnie przepowiadała przyszłość nadwornemu znachorowi. Wyrok w sprawie znachora Jana z Lipowic zostanie wykonany jutro w południe, gdyż zabieganie o wieszczenie również karane będzie nad wyraz surowo.

Królewski kat układał już stos wokół coraz bardziej przerażonej wróżki. Niski kapłan ze świątyni Peruna szedł powoli w stronę Jagny, niosąc płonąca pochodnię. Nie widziała jego twarzy, którą zakrywał szary kaptur z wyhaftowanym po obu stronach piorunem.

– Nie! – krzyknęła Dorada, ale jej głos zginął w gąszczu wrzasków. – Bogowie... pomóżcie... dlaczego nic nie robicie?!

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Na przeciwległej stronie placu dostrzegła czarodzieja, który kiedyś przyłapał ją u Wandy na myszkowaniu w księgozbiorach. Widziała, jak zbliża się i co chwila spogląda w jej stronę. Dorada wycofała się i skryła za zgromadzonymi. Usłyszała krzyk Jagny. Odwróciła się i zobaczyła, jak ciało wróżki kęsa pierwsze płomienie. Chciała je powstrzymać. Czuła je. Wiedziała, że jeśli się skupi, może je skierować w inną stronę. Wyteżyła wzrok i w tej samej chwili kątem oka dostrzegła szybko przemieszczającą się postać. Czarodziej, który ją obserwował, był coraz bliżej. Teraz nie miała już wątpliwości – mężczyzna ją śledził.

*Jestem następna – przeszło jej przez myśl.*

Rzuciła się do ucieczki. Tym razem ludzie jak na złość stawiali opór. Popychali ją, wściekli, że zakłóca im przedstawienie. Szepczące pod jej

stopami cienie tańczyły na zabłoconym placu.

– Pomóżcie mi – wydyszała. – Czymkolwiek jesteście... Pomóżcie mi!  
Pomóżcie Jagnie!

Nad cieniami uniosła się cienka warstwa mgły, pachnąca dymem z ogniska. Dorada przeciskała się w biegu, obserwując gęstniejącą pod stopami magię. Delikatne kłęby mglistej substancji okalały jej nogi.

– Zostaw magię w spokoju, bo tylko zwrócisz na siebie uwagę – syknął czarodziej, chwytając ją za ramię.

– Puszczaj! – Dorada szarpnęła z całej siły, ale uścisk mężczyzny był zbyt silny. – Puszczaj, bo zrobię ci krzywdę!

– Jak się zaraz nie zamkniesz, to zrobisz krzywdę wyłącznie sobie.

Oczy czarodzieja błysnęły złotymi refleksami, a spod palców, które zaciskał mocno na jej ramionach, buchnęły iskry. Dorada poczuła, jakby po jej ciele zaczęły nagle chodzić setki mrówek.

– Rzuciłem na ciebie chwilową drętwość. Twoje ciało stanie się wiotkie, ale czar zaraz minie. A teraz słuchaj mnie uważnie. Nazywam się Herrigen. Spotkaliśmy się już kiedyś u Wandy. Wanda kazała mi się tobą opiekować, a ja obiecałem jej, że się tobą zajmę. Bogowie mi świadkami, nie spodziewałem się, że będę musiał w taki sposób wywiązać się z obietnicy... – Czarodziej rozejrzał się i wziął Doradę pod ramię, by nie upadła. – Król wie już o twoim ataku na dworskie dziecko. Niestety nie zignorował opowieści małej dziewczynki.

– Ja nie...

– To nie ma teraz znaczenia – przerwał jej i pociągnął w stronę zaułka. – Musisz uciekać. Tędy.

Poprowadził ją wąską uliczką, aż do wylotu na kamienne schody, wiodące prosto do najuboższej dzielnicy Villperuny.

– Dokąd idziemy? – wybełkotała odrętwiałymi ustami.

– Poczekasz do nocy w jednej z opuszczonych chałup.

– Na co?

– Na mnie. Pomogę ci uciec. Dopóki po ciebie nie przyjdę, masz się stamtąd nie ruszać.

– Nie ma mowy! Muszę pójść po ojca!

Czarodziej milczał. Tylko chlupot topniejącego śniegu i okrzyki tłumu z oddali docierały do jej uszu. Niezdarnie wyszarpnęła się, ledwie utrzymując się na nogach. Czar drętwoty powoli ustępował, ale nie panowała jeszcze w pełni nad swoim ciałem.

– Muszę iść do Arsa.

– Twój ojciec nie żyje. – Czarodziej spojrział na nią ze współczuciem.

– Wybacz, że informuję cię o tym w tak bezpośredni sposób, ale musimy działać szybko.

Dorada wpatrywała się w Herrigena, jakby ten właśnie opowiedział jej jakiś niesmaczny żart.

– Przykro mi, ale nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. To tutaj. – Wskazał rozpadającą się chałupę. – Opowiem ci o wszystkim, gdy będziemy w bezpiecznym miejscu.

– Nie... Nie! Puszczaj! Kłamiesz!

Herrigen się nie odezwał. Nie musiał. Dorada widziała w jego oczach, że mówi prawdę. Czarodziej uchylił drzwi i oboje weszli do środka. W izbie nie było nikogo.

– Muszę go zobaczyć!

– Jeśli tam wrócisz, spłoniesz na stosie. Królewska straż już na ciebie czeka w domu szamana.

– Kłamiesz!

Czarodziej westchnął tylko i położył dłoń na drzwiach. Widziała zakłopotanie i szczerzy żal na jego twarzy.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie powiesz mi, co się z nim stało! – warknęła Dorada obcym, zwierzęcym głosem.

– Porozmawiamy o tym później.

– Nie! Kłamiesz! On na mnie czeka!

– Twój ojciec został zabity...

Wyjec... – pomyślała i ugięły się pod nią kolana.

– Czy zrobił to... – Dorada szukała odpowiedniego słowa, które przeszłoby je przez usta – ...demon?

– Nie – zapewnił Herrigen. – Zrobił to człowiek.

Choć słowa czarodzieja zmyły z niej odpowiedzialność za śmierć własnego ojca, Dorada nie odczuła ulgi. Ktoś zabił Arsa.

– Dlaczego? – wyszeptała.

Czarodziej milczał. Na jego twarzy malowały się niezręczność i współczucie.

– Kto? Powiedz mi, kto go zabił – nalegała Dorada. – Muszę wiedzieć!

Odchrząknął i wbił wzrok w drewnianą figurkę w kształcie lisa.

– Gdyby nie umarł – odezwał się ściszym głosem – strażnicy zabraliby go do lochów i torturowali tak długo, aż szaman znalazłby sposób na sprowadzenie ciebie do zamku. On oczywiście nigdy by się na to nie zgodził, więc i tak ostatecznie by go zabili. Umierałby w męczarniach.

– Kto go zabił?

Herrigen odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Ja.

Dorada cofnęła się mimowolnie.

– Nie miałem wyjścia. Gdybym tego nie zrobił, zrobiliby to oni. Ale oni nie mieliby litości. Twój ojciec nie czuł bólu.

– Dlaczego... dla... dlaczego nie pomogłeś mu uciec?!

Broda drżała jej tak bardzo, że z trudem mówiła. Oczy zaszklily się od łez i przesłoniły świat. Czuła, jak życie powoli odbiera jej wszystko, co miała.

– Dla... dlaczego?

– Było za późno – wyszeptał Herrigen. – Mogłem zapewnić mu szybką śmierć lub oddać na tortury.

– Mogłeś mu pomóc!

– Nie mogłem – wycedził Herrigen. – Miałem zbyt mało czasu. Gdybym próbował mu pomóc na oślepi i się zdradziłem, ty najpewniej właśnie teraz szłabyś na stos. A zaraz po tobie twój ojciec i ja.

– Nie... Nie, nie, nie! To nie może być prawda! Ars żyje!

– Przykro mi, Dorado. Czuję się podle, że zostawiam cię teraz z tak okrutną wiadomością, ale muszę już iść. Jeśli zaraz nie wyjdę, ktoś może się domyślić, że to ja ci pomogłem. Czekać tutaj na mnie i pod żadnym pozorem nie wychodzić. – Zanim zniknął za drzwiami, spojrzął na nią ze współczuciem. – Proszę, zaufaj mi.

Dorada nie odpowiedziała. Osłupiała patrzyła na drzwi, przez które wyszedł Herrigen. W głowie miała kompletną pustkę, jakby jej ciało zbuntowało się i zablokowało wszelkie przejawy życia, nie dając szansy na przemknięcie żadnej myśli. Nie myślała. Stała oszołomiona ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Nie wiedziała, ile tak tkwiła. Oprzytomniała dopiero, gdy dreszcz targnął jej ciałem. Znowu drżała, jednak tym razem wyraźne czuła, że z zimna. Omiotła pomieszczenie wzrokiem, starając sobie przypomnieć, co w ogóle się wydarzyło.

– Jagna... Ars... – wyszeptała, a po jej policzkach spłynęły łzy.

Usiadła na zimnej podłodze, podciągnęła do siebie kolana i objęła mocno nogi, chowając w nich głowę. Zakryła uszy ramionami, by nie słyszeć odbijających się echem krzyków ludzi z placu targowego. Stopniowo rozpacz po stracie ojca i Jagny zmieniała się w żądzę zemsty. Nienawiść rosła w niej i rozpaliała magię płynącą w żyłach. Choć ciągle drżała, zrobiło jej się cieplej. Podniosła głowę i przetarła oczy ramieniem.

– Herrigen – wycedziła przez zęby, zaciskając pięści.

Myśli powoli wracały na swoje miejsce i zaczęły formować się w zdania.

*Skąd mam mieć pewność, że chce mi pomóc? Może właśnie pojechał po straż i zaraz zaciągną mnie na plac... Przeklęta Wanda! Mogła to przewidzieć! Taka mądra... taka zdolna... Wyjechała, zostawiając mnie na pastwę szalonego króla...*

Przez chwilę miała ochotę porąbać drzwi wiszącą nad jej głową siekierą i pognać do murów, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Jeśli król wydał już na nią wyrok, to z pewnością poinformował o tym strażników przy każdej bramie. Wstała i podeszła do ściany. Uchyliła drewnianą klapę czegoś, co przypominało miniaturowe okno, przez które mógłby się przecisnąć co najwyżej zagłodzony kot. Nad miastem zawisły ciemne chmury. Dorada spojrzała na unoszący się nad Villperuną dym, zastanawiając się, jak mogłaby użyć ognia, by się zemścić. Bo to, że się zemści, wiedziała na pewno.

*Zabiję króla – pomyślała, zaciskając pięści. Zabiję go, jak tylko będę gotowa. Będzie cierpiał. Będzie skomlał i błagał o litość.*



## ROZDZIAŁ XIII

*Niektórzy historycy twierdzą, że istnieli ludzie posiadający jednocześnie zdolności czarowników, to jest widzenia splotów magicznych, oraz dar czarodziejski, czyli moc wprawiania magii w ruch. Zwą ich magami. Mag miał zatem posiadać moce tak potężne, że mógł sam tworzyć nowe sploty i czary. Należy jednak wielce potępiać te bluźniercze teorie, albowiem tylko bogowie zdolni są widzieć magię i kształtować ją wedle swej woli.*

Legandy i zabobony, *Feril z Del*  
Ze zbiorów Biblioteki Czarodziejskiej w Rienie

**T**ego dnia w siedzibie Rady Białogrodzkiej panował zgiełk. Ludzie mijali się w pośpiechu, rozglądając się nerwowo na boki. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem na wizytę należało się umówić przynajmniej z jednodniowym wyprzedzeniem. Wszyscy zatem wiedzieli, że mają ich odwiedzić królewscy wysłannicy. Nie wiedzieli jednak, że tym razem nie chodziło o łajanie ich za wydarzenia z powitalnej uczyty czy za to, że w dalszym ciągu nie wiadomo było, gdzie kryją się dzicy. Wanda, Maranti i Ziemowit czekali w wielkim korytarzu na mapę, która miała zaprowadzić ich do czarownika. Po długich namowach Wanda w końcu przekonała

Ziemowita, że czarownik może być ich nadzieją na pojmanie wiedźmy. Z pewnością się z nią znał i mógł im zdradzić choćby garstkę informacji o jej zwyczajach oraz mocnych i słabych stronach, które mogłyby ich naprowadzić na właściwy trop. Jeśli był wystarczająco rozumny, powinien pojąć powagę sytuacji i współpracować.

Spojrzała na znudzoną czekaniem Maranti. Nie powiedziała jej całej prawdy o wizycie w domu wiedźmy. Oszczędziła jej fragmentów o tym, jak omal nie zginęła w płomiennym kręgu. Na samo wspomnienie tego dnia czoło Wandy zrosił zimny pot. Dziękowała bogom za to, że nim zemdląca, zdążyła przebić się magią przez ścianę ognia. Gdy wykończona swoją własną mocą straciła przytomność i runęła na podłogę, Ziemowit przedarł się przez płomienie, po czym wyciągnął ją z niedoszłego miejsca kaźni. Uratował jej życie.

Uśmiechnęła się do Maranti, gdy ta uniosła brwi, nie rozumiejąc, dlaczego czarodziejka tak jej się przygląda. Wanda zbyła jej pytający wzrok machnięciem dłoni. Chciała ją chronić przed okrucieństwem czasów, jakie nieubłagalnie nadchodziły. Miała nadzieję, że młoda czarodziejka zdoła przetrwać rok służby w Villperunie i wróci na Ziemię Raroga oczyszczona z zarzutów.

Pomyślała o kilku zdaniach, które to stały się przyczyną zbliżającej się wojny z wiedźmami. Przez chwilę miała ochotę odbezpieczyć list, by przeczytać słowa przepowiedni. Choć znała je na pamięć, chciała upewnić się, czy aby czegoś nie przekręciła.

*Może ujawniając ją wiedźmie, pomyliłam się, zmieniając kompletnie sens wróżby? – zastanawiała się pełna nadziei.*

Dotknęła płaszcza w miejscu, gdzie ukryła pergamin. Szybko jednak zrezygnowała z tego niebezpiecznego pomysłu i po prostu z pamięci wyrecytowała w myślach słowa.



*Księżyc czerwienią zajdzie, a w ludziach żądza mordu zapłonie.  
Niepojęte zwalczy ogniem ten, kto zrozumie.*

*Świat zaleją bojownicy, przemierzając bezkres gór, lasów i jezior, by  
zniszczyć to, co chwalone było przez wieki.*

*Na końcu drogi koło odwiecznej walki obróci się, zamykając bieg, da  
życie nowemu.*

Zamknęła powieki. Nie mogła zweryfikować niezawodności swojej pamięci. Przysięgała, że zdejmie zakłęcie dopiero, gdy Witold o to poprosi. Miała to zrobić w Hellenesti, wielkim mieście należącym do władcy Zjednoczonych Królestw Nadmorskich. Wielokrotnie zastanawiała się, jakie zadanie zleci jej tam Przewodniczący Rady, jednak tamte ziemie były dla niej tak obce i tajemnicze, że nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Uczyła się o ich bogach na zajęciach w Akademii, ale nigdy nie poświęcała im szczególnej uwagi.

Wanda otworzyła oczy i spojrzała na niewzruszone jej obawami popiersie króla Villperuny.

*Mam nadzieję, Valdimie, że podjąłeś słuszną decyzję...*

Słońce wyłoniło się zza chmur i do pomieszczenia wpadł blask, oświetlając na chwilę kamienny posąg władcy Villperuny. Szybko jednak oblicze władcy skryło się na powrót w cieniu drewnianej podobizny Peruna.

*Może Księżycowe Jezioro w Villperunie zaszło czerwienią z innego powodu? Może to czysty przypadek, zbieg okoliczności? Ale te znikające dzieci... Na taką skalę. Jaką silniejszą żądzą mordu może poznać ludzkość od tej, która skupia się na wyrządzaniu krzywdy niewinnym, bezbronnym dzieciom?*

*...a w ludziach żądza mordu zapłonie...*

*W ludziach. Nie w człowieku, a w ludziach. Przecież jeden człowiek nie byłby zdolny do porwania takiej ilości dzieci i to w wielu różnych miejscach. To w ludziach coś się urodziło. Wiedźmy są przecież ludźmi. Są też demonami, zdolnymi do takich okropieństw.*

Uczeni zgodnie uznali, że wróż, który spisał przepowiednię, celowo zamiast napisać, że żądza urodzi się w człowieku, napisał zapłonie, co z pewnością miało naprowadzić wnikliwego myśliciela na trop wiedźm. To one władały magią ognia. A fragment mówiący o tym, że zwalczy ogniem zagrożenie ten, kto zrozumie, z pewnością musiał odnosić się do maksymy „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”. Stąd też uczeni wysnuli prosty wniosek, że jeśli nie da się sprawy załatwić pokojowo, wszystkich parających się dziką magią, a w szczególności wiedźmy, należy zabić.

– Czy my kiedykolwiek stąd wyjdziemy? – jęknęła Maranti. – Tu jest nudniej niż na zajęciach z historii magii.

– Pójdę zapytać, czy nie da się tego przyspieszyć – zaproponował Ziemowit.

Wanda odprowadziła go wzrokiem, zastanawiając się, czy ten czarownik w ogóle tu mieszka, skoro nikt nie był w stanie ich do niego zaprowadzić. Wszyscy twierdzili, że tylko szeptuchy utrzymywały z nim kontakt. Nawet jeśli nie pomoże im w sprawie wiedźmy, czarodziejka miała jeszcze inne pytanie, na które mógł odpowiedzieć tylko człowiek widzący sploty magiczne.

*Jeśli tam faktycznie mieszka czarownik, to może w końcu dowiem się, kim był Elgan? Zakładając, że ten przekłety wąpierz komuś tego medalionu nie ukradł. Zasępiła się i zacisnęła dłoń na złotym krążku skrytym pod jej suknią. A co mi tam. Czegoś na pewno się dowiem. Jeśli Elgan ukradł medalion, musiał to zrobić w jakimś celu, bo raczej nie po to, by obnosić się z wątpliwej urody biżuterią. Z tego co mówiła Dorada, wynika, że wąpierz skrzętnie ukrywał medalion i nigdy go nie zdejmował. Zatem albo to była*

*pamiętka po życiu przed przemianą, albo... cokolwiek innego. Westchnęła i rozluźniła palce.*

– Wanda? – Maranti pomachała jej dłonią przed oczami. – Jesteś tam? Wyglądasz, jakby twoja dusza na chwilę opuściła ciało.

– Skąd ty bierzesz te pomysły?

– To nie pomysły! – oburzyła się młoda czarodziejka. – Nasi szamani tak potrafią.

– No cóż – Wanda uśmiechnęła się do niej – w takim razie, będę musiała kiedyś odwiedzić twój kraj, by się o tym przekonać.

– Naprawdę? – Oczy Maranti zalśniły czystym szczęściem. – Obiecujesz? O Rarogu! Ile bym ci tam rzeczy pokazała!

– Bylebyś tylko przy okazji oprowadzania nie używała magii.

– Tylko, gdy zrobi się zbyt słodko – oznajmiła przesadnie uroczystym głosem, bijąc się pięścią w pierś.

Obie wybuchnęły śmiechem.

– Widzę, że dobrze się bawicie, gdy mnie nie ma – skomentował Ziemowit i pomachał mapą.

Rycerz wręczył Wandzie pergamin.

– Oto mapa, która zaprowadzi nas do Polany Paproci. Tam znajdziemy chatę tego twojego czarownika. Oby było warto, bo już pół dnia tutaj zmarnowaliśmy.



Korzystając z mapy, Wanda, Maranti i Ziemowit skierowali się na zachód, wzdłuż linii lasu. Dom czarownika był oddalony od miasta. Wypatrywali gęsto rosnących paproci, które miały doprowadzić ich do maleńkiej wioski, ale ciągle trafiali na pojedyncze okazy przyprószone cienką warstwą śniegu. Wanda jeszcze raz spojrzała na mapę w nadziei, że

znajdzie jakiś łatwiejszy do odnalezienia wzrokiem punkt orientacyjny. Tuż przed paprociami kartograf wyrysował niewyraźny, mały kopiec, a wokół niego osiem czarnych kleksów, wyznaczających równo oddalone od siebie punkty, które, gdyby je połączyć, utworzyłyby okrąg.

– Może chodziło mu o kamienie? – zasugerowała, pokazując Ziemowitowi mapę i stukając w miejsce na pergaminie, w którym teoretycznie właśnie się znajdowali.

– Nigdzie nie widzę tak ułożonych kamieni – stwierdził rycerz, spoglądając na słońce, jakby zastanawiał się, czy już zaproponować powrót do miasta, czy jeszcze chwilę poczekać.

Wanda zerknęła na drugi brzeg drogi, gdzie powinna się wznosić kamienna górką, ale niczego nie dostrzegła.

*Może to faktycznie nie ma sensu – pomyślała i schowała mapę do kieszeni płaszcza. Zmarnujemy cały dzień, gapiąc się na leśną ściółkę.*

Zrezygnowana zawróciła konia, na co bardzo ucieszył się Ziemowit. Wzięła głęboki wdech i nie zdążyła wypuścić powietrza, gdy zauważyła wzniesienie pokryte śniegiem oraz gałęziami sterczącymi na wszystkie strony jak igły jeża.

– Tam! Zobaczcie! – zawołała, po czym dała znać, by za nią podążyli.

Zbliżając się, dostrzegła coraz więcej szczegółów. Zeskoczyła z konia i podała lejce Maranti. Sama zaś pochyliła się nad niezwykłym miejscem. W wyżłobieniach kamieni połyskiwał zamarznięty lód, a pod nim migotała zieleń zaklętego w nieruchomej wodzie mchu. Odgarnęła warstwę śniegu i syknęła, gdy jej kciuk zawadził o ostry kant jednego z licznych kamieni. Kropla krwi opadła na oblodzoną powierzchnię i spłynęła w głąb kamiennej konstrukcji. Wanda owinęła palec kawałkiem chustki skropionej olejkiem o zapachu czarnej porzeczki. Ignorując piekącą ranę, zdjęła szal, by zetrzeć nim kolejne warstwy śniegu. Między kamieniami wiły się cienkie gałęzie, jakby w środku całej tej misternej

konstrukcji ktoś uwięził drzewo. Spróbowała podnieść jeden z kamieni, lecz nie dała mu rady.

– Jak mogłam tego nie zauważyć? – wyszeptała Wanda, gładząc chropowatą powierzchnię.

– Jakim cudem ty to w ogóle zauważyłaś? – zapytał Ziemowit.

– Aby znaleźć, trzeba wiedzieć, czego się szuka – wyrecytowała przysłowie mistrza. – To słowa wybitnego Ferila z Akademii Magii Czarodziejskiej. – Wypowiadał je za każdym razem, gdy nie mogła sobie z czymś poradzić.

– A ty wiedziałaś, że akurat tego szukamy? – spytała nieśmiało Maranti.

– Nie. – Wanda zachichotała. – Można to uznać za przypadek.

– Jaki sens miały zatem słowa Ferila o szukaniu tego, czego się szuka, czy jakoś tak? – spytał zdezorientowany rycerz.

– Nie miały sensu – odparła beztrosko. – To takie moje powiedzenie, gdy coś mi się udaje.

– I ty mi mówisz, że to ja wymyślam dziwne rzeczy. – Maranti spojrzała na Ziemowita i oboje zgodnie pokiwali głowami na znak, że całkowicie się zgadzają co do bezsensowności takiego przysłowia, recytowanego przy byle sukcesie.

– Czasami trzeba odrobiny wariactwa w życiu, żeby nie zwariować – odparła Wanda, po czym pociągnęła konia w stronę lasu.

Musieli przejść spory kawał, nim znaleźli się u celu. Poszycie gęsto porastały wiecznie zielone paprocie, o liściach tak pięknych i żywych, że Wandzie zaparło dech w piersi. Nigdy wcześniej nie widziała tej odmiany. Zastanawiała się, czy nie powinna zerwać jednej i zlecić prac badawczych nad tą piękną rośliną. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu, bo mogła mieć jakieś specjalne znaczenie dla mieszkańców Białogrodu i być może zrywanie jej było tu zakazane. Machnęła więc ręką na paprocie, obiecując sobie, że kiedyś wróci do tego tematu. Wspaniała Polana

Paproci, wbrew temu, co sugerowała mapa, nie znajdowała się na skraju lasu, lecz w głębi. Tam, gdzie rośliny zaczęły się przerzedzać, Wanda dostrzegła wąską ścieżkę.

– Każda droga dokądś cię zaprowadzi. Choćby i w ślepą uliczkę – powiedziała, wskazując dróżkę.

– Czy to kolejne mądrości mistrza Ferila? – spytał z przekąsem Ziemowit.

– Tak, ale tym razem mają sens, nieprawdaż?

Posłała rycerzowi uśmiech i poprowadziła konia w głąb lasu.

– Wszystkie czarodziejki są takie dziwne? – Usłyszała za plecami pytanie rycerza.

– Chyba wszystkie – przyznała Maranti. – Ale Wanda przynajmniej nie jest wredna jak większość tych, które znam.

– To doprawdy pocieszające, biorąc pod uwagę, że król sprowadził was tutaj, byście pełnili rolę wojowników i obrońców, nie szalonych myślicieli. Hola! Wando, poczekaj na nas! Cóż my poczniemy bez tych wszystkich mądrości mistrza Ferila?

– Ruszcie się, bo nas noc zastanie! – zganiła ich i narzuciła jeszcze szybsze tempo.

Gdy dotarli do rozwidlenia, poczuła zapach ziół i ryb. Aromat łudząco przypominał polewkę śledziową, którą jadała u Essenveri. Choć nie przepadała za tą potrawą, od razu ścisnął jej się żołądek. Minęło już sporo czasu od jej ostatniego posiłku. A przez to, że omal nie spłonęła żywcem w chacie wiedźmy, ciężko było jej cokolwiek przełknąć. Poczwała, jak pot zrasza jej czoło na samo wspomnienie płomieni. Ziemowit zauważył, że coś się z nią dzieje, bo uniósł pytająco brwi.

– Nic takiego – wyszeptała, by nie wzbudzać ciekawości Maranti.

– Powinnaś odpocząć.

– Czyli leżeć i rozpamiętywać to wesołe ognisko?

– O mamuno! Ale jestem głodna! – zawołała Maranti, zmieniając temat ich rozmowy. – Czy to polewka śledziowa?

Woń dochodziła z małej lepianki, stojącej na skraju lasu. W oddali Wanda naliczyła jeszcze sześć podobnych chat, przeplatanych kamiennymi kopcami, podobnymi do tego, który wskazał jej drogę.

– Zgubiłaś się, panienko? – Rozległ się za jej plecami głos starca.

Drgnęła, zaskoczona jego obecnością. Nie słyszała żadnych kroków.

– Wybacz. – Mężczyzna skinął głową przepraszająco. – Nie chciałem, byś się złąła. – Starzec spojrział na Ziemowita. – Szukasz tutaj, panie, kogoś? Czy zbłądziliście w lesie?

– Szukamy czarownika – oznajmiła Wanda.

Przygarbiony mężczyzna podszedł do niej, wspierając się na drewnianej lasce. Był tak niski, że musiał unieść głowę, by spojrzeć na czarodziejkę.

– Czarownika szukacie – powtórzył, a nerwowy uśmiech wybudził liczne zmarszczki na jego twarzy. – Wejdz więc i ogrzej się, bo zapewne ja jestem tym, kogo szukasz.

– Jestem Wanda z Rieny, z wyspy Gorent – powiedziała, kłaniając się na dworską modłę, choć w tym miejscu nie miało to kompletnie znaczenia.

– Z Gorent? – wychrypiał starzec, a potem zaniósł się kaszlem. – To daleką drogę przyszło ci przebyć.

– Od jakiegoś czasu rezyduję w Villperunie. Jestem czarodziejką.

Blade spojrzenie starca zatrzymało się na kłamrze w kształcie błyskawicy.

– Królewska czarodziejka... A więc czarodzieje pojawili się i w Villperunie. Nie sądziłem, że dożyję takich czasów. Że dnia pewnego przyjdzie do mnie czarodziejka z symbolem Villperuny na piersi.

– Dwie czarodziejki – doprecyzowała Maranti, wypinając dumnie pierś, na której również błyszczała srebrna błyskawica.

- I? – Czarownik przeniósł wzrok na Ziemowita.
- I rycerz. Ziemowit z Villperuny.
- Czyżbym zrobił coś niestosownego, że aż troje po mnie przyszło?
- Przyszliśmy tylko po dobrą radę.

- Skoro to przyjacielska wizyta, zjedźmy zatem wspólny posiłek, by rozmowa jeszcze miłsza nam była. Chodźcie, dzieci. Przywiążemy konie na tyłach chaty. Niech i one wypoczną i się posilą. Cóż za ciekawe spotkanie mi dzisiaj bogowie zesłali. Wspólny posiłek rycerza, czarodziejek i czarownika.

*A więc mam jednak dzisiaj szczęście – pomyślała Wanda, ciesząc się jak dziecko. Teraz tylko muszę wymyślić, jak zostać sam na sam z czarownikiem, żeby wypytać go o medalion Elgana. Lepiej, żeby Ziemowit nie wiedział, że noszę na szyi coś, co należy do demona, w dodatku wąpierz.*

Gdy w końcu weszli do chaty, pierwsze, co ujrzała, to piec, na którym bulgotała polewka. Ten nieznośnie intensywny zapach wywołał w żołądku Wandy donośne burczenie. Zarumieniła się i przycisnęła dłonie do brzucha.

- Wybaczcie. Od rana nic nie jadłam.
- Usiądź więc, dzieciно, a ja podam do stołu – polecił czarownik.

Rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła, na którym mogłaby spocząć po podróży. Nie cierpiała jazdy konnej: za każdym razem przypominała jej o poważnym wypadku z dzieciństwa, przez który omal nie straciła nóg. Marzyła o wygodnym oparciu.

- Pod stołem! – zawołał starzec z drugiego końca izby. – Porządku robiłem i schowałem je tam, bym się przypadkiem nie potknął. W moim wieku to i potknięcie może się źle skończyć.

Czarodziejka schyliła się, stękając cicho z bólu, który zagnieździł się w jej udach i łydkach. Spod masywnej ławy wyciągnęła maleńki taboret.



*No świetnie – westchnęła zrezygnowana. Dziś chyba nie będzie mi dane wygodnie usiąść. Ale przynajmniej nie umrę z głodu.*

Czarownik i Maranti, która uparła się, że mu pomoże, przynieśli cztery gliniane misy wypełnione śledziową polewką. Wanda z trudem powstrzymała się, by nie chwycić za drewnianą łychę i od razu wepchnąć sobie ją do ust. Zgodnie z wpojona jej etykietą czekała, aż gospodarz wróci z podpłomykami i napitkiem.

– Jedz już, dziecko. Na co czekać? Ja już bardziej kuśtykam niż chodzę. Wystygnie, nim zdążę stół zastawić.

Wygłodniała wlepiła wzrok w parującą miskę.

*To nie zamek* – usprawiedliwiła się w myślach, zanurzając drewnianą łyżkę.

– Wyśmienite – powiedziała ze szczerym podziwem. Pierwszy raz w życiu smakowało jej rybne danie.

– Yhm! – Maranti otarła buzię ramieniem. – Doskonała! Dokładnie taką robi moja babuleńka. To niesamowite. Przecież ona nigdy nie była w tym królestwie. A może czarownik nauczył się tego przepisu na Ziemiach Raroga?

– Prawdę powiedziawszy, nie sądziłem, że tam też jadacie taką polewkę – wyznał staruszek. – Niemniej jest mi niezmierni miło wiedzieć, że zadowolilem podniebienia królewskich wysłanników. – Starzec zaśmiał się chrapliwie, stawiając na stole kubki z kwasem chlebowym.

Jedli w milczeniu. Z każdym kęsem napięcie stawało się coraz bardziej wyczuwalne.

– Przyszliśmy tylko porozmawiać – przypomniał Ziemowit, gdy wszyscy już zaspokoili głód. – Czy domyślasz się, na jaki temat?

– Jestem czarownikiem, nie wróżem – odparł. – Jedyne, czego się domyślam, to widmo złych czasów, które nadchodzą.

– Nie będziemy tracić twego czasu, czarowniku – zapewnił rycerz. – Zapytam, więc wprost: czy wiesz, gdzie obecnie przebywa wiedźma z Białogrodu?

– Dlaczego miałbym to wiedzieć?

– Nie przychodziła nigdy do ciebie? – wtrąciła się Wanda.

– Owszem – zaczął niepewnie starzec – przychodziła. Ale już od jesieni jej nie widziałem.

– To niedobrze. – Ziemowit zmarszczył czoło i zrobił zaniepokojoną minę. – Widzisz, czarowniku, wiedźmy porywają dzieci w całym królestwie. Twoja pomoc mogłaby uratować niewinne dusze tych biedactw. Perun jeden wie, co one z nimi robią.

Starzec zadrżał i spojrzał pytająco na Wandę.

– Niestety wszystko wskazuje na to, że wiedźmy zeszły na złą drogę – przyznała czarodziejka.

Milczenie przeciągało się nieznośnie długo. Wszyscy czekali w napięciu na wyznanie czarownika. Wanda miała nadzieję, że mężczyzna jest wrażliwy na krzywdę niewinnych i zdradzi im wszystko, co wie, by nie dopuścić do kolejnych porwań.

– Wspomniałeś wcześniej o widmie złych czasów, które nadchodzą. – Ziemowit przerwał ciszę swoim niskim, dźwięcznym głosem. – Czy znany ci jest powód tej mrocznej przyszłości?

Czarownik nie odrywał wzroku od Wandy. Jego przenikliwe spojrzenie było pełne desperacji.

– Są rzeczy, o których mogę rozmawiać tylko z czarodziejami. Takie mamy prawo, my czarownicy z czarodziejami.

*Kłamie* – pomyślała Wanda. *Takie prawo nie istnieje.*

Ziemowit czekał na jej odpowiedź.

– Tak – wydusiła w końcu z siebie. – Są rzeczy, o których czarownik może rozmawiać tylko z czarodziejem.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – zdziwił się Ziemowit.

– A studiowałaś w Akademii Czarodziejkiej? No. To nie masz się czemu dziwić. A teraz na chwilę musimy zostać sami.

– No – podekscytowana Maranti spojrzała na Ziemowita – poczekaj na nas na zewnątrz.

– Ty też wychodzisz – oznajmiła Wanda.

– Ale... – zaczęła młoda czarodziejka. Zdawszy sobie sprawę, o co może chodzić Wandzie, spuściła pokornie wzrok, wdzięczna, że nie wyjawiała Ziemowitowi wstydlivej informacji o jej wydaleniu z Akademii. Nie była pełnoprawną czarodziejką i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. – Mamy czekać na tym mrozie? – Maranti skrzywiła się na samą myśl.

– To nie potrwa długo – zapewnił czarownik.

Odczekali, aż znikną za drzwiami.

– Dlaczego skłamałaś?

– Dlatego, że najwidoczniej nie jesteś świadoma tego, jak groźny i niezwykły przedmiot spoczywa na twojej piersi. Ten mężczyzna zadał mi pytanie, na które ty zdaje się powinnaś znać odpowiedź.

Wanda wpatrywała się w jego pomarszczoną twarz całkowicie osłupiała. Po chwili dotarło do niej znaczenie jego słów. Powoli zdjęła medalion i wyciągnęła dłoń w stronę czarownika. Starzec przechylił głowę na bok i spojrzał z ukosa na dyndający złoty krążek, jak na jakiegoś osobliwego demona. Trwał tak nieruchomo z dziwnie wykrzywionym, zeszywniałym ciałem, jakby nasłuchując jednym uchem odległych szeptów. Milczał na tyle długo, że Wandzie ścierpła ręka. Odchrząknęła, gdy mrowienie stało się dokuczliwe. Czarownik z lekkim wahaniem wziął przedmiot od Wandy. Obracał powoli medalion, ignorując uniesione z ciekawości brwi czarodziejki i jej ciche ponagląjące pomruki. Co jakiś czas gładził powyginane złote gałązki, po czym wpatrywał się w konkretne miejsce, jakby oczekując, że lada chwila wyskoczy z niego magia. Wanda uważnie obserwowała starca, starając się wyczytać coś

z jego twarzy. Nie dostrzegła jednak niczego poza skupieniem. Zazdrościła czarownikom, że widzą magię w jej czystej postaci. Choć za nic w świecie nie zamieniłaby się z żadną czarownicą na miejsca, to i tak przy każdym spotkaniu z czarownikami nie mogła się wyzbyć tej goryczy zazdrości. Choć raz chciałyby zobaczyć, jak wygląda splot magiczny, który rzuciła, albo taki, który zapisał się trwale w historii. Nie wystarczały jej zwykłe ryciny z nieudolnymi próbami uchwycenia tego, co czarownicy nazywali „nieuchwytną magią piękna”.

– Skąd go masz? – wyszeptał, podnosząc na nią wzrok.

Tym razem na jego twarzy czarodziejka dostrzegła wyraźne podniecenie. Źrenice starca rozszerzyły się, a oddech przyspieszył.

– Nie mogę o tym mówić.

– Hmm. Rozumiem. – Starzec westchnął i zakaszłał tak głośno, że zarzęziło mu w płucach. – Szkoda. To niezwykle przedmiot. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że kiedykolwiek taki ujrzę. To spełnienie marzeń każdego czarownika...

– Dlaczego?

– Bo to dowód na to, że czarodzieje i czarownicy – starzec wskazał siebie, po czym przeniósł palec na Wandę – że czarodziejki i czarownice, to jedynie odbicia lustrzane czegoś doskonałego. Czegoś, co występowało kiedyś w pełnej formie.

Wanda zacisnęła zęby, domyślając się, co czarownik miał na myśli.

– Do czego zmierzasz?

– Tak pięknych, skomplikowanych wiązań nie mógł stworzyć zwykły czarodziej. Żeby wykonać takie sploty, nie wystarczy być czarodziejem. To zrobił ktoś, kto władał magią czarodziejską, jednocześnie będąc czarownikiem.

Wanda parsknęła śmiechem.

– Chyba nie zaczniesz mi opowiadać tych mrzonek o magach? Jeśli sploty są niezwykle, to znaczy, że zrobił je jakiś wyjątkowo utalentowany

czarodziej lub czarodziejka. Magowie nie istnieją.

– Owszem. Nie istnieją. Ale ten medalion to dowód na to, że istnieli.

Wanda wstała zirytowana. Oczekiwała konkretnej informacji, a tymczasem trafiła na starego fanatyka, którego życiową misją jest ożywanie zabobonów i legend.

*A już zaczynałam go lubić* – pomyślała, wyrywając starcowi naszyjnik Elgana.

– Ten przedmiot należał do maga. Do bardzo potężnego maga – powiedział czarownik z żalem w głosie, jakby Wanda właśnie wyrwała mu z ręki całe jego życie.

– To zabobony – stwierdziła, wkładając medalion na szyję. – Zabobony, które jak widać dobrze się mają w tych stronach. Miałeś mi powiedzieć, jaka jest przyczyna nadchodzących złych czasów, a ty mi opowiadasz o magach.

– Przyszłaś do mnie po wiedzę – zaczął starzec bez cienia urazy w głosie – a ja ci jej udzieliłem. Niejedno już w życiu widziałem. Własnoręcznie rysowałem wiele splotów i dostarczałem uczonym, by mogli rozwijać sztukę magii czarodziejkiej. Nie podważaj więc mojej opinii zbyt pochopnie, dziecko. Być może z moich właśnie rycin uczono cię w Gorent. Na cóż miałbym kłamać w takiej kwestii? Jesteś królewską czarodziejką. Mogłabyś kazać skrócić mnie o głowę.

– Załóżmy, że te bzdury o magu to prawda. Jaki to ma związek z celem naszej rozmowy?

– Wokół tego medalionu widzę również sploty, które mogą zwiastować wiszącą w powietrzu wojnę.

– Kłamiesz.

Starzec upił łyk kwasu chlebowego, by zwilżyć gardło.

– Mówię prawdę, a ty z tą prawdą zrobisz, co zechcesz. Ale nim pójdziesz... – Czarownik wstał, wspomagając się laską. – Załóż płaszcz. Muszę ci coś jeszcze pokazać.

– Wybacz, ale...

– To bardzo ważne. Kto jak kto, ale ty powinnaś to zobaczyć. Skoro jesteś w posiadaniu takiego przedmiotu, musisz być wyznaczona przez bogów do czegoś ważnego.

W głosie starca słuchać było trwogę. Był czymś wyraźnie przerażony i zrozpaczony.

– Dobrze. – Wstała i narzuciła na siebie ciemnozielony płaszcz. – Chodźmy zatem.

Nie wierzyła w opowiastki o magach, ale czuła, że czarownik może faktycznie coś wiedzieć.

– Wracamy? – spytała zaskoczona jej widokiem Maranti, która rozcierała energicznie dłonie i maszerowała w miejscu, by rozgrzać ciało.

Na zewnątrz robiło się coraz zimniej. Ziemowit stał nieruchomo. Uniósł tylko brwi i patrzył na Wandę, wyczekując odpowiedzi.

– Czarownik musi mi coś pokazać. Możecie poczekać w środku.

– Idziemy z tobą – oznajmił zdecydowanym tonem rycerz.

Wanda dopiero teraz dostrzegła lekko podkrążone oczy Ziemowita. Czarny zarost przykrył jego twarz, dodając mu lat. W Villperunie zawsze widywała go zadbanego i w pełni sił. Tutaj zmęczenie i napięcie, w którym nieustannie trwał, odsłaniały bardziej ludzkie oblicze rycerza. Teraz nie liczyło się, jak bardzo zamożny jest jego ród. Teraz najważniejsze były spryt, opanowanie i wola walki. A on zdawał się to rozumieć, bo ani w jego oczach, ani postawie, nie dostrzegała tej charakterystycznej dla wielkich rodów wyniosłości i pogardy dla innych.

– To niedaleko – rzekł starzec, gdy żadne z nich nie chciało przerwać ciszy.

– Nie ma mowy – upierał się rycerz. Ziemowit wbił wzrok w Wandę. Widziała, że jest niezadowolony z jej prywatnej rozmowy z czarownikiem. Trudno było mu się pogodzić z tym, że coś go omija. –

Moim obowiązkiem jest cię chronić. Przysięgałem przed królem, że będę wiernie wykonywał rozkazy. Idę z tobą albo nie idziesz wcale.

Wiatr smagnał jej twarz, przypominając o zbliżającym się nieubłagalnie wieczorze. Nie chciała tracić czasu na słowne przepychanki. Za bardzo ciekawiło ją, co takiego czarownik chce jej pokazać.

– Dobrze – odparła po chwili zastanowienia. – Ale masz iść dziesięć kroków za mną. Jeśli ktoś lub coś mnie zaatakuje, a ja nie będę w stanie sama się obronić, zdążysz przybiec mi na ratunek.

*Tak, jak uczyniłeś to w chacie więdźmy – pomyślała i zadrżała na samą myśl. Czy te wspomnienia będą dręczyć mnie już do końca życia?*

Maranti odchrząknęła i pomachała ręką, by zwrócić uwagę na swoją drobną osobę.

– A ja? Mam zostać tutaj sama? – spytała, rozkładając bezradnie ramiona.

– Idziesz z nami – zdecydował rycerz.

Młoda czarodziejka, podekscytowana wyprawą, podążyła za starcem.

– O nie, nie, nie. Idziesz obok Ziemowita – zdecydowała Wanda i nie czekając na dalsze lamenty adeptki sztuki magicznej, ruszyła w drogę.

Czarownik poprowadził ich w głąb lasu. Po długim marszu dotarli na polanę. Wokół nich skrzypiały gałęzie starych drzew, cicho i złowieszczo, jakby swoim zgrzytem chciały przestrzec przed tym miejscem. Wanda wzdrygnęła się, gdy nagły podmuch poderwał jej ciemnozielony płaszcz. Czarownik poklepał ją po ramieniu, dodając otuchy, choć sam miał nietęgą minę. Po chwili wahania podszedł do płaskiego kamienia, który wielkością i wyglądem przypominał karczemną ławę.

– To miejsce zła w czystej postaci – wyszeptał. – Otaczają je sploty powstałe z krwi niewinnych dzieci i kobiet.

Wanda zadrżała na samą myśl o tym, że właśnie stała w miejscu, w którym wieki temu zabijano ludzi w imię boga.

– Ołtarz ofiarny? – spytała, choć doskonale знаła odpowiedź.

– Nie inaczej.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Widzisz, dziecko, każdy kontakt z bogiem, czy to przez modlitwę, skromny podarek w postaci chleba i miodu, czy też przez krwawe rytuały ofiarne, każdy z nich zostawia ślad. Bo kontakt z bogami to magia, a magia zawsze zostawia ślad i nam, czarownikom, przyszło właśnie ten niezwykle ślad obserwować. Ten medalion... – czarownik rozkaszał się, gdy głos mu się załamał. Skłonił się przepaszająco, zawstydzony tym, jak trudno mu było opanować trwogę. – Wybacz.

– Co z medalionem? – dopytywała, ignorując zakłopotanie starca.

– Aurę tych splotów – starzec obiegnął wzrokiem polanę – widać w twoim medalionie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ten, który tchnął w niego magię, żył w czasach, kiedy krwawe rytuały były licznie praktykowane. Widzę wyraźnie poświęcenie tych samych splotów.

– To znaczy, że ta osoba była jednym z krwawych wyznawców?

– Możliwe. Tego nie jestem w stanie powiedzieć, ale z całą pewnością medalion pochodzi z epoki krwawych rytuałów.

– Kult Roda – powiedziała Wanda, usiłując sobie przypomnieć cokolwiek z tej haniebnej części historii. Wszystkie spisane przez krwawych wyznawców księgi zostały spalone lub zniknęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Jedynie zebrane po latach przekazy ustne potomków tych, którzy pamiętali cokolwiek o krwawych rytuałach, zostały uwiecznione w zbiorze *Naszych przodków przewiny*. – To było przeszło trzysta lat temu.

– Trzysta lat, trzysta zim... Historia lubi zataczać koło.



– Dzieci... Znikające z wiosek dzieci... O bogowie... – Wanda zakryła usta, czując, jak zbiera jej się na wymioty.

– Od zeszłego lata zauważyłem, że splot staje się wyraźniejszy. Nadchodzą ciężkie czasy. A tobie, dziecko, przyszło być w samym środku tej burzy. Jesteś królewską czarodziejką. Masz wielką władzę. Wybieraj mądrze, bo gdy idzie o przelewanie krwi w imię boga, losy świata wiszą na cienkich niciach.

– Co mam więc robić?

– Nie wiem – odparł szczerze czarownik.

*Przepowiednia jest jedynym, co mamy* – pomyślała. Spojrzała na stojącego nieopodal Ziemowita, zastanawiając się, ile z tego może mu powiedzieć. Podeszła do niego powoli, po czym wzięła głęboki wdech.

– Czy wasi uczeni odnotowali w ostatnich latach jakichś wyznawców Roda?

– Jego kult nie jest mile widziany w naszym królestwie – odparł rycerz. – Choć nie jest oficjalnie zakazany, bo nie można występować przeciw bogu, to raczej nikt nie odważyłby się... – urwał i przeniósł wzrok na polanę. Trwoga w jego czarnych źrenicach sugerowała, że właśnie zrozumiał, co się przed nim znajdowało. – Wando, co powiedział ci ten czarownik?

Bała się wypowiedzieć te słowa na głos, jakby od tego zależała ich prawdziwość.

– Ze splotów, które otaczają to miejsce, wynika, że prabóg właśnie powrócił.

– Te dzieci – wyszeptała Maranti, a jej oczy zaszkliły się od łez. – Czy to wiemy je...?

– Jeśli wiemy zaczęły czcić Roda, to...

– Ziemia spłynie krwią nie tylko dzieci – dokończył za nią Ziemowit.



## ROZDZIAŁ XIV

Zatrzymali się w najbliższym większym mieście, którego nazwy Dorada nawet nie zapamiętała. Odkąd uciekła z Villperuny, wszystkie wypowiedane do niej słowa słyszała jakby zza grubej ściany.

– Najadłaś się? – spytał Herrigen, gdy odsunęła od siebie prawie nietkniętą kaszę.

– Mdli mnie od tego zapachu cebuli i mięsa. Muszę wyjść. Pooddychać świeżym powietrzem.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Wyjdę tylko przed karczmę. Postaram się nie rzucić w oczy – obiecała, poprawiając białą chustę, by dokładnie ukryć kolor włosów.

Czarodziej skinął niechętnie głową. Wieść o nowym prawie, zakazującym wiedźmom, szeptuchom, szamanom i wróżom korzystania ze swych darów ze względu na znikające dzieci, mogła jeszcze tutaj nie dotrzeć. Była więc względnie bezpieczna, dopóki w wiosce nie pojawią się żołnierze.

Wyszła z karczmy i wzięła głęboki wdech mroźnego powietrza. Słońce powoli wędrowało po niebie, by skryć się za postrzępioną linią, utworzoną przez korony starych drzew. Dorada usiadła na pieńku przed

karczmą, by popatrzeć na grupkę dzieci bawiącą się w ganianego. Czwórka chłopców biegała wokół studni, goniąc roześmiane dziewczyny. Dwie z nich miały śliczne rumiane twarze, a spod ich czapek wystawały grube warkocze. Dorada skupiła wzrok na trzeciej dziewczynce, która na swym naznaczonym bliznami obliczu przywoływała uśmiech jakby na siłę. Mogła mieć najwięcej osiem lat, choć coś w jej oczach kłóciło się z drobną figurą i dziecięcymi rysami. W jej spojrzeniu Dorada dostrzegła to, co często widzi się u starych, doświadczonych przez los ludzi. Było dla niej oczywiste, skąd bierze się ból w jej duszy. Choć inne dzieci pozwalały jej się ze sobą bawić mimo oszpeconej twarzy, która z pewnością wywoływała w nich obrzydzenie, może nawet strach, nikt nie chciał jej dotykać. Biegała razem z koleżankami, choć z pewnością wiedziała, że nikt nie złapie jej i nie krzyknie „teraz ty gonisz!”.

Nagle dziewczynka zatrzymała się i odwróciła w stronę Dorady, jakby wyczuła, że ta jej się przygląda. Gdy stała tak nieruchomo, a wokół biegały roześmiane dzieci, Dorada poczuła, jak napływają do niej wspomnienia ze Staropola. Choć jej twarz nie była poprzecinana bliznami, ona również była tą, która nieczęsto słyszała „teraz ty gonisz!”. Uśmiechnęła się gorzko pod nosem, zdawszy sobie sprawę, jak życie potrafi być okrutne dla tych, którzy w jakiś sposób są inni. Tę dziewczynkę odrzucono za brzydotę, ją zaś za urodę, której nie pożałowali jej bogowie. Koleżanki odtrącały Doradę przez zazdrość, chłopcy za to, że żadnego nie chciała sobie obrać za wybranka serca. Nawet jej matka traktowała ją surowo, jakby pracą i pokorą musiała odpracować daną jej urodę. Choć w Staropolu rodzina Dorady zawsze była szanowana, nawet starsze osoby odnosiły się do niej tak, jakby była ich wrogiem. Będąc ciągle główną postacią plotek, po jedenastych urodzinach Dorada zamknęła w sobie tę część duszy wrażliwą na innych, by już nikt nigdy nie mógł zranić jej uczuć. Od tamtej pory nie potrzebowała innych. Miała siebie i chciała ze sobą zrobić coś wielkiego.

Pogładziła chustę, pod którą skrywały się białe włosy, świadczące o jej półdemonicznej naturze. Zastanawiała się, czy gdyby otrzymała w dzieciństwie choć odrobinę ciepła od rówieśników, też byłaby tą samą Doradą, która wyruszyła z wąpierzem na wyprawę, wierząc, że to jej życiowa szansa, by stać się kimś ważnym, znaczącym. Kimś, kto nie będzie rozpaczliwie potrzebował zrozumienia.

*Mirosław* – pomyślała, kiedy w końcu jeden chłopiec zlitował się i klepnął w ramię dziewczynkę z bliznami.

Mirosław był jej jedynym przyjacielem. Chłopcem, który nie ślinił się na widok Dorady, a jedyne, czego od niej chciał, to by nauczyła go pisać. Brakowało jej długich rozmów z młodym wróżem. Łączyła ich cicha, rozumiała tylko dla nich więź. On też był inny, niechciany.

Poczuła zimną łzę na policzku, gdy uświadomiła sobie, że znowu jest sama.

– Ile bym dała, by cofnąć czas – wyszeptała.

*Sprzeciwiłabym się ojcu i zostałabym w Villperunie. Nie wyruszyłabym z Elganem. Gdybym nie była półdemonem, Ars nadal by żył...* – Spojrzała w dal, wyobrażając sobie Drzewo Życia, za którym kryją się bramy Wyraju. *Ojczy, dlaczego ty w ogóle mnie z nim posłałeś?*

Potok wyrzutów sumienia i żalu przerwała idąca w stronę dzieci starsza kobieta.

– Koniec tej uciechy! – zawołała, przywołując na twarze dzieci grymasy niezadowolenia. – No już! Do domów, bo noc ciemna zaraz nastanie i was porwą demony!

Dorada wodziła wzrokiem po chłopcach i dziewczynkach, niechętnie rozchodzących się do swoich chałup. Przestroga starszej kobiety przypomniła jej o porywanych dzieciach, których szukali w Staropolu. Wieść, że w całym królestwie znika dziatwa, sprawiła, że nie mogła zasnąć przez kilka dni. Ciągłe dręczyły ją koszmary. W głębi duszy wiedziała, że Elgan nie powiedział jej wszystkiego, co odkrył w trakcie

ich wędrowni. Choć wtedy żałowała, że nie mogła dać Wandzie choćby okruchów informacji, by ludzie króla mogli odnaleźć niewinne duszyczki, nie miała za złe Elganowi, że zataił przed nią wiedzę. Niejednokrotnie pokazała mu, że nie potrafi poskromić ciekawości, która wplątuje ją w kłopoty. Uśmiechnęła się na wspomnienie Elgana, wąpierzka o żelaznej cierpliwości, który tak bardzo odmienił jej życie. Zrobiło jej się wstyd, gdy zdała sobie sprawę, że nie żałuje swojej decyzji o wyruszeniu z nim do Lasu Czarnoboga. W głębi serca tęskniła za tą niebezpieczną wyprawą. Za Elganem, którego zimne oczy ziały bezkresną pustką, a ciało biło chłodem takim, jaki teraz wbijał się w jej policzki i nos.

– Powinnaś już wracać do środka – powiedział Herrigen, stając u jej boku. – Musisz się wyspać. Przed nami długa droga.

Dorada nie protestowała. Była wykończona podróżą i ostatnimi wydarzeniami. Cieszyła się, że tej nocy udało im się wynająć ciasną, ale schludną izbę, która miała nawet niewielkie, prostokątne okienko. Położyła się na posłaniu i utkwiała wzrok w jasnym księżycu, którego blask sączył się przez pękniętą szybę. Na drugim posłaniu, równoległe do niej, położył się Herrigen. Po raz kolejny spędzi noc w jednej izbie z mordercą swojego ojca. Ojca, którego nawet nie miała okazji dobrze poznać. Wyciągnięty na jej brzuchu biały kocur, który łąził za nią, odkąd tylko weszła do karczmy, mrucał jakby na przekór światu, tworząc rytmicznymi pomrukami iluzję spokoju i bezpieczeństwa.

– Dlaczego oni ją spalili? – spytała nagle Dorada, choć przysięgała sobie, że nie będzie rozmawiać z Herrigenem. Nie wytrzymała i wydusiła w końcu z siebie pytanie, które dudniło w jej głowie, odkąd uciekli z Villperuny. – Dlaczego spalili Jagnę?

Słyszała, jak czarodziej przekręca głowę, by na nią spojrzeć.

– Bo ludzie nie potrafią patrzeć daleko – odpowiedział tak spokojnie i naturalnie, jakby rozmawiali już od długiego czasu.

Dorada milczała, a gdy odwróciła się, by popatrzeć na Herrigena z irytacją, czarodziej leżał już ze wzrokiem utkwionym w małe okienko.

– I dlatego spalili Jagnę? Bo mają słaby wzrok?

– Nie chodziło mi o dosłowne znaczenie. – Herrigen ziewnął i wyciągnął się na łóżku, zakładając ręce pod głowę. – Widzisz, magia wiedźm jest jak śmierć, a...

– Jagna nie była wiedźmą – ucięła mu w pół zdania.

– Dla nich to bez różnicy. Była wróżką, czyli parała się magią, której nie znają. Magią, która jest ściśle związana z mocą wiedźm.

– Dlaczego?

– Bo jej nie rozumieją.

Kątem oka dostrzegła kpiący uśmiech na twarzy czarodzieja.

– No i?

– Tak jak mówiłem. Magia wiedźm jest jak śmierć. Ludzie się jej boją, bo jest niepojęta i nieunikniona. A skoro nie da się jej okiełznać, to należy się jej bać i za wszelką cenę starać się nie wejść jej w drogę. Wiedźmy i wszystkich innych parających się dziką magią, w przeciwieństwie do śmierci, można zabić. A wtedy łatwo jest udawać, że problemu nie ma. Choć on i tak pozostanie.

– Jeśli wybiją wszystkie wiedźmy, wróżki, szamanów i szeptuchy... To problem zniknie.

– Nie.

– Nie?

– Nie. Bo to nie dzika magia jest problemem, tylko brak jej zrozumienia. To nie ci, którzy parają się dziką magią, bezmyślnie zaburzają porządek świata, tylko ludzie niepotrafiący ich zaakceptować.

Dorada analizowała w milczeniu słowa czarodzieja, czekając na ciąg dalszy. Imponowała jej ogromna wiedza Herrigena. Bursztynowe oczy i włosy koloru ciemnego miodu teraz, w ciemności, wyglądały jak czerń, która za wszelką cenę stara się błyszczeć. Było w tym człowieku coś

niezwykłego, coś, co równie mocno ją intrygowało, jak przerażało. Dorada nigdy nie widziała, żeby spędzał dni nad roślinnymi wywarami, a mimo to zawsze roztaczał się wokół niego łagodny zapach ziół, przywodzący na myśl znachora, nie czarodzieja. Herrigen sprawił, że choć szczerze nienawidziła czarodziejów, chciała poznać tajemnice ich mocy. On w przeciwieństwie do Wandy, która nigdy nie schodziła na temat dzikiej magii i jej miejsca w świecie, bez wątpienia był potężny i wiedział o wielu rzeczach.

– Ludzie nie potrafią patrzeć daleko – powtórzył po raz kolejny, przerywając ciszę. – Nie potrafią spojrzeć dalej niż do przyszłych żniw, narodzin pierwszego dziecka czy do jakiegokolwiek innego ważnego momentu w ich życiu.

– Czy myślenie o przyszłości to nie jest właśnie patrzeć daleko?

– Nie. Żeby dostrzec istotę sprawy, trzeba wyjść trochę dalej niż poza własny nos. A jak już ci się to uda, to zdasz sobie sprawę, że śmierć jest dobra.

– Śmierć jest dobra?! – Dorada aż się zerwała. Kot zamiauczał niezadowolony, że ktoś śmiał przerwać jego drzemkę. – Też coś.

– W takim razie wyobraź sobie świat bez śmierci.

Czuła na sobie wzrok czarodzieja i zrobiło jej się niezręcznie. Zaczęła głaskać kota, by nie dać po sobie poznać, że zaintrygowało ją to stwierdzenie. Nie chciała urządzać sobie z nim filozoficznych dysput, tak jak jej się to zdarzało z Elganem. Nie chciała rozmawiać z Herrigenem i wściekała się na siebie, że w ogóle zadała mu pytanie. Był mordercą jej ojca, a ona nie potrafiła mu wybaczyć, że nawet nie spróbował uratować szamana. Chciała, by czarodziej zniknął z jej życia, by nie musiała przypominać sobie o stracie za każdym razem, gdy na niego patrzy, słyszy jego głęboki, niski głos lub czuje zapach ziół. Miała ochotę uciąć rozmowę, ale ciekawość była silniejsza.

– Ludzie byliby znudzeni.

– Znudzeni? – spytał Herrigen, zaskoczony taką odpowiedzią. – Skąd taki wniosek?

Dorada nie pamiętała, co dokładnie opowiadał jej kiedyś Elgan, gdy starał się wytłumaczyć, dlaczego rusałka Lilija nie była przejęta śmiercią dwóch strażników. Tragicznym końcem dwóch niewinnych chłopaków, zabitych przez utopce, wodne demony, które za jej sprawą zjawily się tej feralnej Zadusznej Nocy w Staropolu. Na samo wspomnienie tego zdarzenia Dorada zacisnęła bezwiednie dłonie na miękkim futerku. Kot syknął i schował się pod łóżkiem.

– Znudzeni? – powtórzył Herrigen.

– No... tak. Bo jakby tak długo żyli, to wszystko straciłoby smak.

– Dlaczego?

– Bo nie byłoby w nich lęku. Obawy przed tym, że już nigdy więcej nie zjedzą kaczki w sosie jarzębinowym.

Czarodziej śmiał się tak głośno, że ktoś za ścianą uderzył kilkakrotnie pięścią, by go uciszyć.

– Sama to wymyśliłaś?

– Nie.

Herrigen patrzył na nią wyczekująco, ale nie naciskał, by podzieliła się z nim, z kim też doszła do takich wniosków.

– Nie da się ukryć, że to szczerą prawdą – powiedział. – Z pewnością istota nieśmiertelna, pozbawiona lęku przed śmiercią, zupełnie inaczej pojmuję świat. Ale ja chciałem, żebyś skupiła się na innym problemie związanym z brakiem śmierci. Załóżmy, że ten świat wypełniony jest znudzonymi, nieśmiertelnymi ludźmi. Każdego roku przybywa coraz więcej takich istnień. Jak długo świat mógłby trwać w takim stanie?

– Wieczność.

– Czyżby? W pewnym momencie zabrakłoby dla ludzi miejsca i pokarmu.

– Musieliby się zabijać – wyszeptała.



– Dokładnie. A wtedy śmierć okazałaby się wybawieniem. Kluczem do pozbycia się kłopotów. Teraz rozumiesz? Choć wszyscy widzą w śmierci zło wcielone, to jest ona czymś, bez czego świat nie mógłby istnieć. Tak samo jest z dziką magią, której nie rozumieją. To właśnie na niej opiera się wszelka inna magia, jaką człowiek zdołał zrozumieć i okiełznać. Bez pierwotniej magii wiedźm nie istniałaby magia czarodziejska. Magia wiedźm jest tym, czym garnek jest dla polewki. Możesz mieć najwyśmienitsze składniki, świeże mięso, aromatyczne przyprawy, ale nie przyrządzisz z nich polewki bez garnka, choćby i lichego. Bez tej dzikiej magii nie byłoby magii ujarzmionej. A bez magii w ogóle, nie byłoby świata.

– Dlaczego?

– Bo magia łączy to, co boskie, z tym, co ludzkie. Bo gdyby nie ta nić porozumienia z bogami, choćby i niezbyt zorganizowanego porozumienia, trochę nawet przypadkowego, nieudolnego, nastałby chaos.

– Skąd o tym wiesz?

W tej krótkiej, pełnej napięcia ciszy Dorada usłyszała cichy, nerwowy wdech czarodzieja.

– Z mądrych ksiąg – odpowiedział trochę za szybko.

*Widać Wanda albo lubi trzymać wiedzę dla siebie, albo nie jest tak sprytna jak Herrigen i nie dotarła do ksiąg skrywających tajemnice świata.*

Po nerwowym uśmiechu czarodzieja Dorada zrozumiała, że to mogły nie być ogólnie dostępne treści. Być może nawet wiedza Herrigena pochodziła z jakiegoś zakazanego źródła.

– Chyba bardzo interesowałeś się wiedźmami, skoro odnalazłeś takie zapiski.

Herrigen zaśmiał się i poprawił posłanie.

– Tylko nikomu nie mów. A teraz chodźmy spać. Przed nami jeszcze długa droga, a chciałbym, żebyśmy jak najszybciej dotarli do Białogrodu.

Może uda nam się tam dojechać, nim Wanda opuści miasto.

Dorada nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z Wandą. Jedyne, czego chciała, to zabrać jej medalion Elgana, a to było dla niej na tyle ważne, by wystarczyło, żeby zgodziła się na próbę kontaktu z Wandą. Chciała odzyskać naszyjnik i odnaleźć Elgana.

*Przeklęta czarodziejka* – pomyślała, czując, jak policzki czerwienią się ze złości na samą myśl o tym, jak perfidnie postąpiła Wanda, zabierając jej naszyjnik.

Wróciła wzrokiem do znikającego za ciemnymi chmurami księżyca. Zastanawiała się nad słowami czarodzieja.

*Czy gdyby ludzie zaczęli postrzegać magię więdźm tak samo jak nieuniknioną śmierć, czasem okrutną, nieprzewidywalną, potężną i niepojętą, ale za to niezbędną do istnienia świata, czy wtedy zaniechaliby ataków? Czy może to jedynie bardziej rozpaliloby ich strach? Zamknęła powieki. A może Herrigen właśnie opowiedział mi kompletne bzdury...?*



## ROZDZIAŁ XV

**P**uszczą zaszumiała złowieszczco. Wszyscy przemarznięci do szpiku kości pośpiesznie składali obóz i pakowali rzeczy na wozy. Chcieli jak najszybciej uwolnić się z objęć pradawnych drzew i dotrzeć do miejsca, w którym będą mogli w końcu porządnie się ogrzać i wyspać w ciepłej izbie.

– Dokąd zmierzamy? – spytał Mirosław, podając wiedźmie jej podręczną torbę.

– Do Białogrodu.

Wróż czekał z walącym w wątłej klatce piersiowej sercem, aż wiedźma powie „a później do Sibigardu”, ale nic takiego nie nastąpiło. Po tym, jak wyjawiała mu jego pochodzenie, miał nadzieję, że Zorzanna stanie się bardziej rozmowna. Zaryzykował więc kolejnym pytaniem.

– Po co tam jedziemy?

– A ten jak zwykle... Stanie taki markotny, wlepi te smutne oczy i pyta, i pyta. Czy ja mogę choć przez chwilę w spokoju pakować swoje rzeczy?! Jak nie te wystraszone osiłki, to pożałuj Welesie wróż mi rzyć zawraca. – Upchała w torbie owinięte czerwoną wstążką ptasie pióra i spojrzała spod brwi na Mirosława. – Nie możesz tak po prostu być

wdzięczny za to, że cię zabrałam od znachora? Przy mnie przynajmniej się czegoś nauczysz. Z tego co mi ten łysy dureń opowiadał, wnioskuje, że przyda ci się wiedza o magii. Mówił, że jesteś wróżem. Ale ty się chyba jednak z powołaniem minąłeś. Nie myślałeś czasem, żeby myślicielem zostać?

– Do tego musiałbym pochodzić z jakiegoś szlacheckiego rodu.

– To chociaż kapłanem. – Prychnęła pogardliwie. – Oni też tak lubią sobie i innym zadawać niestworzone pytania. Jakby im które bóstwo faktycznie miało kiedyś odpowiedzieć.

– Wróż na kapłana? To chyba nie przystoi... Nigdy o takim nie słyszałem.

– To będziesz pierwszy. A teraz bądź tak miły i zamilcz, bo nie ręczę za siebie. Muszę się skupić – sapnęła, gdy ostatnia skórzana sakiewka znalazła się w torbie. – A ten jeszcze tu stoi! Na bogów, Mirosławie! Czy ten bies aby ciebie nie opętał dla odmiany?

– Chcę tylko wiedzieć, po co tam jedziemy – naciskał.

– Dobrze. Proszę bardzo. Jest tam pewna królewska czarodziejka, która miło pogawędziła sobie z moją przyjaciółką w trakcie uczy. – Przerwała, by wymamrotać serię przekleństw, bo jej skórzana torba nie chciała się domknąć przez niechlujnie wepchane rzeczy. – Moja przyjaciółka może i doskonale zna się na magii, ale już niezbyt dobrze radzi sobie z myśleniem. Zapomniała zabrać tej przybłędzie z Gorent niezbędną nam błyskotkę. Musimy odebrać czarodziejce królewski znak.

– A twoja przyjaciółka nie może, skoro już tam jest?

– Nie, bo ma teraz inne rzeczy do roboty.

Wiedźma wywróciła torbę, wysypując zawartość na ubity śnieg.

– Chodzi ci o broszę z błyskawicą Villperuny? – spytał, wiedząc, że dopytywanie o wiedźmę z Białogrodu nie ma sensu.

– Yhm – burknęła wściekła na to, że po raz kolejny będzie układała wszystkie niezbędne przedmioty w podręcznym bagażu.

– A po co?

– A po co? A po co? Nie widzisz, że zajęta jestem?! Won do roboty, chłopom pomagac!

*I tak wiem po co. I domyślam się, dlaczego tak bardzo nie chcesz mi tego powiedzieć. Boisz się, że ucieknę. Boisz się, Zorzanno, że wizja wyprawy na owiane tajemnicą Ziemi Wiedźm tak bardzo mnie przerazi, że zachowam się jak wystraszony szczeniak.*

Cofnął się o krok, gdy fuknęła na niego, zirytowana tym, że dalej na nią patrzył.

*Przecież właśnie to zamierzałem zrobić, gdy Sójka wyjawiał mi twój cel podróży. Chciałem uciec i zapewne bym to zrobił, gdybym jeszcze bardziej od Sibigardu nie bał się wyszeptanej przez ości przepowiedni...*

Wolał nie wystawiać cierpliwości wiedźmy na próbę i w końcu zszedł jej z oczu. Minął po drodze Wańkę i Biedrawę, którzy, jak gdyby nigdy nic, rzucali razem na wóz przewiązane sznurem owcze skóry, mające ich chronić nocą przed zimnem.

*A więc widmowa kobieta musiała zniknąć na dobre – pomyślał, gdy Wańka przyjacielsko poklepał Biedrawę po ramieniu. Zniknął bies, zniknęła też i zawiść. Ciekawe, na jak długo?*

Wszyscy pracowali w pocie czoła, by jak najszybciej wyjść z pradawnej puszczy na bezpieczniejsze tereny. Mirosław potarł dłonie, gotowy do pracy. Zauważył siłującego się z końmi Sójkę i postanowił mu pomóc. Ze wszystkich kupców jego jedyne darzył odrobiną sympatii.

W pół drogi zatrzymał go cichy kobiecy głos. Nie rozumiał, co dokładnie słyszy, ale wiedział, że to krzyk. Stłumiony odległością wrzask dobywający się z głębi puszczy niemal rozdzierał jego duszę.

– Żwawo, niedojdy, bo nie zdążymy znaleźć polany przed zmrokiem!  
– wrzasnęła Zorzanna.

Mirosław przebiegł wzrokiem po prowizorycznym obozie. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy zajęci byli pracą, która pochłonęła ich

bez reszty. Głos kobiety z głębi puszczy zagnieździł się w jego umyśle na dobre. Wzywała go, był tego pewien. Jego mięśnie napięły się, gotowe do biegu. Choć nie potrafił tego wytłumaczyć, wiedział, że musi jej pomóc. On i nikt inny.

Wolnym krokiem odszedł, by schować się w labiryncie drzew. Gdy był pewien, że nikt nie jest w stanie go dostrzec, puścił się pędem na ratunek.

Biegł, ile sił w nogach, tracąc poczucie czasu. Głos był coraz wyraźniejszy, a im głośniejszy się stawał, tym silniej odczuwał rozpacz kobiety. Przepełniały go strach i smutek. Chęć niesienia pomocy tej biednej kobiecie była najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczył w całym swoim życiu. Pędził, a z oczu płynęły mu łzy. Płuca paliły od mroźnego powietrza, które tak łapczywie wciągał, spiesząc nieznajomej na pomoc.

Zatrzymał się dopiero na skraju wyrwy. Na dnie wielkiej dziury stała piękna kobieta o długich do kostek, czarnych włosach. Była ubrana tak kuso, że Mirosław nie mógł uwierzyć, że w ogóle jest w stanie jeszcze się ruszać. Spod zwiewnej halki przebijały nabrzmiące od mrozu sutki. Zrobiło mu się gorąco. Zawstydzony, odruchowo potarł dłonią policzki, które zapłonęły, bezczelnie zdradzając pożądanie. Pod jego stopami stała najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział, i to właśnie on miał ją uratować. Bez chwili namysłu zdjął swój płaszcz i rzucił w dół.

– Załóż go! – krzyknął, dygocąc z zimna.

– Bogowie – jęknęła i zanosła się płaczem. – Bogowie wysłuchali moich próśb. Mój wybawicielu. Błagam, wyciągnij mnie stąd! Błagam!

Serce ścisnęło mu się na dźwięk tak krystalicznie niewinnego szlochu. Łkała jak bezbronne dziecko, które zgubiło się w wielkim lesie. Chciał jej pomóc, ochronić, otoczyć opieką, żeby już nigdy nie doznała podobnej krzywdy. Rozejrzał się, szukając czegoś, po czym mogłaby się wspiąć. Oddalił się, by znaleźć odpowiednio długą i mocną gałąź.

Zimno, które otuliło ciało Mirosława, zajęło miejsce ciepłego płaszcza i na chwilę otrzeźwiło jego umysł.

*Skąd ona się tu wzięła? Jakim cudem była w stanie tak krzyczeć, będąc niemal naga? Przecież ten przeklęty mróz powinien odebrać jej głos już po kilku słowach...*

Przystanął i odwróciwszy się, wbił wzrok w wyrwę, z której dobiegał cichy szloch kobiety.

*Ona nawet nie drżała. Jej głos jest tak czysty...*

Gdy Mirosław był bliski decyzji o powrocie do tymczasowego obozu, by powiadomić Zorzannę o niezwykłej kobiecie, ta ponownie zaniósła się szlochem i wołaniem o pomoc. Wszelkie wątpliwości momentalnie opuściły Mirosława i, jak gdyby nigdy nic, powrócił do szukania gałęzi.

– Ch-ch-chwyć ją mo-mocno! – wydukał, siląc się, by jego głos brzmiał męsko.

Kobieta złapała drobnymi rękami przytaszczony przez Mirosława konar i zaczęła się po nim wspinać.

Zamiast zdumienia siłą i łatwością, z jaką pięła się po gałęzi, Mirosław czuł tylko narastający przypływ radości i dumy.

– Mój wybawicielu – zawodziła melodyjnym głosem.

Była coraz bliżej. Teraz, gdy spojrzał w głębokie, błękitne oczy kobiety, jeszcze bardziej zapłonęły mu policzki. Tęczówki, przysłonięte wodną zasłoną łez, wyglądały jak jezioro, w którym odbijało się bezchmurne niebo.

– Mój wybawicielu. Mój słodki wybawicielu – powiedziała i podała mu śnieżnobiałą rękę.

Zatrzymała się i zadarła głowę, posyłając mu triumfalny uśmiech. Kiedy ich dłonie splotły się w uścisku, Mirosław zaprzestał ratowania kobiety. Wzdrygnął się na widok jej nienaturalnie gładkiej i lśniącej twarzy. Miał ochotę zepchnąć ją z powrotem do dziury, ale nagle ostry ból przeszył jego ciało, gdy drobne palce zacisnęły się na jego dłoni.

– Co-co się dzieje... – wyszeptał, krztusząc się zimnym powietrzem.  
– Co...

Ścisnęła jeszcze mocniej, a z ust Mirosława wydobył się zwierzęcy skowyt. Niczym szpony, palce wbiły się w skórę wróza, z której pociekła czerwona struga. Oszołomiony patrzył, jak kobieta zlizuje krew z jego ręki. Świadomość powoli powracała, ale na nic mu się to zdało. Był już sparaliżowany.

– De-demon – wymamrotał przerażony. – Ru... Rus...

Rusałka zaśmiała się słodko i spojrzała mu prosto w oczy. Nie puszczając jego dłoni, wspięła się samymi nogami i stanęła bosymi stopami na zamarzniętej ziemi. Stała tak blisko, że czuł zapach ziół i kwiatów, którym przesiąknięta była jej delikatna skóra. Rusałka przyciągnęła go do siebie i musnęła wargami jego ucho.

– Słodki głuptasie – wyszeptała, kładąc drugą dłoń na czole chłopaka.

Jej oczy zalśniły. Miał wrażenie, że spojrzenie leśnej istoty przenika do jego duszy i wpuszcza do niej jad. Ciało powoli zatruwała magia demonów niższego rzędu, działająca tylko na ludzi. Moc rusałki rozpierała go od środka. Napierała na skórę jak stado rozwścieczonych os. Mirosław krzyczał, czując, że za chwilę demoniczna moc rozsadzi go na miliony kawałków.

Nagle zawirowały wokół niego czarne drobinki niesione zza jego głowy podmuchem wiatru. Zamknął powieki, gdy oczy zapiekły, jakby rozgrzane rozżarzonym żelazem. Coś szarpnęło go od tyłu i cisnęło o ziemię. Ciepło rozlało się po jego głowie, gdy uderzył skronią o zwalone drzewo. Zza mgły, która spowiła jego oczy, dostrzegł drobną sylwetkę Zorzanny.

– Trzymaj się z daleka! – wrzasnęła wiedźma. – Masz tu nie podchodzić, choćby nie wiem co się działo!



Mirosław zamrugał kilkukrotnie i przetarł zakrwawione czoło. Spojrzał na czerwoną rozmytą plamę. Obraz był niewyraźny, ale nie miał wątpliwości, że to krew. Powoli odzyskiwał wzrok i coraz lepiej widział majaczące przed nim postaci.

Rusałka stała przygarbiona, łypiąc wściekle na Zorzannę. Wyszczrzyła do wiedźmy drobne zęby. Gdy podeszła bliżej, Mirosław zauważył brunatne plamy na ciele demona, z których unosiła się para. Wystarczyło, by zrozumiał, co przed chwilą zaszło. Zorzanna musiała obrzucić ją popiołem, dzięki czemu rusałka zwolniła uścisk. Sam popiół nic by nie działał, ale w rękach wiedźmy, istoty panującej nad ogniem, drobne, szare ziarenka stawały się potężną bronią. Demon zdawał się rozumieć, z kim ma do czynienia, bo jego piękne, błękitne oczy zaśniły niepokojem.

– Wiedźma. – Rusałka zachichotała. – Ty prawie moją siostrą jesteś. Czemu przeciwko mnie stanęłaś?

- Nie omamisz mnie tym melodyjnym głosem.
- Po co mam mamić? Przecież tylko rozmawiamy.
- Czego chcesz od chłopaka?

Rusałka uśmiechnęła się zalotnie i spojrzała na Mirosława. Oblizwała palce, na których jeszcze była jego krew.

– Niezwykłego towarzysza sobie wzięłaś. Jego krew jest jak ogień. Taka ciepła, taka silna.

- Kto cię nasłał?

Rusałka zaniósła się śmiechem, po czym wyszczrzyła zęby.

– Może... Leszy? Co ty na to, wiedźmo? Pan tego lasu lubi takie wybryki natury.

– A może ja cię po prostu zdzielę jeszcze raz popiołem, żeby ci tę śliczną buźkę wyparzyć? – Zorzanna na chwilę uniosła palce, odsłaniając zawartość pięści, którą przed chwilą groziła demonowi. Rusałka zadrżała na widok szarego pyłu. – Co ty na to?

– Nie zrobisz tego – syknęła. – Jestem od ciebie silniejsza. A ty... ty jesteś śmiertelna. Mogę cię zabić tak, żebyś już nigdy stąd nie wyszła. Żebyś na wieki utknęła w tej puszczy jak ja. Będziesz patrzyła na te same drzewa, na których pieśń groźny wiatr dziś gra. Będziesz tańczyła z władcą tego lasu, aby zapomnieć o upływie czasu. Będziesz wyła jak wilk, gdy księżyc w pełni świeci, bezbronna i samotna jak zaginione dzieci.

Mirosław zatkał sobie uszy, czując, jak melodyjne zawrozczenie rusałki ponownie odbiera mu rozum.

– Na mnie nie działają te twoje przyśpiewki. Kto cię nasłał? – spytała Zorzanna. Na jej czole błyszczały krople potu. – Mów, bo tracę cierpliwość.

– W tobie krew demonów płynie. Nie krzywdź swojej siostry, więdźmo.

– Prędzej Weles rozszarpie moją duszę, niż stanę się twoją siostrą. – Zorzanna splunęła przed siebie. – Skoro się nie dogadamy, to proponuję, żebyś zesłała mi z oczu.

– Nieładnie tak obrażać leśne istoty.

– Wynoś się stąd – warknęła Zarzonna, grożąc pięścią, w której trzymała popiół. – Precz albo wypalę ci kolejne dzieła na skórze.

Rusałka syknęła przeciągle i bez ostrzeżenia skoczyła na Zorzannę. Leśna istota była dużo szybsza i zwinniejsza. Więdźma nie zdążyła w porę zareagować i demon zacisnął dłoń na pięści, w której Zorzanna trzymała popiół. Więdźma jęknęła cicho, tłumiąc okrzyk bólu.

Mirosław nie mógł oderwać wzroku od Zorzanny. Po raz pierwszy zamiast oschłej, wrednej więdźmy, ujrzał waleczną, utalentowaną kobietę. W tym momencie zdał sobie sprawę, że w ogóle jej nie zna. Nie miał pojęcia, skąd pochodzi i dlaczego los wytyczył jej ścieżkę usłaną ogniem potężnej magii półdemonów. Choć było okrutnie zimno, kilka

kropel potu pojawiło się na napiętej twarzy wiedźmy. Kontakt z rusałką musiał wymagać od niej wiele wysiłku.

Mirosław wstał i dysząc ze zmęczenia, zaczął powłóczyć nogami w ich stronę.

– Nie waż się tu podchodzić! – krzyknęła wiedźma.

Korzystając z chwili nieuwagi rusałki, która wlepiła błękitne oczy w Mirosława, Zorzanna szarpnęła za kaskadę czarnych włosów. Demon zawył i wolną ręką przejechał ostrymi paznokciami po policzku wiedźmy. Na twarzy Zorzanny pojawił się złośliwy uśmiech. Wiedźma skuliła się nagle, jakby dźgnięta w brzuch ostrzem, i przycisnęła zakrwawiony policzek do dłoni rusałki, zaciśniętej na pięści skrywającej wiedźmowy pył. Zaskoczona rusałka patrzyła jak ciemna, czerwona posoka spływa po jej dłoni i przez szczeliny między palcami dostaje się do popiołu. Nim ktokolwiek zdążył wydać z siebie choćby najcichszy dźwięk, ręka wiedźmy wybuchła falą ognia, topiąc śnieg w promieniu dziesięciu kroków. Uderzenie wiedźmowej mocy ogłuszyło Mirosława, choć było to niczym w porównaniu z tym, co stało się z rusałką. Skulony demon miotał się z wykrzywioną od bólu twarzą. Dawniej błękitne, urocze oczy rusałki, teraz płonęły czarnym ogniem zemsty.

Oszołomiony Mirosław obserwował, jak wiedźma powoli podchodzi do rusałki i łapie ją za płaszcz, który nie tak dawno jej podarował. Widział, jak Zorzanna porusza wargami i wściekła szarpie rusałką, jakby chciała coś z niej wydusić. Choć Mirosław niczego nie słyszał, bo od wybuchu w uszach pulsował jedynie cienki pisk, to doskonale był w stanie wyobrazić sobie chichot demona. Po jakimś czasie wiedźma z obrzydzeniem odrzuciła wyczerpaną od licznych poparzeń i szarpaniny rusałkę, która niezdarnie pobiegła w głąb puszczy. Sama Zorzanna nie miała co prawda czerwonych bąbli na skórze, ale jej twarz wykrzywiało skrajne zmęczenie, a ubranie lepilo się od świeżej krwi. Mirosław powoli

odzyskiwał słuch. Wiedźma, zgarbiona, podpierając się ramieniem o drzewo, odwróciła się i długo wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Tym razem cię nie zganię – powiedziała, dysząc z wysiłku, i rzuciła mu pod nogi odzyskany płaszcz. – Zdaje się, że czekała tu na ciebie od dłuższego czasu i zdążyła dobrze się przygotować. Nie miałeś szans.

– Ale... Dlaczego?

– Chciała twojej krwi – wycharczała wiedźma. – Chciała się dowiedzieć.

– Czego?

– Tego samego, co ja. Teraz już wie, że jesteś dzieckiem ognia. Synem wiedźmy.

Mirosław spojrział w głąb lasu, zastanawiając się, jakie to może mieć znaczenie dla kogoś takiego jak rusałka.

– Ale po co? Po co jej to wiedzieć?

– Nie mam pojęcia – przyznała zrezygnowana.

Puszcza zaszumiała złowieszczo, a niebo zaszło ciemnymi chmurami.

– Wracamy. Zostało niewiele czasu do zmierzchu – oznajmiła i dysząc, powłóczyła nogami w stronę obozu.



Dni upływały na monotonnym marszu. Wszyscy mówili tylko o tym, że już niedługo dotrą do Białogrodu i zarobią fortunę. Nikt jednak nie wspominał choćby słowem, że z całym majątkiem trzeba będzie się wybrać w drogę powrotną – równie długą i męczącą. Ta myśl o konieczności powrotu trochę uspokajała Mirosława. Było oczywiste, że kupcy sami nie wyprawią się przez puszcę, więc Zorzanna będzie musiała im towarzyszyć. Z tego jasno wynikało, że o żadnym Sibigardzie

nie było mowy. W tym bezpiecznym przekonaniu tkwił do czasu, gdy Sójka wyznał mu, że na drogę powrotną wiedźma wyznaczy im kogoś z Białogrodu.



## ROZDZIAŁ XVI

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale na placu targowym w Białogrodzie było już na tyle tłoczno, że czarodzieje i rycerz nie musieli bardzo się starać, by nie rzucać się w oczy. Wszyscy zajęci byli pracą. Kupcy rozkładali kramy, nosili towary, zachwalając je w niebogłosość, jakby od tego, kto głośniej obwieści o wspaniałości swego produktu, zależało, ile go faktycznie sprzeda. W powietrzu unosił się zapach ciepłego pieczywa, tkanin, przypraw, piwa i surowego mięsa. Choć nikt jeszcze na dobre nie zaczął handlować, nie brakowało ludzi, którzy ściskali swoje sakiewki w nadziei, że dobrze wydadzą srebro. Wanda wyczuwała też wyraźne u mieszkańców Białogrodu podniecenie i radość wywołane nadchodzącym Szczodrym Wieczorem.

Na samym środku targu wznosił się potężny snop siana przystrojony suszonymi owocami, grzybami oraz barwnymi plecionkami z wikliny i wełny. Nie mogła oderwać od niego wzroku. W Gorent tradycja przystrajania diducha praktycznie zanikła. Tylko nieliczni mieszkańcy wysp przystrajali przed Szczodrym Wieczorem snopy siana w swoich domach, a po zakończeniu czasu świątecznego zdejmowali ozdoby z diducha i zbierali nasiona, które miały zapoczątkować wiosenny siew.

Żałowała, że jej pobratymcy zaniechali tej pięknej tradycji. W Szczodrych Godach wyczuwała magię zwykłych ludzi. Magię tych wszystkich pogodnych twarzy, otwartych serc i radości, jaka towarzyszyła im podczas przygotowań do świąt. Tak jakby ten jeden raz w roku wszyscy mieli moc.

Nagle po placu poniósł się dźwięk chłopięcych głosów. Młodzieńcy przyuczający się na kapłanów wysyłali w pieśniach prośby do bogów, błagając o łaskę i urodzaj. Wszyscy zatrzymali się na chwilę, by podziwiać piękno ich głosów. Wanda jako dziecko często chodziła do świątyni, by zatracać się w magii pieśni. Coś niezwykłego kryło się w ich słowach i melodii. Za każdym razem, gdy ich słuchała, miała wrażenie, że to coś wkrada się do jej duszy i napełnia ją mocą. Zamknęła powieki, by lepiej skupić się na chórze.

*Wielki Panie nasz, Welesie  
Niech ta pieśń dziś hen się niesie  
Do podziemnych bram Wyraju  
Magii i tajemnic gaju*

*Ułysz nasze prośby, Panie  
Niechaj dzień się dłuższy stanie  
Swaróg czeka już w niebiosach  
By móc radość zasiać w kłosach*

*Jak bez nocy dzień nie stanie  
Ułysz tako to błaganie  
Nocy krótszej, dnia długiego  
By mieć chleba powszedniego*

– Więc jaki jest plan? – spytała Maranti, gdy chór chłopców zamilkł, przygotowując się do kolejnej pieśni.

– Trzeba zmotywować mieszkańców do mówienia – zaczął Ziemowit, rozglądając się po placu. – Z racji świątecznego okresu nie możemy nikomu uciąć choćby palca, by zastraszyć ludzi, którzy mogą ukrywać szeptuchy i wiedźmę. Szczodre Gody to święty czas w Białogrodzie, wolny od wojen, przelewu krwi i tortur. A tak się składa, że zawieszenie wszelkich sporów już obowiązuje. Musimy zatem obejść tutejsze prawo.

– Zastanawiam się, czy w waszych bibliotekach znajdują się naukowe traktaty o sposobach omijania zasad tak, aby ich nie łamać. – Wanda uśmiechnęła się z przekąsem do rycerza. Najwidoczniej jego też to rozbawiło, bo kąciki ust mu drgnęły, unosząc się lekko. Fannil, który do tej pory szedł w milczeniu, racząc ich co jakiś czas swym zimnym spojrzeniem, teraz prychnął. Bładoskóry czarodziej pochodził z wyspy Chorsa, a tam, według wiedzy Wandy wyniesionej z zajęć, prawo było tak surowe, że mało komu w ogóle by przyszło na myśl kogoś okradać.

– Słowa spisane na papierze nie zmieniają się wedle potrzeby, ale ludzie i miasta ostatnio zmieniają się coraz szybciej. – Ziemowit wskazał świątynię wzniesioną niedawno ku chwale Mokozy. Budowla wzbudzała zachwyt swymi licznymi wieżyczkami, wokół których wiły się żelazne pnącza, symbolizujące roślinność powoływana przez boginię do życia. Spiczaste dachy z zielonej klepki ozdabiały wykute z żelaza wianki, których liście błyszcząły w świetle zimowego słońca, przypominając, że dzień będzie się robił coraz dłuższy, a ziemia zacznie odradzać się na nowo.

– Nie ma idealnego zbioru praw – kontynuował rycerz. – Prędzej czy później nadchodzi taki moment, który nie mieści się w ramach ustalonego porządku.

– Po co więc w ogóle ustanawiać prawa? – spytała Maranti, wpatrzona w kamienny posąg bogini spoglądającej na nich znad drzwi świątyni.



– Żebyśmy się nawzajem nie pozabijali. – Ziemowit westchnął i wskazał rząd straganów z drogocennymi tkaninami oraz biżuterią. – Musimy znaleźć złodzieja. Jeśli kogoś przyłapiemy, będziemy mogli zgodnie z prawem go ukarać. Nie można przelewać krwi, ale od czego jest magia? Wanda – odwrócił się do czarodziejki – wymyśl jakiś widowiskowy czar, żeby ludzie przestraszyli się twoich możliwości. Nie znają magii czarodziejkiej. Wystarczy, że... no nie wiem – podrapał się po czarnym zaroście – uniesiesz złodzieja w powietrze na chwilę? – Zastanowił się i dodał: – Możesz też przez przypadek grzmotnąć nim o jakiś stragan. Tylko tak, żeby się nie pokaleczył. Żadnej krwi. Potrafisz takie rzeczy?

– Nie. Ale mogę sprawić, że ziemia, na której stoi, nagle zacznie się wzbijać, okalając jego ciało. Będzie wyglądało, jakby chciała go pochłonąć żywcem.

– Brzmi dobrze. – Ziemowit poklepał ją po ramieniu, ignorując Fannila, który najwyraźniej chciał zaproponować inne rozwiązanie. Rycerz ruszył w stronę straganów, a w ślad za nim poirytowany czarodziej. Nie przepadali za sobą. Wanda podejrzewała, że może chodzić o cichą rywalizację pod tytułem „mój ród jest szlachetniejszy od twojego”, ale nigdy nie poruszyła tego tematu, będąc sam na sam z Ziemowitem.

– Naprawdę potrafisz zrobić ten czar z ziemią? – spytała Maranti. W jej szeroko otwartych oczach Wanda widziała szczerą podziw i odrobinę zazdrości.

– Jak będziesz grzeczna, to cię nauczę. – Mrugnęła okiem do młodej czarodziejki. – Może przez ten rok tak cię wyszkolę, że po powrocie na Ziemię Raroga ukończysz Akademię?

– Rodzice odetchnęliby z ulgą – przyznała Maranti.

Czarodzieje i rycerz krążyli wśród coraz liczniejszych mieszkańców Białogrodu i okolicznych wiosek, wypatrując pierwszego złodzieja. Czas

mijał i Wanda zaczynała wierzyć w niespotykaną nigdzie indziej uczciwość białogrodzian. Nagle poczuła szturchnięcie. Odwróciła się i szybko podążyła wzrokiem w kierunku, który wskazał jej Fannil.

Przy straganie z bursztynami stała młoda kobieta. Była wysoka i zadbana, a jej czarny płaszcz dekorowany haftem w kształcie płatków śniegu świadczył o bogatym pochodzeniu. Kobieta przymierzała lśniąca złotymi refleksami naszyjnik, ważyła w dłoniach ozdobne bursztynowe brosze o rozmaitych kształtach, wydając przy tym serię głośnych westchnień. Przesadny zachwyt bogatej panny imponował handlarzowi. Cały czas chichotała i trzepotała rzęsami, a oczarowany jej urokiem kupiec szczyrzył się, odsłaniając krzywe zęby. Młody handlarz, zauroczony jej urodą i dostojnością, nie widział, jak przebiegła kobieta chowa ukradkiem mniejsze ozdoby w rękawie płaszcza.

– Nie byle jaka złodziejka – skomentował Fannil. Po jego wiecznie niewzruszonej twarzy przebiegł cień podniecenia.

– Pozorantka? – zastanawiała się głośno Wanda.

– Młode, zamożne panny często są po prostu znudzone życiem i szukają wrażeń – skomentował Ziemowit. – Gorzej nie mogliśmy trafić, ale lepsza znudzona panna niż nikt. Gotowa?

Wanda zmarszczyła czoło, przyglądając się niecodziennej złodziejce.

– Oskarżenie o kradzież zamożnej mieszkanki Białogrodu i próba zakopania jej żywcem z pewnością odbije się jeszcze donośniejszym echem, niż przyłapanie zwykłego człowieka. Ale czy jej rodzina nie zechce mnie postawić za to przed sądem?

– Jestem świadkiem. Moje słowo znaczy więcej od słowa jakieś panny ze średniozamożnego rodu. Poza tym... Ten naiwny kupiec będzie ci z pewnością wdzięczny za uratowanie jego dorobku.

Wanda nie bez wahania odpięła złotą błyskawicę, symbol Villperuny, i schowała ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza, by nie wystraszyć złodziejki. Powoli, jakby od niechcienia, podeszła do straganu ze

szlachetnymi kamieniami. Wyjęła na wierzch sukni medalion Elgana, żeby uwiarygodnić swoje zamiłowanie do błyskotek. Stała obok kobiety i, zapomniawszy na chwilę o celu, wzięła do ręki bursztynową broszę w kształcie kołowrotu.

– W czym pomóc? – zawołał wesoło handlarz, nie odrywając wzroku od chichoczącej panny.

Wanda jednak nie odpowiedziała. Zgroza odebrała jej mowę na widok starego symbolu. Do tej pory kołowrót widziała tylko w księgach. Była przekonana, że nikt już go nie używa, bo i po co, skoro kult Roda był źle postrzegany. Kult boga ognia i krwi, którego większość uznawała za praboga, początek wszystkiego, nie był zakazany, bo nikt nie odważyłby się wystąpić przeciw bogu, ale Roda akurat wszyscy woleli omijać szerokim łukiem. Haniebne, krwawe ofiary, które ludzie składali ku jego chwale, były skazą w historii człowieka.

Wanda poczuła, jak uginają się pod nią nogi, gdy przypomniała sobie o miejscu, które pokazał jej czarownik.

*Od zeszłego lata zauważyłem, że splot staje się wyraźniejszy. Nadchodzą ciężkie czasy.*

Słowa starego czarownika wybrzmiały złowieszczo w jej głowie. Z zamyślenia wytrącił ją piskliwy chichot kobiety. Nim zdążyła na powrót skupić się na przyczynie, dla której podeszła do straganu, złodziejka odeszła.

– Wanda?! – syknął za jej plecami Ziemowit. – Co to miało być?

– Spójrz – powiedziała, pokazując broszę.

Rycerz skierował wzrok na biżuterię. Osiem ramion, zagiętych niczym sierpy gotowe do cięcia, połyskiwało ognistymi refleksami. Ziemowit przeniósł spojrzenie na kupca.

– Sam to zrobiłeś? – spytał spokojnym głosem.

– Ja? A coście takie pomysły prawicie? – Zaśmiał się chrapliwie. – Mnie do artysty to tyle co krowie do dworu. Kupiłem, bo tanio. A może się

komu spodoba to kółko.

– Wiesz, co to za symbol? – spytała Wanda, obracając kołowrót w dłoni.

– Symbol? – Kupiec spojrział na broszę i zmarszczył brwi. – A bo ja wiem? Czytać i pisać trochę umiem, bo w tej profesji trzeba, ale historyj i podań to nie znam zbyt dużo. To kapłanów ciężka głowa, żeby spamiętać te wszystkie dzieje. Ja tam wiem tyle, ile trzeba. Do Peruna modły ślę w lecie, a w nocy, jak strach mnie obleci, to do Welesa. I na wiosnę dla Mokoszy niosę dary, żeby urodzaj był.

– Od kogo go odkupiłeś? – Wanda przyglądała się uważnie kupcowi. – I kiedy?

– Zeszłego lata pojechaliśmy z ojcem po towar. Spotkaliśmy na szlaku jakiegoś tułacza. My jechaliśmy do Hellenesti, nad morze, bo tam najtaniej błyskotki sprzedają, jemu zaś pewno na wschód spieszno było. Trochę się zdziwiłem, że nie woli sam sprzedać, skoro lezie tam, gdzie towaru z bursztynu jak na zbawienie. Ale ja myślicielem nie jestem, a kupcem. Ojciec zawsze powtarza: w naszym fachu liczy się spryt i chwycenie w porę okazji. Sprzedawał tanio, to wzięliśmy.

– Miał więcej rzeczy z takim symbolem? – Wanda zauważyła, że kupiec ukradkiem spojrział na broszę w kształcie pioruna, która spinała poły płaszcza Ziemowita. Każdy w tych stronach znał bardzo dobrze królewski symbol Villperuny. Wyciągnęła z sakiewki srebrną monetę, by zachęcić mężczyznę do mówienia. Widziała w jego oczach narastającą panikę.

– Aż tak to się mu nie przyglądałem. Po prawdzie śmierdziało od niego brudem i szczykami i nie bardzo miałem ochotę z nim gadać. Wziąłem szybko, co miał i pojechałem, by czym prędzej ten smród za sobą zostawić.

Wanda omiotła wzrokiem stragan w nadziei, że gdzieś obok jest ojciec mężczyzny. Stary, doświadczony kupiec powinien mieć bardziej

wyostrzone zmysły i istniała szansa, że mógł zapamiętać jakiś szczegół, który pomógłby wytropić tajemniczego włóczęgę.

– A gdzie twój ojciec?

– W Wyraju – odpowiedział młody kupiec, a cała radość, jaką dała mu przymilna złodziejka, uleciała z jego oczu.

Wanda westchnęła cicho. Szybko wysypała z sakiewki kilka monet. Srebro zabrzęczało i ucięło niezręczną ciszę.

– Sześć srebrnych za broszę wystarczy? – spytała, choć dobrze wiedziała, że mogła dać połowę. Monety królewskie były grube i pięknie zdobione, co podbijało ich wartość trzykrotnie.

– O, tak, łaskawa pani. Bogowie... – Kupiec odchrząknął i potarł usta, jakby się bał, że zaraz powie coś, co sprawi, że czarodziejka zmieni zdanie. – Sześć srebrnych i brosza jak ulał będzie połyskiwać na pięknym, zielonym płaszczu pięknej pani – zapewnił kupiec.

Nagle za ich plecami rozległy się okrzyki przerażenia. Wanda odwróciła się i zamarła. Na środku placu płonął świąteczny snop siana. Wrzuciła broszę do kieszeni i wraz z Ziemowitem pobiegli w stronę ognia. Ludzie rozstąpili się jakby na zawołanie, gdy wyciągnęła przed siebie dłoń migoczącą iskrami magii czarodziejkiej. Powietrze zawirowało wokół jej ręki i po chwili, nie przerywając biegu, Wanda posłała podmuch w stronę płonącego snopu siana. Świst magicznego wiatru na chwilę zagłuszył okrzyki przerażenia. Wir zatańczył nad ogniem i zniknął, uwalniając kaskadę drobnych kropli, które opadły na płomień. Oczy mieszkańców zwróciły się ku Wandzie. Niektórzy opadli na kolana i zanosili w jej stronę modły, jakby była boginią. Po chwili kolejny wir zatoczył koło wokół płonącego diducha: tym razem to Fannil wysłał wiązkę mocy. Wiatr poderwał płonące źdźbła, które leniwie opadały na dachy kramów.

– Na bogów – wyszeptała Wanda, patrząc, jak ogień zajmuje kolejne drewniane konstrukcje. – Gdzie jest Maranti?! – krzyknęła w stronę

Fannila.

Ten jednak zamiast szukać czarodziejki, koncentrował się już na następnym uderzeniu magii. Ogień wzbijał się coraz wyżej. Przerazenie odebrało Wandzie przejrzystość myślenia. Wspomnienie płomiennego kręgu w chacie białogrodzkiej wiedźmy wróciło ze zdwojoną siłą. Była czarodziejką, w dodatku niezwykle utalentowaną. Mogła stanąć do walki z najsilniejszymi mężczyznami, którzy teraz dzielnie biegali z wiadrami pełnymi wody, ale w obliczu ognia na powrót stawała się niemal zwykłym człowiekiem.

– Maranti! – zawołała, łudząc się, że zaraz do nich dołączy.

Posłała kolejny wir nad płonące dachy i wbiegła w tłum. Wanda zignorowała błagania ludzi i rzuciła się przed siebie w nadziei, że lada chwila odnajdzie czarodziejkę. Czarne myśli zaczęły drążyć bolesną ranę w jej duszy.

*A jeśli to znowu ta przeklęta wiedźma? Bogowie... Co, jeśli tym razem zechce wykorzystać do czegoś Maranti? Przecież ona się nie obroni...*

Kolejny wir Fannila zatoczył koło nad płonącym symbolem Szczodrych Godów, gdy Wanda stanęła tuż przed diduchem. Przyciągnięte magią krople wody utworzyły deszczową chmurę, po czym opadły na płomień i twarz czarodziejki zwiastując wybawienie, lecz ogień wciąż pochłaniał słomę. Fragment bawełnianej ozdoby wzbił się w powietrze i wylądował przed Wandą. Pod stopami czarodziejki tańczył cienki język ognia, który trawił dekorację. Odskoczyła i znieruchomiała, tak jak ludzie zastygają na widok wielkiego pająka lub węża. W jej głowie znów pojawił się obraz płonącego ogarka w chacie wiedźmy.

*Próbowała zabić mnie ogniem. Bogowie... ogniem...*

Chciała uciekać. Pobiec jak najdalej stąd, skryć się tam, gdzie nie będzie choćby najdrobniejszej ognistej iskielki.

– Wanda... To ty?

Nieopodal, obok buchającego żarem diducha, klęczała Maranti. Miała zakrwawioną skroń, a w oczach skrajne zmęczenie. Wspierała się na ramionach, ale te uginały się za każdym razem, gdy próbowała się podnieść. Wanda patrzyła, jak czarodziejka na próżno usiłuje oddalić się od ognia. Twarz Maranti ociekała potem. Było oczywiste, że nie poradzi sobie sama, ale ciało Wandy wciąż chciało uciekać.

– Wanda! Pomóż mi, proszę!

Wanda otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale słowa utkwily jej w gardle.

– Wanda! Proszę!

Wokół tłum ludzi biegał jak oszalały. Młody chłopak, który gnał z pustym wiadrem do studni, odwrócił się, chwycił Maranti i odciągnął ją na bok. Wanda oderwała wzrok od płomieni, obok których jeszcze przed chwilą leżała czarodziejka. Szybko odnalazła skuloną, kaszlącą Maranti.

– Dziękujemy za pomoc, możesz już iść – rzuciła Wanda do chłopaka z wiadrem, wręczając mu srebrną monetę.

Otworzył szeroko oczy, po czym skłonił się nisko i bez słowa pobiegł w kierunku studni.

– Dlaczego? – wychrypiała Maranti. – Czy... czy... czy to była jakaś próba? Wando, to było takie straszne. Tak się bałam... Stałam tutaj, patrzyłam na ten piękny diduch i nagle ktoś mnie popchnął. Chyba rozcięłam sobie głowę o kamień. – Czarodziejka potarła twarz koloru ciemnego miodu. Krew oblepiła jej palce. – Jak się ocknęłam... Bogowie... Nie miałam siły, a diduch był cały w płomieniach... A później ty...

Wanda nie wiedziała, co powiedzieć. Bezskutecznie analizowała swoje zachowanie, szukając jakiejś racjonalnej przyczyny, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to niepojęty lęk przed ogniem, który zagnieździł się w niej po wizycie w chacie wiedźmy. Z niezręcznej sytuacji wybawił ją Fannil, który krzyczał za ich plecami, ponagłając je do pracy.

– To nie była próba – wyszeptała Wanda. – Wybacz mi. Później ci to wyjaśnię. Poczekaj tu na nas.

Jeszcze przez chwilę obserwowała, jak Maranti wstaje, stękając z bólu, po czym opada na brukowany chodnik. Wanda oderwała w końcu wzrok od czarodziejki. Wbiegła w kłęb dymu, który wypełnił centralną część placu, i wpadła na Ziemowita. Rycerz przyglądał jej się uważnie. Nie wiedziała, czy obserwował całe zajście.

– Dobrze się czujesz? – zapytał podejrzliwie.

– Tak. Dam radę.

– W takim razie rób, co w twojej mocy – powiedział i pobiegł pomagać ludziom przy studni.

Wanda wzięła kilka głębszych oddechów. Dym szczypał w gardło i zrobiła się jeszcze bardziej zmęczona. Stanęła w bezpiecznej odległości, starając się nie patrzeć na płomienie. Zamknęła powieki, by lepiej skoncentrować się na przywołaniu mocy, ale wyciszenie wszelkich uczuć graniczyło po tym wszystkim z cudem.

*Maranti... Ziemowit... Ogień... Wiedźma...*

Myśli powoli cichły i rozplływały się dzięki koncentracji oraz treningowi, jakiemu poddawana była, odkąd skończyła cztery lata. Obracała rytmicznie dłońmi, by wprowadzić się w głęboki trans. Ręce zataczały powtarzalne obroty wokół niewidzialnej kuli, miejsca, w którym powinna pojawić się wiązka magii.

– Wanda! Do licha! Sam tego nie ugaszę! – krzyczał z przeciwnej strony Fannil.

Wbiła wzrok w dłonie. Z uporem śledziła ich monotony ruch, ale trzaskająca w płonieniach słoma wybijała ją z transu.

– Jak czarować nie umie, to niech wiadro chwyci! – zawołał cały czerwony z wysiłku chłop.

– Łajno nam z takich czarowników!

– Nie jestem czarownicą – warknęła pod nosem zirytowana.



Ktoś popchnął ją ramieniem i Wanda z trudem utrzymała równowagę. Odruchowo odwróciła się, szukając śmiałka, który odważył się podnieść rękę na królewską wysłanniczkę.

– Przeklećci chłopi – syknęła, rozglądając się na boki.

Zamiast postawnego mężczyzny, za biegającymi po wodę mieszkańcami Wanda dostrzegła drobną, bladą postać. Rozbiegany tłum oddzielał je o dobre dziesięć kroków. Kobieta w ciemnym płaszczu stała niewzruszona chaosem, uśmiechała się lekko, zwycięsko. Jej bladą twarz otaczały sterczące jak kolce u jeża, białe włosy. Z ciemnych oczu biła drwina i pogarda.

– Wiedźma... – wyszeptała Wanda.

Nim jednak zdążyła pomyśleć o tym, by ją dopaść, kobieta zniknęła. Wanda rzuciła się w tłum w poszukiwaniu wiedźmy. Szukała wzrokiem jasnych, krótkich, sterczących na wszystkie strony włosów, ale na próżno.

– Przeklęta...

– Wanda! Do jasnej cholery, pomożesz, czy mam paść przed tobą na kolana?! – wrzasnął Fannil. – Co się z tobą dzieje, na bogów!

*Dopadnę ją* – obiecała sobie, gdy łyzy wściekłości i bezsilności zalały jej policzki. Zagryzając do krwi drżące wargi, wyciągnęła ręce przed siebie i skupiła na nich całą siłę woli.



## ROZDZIAŁ XVII

**D**o izby wynajętej poprzedniej nocy weszła Zorzanna. A właściwie wbiegła, miotając się jak burza. Błyskawice wściekłości w jej oczach sprawiły, że Mirosław miał ochotę schować się pod kocem i udawać, że go nie ma.

– Niech to wszystkie biesy w proch obróć! – wrzasnęła, ciskając naszyjnikiem o posłanie. – Oszukała mnie ta przebiegła czarodziejka! Ubiegła mnie! Jakaś durna czarodziejka z Gorent! Kto by pomyślał?!

– Jak oszukała? – wymamrotał przerażony Mirosław. Jeszcze nigdy nie widział Zorzanny w takim stanie. Nawet w obliczu starcia z rusałką nie pałała taką złością. – Przecież ukradłaś jej znak. Wygrałaś.

– To nie jest królewski znak. Nie ma na nim błyskawicy Peruna. To jakaś bezużyteczna błyskotka! Wiedźmy z Górskiej Doliny przekazały mi, że na trakcie do Sibigardu roi się od strażników. – Zorzanna złapała się za głowę i mocno przyciskała dłonie, jakby chciała uciskiem zdusić rosnącą złość i rozpacz. – Bez królewskiego znaku nie przebijemy się przez te psy Villperuny. Sama nie dam rady...

– Si-si-sibigardu? – wydukał Mirosław.

Choć przeczuwał, że Sójka mówił prawdę, to i tak wiadomość słyszana z ust Zorzanny z jeszcze większą mocą zmroziła mu krew w żyłach. W oczach pociemniało mu na chwilę, a żołądek ścisnął się, wywołując mdłości.

– A co? Myślałeś, że ciągnę cię do Villperuny?! Do tego przeklętego centrum nagonki na wiedźmy, szeptuchy i resztę, która para się magią silniejszą od tej cholernej czarodziejskiej? Nie patrz na mnie, jakbym właśnie powiedziała jakąś prawdę objawioną. Od dłuższego czasu wojna wisiała w powietrzu. Trzeba więc jechać tam, gdzie nasze miejsce. U boku Sejny i jej armii. Tam jest teraz moje miejsce. I twoje również. – Twarz wiedźmy złagodniała w udawanym rozmarzeniu. – Sejna będzie zachwycona, jak przywiozę jej taką niespodziankę. Syn wiedźmy! – Zorzanna wzniosła ręce, jakby przemawiała do samych bogów. – Syn wiedźmy! Oni cię tam złotem i kobietami obsypią. Nie czerwień się tak. Łajno ci z tych fantazji, póki się tam nie dostaniemy. A dzięki tej błyskotce czarodziejki, to co najwyżej będziemy mogli nocować w pięknych karczmach i jadać jak wielki pan. Niech to licho. Tyle planowania na marne...

Na zewnątrz wciąż było słyhać z oddali krzyki biegających z wodą mieszkańców. W powietrzu wisiał ciężki, metaliczny zapach magii czarodziejów, którzy wciąż walczyli z żywiołem. Mirosław skrzywił się na myśl, że przez nich spłonie pół targowiska, jak nie całe, i przylegające do niego stajnie, kuźnie i chaty. Nie powiedział jednak na głos tego, co myśli o całym tym planie. Nie chciał jeszcze bardziej rozwścieczyć Zorzanny, która stała przed oknem i zaciskała nerwowo palce na swojej czarnej chuście.

Mirosław podniósł złoty medalion w nadziei, że znajdzie tam jakąś małą błyskawicę, której wiedźma nie dostrzegła. Obrócił go rzeźbieniem do góry i zamarł. Zorzanna miała rację, to z pewnością nie był znak królewskiego miasta, ale to wcale nie zmartwiło wróża. Wręcz

przeciwnie. Widział już ten znak w świątyni opuszczonego miasta. Widział go na szyi Elgana, gdy ten omdlony leżał na podłodze, nieświadomy tego, że złoty medalion, który skrywał pod koszulą, zsunął się, gdy straciwszy przytomność, Elgan runął pod posągiem płonącej kobiety.

– To nie jest bezużyteczna błyskotka – wyszeptał, podniecony odkryciem. – Ten medalion należy do Elgana!

Wiedźma odwróciła się gwałtownie, rzucając w kąt chustę, na której wyładowywała skołatane nerwy, skubiąc poszarpane nitki wiekowej tkaniny. Jednym ruchem ręki wyrwała mu naszyjnik z dłoni.

– Żarty sobie stroisz? – warknęła, machając medalionem przed jego oczami.

– Nie. Przysięgam. Widziałem go na szyi wąpierz.

– Ty widziałeś, a ja nie widziałam? Przecież był w mojej jaskini. Ten przeklęty wąpierz był na tyle blisko, że zauważyłabym złotą błyskotkę dyndającą na jego szyi. Takiego medalionu nie widziałam. Coś sobie ubzdurałeś.

– Bo on go ukrywał.

– Ukrywał? W takim razie skąd o nim wiesz? Chyba mi nie powiesz, że się z tobą zaprzyjaźnił.

Drwiący śmiech wiedźmy ranił Mirosława, ale nie zamierzał się z nią kłócić. Nie po tym, jak ocaliła mu życie. Poza tym właśnie nadarzyła się okazja, by opóźnić podróż do Sibigardu. W głębi duszy liczył na to, że uda mu się namówić wiedźmę, by wspólnie odszukali Elgana i, jeśli bogowie okażą się łaskawi, Doradę. Wciąż wierzył w to, że wąpierz odnalazł szamankę i gdzieś wspólnie wędrują w poszukiwaniu przygód.

– Wtedy, w świątyni – zaczął, gdy wiedźma wzięła chustę i wróciła do szarpania cienkich nici – gdy zaatakowały nas wąpierz, Elgan oddał swoją krew i zemdłał. Zobaczyłem u niego ten medalion, gdy leżał bez życia na ziemi. To znaczy... No... Nieważne. – Mirosław machnął ręką. –

Sam pewnie nigdy by mi go nie pokazał – przyznał gorzko, co najwyraźniej zaimponowało wiedźmie, bo złośliwy uśmiezek zniknął z jej twarzy, a chusta znów wylądowała na posłaniu. – Jestem pewny, że to ten sam medalion. Klnę się na bogów!

– Bogów w to nie mieszaj – syknęła i podeszła do niego. Spojrzała na medalion i zacisnęła na nim drobne palce, po czym powoli przeniosła wzrok na wróża. – Chwila... Przecież to jest metal – powiedziała i rzuciła mu błyskotkę, którą Mirosław pochwycił w ostatniej chwili.

Wróż zachwiał się, omal nie tracąc równowagi. Napawał się chwilą zwycięstwa, bo nieczęsto zdarzało mu się w porę łapać przedmioty. Raczej to lista potłuczonych naczyń górowała nad tymi zręcznie uratowanymi przed kontaktem z ziemią. Z dumnym uśmiechem na czerwonej od wysiłku twarzy, wróż przekładał medalion z ręki do ręki, aż w końcu zrozumiał, o co chodziło wiedźmie. Błyskotka nie topiła się w jego dłoni, a powinna. Zdziwił się, że w ogóle po nią sięgnął, przecież zdążył już przez swoje niezbyt długie życie wyrobić sobie nawyk niedotykania metalu.

– Jak to możliwe? – Wiedźma zacisnęła swoją dłoń na dłoni Mirosława, w której spoczywał medalion. – Niczego nie czuję...

Wróż szybko zorientował się, że to jest ostatnia szansa, by spróbować odwieść wiedźmę od wyprawy do Sibigardu.

– Musimy zwrócić go Elganowi.

– Po moim trupie! – powiedziała, odtrącając jego rękę. – Nie chcę mieć nic wspólnego z tym przeklętym sługą Welesa.

Na jej twarzy pojawił się grymas, jakby przypomniała sobie o czymś nieprzyjemnym i strasznym.

– Ale... To... To może być nasza jedyna szansa na dostanie się do Sibigardu – zaryzykował Mirosław. – Bez królewskiego znaku nie przejdziemy, ale... Elgan w zamian za naszyjnik mógłby pomóc nam się tam dostać.

Zorzanna roześmiała się tylko i poklepała go po głowie.

– Ty naiwny głupcze. Jakim cudem ty tak długo żyjesz? Z twoją wrodzoną łatwowiernością powinieneś już dawno zasilać zastępy tańczących szczęśliwców na łąkach Wyraju.

Mirosław gorączkowo szukał w głowie jakiegokolwiek argumentu.

*To jedyna szansa na spotkanie Elgana i... i być może Dorady.*

Wyobraził sobie minę wąpierzka, gdy oddaje mu Zimę i medalion.

*Powinien to docenić. Może nawet się uśmiechnie? Może w końcu przyzna, że dobrze się spisałem?*

– Rozum ci odjęło? Zamknij tę buzię, bo ci język uschnie. Choć to może akurat nie byłby zły pomysł.

Krzyki z targu powoli cichły. Ciężki zapach magii czarodziejskiej mdlił i wywoływał senność. Mirosław, zgodnie z prośbą Zorzanny, zamilkł. Postanowił wrócić do tematu, gdy wiedźma będzie w lepszym nastroju, o ile w ogóle było to możliwe.



Tak jak się tego spodziewał, Zorzannie nie poprawił się humor nawet następnego dnia, gdy opuścili Białoogród. Jechała w milczeniu, okutana w ciemny płaszcz. Spod kaptura wystawała czarna chusta zdobiona białą nicią, dzięki czemu jasne włosy wiedźmy, które gdzieniegdzie przebijały się przez materiał, zlewały się z ornamentami. Musiała je zakrywać, by nie zdradzić swojej wyjątkowej i niemile widzianej półdemonicznej natury. Aby zmniejszyć ryzyko napatoczenia się na królewskich ludzi, omijali główny trakt, na którym bez znaku błyskawicy Peruna zbywającej natrętne pytania i dociekania, armia w oka mgnieniu zwróciłaby na nich uwagę i domyśliła się, kim są wędrowcy jadący w stronę Sibigardu. Królestwo za górami stało się jedynym miejscem przychylnym wiedźmom

i innym parającym się zakazaną magią. Nie mogło być inaczej, skoro królową wielkiego Sibigardu była Sejna, jedna z najstarszych i najpotężniejszych wiedźm, jakie widział świat. Tyle Mirosław wiedział na temat tego niezwykłego miejsca, bo tylko tyle raczyła wyjawić mu Zorzanna. Przerazała go myśl o dotarciu do krainy za wschodnimi górami, o której krążyły mrozące krew w żyłach legendy. Legendy tak straszne i odrażające, że nie miał śmiałości opowiadać ich Zorzannie, by potwierdzić ich prawdziwość. Z drugiej zaś strony kwitnąca ciekawość podpuszczała go do nieustannego snucia wyobrażeń o królestwie potężnej wiedźmy. Jakaś część jego duszy zaczynała chcieć tam jechać.

– Zatrzymamy się w Rozogach – oznajmiła Zorzanna. – Ktoś tam na mnie czeka.

– Ktoś dołączy do naszej wyprawy za góry?

Wiedźma tylko przytaknęła i, wpatrzona w dal, uśmiechnęła się do siebie.

*Może chodzi o jej ukochanego?* – pomyślał Mirosław, choć trudno mu było wyobrazić sobie Zorzannę z jakimkolwiek mężczyzną czy nawet demonem u boku. W jego głowie była niezależną, silną i dość wredną wiedźmą, ale za każdym razem wybaczał jej zgryźliwość, bo czuł, że w głębi serca kieruje się dobrem i życiową mądrością. Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej przypominała mu ona Elgana. Prychnął pod nosem, śmiejąc się do swoich myśli. Zorzanna uraczyła go zaciekawionym spojrzeniem. Zarumienił się, gdy uniosła brwi w oczekiwaniu na wyjaśnienie jego rozbawienia.

– Ja tak tylko sobie... coś przypomniałem. Nic ciekawego.

– Nie wątpię – rzuciła i popędziła konia.

Jechali leśną ścieżką wydeptaną przez ludność okolicznych wiosek. Las był cennym źródłem pożywienia i drewna. Nie dziwiły więc liczne dróżki i powbijane w ziemię znaki z symbolami, które nic mu nie mówiły.

– Rozumiesz coś z tego? – spytał, gdy zatrzymali się na rozstaju dróg przed drewnianym palem, do którego ktoś poprzybijał tablice z wyrytymi znakami.

– Rozumiem wszystko. To moje rodzinne strony. Tędy. – Wskazała najszerszą ścieżkę utwardzoną kamieniami.

– Dokąd jedziemy? – spytał, zrównując Zimę z jej koniem.

– Już mówiłam. Do Rozóg.

– Tam się urodziłaś?

– Yhm – przytaknęła i popędziła konia. Wyraźnie nie miała ochoty zdradzać nic więcej na temat swej przeszłości.

Nocą dotarli do miasta otoczonego kamiennym murem. Przez liczne dziury można było dostrzec migający blask ognia pochodni przytroczonych do co ważniejszych budynków. Zorzanna pokręciła głową, gdy skierował się w stronę głównego wejścia. Mirosław zrozumiał, że prawdopodobnie nie będą tam mile widziani. Zastanawiał się, jak w takim razie dostaną się do miasta niezauważeni. W Białogrodzie łatwo było wejść ukradkiem wraz z całą zgrają kupców. Wszyscy byli tak podnieceni nadchodzącym targiem z okazji Szczodrych Godów i niezwykłymi przedmiotami przywiezionymi aż z za puszczy, że nikt nie fatygował się, by dokładnie sprawdzać każdą osobę w tak licznej grupie. Tutaj mogliby co najwyżej spróbować precyzyjnie się przez którąś z dziur, ale konie by się nie zmieściły. Nie mógł zostawić tu Zimy.

– Skoro nikt nawet nie zadbał o to, by załatać te dziury, to może i brama nie będzie strzeżona? – zasugerował, wpatrzony w główne wejście.

Zamiast odpowiedzi uraczył go huk zwalających się kamieni. Odwrócił się i zobaczył Zorzannę, która właśnie otrzepywała dłonie z popiołu.

– Już wiem, skąd się tutaj wzięły te dziury – powiedział, patrząc z podziwem na wyrwę w murze, wystarczająco dużą, by mogły przejść



przez nią konie. – Dlaczego nikt ich nie łąta?

– A po co? Każdy z tych okolic wie, że wiedźma potrafi rozwalić ten mur. A skoro są dziury, to są w mieście i wiedźmy. A miasto posiadające swoją wiedźmę to miasto, z którym nie należy zadzierać. – Westchnęła i kopnęła kamień. – Przynajmniej tak właśnie było, zanim pojawiła się ta prze... przekłeta czarodziejka i jej podobni.

– Ale... przecież wiedźmy nie potrafiłyby pokonać bandy złodziei, która może wtargnąć przez te...

– Łajno wiesz o tym, co wiedźma potrafi!

– To dlaczego uciekacie? Dlaczego nie staniecie do walki z czarodziejami? – Mirosław nie wytrzymał.

– Staniemy – syknęła. – A ty nie pyskuj, bo rozumiesz jeszcze mniej, niż masz rozumu we łbie.

Po raz pierwszy chłopak szczerze się zdenerwował.

*Dlaczego nie chce przyznać, że są słabsze od czarodziejów? To, że ludzie mają do wiedźm szacunek i boją się z nimi zadzierać, bierze się wyłącznie z niewiedzy i strachu przed tym, co wiedźmy potrafią.*

Zorzanna najwidoczniej domyśliła się, co chodzi mu głowie, bo podeszła z wycelowanym w niego palcem.

– Może i czarodzieje są lepsi w pojedynkę. A już na pewno są niezwykle butni, gdy mają za sobą całą armię Villperuny. Ale żaden bóg im nie pomoże, gdy przyjdzie im zmierzyć się z wiedźmami, gdy się zjednoczą. A teraz przestań myśleć, bo na nic ci się to zda. Przełaź przez dziurę.

Mirosław ani drgnął. Czuł, jak przekracza tę niewidzialną granicę wytrzymałości. Od małego był upokarzany i wyśmiewany. A to za kolor włosów, a to za piegi, za zbytnią wrażliwość i zachwyty nad rzeczami błahymi, za miłość do piękna, która to nie przystoi zwykłemu, szaremu chłopcu z najbiedniejszej dzielnicy Villperuny. Wszystkim przeszkadzało, że był inny. Nawet jego matka szydziła ze skręcanych ze słomy

mitycznych postaci i ganiła go za marnotrawienie zapasów. Teraz przynajmniej rozumiał, skąd wzięła się ta niepohamowana niechęć przybranej matki. Po tym, jak omal nie straciła pierworodnego, gdy zmora chciała wyssać duszę z niemowlaka, wręcz nie mogła na niego patrzeć. Był dla niej pomyłką, pochopną decyzją, przez którą mogła utracić tak wyczekiwane dziecko.

Odchrząknął, by przegnać złe myśli, i spojrzał na wiedźmę.

– Dlaczego nie przyczerniłaś włosów? – spytał, gdy blask księżyca padł na lśniące bielą sterczące strąki Zorzanny. Dziś wyjątkowo nie był w stanie powściągnąć męczących go od wielu dni pytań.

– Bo nie ma takiego barwnika, który byłby w stanie osiąść na włosach wiedźmy. – Zorzanna zatrzymała się nagle i odwróciła się, by zrugać wróża. – Tobie to się chyba wydaje, że wszystkie rozумы dzisiaj pozjadałeś. Czy ty masz mnie za tak głupią, że choć przez chwilę dałeś wiarę, że uniosłabym się dumą w imię bezsensownej śmierci? Że obnosiłabym się swoimi włosami z czystej próżności? Że obnosiłabym się nimi tylko po to, by poddać się tym cholernym czarodziejom bez walki? A walka nastanie. Zobaczysz. Cały świat zobaczy. Przez wieki ludzie będą wspominać, jak wiedźmy przegnały z tych ziem fałszywych wybawicieli. Obronimy te ziemie, bo one potrzebują naszej mocy. Nie zniszczą nas. Głupcy nie zdają sobie sprawy, że bez nas w ogóle nie byłoby magii na tym świecie... – Urwała, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele.

Mirosław naraz zapomniał o ciężącym w głębi duszy żalu do wszystkich, którzy tak łatwo z niego kpili. Jego uraza była niczym w porównaniu z doznanym nabożnym zachwytem tą chwilą. Właśnie poznał skrawek wiedzy wiedźm. Szczyptę skrywanej przed wszystkimi prawdy.

– Ani się waż komuś o tym powiedzieć – syknęła i wskazała dziurę w murze. – No już. Przełóż.

– Przecież tam może ktoś być – powiedział Mirosław, siląc się na obojętność w głosie, choć słowa pod wpływem silnych uczuć zapiszczały jak niegdyś, gdy jego policzki zdobił lichey puch.

– Nikogo tam nie będzie. To święte ziemie. Tylko kapłani mogą tam chodzić.

– Będziemy nocować na...?

– Przestań gadać i przełaź! – syknęła Zorzanna.

W tej części miasta panowała niemal całkowita ciemność. Tylko słaby blask księżyca przebijał się przez leniwie płynące chmury. Mirosław czuł zapach mokrej ziemi, tak intensywny, jakby ktoś przed chwilą ją rozkopał. Wilgoć i stęchlizna drażniły jego nozdrza i wyobraźnię.

– Cuchnie tu trupem – stwierdził, zakrywając nos rękawem.

– Bo to cmentarz.

Coś pod nogami Mirosława chrupnęło i odskoczył z krzykiem, wyobrażając sobie, że to kość nieboszczyka.

– Zaraz się tu całe miasto zleci, jak będziesz tak wrzeszczał! – Zdzieliła go po głowie, przeklinając pod nosem zimno i ludzką głupotę.

– Prze-przepraszam – wydukał, a potem pobiegł po Zimę, która wyrwała się i cofnęła, wystraszona jego krzykiem.

– Dlaczego tylko kapłani mogą tu przychodzić? – wydyszał, dogoniwszy wiedźmę.

– Bo to cmentarz kapłanów świątyni Welesa. Wierzą, że ten, kto przejdzie po tych ziemiach, powierzy swój los Welesowi.

Mirosław przełknął ślinę. Z każdym krokiem, który stawiał na skutej lodem ziemi, zdawało mu się, że chrzęst dochodzący spod jego stóp to łamiące się kości kapłanów.

– To dlaczego...?

– Bo ja w to akurat nie wierzę – prychnęła Zorzanna. – A poza tym, to najbezpieczniejsza droga do świątyni Welesa. – Pociągnęła konia, wyprzedzając Mirosława tak, by szedł za nią, nie obok.

Powietrze zgęstniało i wszechobecny mróz, który tej zimy wyjątkowo dawał się wszystkim we znaki, teraz skrył się za zasłoną dusznego od gorąca podmuchu.

– *Ognisty chłopiec.*

Mirosław zatrzymał się, oniemiały wyszeptanymi gdzieś za jego plecami słowami.

*To zmora* – pomyślał, czując, jak strach podcina mu nogi. Zachwiał się, po czym padł na kolana, podpierając ciało siłą ramion. Ziemia pod palcami była wilgotna i szorstka.

*Zmora tak mnie nazywała.*

Chciał przywołać Zorzannę, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– *Ognisty chłopiec.*

Obracał głową, starając się dostrzec w ciemności zmorę. Szept pojawiał się to z jednej, to z drugiej strony. Oczami wyobraźni widział biegającego wokół niego demona, ale w ogóle nie czuł jego obecności. Nie towarzyszył mu ten charakterystyczny dreszcz, który lekko łaskotał wewnętrzną część dłoni za każdym razem, gdy nawiązał kontakt z demonem. Czuł to przy Elganie i Smęcie. Czuł to przy chichitunie. Czuł też ten sam dreszcz feralnego dnia, gdy zmora postanowiła zemścić się na jego przyszywanej matce i omal nie zabiła niemowlęcia.

*Jeśli to nie zmora, to co?* – myślał gorączkowo, ocierając pot z czoła.

Zima trąciła pyskiem jego plecy i zarżała niespokojnie.

– Rusz się, Mirosław! – ponagliła go wiedźma, której postać majaczyła gdzieś w oddali.

Choć bardzo chciał uciec jak najdalej od tego miejsca, nie był w stanie spełnić polecenia Zorzanny. Stopy i kolana przywarły do ziemi, a każda próba poruszenia ich wywoływała tylko uczucie odrętwienia. Zdawało mu się, że słyszy narastający szmer gęstniejącego wokół powietrza.

*To dusze – myślał, błędząc wzrokiem w ciemności. To dusze tak hałasują. Ocierają się o powietrze. Bogowie... Jak one hałasują...*

– Przestańcie... – zaskomlał Mirosław.

Miotał się w miejscu, próbując z całych sił poruszyć nogami. Zakrył uszy dłońmi, ale dziwny dźwięk ocierających się o powietrze dusz nie zniknął.

– *Ognisty chłopiec* – wyszeptał głos, teraz bliżej, jakby miał usta tuż przy jego uchu. – *Jeśli zbłądzisz, strącis z szali los tego świata.*

Miał wrażenie, że płonie od środka. Żar toczył się w jego żyłach, wypalając strach. Nie było niczego oprócz ciepła, które rozlało się w jego ciele.

– Mirosław. Mirosław, co się z tobą dzieje?

Głos wiedźmy dochodził jakby z innego świata. Czuł jej dłonie na rozpalonych policzkach. Ciągnęła go po mokrej od śniegu ziemi. Szmery cichły, a ciepło ulatywało z niego i pozwalało, by zimno cucilo obłąkaną duszę.

– Co ty wyprawiasz? – spytała wystraszona Zorzanna. – Jesteś zlany potem. Jadłeś coś? Piłeś?

– To samo co ty – wymamrotał. – To... Nie... Nie zatrąłem się. Ja... Ja słyszałem dusze. Albo zmorę. Nie wiem.

– O czym ty bredzisz?! – Wiedźma przyłożyła dłoń do jego czoła. – Już chyba ustąpiło. To pewnie zmęczenie. Musisz szybko zjeść coś ciepłego. Najlepiej mięso.

– Zorzanno – zaczął, podnosząc się. – Mówiłaś, że to miejsce...

– Tylko mi nie mów, że miałeś jakieś wizje. Niepotrzebnie ci wspominałam o tych przesądach. Tak właśnie się dzieje ze słabymi głowami. Uwierzą w coś i zaraz im się zdaje, że sam Weles do nich przemówił. Jesteś zmęczony i głodny.

– Ale ja naprawdę...

– Gdyby coś tutaj było, wyczułabym to. Idziemy.

Nie miał siły na zaczynanie kolejnej kłótni. Słyszał w jej głosie zniecierpliwienie. Domyślał się, że chodzi o spotkanie z tym ważnym kimś, tym, po kogo tu przyjechali. Odetchnął mroźnym powietrzem, by wyzbyć się złości. Choć ciało szybko się wystudziło, w środku nadal czuł żar.

*Może Elgan słusznie jej nie ufał?* – pomyślał i zdał sobie sprawę, że właśnie wyrósł w jego duszy chwast, który trudno będzie wyplenić. *Jest silna, ale tak pewna siebie, że głucha na innych.*

Szli w milczeniu, gdy nagle ciemność rozdarł wąski słup światła z uchylających się drzwi. Jakaś pulchna kobieta wyszła tylnym wejściem i truchtem pobiegła na brzeg wąskiej odnogi jeziora wijącej się wzdłuż świątyni Welesa. Uśpione wody skryte pod lodowym płaszczem zimy przemówiły cichym pluskiem, gdy zanurzyła w przerębli wiadro i pisnęła z zimna. Młodsza z uwiązaną na głowie białą chustą poganiała ją zza uchylonych drzwi świątyni. Kobieta wychyliła się bardziej, by towarzyska lepiej ją słyszała i w tym momencie Mirosław dostrzegł dyndający na jej szyi drobny, pozłacany wisiołek w kształcie rogów.

– To służki świątynne – wyjaśniła Zorzanna. – Zostawimy konie w stodole. Widzisz ten budynek obok?

W panujących ciemnościach Mirosław z trudem dostrzegł zarys pobliskiej stodoły. Poczekali, aż kobiety wejdą do środka i zaciągnęły konie do drewnianego budynku, który wydawał się solidniejszy od jego dawnej chałupy w Villperunie.

– Mam nadzieję, że będziesz tu bezpieczna – powiedział, głaszcząc Zimę po grzbiecie. Klacz najwyraźniej była zadowolona, bo posapywała cicho i musnęła mokrym pyskiem jego czoło.

Wrócili na tył świątyni i stanęli przed wielkim, dwudrzwiowym wejściem. W słabym świetle księżyca Mirosław dostrzegł piękne, żelazne zdobienia.

– Zamknięte – stwierdziła Zorzanna bez cienia zaskoczenia w głosie. Spojrzała na chłopaka i uśmiechnęła się. – Ale ty możesz je stopić.

– Przecież to... to jest wybitne dzieło. Te zdobienia. Spójrz. Musiał to wykuć jakiś niesłychanie zdolny kowal, żeby...

– Trudno – ucięła wiedźma. – Kapłani na brak grosza nie narzekają.

– Ale ja nie będę mógł tego później cofnąć. Nie przywrócę metalu do jego pierwotnej formy.

– W takim razie postoiemy sobie tutaj i zobaczymy, kto szybciej zamarznie.

Mirosław nie wątpił w to, że kapłani mieli dużo srebra, a może nawet i złota, skoro stać ich było, by wyposażyć świątynię w takie drzwi i to na tyłach, gdzie rozpościerał się jedynie cmentarz oraz wąski pas jeziora. Jednak na samą myśl o przetopieniu ciężkiej pracy rzemieślnika w obojętny na piękno metal czuł, jak przewracają się w nim trzewia. Zorzanna westchnęła ostentacyjnie i burknęła coś pod nosem. Nie patrząc na nią, zbliżył się do drzwi i potarł dłonie. Starał się nie myśleć o zbrodni na sztuce, która właśnie miała stać się jego udziałem. Nagle Zorzanna zdzieliła go po dłoniach i parsknęła śmiechem. Mirosław roztarł szczypiące bólem ręce i popatrzył zdezorientowany na wiedźmę.

– Drzwi od cmentarza są zawsze otwarte – powiedziała. – Z tej strony wejścia do świątyni bronią dzielne i niestrudzone dusze umarłych.

– Przecież... tak to każdy sobie może wejść.

– Może. Ale nie wchodzi – stwierdziła beztrąsko i uchyliła lekko drzwi na dowód swoich słów.

– Ale my wejdziemy... – zaczął Mirosław, patrząc na wąski pasek światła, który wylał się zza uchylonych drzwi. – A skoro my wejdziemy, to każdy mógłby...

– Mógłby. Tylko że wszystkie komnaty, w których jest coś wartościowego, są pozamykane. Głupotą byłoby więc ryzykowanie

wtargnięcia, bo kara za bezczeszczenie cmentarza jest sroga. – Wiedźma poklepała go po ramieniu. – Ale my tej kary unikniemy.

– Jak?

– Nie przyznamy się do tego. W razie gdyby ktoś nas złapał, mów, że to ja swoją magią przeprowadziłam nas przez mury świątyni.

– I kapłani uwierzą?

– Na tym polega ich praca – zakpiła wiedźma i przyłożyła palec do ust, by uciszyć swojego towarzysza.

Nasłuchiwała przez chwilę, a gdy upewniła się, że w pobliżu nie ma żadnej służki, zajrzała do środka.

– Idź za mną.

Mirosław skinął głową i posłusznie szedł tuż za plecami wiedźmy. Przeciskali się przez ciasne korytarze, przecinane gdzieniegdzie drzwiami. Ciągące się w nieskończoność wąskie tunele oświetlały jedynie liche pochodnie na początku i końcu każdej odnogi misternego labiryntu.

– Dlaczego tu jest tak ciemno? – zapytał, ale Zorzanna zbyła jego pytanie milczeniem.

Z oddali dochodził cichy, powolny tupot. Czyjeś stopy uderzały chaotycznie o kamienną posadzkę. Zorzanna pchnęła drzwi, ale te ani drgnęły. Pozostało im jedynie schowanie się za wnęką z nadzieją, że jakimś cudem ten, który kroczył dziwnym, niejednostajnym krokiem, nie zauważy ich kryjówek. Postać zbliżała się nieubłagalnie. Coraz wyraźniej słyszeli posapywanie i jęki, towarzyszące niemal każdemu tupnięciu. Zorzanna uśmiechnęła się, jakby w tych stękaniach i prychnięciach rozpoznała kogoś znajomego. Powoli wyszła z za wnęki.

– Chwała Welesowi, Tamirze – powiedziała, skłoniwszy się lekko.

Starzec wzdrygnął się i omal nie wypuścił trzymanego w dłoni świecznika. Zbliżył się o dwa kroki, dudniąc przy tym drewnianą laską, na której zaciskał palce. Jego skóra była tak pomarszczona i wysuszona, że



wyglądał jak stare drzewo wsparte na jednym ze swoich korzeni. Gdy Zorzanna podeszła do niego na tyle blisko, by mógł ją rozpoznać,omal nie wypuścił z dłoni bogato rzeźbionej, drewnianej laski. Podał wiedźmie świecznik i jego pomarszczona dłoń natychmiast powędrowała na medalion w kształcie rogów, który spoczywał na czarnej szacie kapłana.

– Na potężnego Welesa... – wychrypiał Tamir. – Uciekaj stąd, dziecko.

– Taki mam zamiar, ale najpierw musimy porozmawiać. Prowadź do swojej komnaty.

Kapłan przeniósł rozmyte spojrzenie swoich jasnych, niemal wyblakłych oczu na Mirosława.

– To twój chłopak? – zapytał.

– Aż tak długo mnie tu nie było, że podejrzewasz mnie o posiadanie takiego potomka?

– Może nie podzieliłaś się wszystkim podczas naszego ostatniego spotkania. Mym panem jest Weles, to i nie wypada mi do cudzych tajemnic zaglądać, a jedynie strzec tych, które zostały mi powierzone.

– A jednak to robisz.

– Nic się, Zorzanno, nie zmieniłaś. – Starzec westchnął i ku wielkiej uldze Mirosława, przeniósł swoje wnikliwe spojrzenie na wiedźmę. – Dobrze. Porozmawiajmy. Skryjcie głowy pod kapturami i idźcie za mną, a jeśli ktoś was o coś zapyta, milczcie, jeśli wam życie miłe.

Po drodze minęli tylko jedną służkę niosącą dzban, nad którym unosiła się bezwonna para. Kobieta obrzuciła ich ukradkowym spojrzeniem, skłoniła się kapłanowi, po czym oddaliła się bez słowa. Tamir sięgnął po klucze przytroczone do pasa i korytarz wypełnił się brzękiem otwieranego zamka. Ku wielkiemu zaskoczeniu za drzwiami zamiast przestronnej komnaty, Mirosław ujrzał spiralne schody.

– Idźcie pierwsi – poinstruował kapłan. – Mnie to zajmie trochę dłużej. Możecie częstować się tym, co na stole.

– Ty pierwszy – powiedziała chłodno Zorzanna. – Mamy czas.

Kapłan ściągnął wargi, kiwając głową z rezygnacją, jakby do swoich myśli.

– Będziesz tak uprzejma? – spytał, podając jej swoją laskę.

Zorzanna wzięła kawałek zdobionego drewna warty sakiewkę solidnych, srebrnych monet. Jego właściciel podniósł przód czarnej szaty i zaczął wspinać się po wąskich stopniach, przytrzymując się poręczy. Wchodzili tak powoli, że Mirosław dla zabicia nudy przypominał sobie wiersze, których nauczyła go Dorada. Nauka pisania i czytania to najpiękniejszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymał w życiu. W pamięci wciąż przechowywał żywe wspomnienia mozolnej nauki i zniecierpliwionej twarzy Dorady, która jednak szczerze cieszyła się z jego postępów. Ona sama nauczyła się liter, będąc jeszcze dzieckiem. Choć jej matka uważała to za zbędną umiejętność, która nigdy jej się w życiu nie przyda, ta po kryjomu pobierała nauki u miastowego znachora.

*Jak on się nazywał? Oloi? Oleili? Tyle razy przecież o nim mówiła – zganił się w myślach. Nawet wspomnienia nie są nam dane na zawsze...*

W końcu Tamir dotarł na górę, gdzie znajdowała się jego komnata. Pomieszczenie zdobiły malowidła przedstawiające rozmaite sceny z udziałem bogów i demonów. Mirosław na jednym z obrazów rozpoznał przypowieść o stworzeniu świata. W centralnej części artysta uwiecznił pierwszego boga, którego imienia, jak i znaku kołowrotu, nie wypadało w Villperunie używać. Krwawe praktyki związane z kultem Roda co prawda nie zostały zabronione, ale ludzie, czując odrazę do krwawych rytuałów, i tak skazali go na zapomnienie. Mirosław zdziwił się, że ktoś namalował boga jako osobę, zamiast dymu unoszącego się nad ogniem, który to właśnie mieli w zwyczaju malować w natchnieniu artyści. Jednak ten wyobrażony Rod patrzył starczymi oczami na płomień, w którym kiełkowało Ziarno Życia. Z płomieni wyłaniali się opiekunowie światła i ciemności. Po prawej stronie Roda znajdował się Weles, pan nocy, magii

i tajemnic, po lewej zaś stał, dzierżąc w dłoni płomienną błyskawicę, Perun, pan światła, niebios i gromów. Według nauk kapłanów, to oni, Perun i Weles, swą myślą i czynem wprowadzili w ruch pierwszy ogień i wzniecali płomienie, z których powstałi pozostali bogowie i boginie. Mirosław szukał na ścianie symboli, które mogłyby reprezentować panteon bogów, ale z rozważań wyrwał go chrapliwy głos Tamira.

– Nie powinnaś była tu przyjeżdżać – mówił zdyszany kapłan, zasłaniając okna grubymi kotarami. Odebrał od Zorzanny ozdobną laskę i odczekał chwilę, aż wyrówna mu się oddech. – Oni już tu byli.

– Widać żadne miasto nie uchroni się przed ręką króla – stwierdziła gorzko wiedźma. Rzuciła w kąt swój tobołek i usiadła przy stole. Bez pytania napełniła kubek korzenną nalewką, którą od razu w siebie wlała.

– Siadaj – powiedziała i dolawszy sobie kolejną porcję rozgrzewającego trunku, napełniła dwa kolejne kubki. – Ty też, Mirosław, powinieneś to wypić.

Wróż nie protestował. Choć bardziej zadowolony byłby się choćby i suchym chlebem.

– Pójdę nakazać, by służka przygotowała coś ciepłego – powiedział kapłan, odsłaniając jedwabną kotarę, za którą skryte były drzwi. Tamir już sięgał po klucze, gdy Zorzanna walnęła kubkiem o stół.

– Siadaj – nakazała głosem, któremu Mirosław nie odważyłby się sprzeciwić.

Najwyraźniej władczy ton podziałał też na kapłana, bo ten bez słowa zajął miejsce naprzeciwko wiedźmy i wychylił słodką nalewkę.

– Mów.

– A co dokładnie chcesz wiedzieć, Zorzanno?

– Wszystko.

Kapłan oplótł palcami wiszący na jego szyi srebrny medalion w kształcie welesowych rogów. Wielka litera „W” wyginała się w ostro

zakończonych zawijasach, które wytarły się na spiczastych końcówkach od ciągłego dotykania.

– Wiesz, że my tu Welesa czcimy, a on jest bogiem magii i tajemnic. Bogiem potężnym i dobrym dla tych, którzy są mu wierni... – Urwał, czerwieniejąc na twarzy. Dolał sobie nalewki i upiwszy łyk, westchnął ciężko. – Ale co my, słabi kapłani, możemy, gdy król nakazuje nam wyznawać inne wartości? Każda wioska, miasto czy osada podlega Villperunie... I czy nam się to podoba, czy nie... sprzeciw oznaczałby zrównanie miasta z ziemią. Król ponoć zrobił się ostatnimi czasy mało wyrozumiały i cierpliwy. Krążą słuchy, że żołnierze spalili Weruń, bo tamtejsi kapłani, którzy też czcili Welesa, odmówili posłuszeństwa.

– Do rzeczy – ponagliła go Zorzanna.

– Głoszą, że to wiedźmy porywają dzieci do swoich niecznych praktyk.

– Tchórzliwe ścierwa. Wiedzą, że sami mogą nie dać nam rady, więc nastawiają jeszcze ludzi przeciwko nam... My porywamy dzieci? Co za bzdury...

– Nietrudno obracać faktami w tym przypadku.

– Od czego są kapłani? Czyż nie od tego, by nawracać głupców, gdy w głowach łajno im zalega?

– Cała ty. Kpina, pogarda i zaciętość w oczach.

Tamir, purpurowy na twarzy, wstał i powłóczył nogami do tajemnego przejścia. Rozległ się brzęk przekręcane go zamka i starzec zniknął na chwilę za drzwiami.

– Może z pełnym żołądkiem więcej pokory nabierzesz – stwierdził, wracając do stołu. – Lilka zaraz przyniesie nam ciepłej stawy.

– Mów, czego chciały tutaj te królewskie ścierwa – ponagliła go wiedźma.

Tamir przełknął ślinę i zaczął kołysać się nerwowo, jakby próbował odpędzić od siebie natarczywe myśli.

– Kazali nam potępiać wszelką magię inną od czarodziejskiej – zaczął cicho. – Kiedy ja nawet nie wiem, co to jest ta czarodziejska moc, a z szeptuchami i z naszą, miej ją w opiece, Welesie, kochaną Viszką od dziecka w zgodzie i szacunku żyłem. A oni...

– Co powiedziałaś? – Zorzanna powoli odłożyła kubek. – „Miej ją w opiece, Welesie”?

– Nasza Viszka... Oni ją... Oni ją chcieli spalić, ale czarodziej ostrzegł żołnierzy, że ogień się jej nie ima, więc...

Zorzanna drgnęła i znieruchomiała w napięciu. Utkwiła wzrok w coraz bardziej zakłopotanym kapłanie.

– Więc? – dopytywała przez zaciśnięte zęby. W jej głosie Mirosław słyszał gorycz i wzbierającą rozpacz, którą starała się powstrzymać, niczym prowizoryczna tama nadchodzącą powódź stulecia.

– Posłali w nią tyle strzał, że starczyłoby na wybicie całej wioski...

Jęk Zorzanny zagłuszyły krzątające się w drugim pomieszczeniu służki. Jedna zapowiedziała z jakimś silnym akcentem, że posiłek prawie gotowy.

– Gdzie jest jej ciało? – spytała Zorzanna.

– Kazali nie zdejmować. Jest przywiązana do słupa na środku rynku. Biedactwo...

– Biedactwo?! – huknęła wiedźma. – Ktoś ją musiał przecież wydać! Sama w ręce żołnierzy nie polazła.

– Oni nam grozili...

– A wy ją wydaliście. Za to wszystko, co dla was zrobiła! Za wszystkich ludzi, których uratowała... Jak mogłeś?

– Nie osądźaj, błagam... Na szali miałem życie Viszki albo wszystkich mieszkańców Rozogów. Niełatwy to był wybór. Czy ty dałabyś spalić całe miasto?

– Trzeba było kłamać! Łgać w żywe oczy! Tak trudno udawać, że nie wiesz, gdzie jest?!

– Zrobiłbym tak, Zorzanno, wierz mi, że bodaj tak bym zrobił, gdybym mógł. Weles jest bogiem magii i tajemnic, a ja, jako jego wierny sługa, wiem, jak tajemnicy bronić.

– Najwidoczniej nie wiesz, skoro Viszka nie żyje!

Głos Zorzanny drżał, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Przygryzła wargę, chcąc powstrzymać napływające łzy.

– Mieli ze sobą czarodzieja... Oni potrafią wyczuć, kiedy człowiek mówi prawdę.

– Widać są lepszymi sługami Welesa niż kapłani Rozogów! Przecież łgali!

– Też tak myślałem, ale... – Kapłan wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze. – Udowodnili, że nie kłamią. – Przeniósł wzrok na Mirosława. – Wzięli na spytki Jana. Młodego chłopaka w wieku podobnym do tego twojego. Janek przyuczał się u nas na kapłana. To był dobry chłopak. Uczynny i sprawiedliwy. Oddany sprawie do końca swoich dni... Wybrali dziesięciu spośród kapłanów i sług świątyni Welesa. Kazali im wypić jakąś mieszankę, a później ten czarodziej... nad każdym wyczarował srebrzystą kulę, która wiła się i strzelała iskrami niczym drobnymi piorunami. Później każdemu zadano pytanie, a uprzednio ostrzegli, że jeśli skłamią, to kula opadnie im na głowę i zginą okrutną śmiercią. Tylko Jan, jedyny pośród tych, co zażyli czarodziejską miksturę, wiedział, gdzie ukrywa się nasza Viszka. Pomagał jej przy ziołach, a ona zamiast na kapłana, chciała wyszkolić go na znachora. – Tamir urwał i wziął łyk nalewki. Wykrzywił wąskie usta i z niechęcią powrócił do opowiadania. – Każdemu z osobna czarodziej zadawał pytanie. Każdy miał powiedzieć, gdzie ukryliśmy wiedźmę. Czterech przepytali, oni zaś szczerze zaprzeczali, bo i pojęcia nie mieli, gdzie Viszka, i gdy prawdę rzekli, kula gasła nad ich głowami. Za piątym razem Jan odpowiadał... I wiedz, że chłopak nie wydał Viszki. Dochował tajemnicy, zgodnie z wolą Welesa, a kula spadła na jego głowę i roztopiła go jak ogień

świeczkę... Ja... Ja wierny woli Welesa nie mogłem pozostać... Mi rzekli, że jeśli zginę, dochowawszy tajemnicy, wraz ze mną zginie całe miasto. Poprzysięgli, że spalą każdą chatę, każdą pracownię, świątynię czy choćby stajnię. A ludzi wyrzną jak świnie. Nie mogłem na to pozwolić. – Uniósł wzrok i spojrzał wiedźmie w oczy. – Zgrzeszyłem, ale choć widzę twój żal i wściekłość, nie żałuję tego, co uczyniłem. Żal mi naszej Viszki. Była dobrą kobietą i zdolną wiedźmą. Nie zliczę nawet, ilu osobom pomogła, ale nie mogłem oddać życia całych Rozogów za jej życie.

– Ona była jedynym dobrem, jakie mnie w życiu spotkało – wycodziła Zorzanna. – Jedynym! – Oddychała ciężko, łypiąc na kapłana przyćmionym od nalewki i złości wzrokiem. – Dlaczego ją zabili? Przecież ponoć żołnierze nas wyłapują, wywożą na granicę pod Sibigard i zaciągają do budowy murów obronnych pod czujnym okiem tych czarodziejskich psich synów. Dlaczego jej po prostu nie pojmali? Dlaczego oni ją zabili?

– Bo z rąk wiedźmy zginęła trójka ich ludzi.

Zorzanna uniosła brwi. Czekwała na wyjaśnienia.

– Viszka uwolniła jedną młodą wiedźmę, którą wieźli pod granicę. Przy okazji ratowania tej biedaczki spaliła się trójka żołnierzy.

– Nie wierzę... To do Viszki niepodobne.

– To nie ona. To ta młoda wiedźma straciła nad sobą panowanie...

– Gdzie jest ta wiedźma?

– Uciekła.

– A Viszka? Dlaczego ona też nie uciekła?

Tamir spojrzał na nią ze współczuciem.

– Czekala na ciebie. Wiedziała, że będziesz jej tutaj szukać.

Zorzanna zacisnęła drżące ze złości i żalu wargi.

– A ty ją wydałeś na śmierć – wycodziła przez zęby.

– Ty zamiast jednej Viszki wydałabyś na śmierć wszystkie matki, dzieci i ojców tej ziemi? – odciął się kapłan, po czym dźwignął się od

stołu, nie czekając na odpowiedź, i wyszedł z komnaty. Mirosław chciał coś powiedzieć, ale Zorzanna uciszyła go machnięciem dłoni i wlała sobie resztkę nalewki.

– Niech Weles rozszarpie jego duszę na strzępy – wybełkotała, a potem sięgnęła po kolejny trunek z kosza pod stołem.

– Zorzanno, już wystarczy – powiedział Mirosław i zabrał jej kubek.

– Nie będziesz mi, gówniarzu... – zaczęła, ale urwała i skryła twarz w dłoniach. – Ona była... wyjątkowa...

Mirosław nie miał pojęcia, co rzec.

– To nie wina kapłana. To król odpowiada za jej śmierć – wydusił, gdy cisza przerywana szlochem wiedzy stała się nie do wytrzymania. – To szaleństwo króla niszczy Villperunę i jej ludzi.

– Zabiję go... Zabiję wszystkie te parszywe rody, które przyklaskują jego durnej mości... Banda głupców... Dlaczego nikt na tym przeklętym dworze nie powstrzymuje szaleństwa Valdima? Dlaczego podążają ślepo za jego rozkazami? Czy tam doprawdy nie ma ani jednej myślącej osoby?

– Może ta osoba właśnie kona w lochach... – zasugerował Mirosław. Dobrze pamiętał pochód króla z okazji Święta Peruna i poddańcze ukłony mieszkańców, którzy gięli się przed nim jak przed jakimś bogiem.

– Tak... – przyznała. – Za myślenie często płaci się wysoką cenę.

Do komnaty wszedł kapłan z misą, w której spoczywały pachnące bochny chleba, a z glinianego kubka wystawała górka smalcu ze skwarkami. Mirosław przełknął ślinę i ścisnął brzuch, który wręcz krzyczał z głodu.

– Za chwilę Ulna przyniesie polewkę z suszonych grzybów i mięsa.

Łza szczęścia zakręciła się w oku Mirosława na samą myśl o ciepłym daniu, ale wzniosły nastrój przysł, gdy spojrzał na pogrążającą się w rozpacz i zgorzknieniu Zorzannę.

– Muszę ją zobaczyć – powiedziała, patrząc pustym wzrokiem na zastawiony przysmakami stół.



– To niezbyt roztropny pomysł. Żołnierze i owszem, ogłosili wszem wobec, że opuszczają Rozogi, ale ja bym temu nie dał wiary. Oni tylko na to czekają. Wiedzą, że wśród wiedźm ważny jest pochówek zgodny z magią ognia. – Kapłan chwycił dłoń Zorzanny, która skubała pajdę chleba. – Nie rób tego, dziecino. Oni cię zabiją.

– Ja już umarłam – odparła oschle.

Z wyraźnym trudem przełknęła lichego kawałek chleba, który miała w ustach. Wyglądała, jakby dla niej życie nie miało już sensu. Ogień w jej oczach zgasł, a czarne źrenice zdawały się topić w smutku i gorczy.

Mirosław przyglądał się zastygłej w beznadziejnej rozpaczyci twarzy wiedźmy. Zastanawiał się, kim była Viszka i jak niezwykłą musiała być kobietą, skoro Zorzannę tak załamała jej śmierć. Do tej pory wydawało mu się, że serce wiedźmy jest chłodne, nieczułe, a o wszelkich wyborach życiowych decyduje głowa pozbawiona sentymentów, czujna i racjonalna. Nagle i jemu zrobiło się smutno, gdy uświadomił sobie, że przecież nigdy nie poznał Viszki, która zdołała zamieszkać w sercu Zorzanny.

– Nie umarłaś. – Słowa same wydobyły się z ust Mirosława. – Żyjesz i pomścisz Viszkę.

Czekał na jakąkolwiek odpowiedź, ale wiedźma milczała, wpatrzona w bochen chleba, który zamiast jeść, skubała drobnymi palcami.

– Chłopak dobrze mówi – poparł go Tamir i odebrał od służki świątynnej dzban ciepłego naparu.

Komnata wypełniła się przyjemnym aromatem śliwek, gruszek i jabłek, a wszystko otulała nuta słodkich i gorzkich przypraw. Kapłan napełnił trzy kubki tradycyjnym suszem, który ludzie zwykli pić podczas Szczodrego Wieczoru.

– Czy to już Szczodre Gody? – spytała Zorzanna, nie podnosząc wzroku.

– Nie – odparł kapłan, wskazując kolejnej służce, gdzie ma postawić misę z mięsiwem. – Jeszcze nie czas Szczodrego Wieczoru. Poproszę

jednak o te symboliczne potrawy, by udzieliła nam się moc tego święta. – Kapłan uniósł podbródek wiedźmy, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy. – Jesteśmy jednością, Zorzanno. Bez względu na to, jakie czyny stały się naszym udziałem. Póki zawiść nie zacznie obejmować zgnilizną naszych dusz, jesteśmy jednością.

– Jesteśmy – wyszeptała bez przekonania i zacisnęła usta, by powstrzymać ich drżenie.

Tamir wypuścił jej podbródek, gdy wąskie nitki łez popłynęły spod zamkniętych powiek wiedźmy. Otarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała z wyrzutem na Mirosława.

– No i czego jeszcze nie jesz? Długa droga przed nami. Musimy nabrać sił.

Wróż nieśmiało uśmiechnął się do Zorzanny, choć w jej oczach nie było ani krzty wesołości. Widział w nich zaledwie przebłysk woli walki. Drobną iskierkę, którą można ugasić byle westchnieniem.



Mógł się tego spodziewać, a jednak decyzja Zorzanny odebrała mu mowę. Po opuszczeniu świątyni Welesa wiedźma postanowiła zabrać ciało Viszki, by zapewnić jej godny pochówek. Nie pomogło błaganie. Nie pomógł nawet płacz, gdy Mirosław nie wytrzymał, zdawszy sobie sprawę, że mogą oboje zginąć w trakcie próby odzyskania ciała wiedźmy.

Nic nie było w stanie odwieść Zorzanny od tego szalonego planu. Do czasu, gdy dotarli na miejsce zbrodni, zalana łzami, objęła bezwładne ciało pięknej Viszki, a jej ramię przebiła strzała. Nim zdążyła się podnieść, kilka kolejnych świsnęło nad ich głowami. Później ktoś zaciekawiony odgłosami wychylił się z okna, trzymając w dłoni świecę. Zorzanna, choć syczała z bólu, w mgnieniu oka skorzystała z okazji

i skierowała rękę w stronę płomienia, który posłuszny jej mocy wzbił się, kłując framugę okna i dach. Po chwili opadł na plac, oślepiając swym blaskiem. Cienkie języki ognia sunęły w stronę żołnierzy, którzy z wrzaskiem uciekali w stronę jeziora.

Moc wiedźm była potężniejsza niż Mirosław myślał, choć korzystanie z niej musiało wiązać się z utratą sił, bo Zorzanna wyglądała, jakby jedną nogą była już w Wyraju.

Po tym jak udało im się uciec, przez strach, głód i niespokojny, urywany sen, stracił rachubę czasu. Odkąd opuścili świątynię Welesa, wszystko zlewało mu się w jedno wielkie pragnienie ciepła. Nic poza tym się nie liczyło.

Po zachodzie słońca mróz był nie do wytrzymania. Tym bardziej, że praktycznie całą drogę spędzali w cieniu drzew, stroniąc od w miarę równej, nasłonecznionej powierzchni traktu, który mógł być ich ostatnią drogą w życiu.

– Wyłazimy stąd – wychrypiała Zorzanna. Mirosław spojrzał na przesiąknięty krwią i ropą materiał, którym obwiązała ramię. Rana po strzale nie chciała się goić. Gorączka dręczyła wiedźmę, choć ta starała się nie dać tego po sobie poznać. – Albo znajdziemy jakąś karcznię, albo zamarzniemy tu i na jedno wyjdzie, czy nas złapią czy nie.

Dygocąc, ostatkiem sił ciągnęli konie między drzewami. Te, mimo gęsto rosnących krzaków, które raniły ich nogi, szły bez oporu, jakby przeczuwały, że u celu będzie im lepiej. Wiedźma klęła pod nosem półsłówkami, kaszląc co chwila. Mirosław słyszał tylko co jakiś czas „przeklęta”, „cholerni czarodzieje” lub z rzadka bardziej złożone zdania, takie jak „zaraz mi tyłek od tego zimna odpadnie”. Mimo trawiącej jej ciała gorączki, próbowała zachowywać się jak zwykle. Robiła wszystko, by Mirosław się nie załamał i nie poddał zbyt wcześnie. Był jej za to wdzięczny, bo widok trupiobladej, złanej potem twarzy Zorzanny, mróz i nieustający głód powoli odbierały mu wolę życia.

Jechali królewskim traktem, drżąc z zimna i strachu. Noc jeszcze nie nadeszła, więc nie było sensu wyteżać wzroku w poszukiwaniu blasku palonych ognisk czy pochodni. Ludzie z wiosek oszczędzali cenne oleje i drewno, nie zapalali ich dopóty, dopóki całkowity mrok nie spowije świata w ciemności.

– Ro-rozpalmy ognisko – wyszeptał Mirosław i zachłysnął się mroźnym powietrzem.

Zorzanna odczekała, aż wróż przestanie kaszleć i bez słowa zaprzeczyła głową. Nie miała nawet siły go zrugać. Wiedział, że rozpalanie ogniska to czyste szaleństwo. To proszenie się o to, by armia łaskawie przyszła i odnalazła ich na drodze prowadzącej do Sibigardu. Wiedział, że to byłby ogień zwiastujący ich rychłą śmierć, ale nie czuł już nawet strachu. Coś w nim pękło. Chciał tylko choć przez chwilę się ogrzać, stopić lodowe igły, które wbijały się w ciało, rozdzierając wnętrzności. Coś szarpnęło go za kołnierz płaszcza.

– Nie śpij, bo nawet nie zauważysz, że odchodzisz z tego świata. Ocknij się, na bogów! – krzyknęła wiedźma na tyle głośno, na ile pozwalała jej resztką sił.

W jego głowie rozległo się skomlenie. Nie zauważył, kiedy i jak to się stało, ale uświadomił sobie, że już nie jedzie na kłaczy, zamiast tego kuca zgarbiony gdzieś w krzakach, a Zorzanna go ucisza. Zdał sobie sprawę, że to z jego ust wydobywa się ten żałosny skowyt.

– Na wszystkich bogów, jak zaraz się nie zamkniesz, będziemy umierać w jeszcze większych męczarniach.

Poczuł na ustach skórzaną rękawicę i po chwili topniejące kropelki lodu. Zdławił krzyk, nad którym nie był w stanie panować. Jego własny głos rozdzierał go od środka.

– Na litość bogów... – Zorzanna szeptała, kołysząc się nerwowo z dłonią zaciśniętą na jego ustach. Jej szaleńczą modlitwę zagłuszył tętent kopyt i stukot kół.

– Stać, na Peruna! – ryknął gdzieś obok niski, męski głos.

Koła wozów zatrzymały się na wysokości ich wzroku.

– Ktoś tu jest! – wrzasnął ten sam, który kazał się wszystkim zatrzymać.

Mirosław wtulił się w wiedźmę i zacisnął powieki. Chrzęst śniegu pod masywnymi butami żołnierza stawał się coraz głośniejszy. Brzęk zbroi zdawał się cichszy od walącego w piersi serca. Czuł, jak Zorzanna mocniej zaciska dłoń na jego ustach, a drugą nerwowo wyszarpuje coś spod płaszcza.

Nim zemdlał, na chwilę otworzył powieki, by ujrzeć lśniący srebrem sztylet, którego Zorzanna nie była w stanie utrzymać w dłoni.

*To koniec* – pomyślał, gdy ostrze wraz z nim opadło głucho na śnieg.



## ROZDZIAŁ XVIII

**O** budziła się, gdy poczuła metaliczny zapach magii. Wanda nie wiedziała, skąd mogłaby pochodzić ta specyficzna woń. W jej komnacie nie było nikogo, tylko cisza i ciemność. Wystraszyła się na samą myśl, że to wiedźma z szeptuchami zaatakowały dom Kazmira, w którym spędzała ostatnią noc. Nazajutrz miała wyjechać do Hellenesti wraz z Witoldem, Radomirem i Ziemowitem. Pozostali czarodzieje i członkowie Rady mieli pozostać w Białogrodzie, by uporać się z uciekinierkami.

Podeszła do okna, by przewietrzyć pomieszczenie. Po chwili do komnaty wpadło kilka srebrnych iskier.

*Maranti – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem. Pewnie się dowiedziała, że jutro wyjeżdżam i chce porozmawiać. Biedna, mała Maranti.* Wanda westchnęła na samą myśl o tym, że teraz zostanie sama z surowym i stanowczym Fannilem, który nie miał pojęcia o brakach w wykształceniu młodej czarodziejki. *Tylko dlaczego wyszła na zewnątrz i budzi mnie magią, zamiast po prostu przyjść do mojej komnaty?*

Wanda była zaspana i układanie sensownych myśli przychodziło jej z trudem.

Ubrała się błyskawicznie. Choć cała sytuacja wydawała jej się co najmniej dziwna, musiała sprawdzić, dlaczego Maranti chce ją wyciągnąć w środku nocy z ciepłego łóżka.

*Może chce uciec? Może tak bardzo boi się zostać tutaj z Fannilem, że mniej straszna wydaje jej się ucieczka?*

Czym prędzej opuściła posiadłość, starając się nie zbudzić śpiącego w komnacie obok Ziemowita. Gdy tylko znalazła się na tyłach domu Kazmira, ktoś szarpnął ją za rękaw i pociągnął, zmuszając, by skryła się za drzewem.

– Mara...? – wyszeptała i zaraz zaniemówiła. – Co ty tutaj robisz? Na wszystkich bogów Wyraju!

– Chcesz sprowadzić tutaj nieproszonych gości?

Wanda wolno wypuściła powietrze, dając upust złości. Bynajmniej nie stała przed nią niedoświadczona czarodziejka. Wręcz przeciwnie. Miała przed sobą jednego z najznamienitszych czarodziejów w Rienie. Człowieka, który kiedyś był bardzo bliski jej sercu.

– Mogłeś mnie chociaż uprzedzić, że król odsunął cię od misji – syknęła, rozcierając ramię, za które ją złapał, by wciągnąć ją do kryjówki.

– Dowiedziałem się o tym tego samego ranka, którego mieliśmy wyruszać.

– Herrigen. – Wanda spojrzała mu w oczy. – Dlaczego tu przyjechałeś?

Czarodziej milczał, pozwalając jej wyobraźni na snucie najgorszych domysłów.

– Dorada – wyszeptała po chwili. – Błagam... powiedz, że nic jej nie zrobili.

– Jest ze mną.

– Gdzie?

Wanda powiodła wzrokiem po ciemności, która rozlała się po Białogrodzie.

– Zatrzymaliśmy się w piwnicy tutejszej piwiarni.

– Oszalałeś? – wycedziła przez zęby. – Tutaj? W Białogrodzie, gdzie roi się od królewskich wysłanników?!

– A jakie miałem wyjście? Nie mam pojęcia, co zrobić z tą dziewczyną. Obiecałem, że jej pomogę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Potrzeba zaszła. I to pilna.

– Zaprowadź mnie do niej – rozkazała. – Teraz.

Herrigen nie protestował. W milczeniu skradali się, krocząc wzdłuż ścian wąskich uliczek Białogrodu. Wszyscy mieszkańcy już spali, ale czarodzieje musieli unikać spotkania ze strażnikami, którzy robili co jakiś czas obchód po mieście. Wanda wyczarowała bezbarwną zasłonę, która ochraniała ich przed wzrokiem stróżów prawa. W mieście roiło się też od żołnierzy Villperuny, ale w takich ciemnościach jej czar wystarczył, by skryć się przed zmęczonym wzrokiem mężczyzn.

Zatrzymali się na tyłach piwiarni. Wanda złapała Herrigena za rękę.

– Poczekaj – poprosiła i szybko puściła jego dłoń, gdy czarodziej zatrzymał na niej swój wzrok. – Herrigen... Doceniam to, że wywiązałeś się z obietnicy i pomogłeś Doradzie. Nie spodziewałam się... Nie wiedziałam, że ta obietnica będzie wymagała aż takiej przysługi.

– Nie spodziewałaś się? Nie spodziewałaś się, że prędzej czy później uznają ją za wiedźmę? – Czarodziej uśmiechnął się kpiąco, tajemniczo. Wanda zadrżała. Nigdy nie widziała u niego tak chłodnego, wyrachowanego spojrzenia. – Ma włosy białe jak śnieg, a magię, która w niej drzemie, da się zauważyć gołym okiem. Wiesz, co zrobiła dworskiej dziewczynce?

– Wiem. Ale dowiedziałam się o tym dopiero, gdy opuściłam Villperunę.

Herrigen milczał. Mierzył ją wzrokiem, a ona nie potrafiła nawet odgadnąć, jakie myśli chodzą mu po głowie.



*Tak bardzo się zmieniłeś, a mimo wszystko teraz stoisz tu przede mną, dając dowód wciąż drzemiącej w tobie odwagi i lojalności...*

W głębi duszy czuła, że Herrigen nigdy nie przestał jej kochać. Teraz miała tego wyraźny dowód. Dotrzymał obietnicy, choć wiązało się to z jawnym sprzeciwem wobec króla.

– Co zamierzasz? – spytała, przerywając niezręczną ciszę. – Domyślam się, że nie zrezygnowałeś ze służby.

– Nie. Nie miałem na to czasu. Upozorowałem własną śmierć.

– Co takiego?! – Wanda zakryła usta, zdawszy sobie sprawę, że krzykiem mogła ich zdradzić.

– Musiałem zabić szamana.

– Na litość bogów... O czym ty mówisz? – Czarodziejka złapała się za głowę.

– Musiałem zabić Arsa, bo król wydał rozkaz poddania go torturom. I tak by zginął, ale w męczarniach i przy okazji zginęłaby też Dorada. Jak myślisz, co by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że jej ojciec jest torturowany w lochach?

– Poszłaby go ratować – odpowiedziała Wanda bez zastanowienia.

– No właśnie. A ja obiecałem ci, że jej pomogę, gdy zajdzie taka potrzeba. Zrobiłem, co musiałem. Zginął szybko i bezboleśnie. Później podpaliłem jego ciało, a obok rzuciłem swój sztylet i sygnet, żeby mogli mnie rozpoznać.

– I teraz myślą, że to szaman zabił ciebie i uciekł z córką... A ty? Wieść o twojej śmierci prędzej czy później dotrze do Rieny.

– Wyjadę na południe – skomentował oschle. – Zawsze chciałem wieść życie uciekiniera.

– Herrigen...

– To się już stało. Teraz mi po prostu powiedz, co mam z nią zrobić.

– Muszę z nią porozmawiać.

Czarodziej uchylił tylne drzwi piwiarni, zachęcając ją gestem dłoni, by weszła do środka.

– Jest na samym dole. Ja poczekam tutaj. Postaraj się wrócić z dokładną instrukcją, dokąd mam ją zaprowadzić. Nie mogę się z nią błąkać w nieskończoność.

Wanda skinęła głową i ostrożnie weszła, po czym udała się schodami w dół. Stąpając po stromych schodach, zastanawiała się, co musi czuć ta biedna dziewczyna, która dopiero co straciła ojca, a król prawdopodobnie wydał już na nią wyrok śmierci.

– Ona nie jest wiedźmą – wyszeptała sama do siebie, gdy w jej głowie pojawiły się niechciane myśli. Choć widziała w Doradzie po prostu zagubioną dziewczynę, która miała nieszczęście trafić na swojej drodze na wąpierz, nie mogła ukrywać sama przed sobą, że drzemiąca w niej moc ją przerażała.

*Ona nie jest wiedźmą – powtarzała w myślach. Nie jest. Jeszcze nie jest...*

W piwnicy pachniało wilgocią i chmielem. Drzwi zaskrzypiały cicho i Wanda ujrzała skuloną nad świeczką Doradę.

Dziewczyna spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

– Tak mi przykro – wyszeptała Wanda.

Dorada nie odpowiadała. Nawet nie drgnęła, odkąd czarodziejka weszła do piwnicy. Zbliżyła się do niej i usiadła na beczce obok nieruchomej, białowłosej postaci.

– Dlaczego? – spytała cicho Dorada. – Dlaczego to robicie, Wando? Spaliliście Jagnę. Była dobrą kobietą. Czemu nagle jej dar wróżenia tak bardzo wam wadzi?

– Przecież wiesz... Jej magia jest zakazana. Ich moc sprzyja mocy wiedźm, a te porywają dzieci i...

– Przestań – syknęła Dorada. – Naprawdę wierzysz w te bzdury? Po co wiedźmy miałyby porywać dzieci?

*Nie mogę ci powiedzieć o przepowiedni... Choć więdźmy i tak juź o niej wiedzã, ja przysięgałam, że nikomu o niej nie powiem.*

– Są okoliczności, które muszę przemilczeć – tłumaczyła Wanda. – Zaufaj mi jednak, że mamy powody, by przypuszczać, że magia wiedzóm jest bardzo niebezpieczna.

– Przypuszczać... – powtórzyła z kpinã Dorada. – Ilu jeszcze ludzi zginie przez te przypuszczenia?

– Czasami jedna tragedia zapobiega jeszcze gorszej tragedii.

Dorada wbiła w nią wzrok pełen braku zrozumienia.

– Chyba niepotrzebnie strzępisz język – stwierdziła po chwili. – Skoro nie mamy o czym rozmawiać, możesz mi w końcu oddać medalion Elgana i sobie iść, polować na wiedzóm i inne bogom ducha winne istoty.

– Dorado...

– Oddaj mi medalion – wycedziła przez zaciśnięte zęby, wyciągając w jej stronę otwartą dłoń.

– Ktoś mi go ukradł.

– Ukradł? – Dziewczyna zastygła osłupiała. Jej oczy rozszerzyły się i zamiast smutku, goryczy i rezygnacji, teraz szalała w nich złość. – Ktoś ci ukradł medalion?! Na bogów! Kto?!

– Wiedzma.

Dorada, choć drżała lekko z wściekłości, powoli uśmiechnęła się i prychnęła drwiąco.

– Dałaś się okraść wiedzmie? A przecież jesteś taką potężną czarodziejką. Bogowie słusznie nie wybrali mi drogi usłanej waszymi magicznymi iskrami. Wasza magia jest niczym w porównaniu do ognia.

– Co ty możesz o tym wiedziec? – spytała niepewnie Wanda. Bała się, że usłszy najgorsze.

– Nie jestem wiedzma. Nie patrz tak na mnie. Choć bardzo chciałabym umieć używać mocy, nie potrafię tego. Tak jak ty nie potrafisz przechować czyjejś własności...

- Zanim skradziono mi medalion...
- Zanim wiedźma ukradła ci medalion – poprawiła ją Dorada.
- Zanim to zrobiła, zdążyłam odwiedzić czarownika.

Twarz dziewczyny złagodniała. Wanda widziała, jak powstrzymuje się od kolejnych przytyków. Nie miała za złe Doradzie, że tak bardzo chce jej dopiec. W końcu była jedną z tych, którzy z rozkazu króla polowali na wiedźmy, półdemoniczne istoty, do których poniekąd się zaliczała.

- Dowiedziałam się czegoś, choć słowa czarownika należy interpretować z rozwagą.

- Powiedział ci, kim był Elgan?

- Powiedział, do kogo mógł należeć ten medalion. Jego zdaniem... – Wanda zawahała się, było jej głupio w ogóle powtarzać na głos słowa staruszka. – Jego zdaniem właściciel medalionu był magiem.

Dorada wciągnęła ze świstem powietrze.

- Magiem?

- To oczywiste brednie – prychnęła Wanda. – Magowie nie istnieją. Ale niewykluczone, że był czarodziejem. Albo czarownikiem.

- Albo magiem... Staropolańskim magiem... On musi się dowiedzieć.

- A ty musisz się dobrze ukryć. Skoro już wspomniałaś o Staropolu, proponuję, byś właśnie tam się udała. Jeśli prawdą jest, że ciąży na nim klątwa i żołnierze tam nie trafią, będziesz tam bezpieczna.

- Nie mogę tam wrócić...

- Jeśli chodzi ci o tych nieszczęsnych strażników, którzy zginęli przez utopce, nie powinnaś się już tym martwić. Minęło sporo czasu. Ludzie już pewnie zapomnieli.

- Tam ludzie tak szybko nie zapominają. Jak tylko mnie zobaczą...

- Herrigen może zmienić ci magią rysy twarzy. Nie jakoś bardzo spektakularnie, ale te drobne zmiany i białe włosy powinny zadziałać. Nie rozpoznają cię.

- Ale ja nie chcę tam wracać.

– Obawiam się, że nie masz wyjścia.



## ROZDZIAŁ XIX

**C**oś szarpnęło. Mirosław wziął haust powietrza, jakby właśnie wynurzył się z lodowatej wody. Ocknął się na wozie, gdy koła najechały na wystający kamień. Ciche syknięcie woźnicy, przeklinającego jakość królewskiego traktu, w jednej chwili przywołały wspomnienia poprzedniego dnia.

*Pojmali nas...*

Mirosław po chwili zdał sobie również sprawę z tego, że jego dłonie i stopy są związane sznurem. Siedząca z podkulonymi nogami Zorzanna patrzyła tępym wzrokiem przed siebie. Spod chusty na jej ramieniu wydobywał się smród ropiejącej rany. Wróż szarpnął całym ciałem, ale przez ciasno oplecione nogi i nadgarstki tylko zsunął się i uderzył głową o skrzynię.

- Dokąd nas wiozą? – wychrypiał, podciągając się łokciami.
- Do jakiegoś czarodzieja.
- Zabiją nas?
- Oby szybko.
- Przecież musi być jakieś wyjście – wychrypiał.

Rozejrzał się i naliczył sześciu zbrojnych. Trzech jechało na koniach z przodu, trzech z tyłu.

– Zorzanno, musimy uciec.

– No to śmiało, uciekaj.

Mirosław czuł, jak czerwienieją mu policzki. Był na nią wściekły. Był zły, że tak silna, przebiegła kobieta siedzi teraz zrezygnowana, patrząc tępo przed siebie, jak jakaś krowa jadąca na rzeź. Przecież tyle już zniosła. Nie mogła tak po prostu się poddać.

– Uciekłaś żołnierzom w Rozogach. Przepędziłaś rusałkę. Sama jedna dałaś radę demonowi, a to są zwykli ludzie.

– Tych zwykłych ludzi jest sześcioro, a ja nie jadłam od dwóch dni, moje ciało gnije od nieopatrzonej rany i, może akurat tego nie zauważyłeś, mam związane ręce. Nawet jeśli udałoby mi się wydostać zębami popiół, to mogłabym co najwyżej ich na chwilę oślepić. To nie demony – mówiła tym samym, beznamiętnym tonem. – Z nimi trzeba walczyć mieczem albo ogniem. A z tego co widzę, to ani jednego, ani drugiego nie mamy.

Czekał na iskierki złości i tę zawziętą, nieugiętą Zorzannę, ale ona tylko siedziała ciągle w tej samej pozycji, wpatrzona w nicość.

– Musimy coś...

– Zamknąć się, bo w gęby szmatę wsadzę! – krzyknął jadący za nimi żołnierz.

Mirosław spojrział na połyskujący w blasku wschodzącego słońca napierśnik żołnierza, na którym błyszczała srebrna błyskawica, symbol Villperuny. Naramienniki zdobiły zaś dużo jaśniejsze, drobne gwiazdy, ułożone w spiralny kształt. Nigdy wcześniej ich nie widział na zbrojach wojska.

– Co to za symbol? – spytał wiedźmę, wskazując wzrokiem żołnierza.

Powoli, jakby od niechcienia, Zorzanna obróciła głowę.

– Czarodzieje. To ich symbol.

– To znaczy, że...

– Zawrzeć mordy, bo utłukę jak psy! – Żołnierz walnął pięścią o wóz.

Mirosław odczekał chwilę, aż mężczyzna znudzi się i przestanie ich obserwować.

– To znaczy, że Villperuna zawarła przymierze z czarodziejami?

– Sami na wojnę z wiedźmami by się nie wybrali. Król Valdim dobrze to sobie zaplanował.

– Ale dlaczego? – Mirosław czuł, że brakuje mu powietrza. Wziął głęboki oddech, przez co zakrztusił się zimnem. Nie mógł uspokoić myśli i złości, która w nim wrzała. – Dlaczego nagle nie w smak mu wiedźmy? Przecież w Villperunie odkąd pamiętam wiedźmy, szeptuchy czy wróżki były zawsze szanowane. No może wiedźm trochę się bano... ale nie tak, żeby zaraz zabijać.

– Ponoć król odnalazł jakąś przepowiednię w starych zwojach i stwierdził, że trzeba nas powybijać.

– Skąd wiesz?

Wiedźma tylko wykrzywiła usta w coś, co przypominało gorzki uśmiech.

– No, ale... – kontynuował Mirosław, zdawszy sobie sprawę, że nie doczeka się odpowiedzi – to jakiś mędrzec przepowiedział, że tak trzeba?

– Stary pergamin. Wiekowy – zakpiła.

– I tak ślepo uwierzył w jakiś zwój sprzed wieków?

– A czego ty się po królu spodziewasz? To jakiś szczęśliwy kretyń, który urodził się w zamku po to, by zostać królem, ot tak, bo mu się należy. I zostanie w tym swoim zameczku do śmierci. Szkoda, że w drodze do nieuniknionego zdążył wywołać wojnę. Ale i taki wariat musi się raz na jakiś czas urodzić.

– A czarodzieje? Ponoć oni są uczeni. Mają swoje akademie. Wiem, bo Dorada mi mówiła. Poznała kiedyś jedną czarodziejkę.



– Tego też nie rozumiem... – Westchnęła i na powrót zapatrzyła się przed siebie nieobecny wzorkiem. – Może mają w tym swój interes? A może ta przepowiednia jest prawdziwa i jakiś czarownik potwierdził jej słowa.

Wozem trzęsło niemiłosiernie od kiedy skręcili w wąską uliczkę, ciągnącą się między drzewami. Mirosławowi zbierało się na wymioty. Miał ochotę opaść na deski wozu, by zasnąć snem twardym i wiecznym, ale zamiast tego podczołgał się bliżej Zorzanny.

– Dlaczego się poddałaś? – wybełkotał i szybko przełknął ślinę, powstrzymując odruch wymiotny.

– Bo nie straciłam przytomności.

Wróż wpatrywał się w nią bez zrozumienia.

– Podczas gdy ty spałeś, ja słuchałam. Złapali siedem wiedźm na terenie Villperuny. Nie będę powtarzać, jakim torturom je poddali. Król Valdim zdążył już sprowadzić tylu czarodziejów, że ta garstka wiedźm, która została na tych ziemiach, nie poradzi sobie z ich potęgą. Spóźniliśmy się. Nie dotarliśmy do Sibigardu na czas.

– Skąd wiesz, że nie kłamali? Może chcą, byśmy się poddali.

– Jeden z nich uczestniczył w dwóch przesłuchaniach. Dokładnie opisał wiedźmy. – Głos Zorzanny zadrżał. Odchrząknęła i w końcu spojrzała na wróża. – Znałam je. Były bardzo młode, jeszcze nie zdążyły w pełni rozwinąć swoich mocy. To na pewno były one, bo... – Zorzanna zamyśliła się na chwilę. – Każda z nas ma znak na nadgarstku. Każda inny. – wyszeptała i potarła ramieniem o kolano, by odsłonić przegub. – Ja mam paproć. Te, które zabili na torturach, miały sosnę i skowronka. Używamy tych nazw, gdy jesteśmy w naszych światach.

– W światach, do których wędrujecie przez ogień? – spytał Mirosław, przypominając sobie wydarzenia z jaskini. Udawał, że spał. Jednak bardzo dokładnie widział, jak Elgan i Zorzanna połączyli dłonie w ogniu,

a potem zamarli. Pamiętał ten zimny strach, który zmroził jego ciało na myśl, że już tak zostaną na wieki.

– Tak, ogień jest bramą do międzyświatów.

– I tam mówią do ciebie Paprotka?

Zorzanna po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się słabo i wzruszyła ramionami.

– Dlaczego Paprotka?

Wiedźma przewróciła oczami, ale uśmiech nie schodził z jej twarzy. Wyglądała, jakby właśnie przypomniały jej się radosne chwile.

– Bo gdy mam długie włosy, sterczą na wszystkie strony jak liście paproci.

Oboje zaśmiali się cicho.

– I ty sama się zgodziłaś, żeby cię tak nazywały?

– Też coś!

– To kto cię tak urządził?

– Wszystkiego powiedzieć ci nie mogę. O tym ma zdecydować... miała zdecydować Sejna...

– Postój! – krzyk żołnierza brutalnie przypomniawszy im o tym, gdzie są.

– Won za potrzebą i jedziemy dalej!

Konie zarżały i rozległ się brzęk zbroi. Żołnierze zeskoczyli pośpiesznie, tak jakby od dłuższego czasu już na to czekali.

– Może tak w krzaki na chwilę z wiedźmą pójdziemy? – zarechotał najmłodszy. – Niczego sobie jest.

– Jak ci śnieg dupska nie zamrozi, to ta z pewnością ci go zwęgli.

– Z wiedźmą mu się zachciało! – prychnął któryś z przodu.

– Młody, głupi jeszcze. Ale my ci z młodości zginąć nie damy. Trzeba ci zacisnąć pasa, bo tej to lepiej nawet w oczy nie patrzeć. Słaba, wygłodzona, ale wiadomo, do czego ten demoniczny pomiot zdolny? A słówko ci jakieś szepnie zbyt blisko ucha i się zwęglisz na popiół.

– Nie gadaj!

– A prawdę mówię. Babka mi opowiadała o wiedźmie z jej wioski. Kiedyś taka jedna, ponoć też łeb cały biały miała, w Szczodry Wieczór zebrała wieśniaków na placu i za snopy siana ich poprzebierała.

– I tak jak jeden mąż się te barany poprzebierały? – zakpił najwyższy.

– No wiedźma, to się ludzie bali.

– To co im zrobiła, jak już stali jak te snopy?

– Kazała im tańczyć i się kijkami okładać po gębach.

Żołnierze ryknęli śmiechem.

– Może jeszcze im te kije w tyłki powsadzała?! – wybuchła Zorzanna.

Przysadzisty żołnierz splunął i powoli podszedł do wozu.

– Ja cię posłuchu nauczę, ty ścierwo. Jak mówię, że zawrzcę gębę masz, to masz zawrzcę gębę.

Zamachnął się płaską stroną miecza. Mirosław bez chwili zastanowienia chwycił ostrze oburącz, gdy znalazło się tuż nad głową wiedźmy. Mimo głodu i skrajnego wyczerpania, Zorzanna błyskawicznie odsunęła się, by uniknąć rozgrzanego, płynnego metalu na swojej głowie. Żołnierz stał osłupiały, wpatrując się w ciekący metal, który jeszcze przed chwilą był jego bronią.

– Wór mu na łeb założyć! Ale już! – wrzasnął, odzyskawszy rezon. – I wiedźmie też! Wyłazić mi z tych krzaków! Biegiem! Ruszamy! Czym prędzej trzeba to plugastwo czarodziejom oddać. Licho wie, co jeszcze potrafią.



Nawet z workami na głowie szybko pojęli, czym trudnili się mieszkańcy wioski, w której mieli spotkać swojego kata. Rybi swąd uderzył ze zdwojoną mocą, gdy ktoś bez ostrzeżenia ściągnął worki. Światło słoneczne zakłuło w oczy. Mirosław rozkaszał się i z pewnością by

zwymiotował, ale w jego żołądku nie było już nawet lichego, obrzydliwego żółtego płynu.

– Oddział leśny Villperuny pod dowództwem Piotomira melduje, że pojmał wiedźmę, chcącą zbiec w celu...

– Skąd wiecie, że to wiedźma? – przerwał mu cichy, chrapliwy głos żołnierza o długiej do piersi, czarnej jak smoła brodzie.

Piotomir podrapał się po głowie.

– Łeb ma cały biały i w oczach widać, że zła – odparł niepewnie dowódca leśnego oddziału. – Uczono nas, że...

– A ten drugi? Też wiedźma? – W głosie żołnierza słychać było wyraźną kpinę.

– Odmieniec jakiś. W rękach mi miecz roztopił.

Miejscowi żołnierze podeszli bliżej, by przyjrzeć się wróżowi.

– Wiedźma mi pyskowała, to chciałem jej rozumu nauczyć i zdzielić po...

– Za fraki i do czarodzieja! – rozkazał czarnobrody żołnierz, nie czekając na wyjaśnienia. – Tylko najpierw zapłatę wziąć!

– A jak nie będzie chciał płacić? – zapytał Piotomir. – To czarodziej. Nawet nas sześciu nie da mu rady.

– Zapłaci, zapłaci. Tylko nie ważyć się mu pyskować, bo was w żaby pozamienia.

Żołnierze leśnego oddziału pobledli. Słychać było brzęk zbroi od ugiętych nagle kolan. Miejscowi ryknęli śmiechem.

– Lepiej żeby w żaby niż w księżniczki – zawył jeden z tyłu, dławiąc się śmiechem. – Z takimi gębami Villperuna dobrego ożenku by nie zrobiła.

– To byśmy w końcu może sojusz z Sibigardem zawarli. Może tam księżniczki z takimi gębami za wzór by były!

– A to w Sibigardzie też chłopów mają? – spytał któryś z tyłu. – Ponoć tam baba jakaś rządzi. To przecież jakby chłopów mieli, to żaden

by na to nie pozwolił!

– A licho ich tam wie. – Czarnobrody splunął i spojrzął z politowaniem na bladego Piotomira. – Wito! Weźcie to wiedźmowe ścierwo do czarodzieja. Niech leśni już sobie krwi nie psują od towarzystwa tych odmieńców.

Żołnierze od razu zabrali się do pracy. Obwiązali wokół nich sznury i szarpnęli kilka razy, by upewnić się, że nie uciekną. Mirosław wyobraził sobie wiedźmę, która kpi z głupoty żołnierzy. Przecież mogliby ich obwiązać nawet nitką, a i tak by nie uciekli. Nie mieli na to siły.

Długo jeszcze miejscowi szydzili z leśnego oddziału. Ich śmiechy Mirosław i Zorzanna słyszeli z oddali, gdy Wito i jego kompan ciągnęli ich za owinięty wokół ciała sznur. Szli wzdłuż zamrożonego jeziora. Co chwila któryś szarpał mocniej i Mirosław potykał się o własne nogi. Był tak wykończony, że za każdym razem zdawało mu się, że nie wstanie, że walka nie ma już sensu. Ilekroć miał się poddać i pozwolić żołnierzowi na serię kopniaków, która miała go zachęcić do dalszej drogi, Zorzanna ubiegała oprawców i pomagała mu wstać. Nie miał pojęcia, skąd czerpała siłę. Sama przecież mówiła na wozie, że to już koniec, że nie dadzą rady uciec. W chaosie myśli, których nie był w stanie pojąć, gdzieś tliła się jeszcze nadzieja, że wiedźma jednak ma plan, że właśnie dlatego nie pozwala, by zatłukli go na śmierć. Włóczył nogami, ciągnięty jak bydło, a z każdym krokiem nadzieja wygasła.

– Zabiją nas... – wyszeptał.

Nikt mu nie odpowiedział. Żołnierze nie słyszeli, a wiedźma milczała, unikając jego wzroku. Przez chwilę zdawało mu się, że płacze. I właśnie wtedy coś w nim pękło. Już nie miał wątpliwości.

*To koniec...*

– Zabiją nas. – Chciał krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko szept i świst wykończonych mrozem płuc.

Z trudem pokuśtykał do wiedźmy. Chciał spojrzeć jej w oczy. Znaleźć w nich potwierdzenie ich bliskiej śmierci. Żołnierz szarpnął sznur i cisnął Mirosława przed drzwi do jakiegoś domu. Zaraz obok niego wylądowała Zorzanna. Rozległo się pukanie.

– Wiedźmę mamy i... – żołnierz spojrział z obrzydzeniem na Mirosława – ...i jakiegoś odmieńca, co to w rękach metal topi.

Drzwi otworzyły się natychmiast i stanął w nich niski mężczyzna. Od razu było widać, że nie jest miejscowy. Na samych rybach nie dorobiłby się tak okazałego brzucha. Nieznajomy opatulił się niebieskim płaszczem, a potem podszedł do Zorzanny. Powąchał jej włosy, po czym wyrwał jeden bez ostrzeżenia. Wiedźma jęknęła i syknęła coś pod nosem.

– Prawdziwa wiedźma – potwierdził czarodziej. – Dam cztery srebrne.

– A za tego? – spytał żołnierz, kopiąc Mirosława w łydkę.

– A co mi po jakimś chłopaczku? – prychnął czarodziej, nachylając się nad nim. Mirosław zacisnął szczękę, szykując się na ból. Tym razem jednak mężczyzna nie zamierzał wyrywać włosów. – Przecież płęć męska nie może być wiedźmą.

– Ale on metal umie topić.

– A ja potrafię latać na miotle – zakpił i rzucił żołnierzowi sakiewkę.

– Biorę go na przesłuchanie, bo brata się z wiedźmą, ale złamanego grosza nie dam za jakieś rude chuchro.

– Ale on... – Żołnierz urwał, gdy jego kompan szturchnął go łokciem.

– Tego... Dziękujemy, czarodzieju. Bywaj zdrów.

Mężczyzna odprowadził ich wzrokiem, a później jego małe, czarne ślepia spoczęły na wiedźmie.

– Proszę, wejdźcie – powiedział, uśmiechając się przyjacielsko.

Choć uśmiech czarodzieja wydawał się szczery, to w jego czarnych oczach Mirosław od razu dostrzegł szaleństwo. Szaleństwo, które z każdą

chwilą nabierało mocy, jakby czyjaś niewidzialna ręka kawałek po kawałku zdzierała z niego maskę miłego człowieka.

– Proszę, proszę – mówił, odwiązując sznur, który przepasał ich talię. – Co za miła niespodzianka. Dobrze, że przybyliście tak wcześnie, bo jeszcze chwila i miałem wyruszać do sąsiedniej wioski. Witajcie zatem w skromnych, tymczasowych progach Bryzgiela.

Czarodziej, zerwawszy wszystkie pęta, rzucił je w kąt i nakazał machnięciem dłoni, by zasiedli przy stole.

– Och – mężczyzna skrzywił się, odwiązując chustę na ramieniu Zorzanny. – Wygląda paskudnie. Ale zaraz coś z tym zrobimy.

Przyniósł garnek z cieczą pachnącą ziołami i alkoholem. Powoli, w milczeniu, obmywał ranę Zorzanny. Wiedźma zaciskała wargi i powieki, krzywiąc się z bólu, ale nie krzyknęła ani razu. Gdy czarodziej skończył, zaczął recytować jakieś zaklęcie, a spod jego palców wydobyło się kilka iskier.

– Nie – zaprotestowała Zorzanna i wyrwała ramię z jego dłoni. – Nie magią.

Czarodziej zaniechał zaklęcia. Przyglądał jej się zaciekawiony.

– Dobrze. Ale uprzedzam, że będzie się goić znacznie dłużej.

– Wiem.

Bryzgiel wyszedł na chwilę do sąsiedniego pomieszczenia, po czym wrócił z maścią śmierdzącą moczem i ziołami. Usiadł obok wiedźmy i pokazał jej mieszankę. Zorzanna kiwnęła głową na znak, że zgadza się na taki sposób leczenia.

– To bardzo ciekawe, jak różnie traktuje się waszą profesję – mówił czarodziej, nakładając maść grubymi warstwami na zaropiałą skórę Zorzanny – a może należałoby rzec, gatunek? Bo przecież nie jesteście ludźmi. Jesteście czymś pomiędzy, więc według uczonych terminów trzeba rozpatrywać was inaczej niż ludzi. Inaczej niż demony. Jesteście więc odrębnym gatunkiem. Patrząc z tej perspektywy, to doprawdy

fascynujące, że przez wieki udawało wam się żyć w zgodzie z ludźmi. Przynajmniej na tych ziemiach. – Bryzgiel położył na stole wiklinowy koszyk, w którym znajdował się pachnący, świeży chleb, i stanął obok Zorzanny. – Czy wiesz, wiedźmo, dlaczego to właśnie na tych ziemiach tak długo nie maćono waszego spokoju?

Zaprzeczyła głową, nie spoglądając na czarodzieja.

– Bo nie mieliście godnego przeciwnika. Z jakichś powodów czarodzieje przez wieki omijali te ziemie. Może nie czuli się jeszcze na siłach, by zmierzyć się z waszą mocą? A może po prostu mieli ciekawsze rzeczy do robienia. Choć tego doprawdy nie rozumiem. Cóż może być ciekawszego od zgłębiania tajemnic waszej mocy? A wasza moc to jedna wielka zagadka. Tak między nami – czarodziej mówił, głaszcząc Zorzannę po głowie – nie pochwalam decyzji króla. Byłoby wielką stratą, ot tak po prostu was zabić czy też zaharować na śmierć przy budowach murów, bez poznania ognistej magii. Tak ją nazwałem. Podoba ci się?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do bulgoczącego kociołka i zdjął naczynie z ognia. Po chwili postawił przed Mirosławem i Zorzanną dwie gliniane misy z parującą polewką, w której pływały kawałki tłustego mięsa. Oboje rzucili się na ciepły posiłek. Bryzgiel usiadł naprzeciw nich i z uśmiechem szaleńca obserwował, jak jedzą.

– Tam, skąd pochodzę, nie ma wiedźm – powiedział i wziął najmniejszą kromkę chleba. Powąchał ją, jakby była wytrawnym trunkiem, po czym ugryzł chrupiącą skórkę. Kontynuował przemówienie, żując powoli twardy kęs. – Nie ma u nas wiedźm, bo tam kobiety prędzej udusiłyby się własną suknią, niż zaprzedały połowę duszy demonowi. Tchórzliwe i głupie baby z Gorent. Gdybym był kobietą, z pewnością bym spróbował.

Bryzgiel trwał w bezruchu, jakby na coś czekał. Odchrząknął znacząco, by przykuć ich uwagę. Mirosław zakrztusił się i wypluł polewkę, gdy dostrzegł w kącie piętrzące się na licznych regałach



bezbardne naczynia. Nie mogli zauważyć ich od razu, bo dopiero teraz Bryzgiel oświetlił miejsce iskrami czarodziejskiej magii. Po cichym pluśnięciu spadającej łyżki Mirosław domyślił się, że Zorzanna również dostrzegła makabryczne zbiory czarodzieja. W naczyniach pływały ludzkie dłonie, oczy i wnętrzności, z których Mirosław rozpoznał tylko wątrobę, bo kiedyś pokazała mu ją Liwiana, gdy przygotowywała posiłek. W przeciwieństwie do tej, tamta pochodziła z zarżniętej świni. Na samym dole z drewnianych skrzyń wystawały białe włosy.

– Ty nie musisz kończyć tak jak one – powiedział Bryzgiel, szczerząc nienaturalnie równe, białe zęby. Podniecony reakcją swoich gości, zaczął szybciej oddychać. Poczerwieniał na pulchnej twarzy, a w jego czarnych, szalonych oczach rozbłysło zadowolenie. Czarodziej napawał się chwilą grozy, którą zasiał w umyśle Zorzanny i Mirosława. Smakował ich trwożę jak drogie, szlachetne wino z dalekich wysp. Gdy się znudził, spojrzął na wiedźmę. – Nie musisz tak skończyć. Ty jesteś od nich bystrzejsza.

– Po czym wnosisz, jeśli można mi spytać? – wyszeptwała, nie odrywając wzroku od walających się po podłodze cienkich pasm jasnych włosów.

– Właśnie po tym. Ty wiesz, gdzie twoje miejsce. Jako jedyna nie zwyzywałaś mnie na wstępie od psich synów, czy jak one tam mówiły... – Czarodziej zmarszczył brwi i uśmiechnął się kpiąco. – Ach, tak. Parszywa zaraza. Jak by nie patrzeć, ziarno prawdy w tym wyzwisku jest. W waszych oczach my, czarodzieje, jesteśmy zarazą, która zalała wasze ziemie. Czy parszywą? Czas pokaże.

– Czy zaraza może nie być parszywa? – wycodziła Zorzanna.

Wróż widział kątem oka, jak wiedźma zaciska drobne palce na materiale swego brudnego, poszarpanego płaszcza. Na dobre straciła panowanie nad sobą, gdy czarodziej położył przed nią rozciągnięty na drewnianej deseczce kawałek skóry. Z jej oczu pociekły grube krople łez.

Na bladym skrawku czegoś, co kiedyś było czyjąś skórą, Mirosław dostrzegł wypalony symbol w kształcie sosny.

– Zaraza to zaraza – podjął czarodziej, muskając czarne linie drzewa na kawałku zdartej skóry. – Nie ulega wątpliwości, że czyni szkody ludziom, którzy staną się jej ofiarą, ale... – Przyniósł kolejną deseczkę i rzucił ją obok pierwszej. Zakrywał ją swoją pulchną dłońią. Najwyraźniej bawiło go trzymanie wiedzy w niepewności, bo co chwila unosił niby od niechcienia jeden paluch, odsłaniając fragment symbolu. Chciał, żeby jeszcze przez chwilę żyła w niepewności, żeby zastanawiała się, którą z jej sióstr spotkał okrutny koniec. – Ale skutki takiej zarazy niekiedy okazują się zbawienne dla innych. Weźmy choćby słynną wojnę Zjednoczonych Królestw Nadmorskich z wyspą Urk. Kto wie, jakby potoczyły się losy świata, gdyby zaraza nie strawiła tej przeklętej wyspy wraz z jej szalonymi szeptuchami. Nasi uczeni nazywają to naturalną selekcją. Ot, czasami natura pomoże w pozbyciu się zbędnego elementu tego świata.

– Skoro jestem zbędnym elementem tego świata, to dlaczego mnie po prostu nie zabijesz?

– Bo widzisz, ja, w przeciwieństwie do reszty mych czarodziejskich konfratrów, którzy zjechali do Villperuny, nie uważam, że zabijanie was rozwiąże jakikolwiek problem. To – czarodziej omiótł spojrzeniem zbiorę słoików i pęki białych włosów – to nie ja je zabiłem. Ja tylko zgromadziłem tutaj ich cenne narządy. Już ci mówiłem. Uważam, że zabijanie wiedźm to głupota. Jeśli więc postanowisz ze mną współpracować, nie stanie ci się krzywda. Możesz też wybrać inaczej, a ja wtedy będę zmuszony oddać cię w ręce wymiaru sprawiedliwości. – Bryzgiel westchnął z żalem i wzruszył ramionami z udawanym współczuciem. – Prawdę mówiąc, nie do końca rozumiem, dlaczego król Villperuny nagle wytoczył wam wojnę, skoro od tysięcy lat zgodnie – czarodziej wykrzywił usta – w miarę zgodnie żyjecie na tych ziemiach.

Ponoć porywacie dzieci. Nieładnie. Oj, nieładnie. – Bryzgiel zacmokał i pogroził jej palcem, jakby była jakimś nieposłusznym brzdącem. – Ponoć też przyczyną tej całej nagonki jest magia wyklęta. Dzika magia wiedźm. Niebezpieczna, niepojęta, nieposkromiona. Owszem, to zrozumiałe, że ludzie boją się waszej magii. To ich zasrany obowiązek bać się czegoś, czego nie są w stanie pojąć. Bez tego człowiek by zginął. Gdyby pchał się na oślep w nieznanne, nasz rodzaj wyginałby jak niegdyś magowie. Ich właśnie zgubił brak lęku i zbyt duże ambicje. Widzę, że cię rozbawiłem, droga przyjaciółko. Nie wierzysz, że kiedyś po tych ziemiach chodzili magowie?

– W to nie tak trudno uwierzyć.

– A więc?

– Bawi mnie pewność, z jaką o nich opowiadasz.

Bryzgiel zdjął dłoń z kawałka skóry. Najwyraźniej zirytowała go uwaga Zorzanny i chciał ją ukarać. Przypomnieć, że nie należy go drażnić. Wiedźma wypuściła cicho powietrze. Na skórze był wypalony mały wróbelek, trzymający w dziobie liść dębu.

– My czarodzieje, w przeciwieństwie do ciebie i twoich wiedźmowych sióstr, mamy księgi. Starsze, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Księgi spisane w językach tak trudnych, że aby je odczytać, musiałem spędzić całe lata na nauce zawiłych run i ich znaczeń.

Czarodziej najwyraźniej czekał na zachwyt nad akademickimi zbiorami w Gorent, na podziw dla jego niezwykłych umiejętności, ale wiedźma tylko jeździła językiem po zębach, jakby starała się za wszelką cenę przełknąć każde słowo, jakie cisnęło jej się na usta. Czarodziej wstał i zdjął z półki opasłą księgę. Położył ją ostrożnie na blacie, jakby sami bogowie ją spisali.

– Nie przemawiają do mnie przyczyny tej nagonki – zaczął, gładząc grzbiet księgi – bo choć owiane są one tajemnicą, wszyscy już wiedzą. Chodzi o starą przepowiednię. Jedna z wiedźm wyznała w trakcie tortur,

że wy, półdemoniczne istoty, już o tym wiecie. Ba! Nawet znacie treść wieszczego bełkotu. Tymczasem przepowiadanie to domena wrózek i wróży, a ci są tylko ludźmi. Z jakąś namiastką boskiego daru, ale wciąż, to tylko ludzie. A ludzie mają to do siebie, że nie są idealni i często się mylą. Uważam zatem, że zamiast zabijać, należy poznać waszą moc, ujarzmić ją, dać poznać ludziom. Dopiero wtedy zapanuje pokój między ludźmi i wami, półdemonami, półludźmi. – Otworzył księgę na przypadkowej stronie i postukał po niej grubym palcem. – Tu właśnie spisujemy słowa, które na zawsze położą kres waszej walce o prawo istnienia.

Mirosław wodził wzrokiem od pustych kart księgi do Zorzanny. Jej szczupła, wąska twarz zdawała się napięta do granic możliwości. Był pewien, że gdyby bogowie zesłali na wiedźmę dar czarowania wzrokiem, zabiłaby nim Bryzgiela.

– Pomyśl o tym, przyjaciółko. Możemy zapisać się na kartach historii jako ci, którzy zażegnali odwieczną walkę z wiedźmami. Spójrz prawdzie w oczy. To jest ostatnia szansa. W Gorent nie ma wiedźm, bo żadna nie odważyłaby się nią zostać. Na wyspach Chorsa jest zimno, to i naturalne jest, że północne kobiety ciągnie do ognistej magii. A oni trzymają je w wioskach otoczonych murem, jak jakieś wściekłe psy. Na południu? Och, tam z pewnością nie chciałabyś się znaleźć... Tylko na ziemiach Villperuny mogłyście żyć w miarę spokojnie. Ale i tu przyszła na was pora. Taki wasz lichy los. Ty jednak nie musisz się z nim godzić. Pomyśl o tym, przyjaciółko. Ty i ja możemy zmienić bieg historii.

Nagle rozległo się pukanie. Bryzgiel zagryzł wargi, zirytowany, że ktoś śmiał mu przeszkodzić w takim momencie. Drzwi zaskrzypiały, pchnięte od zewnątrz i pomieszczenie momentalnie się wychłodziło.

– Mistrzu Bryzgielu! – Drobnym sługą skłonił się w pokłonie. – Szlachetnie urodzony pan Umir herbu Pollanna wzywa do siebie. Jego córka wielce rozpalona, nie sposób z nią już nawet rozmawiać. Znachor

rzekł, że więcej zrobić się nie da. Wielki pan Jeziornej wynagrodzi mistrzowi czarodziejowi szybką pomoc.

Bryzgiel wodził wzrokiem po pomieszczeniu. Odchrząknął i bez słowa zarzucił na siebie płaszcz. Potarł energicznie ręce, jakby chciał je rozgrzać i uformował dłońmi krąg, w środku którego coś zamigotało. Po chwili kilka iskier powędrowało w ich stronę. Mirosław zamknął oczy i zakrył się ramionami. Niczego jednak nie poczuł. Bryzgiel nie miał zamiaru zrobić im krzywdy. Nie tym razem. Zamiast ran na ciele, wróż ujrzał migotliwą poświatę, która otoczyła ich z każdej strony. Wyglądała jak ściana z gorącego powietrza. W upalne dni widywał taką poświatę nad kamienną drogą. Powietrze wrzało z gorąca, tworząc falującą zasłonę, dokładnie taką, jaka teraz ich otaczała. Odczekali, aż zamkną się drzwi i ucichną głosy powozu, który przybył po czarodzieja. Mirosław wstał pierwszy. Zorzanna nie poruszyła się ani odrobinę od wyjścia Bryzgiela. Siedziała, wpatrując się tępym wzrokiem w blat stołu. Mirosław przesunął dłonią po niewidzialnej ścianie. Przez chwilę miał nadzieję, że może taki rodzaj materiału jego dłonie roztopią równie łatwo co metal. Zasłona jednak ani drgnęła. Za to on i owszem. Jego ciało przeszyło mrowienie, odbierając na chwilę panowanie. Stracił równowagę, po czym runął na podłogę.

– Z tego nie da się uciec – powiedziała beznamiętnie Zorzanna.

Mirosław wstał i poklepał się po udach, które wciąż trwały w odrętwieniu. Podeszedł do stołu, by zasłonić księgą kawałki skór. Nie chciał, żeby ciągle na nie patrzyła. Potrzebował jej skupionej, zaradniej i silnej.

*Przeklęty czarodziej, wiedział, jak ją złamać...*

– Może on ma rację – zaczęła niepewnie, siadając obok niej. – Może gdy ludzie zrozumieją waszą moc, to przestaną się was bać. Już nie będą mieć powodu, by chcieć zabijać wiedźmy.

– Naiwny jesteś. Czyżbyś ty też nie był człowiekiem? – zakpiła. – Mówisz, jakbyś nie wiedział, jaka jest ludzka natura. Żyjemy na tych ziemiach... Żyliśmy na tych ziemiach we względnym spokoju, bo ludzie się nas bali, ale też szanowali za to, że broniliśmy ich miast i leczyliśmy, gdy wszystko inne zawodziło. Gdyby dowiedzieli się, do czego jesteśmy naprawdę zdolne i jak działa nasza moc... Zabijaliby jeszcze okrutniej. Jeśli nie ze strachu, to z zawiści, że oni takich rzeczy nie potrafią. Strach i zawiść. Tyle wystarczy, by wybić tych, którzy się od nich różnią. Tyle wystarczy, by zapomnieć o tej ludzkiej części, która nas łączy. Strach i zawiść wystarczą, żeby w innym widzieć już tylko demona. – Zorzanna zamilkła. Wzięła do ręki rozciągniętą na drewnianej płytce skórę przyjaciółki i wyszeptała coś pod nosem. Zamknęła powieki i objęła ramionami to, co pozostało po istocie zwanej niegdyś „Sosną” w nieznanym Mirosławowi świecie, do którego prowadził tylko ogień.



## ROZDZIAŁ XX

Słońce mocniej przygrzewało tego dnia i pod kopytami koni rozlegał się cichy plusk topniejącego śniegu. Dorada wsłuchiwała się w każde plaśnięcie, tworząc z nich melodie. Wysokie i niskie nuty rozchlapywanej wody pomagały jej zapomnieć o tym, jak bardzo jest rozgoryczona. Jednak za każdym razem, gdy kopyto konia trafiało na głębszą kałużę, wydając z siebie psujący całą melodię bulgot, od razu oczami wyobraźni widziała wykrzywioną bólem twarz Elgana.

*I co ja mu powiem, gdy się spotkamy? Że oddałam jedyną rzecz, którą miał i mi podarował? Że wręczyłam medalion czarodziejce, która dała się okraść wiedźmie – istocie, na jakie sama poluje? O, losie...*

– Niech ją lichy... – warknęła pod nosem.

*Po co ja w ogóle się tym denerwuję? Przecież mogę już nigdy nie spotkać Elgana. Ani za życia, ani po śmierci...*

Chciała wymazać z pamięci spotkanie w piwnicy białogrodzkiej piwiarni. Chciała nadal żyć tymi okruchami nadziei, że odzyska medalion, a Elgan ją dzięki temu odnajdzie.

– Głupia. Naiwna – zgaśniła się na głos.

Herrigen tylko spojrział na nią kątem oka, najwyraźniej przyzwyczajony do tego, że Dorada mówi sama do siebie. A mówiła dość sporo, bo coraz trudniej było jej to wszystko trzymać w środku. Nie mogła wspólnie z czarodziejem zwyzywać Wandy od najgorszych tępaków w historii świata, bo ten nic nie wiedział o medalionie. Marnym zresztą byłoby pocieszeniem mieć to samo zdanie na temat Wandy, co zabójca jej ojca. Znów zaklęła pod nosem, gdy przypomniała sobie, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Jedyne człowiek, który mógł i chciał jej pomóc, był jednocześnie tym, który zniszczył bezpowrotnie jej życie. Bo nic nie było w stanie wypełnić pustki po stracie Arsa. Ojca, o jakim nawet nie śniła, będąc małą dziewczynką. Dzień, w którym dowiedziała się, że jej ojciec żyje i do tego jest wybitnym szamanem, był najpiękniejszym dniem w jej życiu.

– Zbliżamy się do miasta – oznajmił Herrigen i potrząsnął lejcamy. – To muszą być Lasowice. Wanda poradziła, byśmy się tam zatrzymali. Według jej wiedzy, tam jeszcze nie dotarli żołnierze i czarodzieje z Villperuny.

– Jeszcze nie dotarli... – powtórzyła z goryczą.

Dorada miała ochotę powiedzieć, co myśli o czarodziejach i gdzie jest ich miejsce, ale jak tylko otworzyła usta, silny podmuch wiatru wpakował w nie kilka źdźbeł siana. Rozkaszała się, omal nie spadając z konia.

– Dam sobie radę – fuknęła na czarodzieja, który przytrzymał ją, dzięki czemu nie zleciała z siodła.

Dorada wyszarpnęła ramię, kaszlnęła i splunęła źdźbłem, które uparcie nie chciało wydostać się z gardła.

– Co, do czorta, się tu wyrabia?! – krzyknęła, gdy kolejna wiązka suchej słomy zdzieliła ją po głowie, wraz z podmuchi, który tego bezwietrznego, słonecznego dnia, nie miał racji bytu.

Z oddali doszły ich krzyki spanikowanych ludzi. Herrigen popędził konia i bez słowa ruszył na pomoc mieszkańcom. Dorada poszła w jego



ślady. Zatrzymała się dopiero na środku drogi, tuż za koniem Herrigena, którego pilnował jakiś miejscowy chłop. Na chwilę tłum zebranych przestał biegać i krzyczeć. Spod dłoni czarodzieja buchnęła chmura iskier i wszyscy momentalnie zwrócili ku niemu oczy. Ten, który trzymał konia Herrigena, cofnął się i o mały włos nie runął, gdy ogier szarpnął wodze. Zwierzę najwidoczniej nie zamierzało oddalać się od właściciela.

– Dobry koń. – Czarodziej uśmiechnął się pod nosem, po czym na powrót skupił się na swojej magii, którą tworzył między palcami.

Herrigen przez chwilę obracał moc w dłoniach, po czym uwolnił ją, zalewając drogę blaskiem migoczących drobinek. Wir iskier krążył powoli nad ziemią i wciągał słomę. Po chwili zniknął, a w jego miejscu pojawił się stosik siana.

– Zbierajcie je! Szybko! Zanim wiatr znowu je rozwieje! – krzyknął Herrigen i tłum jakby ocknął się ze snu.

Mieszkańcy Lasowic posłusznie pakowali siano do worów, ale ciągle kątem oka obserwowali czarodzieja, jakby w obawie, że zrobi tak duży wir, że wciągnie i ludzi.

Zza pleców Dorady wystrzelił kolejny podmuch wiatru. Odwróciła się, gotowa zrugać samego płanetnika, demona chmur, którego ludzie zwykli obwiniać za brzydką pogodę. W oddali zamigotały żółte i zielone refleksy, z których na mrugnięcie powieki wyłonił się obły kształt. Dorada bardzo dobrze znała takie zniekształcenia, które zwykłemu człowiekowi powiedziałyby tyle co nic. Ludzie unikający demonów i wszelkiej obecności magii uznają takie przebłyski kształtów za przejaw zmęczenia, ewentualnie przepicia. Ona jednak doskonale wiedziała, z czym ma do czynienia. Choć szczerze wątpiła, by to w istocie był płanetnik, była przekonana, że właśnie stoi przed nią jakiś demon.

– Wiem, że tu jesteś – powiedziała, podchodząc do unoszącej się w powietrzu bezbarwnej, gęstej mgły.

Usłyszała znajomy chichot.

– Lisok? Na bogów! Co ty tutaj robi... – Urwała, gdy demon zawirował, wprawiając powietrze w ruch. Kilkadziesiąt słomianych łądyg wzbiło się i poszybowało na wszystkie strony. – No tak. Mogłam się od razu domyślić, że to sprawka jakiegoś demona.

Lisok, w całej swej odrażającej niedoskonałości, skłonił się i wyszczerzył zęby. Postrzępione żółte i zielone łuski, sterczące z jego ogromnego brzucha, uniosły się wraz z parą drobnych ramion.

– Piękna Dorado! – Lisok znów zatańczył wokół własnej osi i zachichotał piskliwie. – Ktoś musi dać nauczkę złym ludziom. Nakradli zboża od sąsiedniej wioski, bo ich zbiory jakaś zaraza zjadła. No ale sama powiedz. Czy to powód, żeby od razu kraść innym?

Właśnie miała odparować, że to bogowie są od wymierzania sprawiedliwości, ale przypomniała sobie słowa Elgana: „Bogowie mają ważniejsze sprawy na głowie niż ludzka głupota i zawiść”.

*Coś w tym musi być – pomyślała. Widać ludzkie sprawunki bliższe są demonom niż bogom.*

– Dobrze cię widzieć, Lisoku.

– O! Ja też się cieszę! Zobacz, jak ja się cieszę! – Demon obrócił się do góry nogami, a jego wielki brzuch zawirował przy akompaniamencie śmiechu.

– Dawno już cię nie widziałem – stwierdził, gdy w końcu się zatrzymał. – I szamana też, i tego pięknego wąpierzka, co śmierdzącego demona wam kiedyś sprowadził, też nie widziałem od... ooo, długo! A czy ty wiesz – Lisok ściszył głos – że tego wąpierzka to kiedyś banda strzygoni w lesie napadła? – Demon zaniósł się śmiechem. – I gdyby nie szaman, toby tego wąpierzka w grobie zakopali! Tak mu krzyczał ten strzygón: „będziesz miał wieczność, żeby rozmyślać o swojej głupocie”! – Demon znów zarechotał. – Dobrze mu powiedział? Prawda?

– Nie znałam tej historii – przyznała Dorada. – Elgan najwidoczniej nie lubi chwalić się porażkami.

– A żebyś wiedziała, że porażkami! Gdyby szaman nie wezwał demonów, w tym mnie, bo ja, jak się wścieknę, to... to... groźny jestem! Gdyby nie ja i... no... reszta demonów, ojji, tyyyyle ich tam było! Gdyby nie my, toby wąpierzuk gryzł ziemię i do robaków gadał! Ach, to były piękne czasy. Ale szaman od dawna na wyprawy nie chodzi, to i nudzi mi się, piękna Dorado – oznajmił, wprawiając w ruch kolejny snop siana, który najpewniej chciał rozrzucić po całej okolicy.

– Lisoku, myślę, że dałeś im już wystarczającą nauzkę. Dość tego rozrabiania.

Demon skrzywił się, ale nie protestował.

– A co u szamana? Wzywa jeszcze czasem demony? Mnie tak dawno już nie przywoływał... – powiedział z wyrzutem Lisok.

Ktoś w oddali wyzywał bogów od najgorszych, inny przeciwnie, wzywał bogów i boginie na pomoc, wychwalając ich dobroć i łaskę. Ktoś zanosił się śmiechem, krzycząc, że dobrze im tak wszystkim, a bogowie siedzą i patrzą się na ich głupotę. Wszyscy mieli coś do powiedzenia, a Dorada stała wpatrzona w chaos, który ogarnął Lasowice.

– On nie żyje – odezwała się po chwili, patrząc na Herrigena, który swoją magią starał się pozbierać zabłąkane źdźbła siana w jedno miejsce.  
– Zabił go ten czarodziej.

Lisok pofrunął w stronę ludzi, by lepiej przyjrzeć się oprawcy. Prędko wrócił do Dorady z szeroko otwartymi ślepiami. Jego łuski nastroszyły się jak sierść u wystraszonego kota.

– Uciekaj – pisnął i wzdrygnął się, jakby to on miał za chwilę paść ofiarą bandy strzygoni. – Uciekaj, Dorado, czym prędzej uciekaj!

W tej chwili Herrigen odwrócił się i spojrzał na nich z oddali. Nie widziała dobrze jego twarzy, ale czarodziej wyraźnie czymś się zaniepokoił, zastygając na chwilę w pełnym napięcia bezruchu. Nim zdążyła zadać pytanie, Lisok zniknął. Herrigen przywołał ją ręką. Nie

uśmiechał się, bo to chyba nie leżało w jego naturze, ale twarz miał łagodną jak zwykle.

– Wszystko w porządku? – spytał, dysząc cicho z wysiłku. Ukradkiem spoglądał na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą był Lisok. – Muszę jeszcze trochę tu pomóc. Może zabierzesz konie i znajdziesz nam jakąś karczmę?

Kiwnęła głową.

– Spotkamy się pod tą świątynią. – Wskazał najwyższą budowlę, nad którą kołysał się potężny dzwon, zalewając Lasowice głęboką, monotonną melodią. – Zjedz coś i odpocznij. Myślę, że do wieczora mi tu zejdziesz.

– Zatem do wieczora – rzuciła i szybko oddaliła się z końmi.

Przez chwilę myślała o tym, by zostawić wierzchowce, zamknąć się w izbie i spróbować przywołać Lisoka. Była zła, że zniknął bez pożegnania. Nigdy wcześniej tego nie robił.

*Kazał mi uciekać – przypomniała sobie jego ostatnie słowa. W sumie nic w tym dziwnego, że radził, bym uciekała od zabójcy Arsa. Nie zdążyłam mu powiedzieć, że czarodziej nie miał wyjścia, że musiał to zrobić, że...*

Zdała sobie sprawę, że stoi w miejscu, gdy koń poruszył się niespokojnie i szarpnął wodze.

*A jeśli on kłamie?* – pomyślała, patrząc na świątynny dzwon, który zagrawszy swoją melodię, zastygł w oczekiwaniu na kolejne szarpnięcie.

Masywny instrument wisiał nieruchomo i nawet wiatr Lisoka nie byłby w stanie go ruszyć. Zależny od woli człowieka, czekał na swój czas. Nie chciała być jak ten potężny dzwon. Nie chciała, by ktoś pociągał sznur za każdym razem, gdy będzie miał ochotę wysłuchać, co ma do powiedzenia. A tak się teraz czuła. Jak kukła prowadzona za sznurki do Staropola, miejsca, o którym chciała zapomnieć. A wszystko dlatego, że tak postanowiła Wanda. Bo czarodziejka stwierdziła, że w Staropolu Dorada będzie bezpieczna. Czarodzieje zdecydowali za nią, szybko

i zgodnie, nie pytając jej o zdanie. A ona milczała, jak ten dzwon. Nie protestowała. Nie uciekła. Zamilkła, dając się prowadzić. Odezwie się dopiero, gdy Herrigen szarpnie za sznurek i zapyta, którędy powinni dalej jechać, bo tylko ona mogła doprowadzić ich do miasta obciążonego klątwą. Wszystko dla jej dobra. Dla własnego dobra nie mogła decydować sama o sobie. Rozpłakała się, czując ogarniającą ją bezsilność.

– Gdzie jesteś, Elgan... – załkała.

Był jedyną istotą, której ufała, a on zniknął i nawiedzał ją tylko w dziwnych wizjach.

– Zgubiła twój medalion... Zgubiła twój medalion! – wrzasnęła, dysząc ciężko.

*Czy ja już oszalałam?* – zastanawiała się, gdy grupka dzieci popatrzyła na nią z przestraszeniem.

Szybko opuściła wzrok i oddaliła się od nich. Nie chciała, by stało im się to, co tej głupiej smarkuli na dworze królewskim.

*Przeklęta dworska gówniara! To wszystko przez nią!*

Zacisnęła wargi, by stłumić szloch.

*Wszystko przez... przeze mnie... Gdybym jej nie zaatakowała... Bogowie... Może Jagna i Ars by żyli?*

Otarła oczy i ścisnęła lejce, gotowa przywiązać konia czarodzieja do studni. Łzy zamazywały jej widok i nieudolnie szarpała się z wierzgającym zwierzęciem. Gdy w końcu uporała się z wiązaniem, a koń Herrigena stał uwięziony przy studni, Dorada wskoczyła na swoją klacz i, zdecydowana wziąć los we własne ręce, spojrzała przed siebie. Zastanawiała się, czy zdąży dojechać do jakiejś wioski jeszcze przed zmrokiem.

– Pomóc panience?

Głos za plecami trochę ostudził jej zapał. W jednej chwili, gdy zobaczyła rosnącego mężczyznę, który ślinił się na jej widok, ucieczka przestała wydawać się tak dobrym pomysłem. Jak niby miałyby się bronić,

gdyby zaatakował ją choćby jeden silny chłop? Nie potrafiła walczyć, nie władała żadną mocą. W każdym razie nie świadomie. Nie mogła mieć pewności, że jej moc sama się obudzi, gdy znajdzie się w niebezpieczeństwie, ani że nie obróci się przeciwko niej, jeśli użyje magii w niewłaściwy sposób. Czuła, że drzemie w niej magia ciemności, którą dał jej Elgan, ale nie miała pojęcia, jak ją przywołać.

Mężczyzna w uszatej czapce uśmiechał się do niej i mrugnął zalotnie okiem.

– Ja i czarodziej, z którym tutaj dziś przybyłam, szukamy karczmy z noclegiem – powiedziała.

Nieznajomemu zrzędała mina, gdy wspomniała swojego towarzysza drogi. Dorada westchnęła rozgoryczona i spojrzała na świątynny dzwon, który pokornie czekał na swoją kolej.

*Na mnie też przyjdzie czas – myślała, idąc za mężczyzną do karczmy. Świat jeszcze usłyszy moją melodię.*



## ROZDZIAŁ XXI

Cierpliwość Bryzgiela była ulotna. By dać pokaz swego niezadowolenia, prowadził Mirosława i Zorzanę wzdłuż brzegu jeziora, nie wyjaśnwszy swych zamiarów. Nie potrzebował sznura. Czarodziej najwidoczniej nie czerpał przyjemności z poniżania swoich ofiar poprzez prowadzenie ich związanych jak bydło. Jemu wystarczał ich strach wywołany niepewnością i drobna kula iskier nad głowami, która w razie próby ucieczki miała pozbawić ich czucia. Mirosław wpatrywał się w migoczące drobinki, ale wolał tym razem nie poddawać próbie magii czarodzieja. Jeszcze chwilę temu zdawało mu się, że jest w stanie ujarzmić jego moc. Tej nocy prawie udało mu się przebić przez niewidzialny mur, którym otoczył ich Bryzgiel. Koszmary senne wybudzały Mirosława i za którymś razem, zlany potem i wyczerpany sennymi wizjami, postanowił działać. Przez pół nocy tkwił z rękoma przyłożonymi do bezbarwnej tafli magii, czując, jak powoli topnieje pod jego palcami. Nie zdążył jednak przekonać się, czy jego odczucia były słuszne, czy jedynie zgubna nadzieja mamiła jego zmysły. Bryzgiel, zwabiony metalicznym zapachem, który wydobywał się spod rąk wróża, zorientował się, co się dzieje. Wściekły czarodziej sam zerwał barierę

i kopniakiem posłał Mirosława na ziemię. Próba ucieczki podsyciła szaleńczą naturę czarodzieja, który postanowił działać szybciej, niż początkowo zakładał. Zgodnie z obietnicą, wyrzeszczaną w furii, zanim opuścili dom, prowadził ich teraz tam, gdzie Mirosławowi i Zorzannie przejdzie ochota na sprzeciwianie się jego woli.

Zorzanna potknęła się i wpadła na Mirosława, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Była noc. Ledwo widzieli własne stopy. Gdy Bryzgiel wywlókł ją na zewnątrz, wiedźma jeszcze dobrze się nie wybudziła. Teraz, szcękając zębami, spoglądała na wróża w oczekiwaniu wyjaśnienia. Mirosław nie miał jednak odwagi odezwać się choćby mruknięciem.

Czarodziej wskazał im długi pomost, a oni bez słowa ruszyli po drewnianej konstrukcji, wsłuchując się w skrzypienie desek.

– Odnalazłem kiedyś bardzo stary manuskrypt – zaczął Bryzgiel, gdy doszli do końca kładki. – Zajęło mi lata, nim zdołałem zrozumieć język, w którym go sporządzono. Lata wyrzeczeń. Lata wypełnione nadzieją. Lata, które doprowadziły mnie do miejsca, w którym jestem teraz.

Ponagleni ręką Bryzgiela, stanęli na skraju pomostu. Czarodziej podszedł do Mirosława i położył dłonie na jego ramionach. Stojąc tyłem, wróż nie widział jego twarzy, ale czuł, jak palce zaciskają się coraz mocniej, jakby czarodziej przymierzał się do wbicia paznokci w jego ciało. Nagle Bryzgiel pchnął wróża wprost na zamarzniete jezioro. Oszołomiony Mirosław dźwignął się powoli. W słabym świetle wschodzącego słońca zobaczył wokół siebie cienkie nitki pęknięć. Cofnął się, ale czarodziej pokiwał niezadowolony głową i zacmokał, zwracając uwagę wróża na coraz szybciej wirujące iskry nad jego głową.

– Wracaj – rozkazał, wskazując palcem popękane miejsce. – Warstwa lodu jest dziś dość gruba, ale kto wie, ile jeszcze wytrzyma – stwierdził Bryzgiel i posłał kilka iskier w miejsce pęknięcia. Bruzdy powiększyły się, tworząc skomplikowaną sieć szczelin pod nogami Mirosława. Tym razem



wróż nawet nie drgnął, choć ciało samo rwało się do ucieczki. Widmo śmierci w lodowatej wodzie zawisło nad jego głową. Spojrzał czarodziejowi w oczy i zobaczył w nich wrogość, jakiej nie powstydzilby się oszalały z żądz demon.

– Chciałem po dobroci, ale sam się o to prosiłeś. Teraz więc załatwimy sprawę raz, a dobrze. – Bryzgiel zwrócił się do Zorzanny. – Albo będziesz ze mną współpracowała, albo twój przyjaciel zginie dzisiaj pod tym lodem, a ciebie wyślę na mury albo oddam w ręce katów. Jeśli ci twoje lub jego życie drogie, zrobimy tak... Ja będę opowiadał, o czym był ów manuskrypt, a ty będziesz potwierdzać bądź zaprzeczać. Jeśli poproszę, byś rozwinęła myśl, zrobisz to. Zapewniam, że będę wiedział, gdy skłamiesz, manuskrypt bowiem nie szczędził szczegółowych opisów. Zrozumiałaś?

Wiedźma przytaknęła. Czarodziej wyprostował się i wziął głęboki oddech. Jego wargi drgały z podniecenia, jakby właśnie nastąpiła długo wyczekiwana chwila.

– W zamierzchłych czasach, gdy na tych ziemiach żyli jeszcze magowie, jeden z tych mitycznych nadludzi, potężny mag, wydobył ze swej ukochanej wiedźmy bardzo interesujące informacje. Oszczędzę wam szczegółów ich historii miłosnej, choć i tę mag opisał dość dokładnie, ale zostawmy tę część pieśniom rybaków. Wiele doprawdy można się z tego dzieła nauczyć. Zarówno jak kochać wiedźmę, jak też i o skutecznym jej torturowaniu. My zajmiemy się najpierw magią ognia. Mam nadzieję, że z wiedzy o tych wybornych torturach nie będę musiał korzystać.

Czarodziej uśmiechnął się do Zorzanny.

– Ale nie w smak ci rezygnować z zastraszania – syknęła.

Bryzgiel spojrział na Mirosława i zamyślił się na dłużej. Ciszę wypełniało tylko szumienie drzew po drugiej stronie jeziora. Najwidoczniej czarodziej postanowił zignorować przytyk Zorzanny, bo zabrał się za opowiadanie historii maga.

– Od swej ukochanej wiedźmy – zaczął, rzucając kolejną wiązkę iskier  
– mag dowiedział się, jak dochodzi do wyzwolenia części demonicznej.

Mirosław z trudem pojmował jego słowa, bo jedno z pęknięć stało się niebezpiecznie duże.

– Wcześniej myślałem, że musicie spólkować z demonem albo choćby wezwać go i zawrzeć jakiś szemrany układ. Jakże wielkie było me zdziwienie, gdy odszyfrowałem manuskrypt. Według wyznań nieszczęsnej kochanki maga sposobów na stanie się wiedźmą jest wiele, a ona sama nie знаła ich wszystkich. Ale rzadko zdarzało się, by kobieta została półdemonem w sposób inny niż... przez przelanie krwi. Poświęcenie czystości swej duszy w imię obrony uciśnionych.

Podszedł do wiedźmy i pogładził jej policzek.

– Kto by pomyślał, że z was takie niewiniątka. Choć wielu by was tak nie nazwało. – Ujął jej podbródek i obrócił twarz, tak by patrzyła mu w oczy. – Kogo zabiłaś w imię wyższego dobra? Okrutnego ojca? Szalonego kapłana? A może wielkiego pana, który znęcał się nad swoimi służkami?

Po twarzy Zorzanny płynęły łzy.

– Kogo zabiłaś? – warknął podekscytowany.

– Siebie – wyszeptała. – Chciałam zabić siebie, ale mnie odratowano.

W czarnych źrenicach czarodzieja załśniło szaleństwo. Wziął kilka głębszych oddechów. Jego pulchna twarz poczerwieniała z podniecenia.

– Nie kłam! – warknął, wbijając mocniej palce w podbródek wiedźmy. Krew wyrysowała cienką linię na szyi Zorzanny.

– Mówię prawdę.

– Musiałaś zabić! Siebie nie zabiłaś! Jesteś tak samo żywa jak ja!

– Odratowała mnie szeptucha. Widać bogowie nie chcieli mej duszy w Wyraju. Byłam martwa – wyszeptała Zorzanna i skuliła się, gdy Bryzgiel zabrał dłoń z jej twarzy.

– Kłamiesz – powtórzył czarodziej, tym razem spokojniej, jakby niepewny swojej racji. – Musiałaś zabić kogoś, kto chciał skrzywdzić niewinnego człowieka.

Zorzanna podniosła na niego wzrok i pochyliła głowę na bok. Z jej ust wydobył się przerażający dźwięk. Cichy śmiech człowieka, który wie, że stracił już wszystko, a jedyne, co może zrobić, to śmiać się z losu, jaki stał się jego udziałem.

– Mów, wiedźmo – warknął Bryzgiel. – Mów, bo twój przyjaciel będzie konał w męczarniach.

– Powiedziałam ci prawdę. Zabiłam siebie. Zabiłam swoją nienawiść i chęć zemsty, która mogła zgładzić całą wioskę. Zabiłam siebie, bo wiedziałam, że nie będę potrafiła oprzeć się pokusie zemsty. Los jednak chciał, by odnalazła mnie jakaś szeptucha. Albo ona sprowadziła moją duszę, by gniła w tym świecie jeszcze przez długie lata, albo sami bogowie odtrącili mnie i odesłali duszę do ciała.

Bryzgiel trawił powoli słowa Zorzanny.

– Później miałaś sen? – zapytał w końcu, a jego na powrót opanowany ton wskazywał, że jej wierzył. – Wiem, że miałaś. Nie próbuj kłamać. Manuskrypt bardzo szczegółowo opisał sen wiedźmy.

Zorzanna wzdrygnęła się, a jej kpiący wyraz twarzy zniknął zastąpiony grozą. Mirosław widział, jak nagle zaczęły drżeć jej dłonie.

*Czarodziej musi mówić prawdę* – pomyślał, patrząc, jak pod Zorzanną uginają się nogi. *On naprawdę wie, jak dochodzi do przemiany wiedźm.*

– Miałam.

Bryzgiel uśmiechnął się z satysfakcją.

– Jaki? Spróbuj skłamać, a pošlę kolejną porcję magii i twój przyjaciel zobaczy, jak to jest umierać z zimna. – Potarł dłonie, wydobywając z nich magię. Tym razem pošłał jednak iskry w górę. – Jaki miałaś sen?

– Przyszła do mnie...

– Kto!

– Królowa. Sejna. Zabrała mnie do swego pałacu...

– Kłamiesz!

Bryzgiel roztarł dłonie, dysząc, i skierował magię wprost pod stopy Mirosława. Lód ustąpił. Wróż w ostatniej chwili odskoczył, ale lodowata woda zdążyła obmyć z wszelkiego ciepła jego stopy. To wystarczyło, by poczuł, jak wszechogarniające zimno wysysa z niego życie.

– Wiem, dokąd zabiera was królowa. Teraz Sejna, kiedyś Margia. Mag dokładnie opisał wspomnienia snu swojej kochanki. Skłam jeszcze raz, a...

Czarodziej urwał. Zakołysał się i zdezorientowany wbił przerażone spojrzenie w wiedźmę.

– Co zrobiłaś?! – warknął.

Chciał do niej podejść, ale nogi uginały się pod nim i co chwila upadał.

Przez chwilę Bryzgiel błdził wzrokiem, a na jego twarzy malowało się zdziwienie. Chwiał się, bełkocząc coś pod nosem, po czym osunął się na ziemię i znieruchomiał. Wokół jego ciała kłębiła się gęsta mgła. Mirosław spojrział na ląd. Choć słońce wzeszło już na tyle, że powinien widzieć budzące się do życia miasto, nie mógł dostrzec choćby zarysu wielkich budowli. Całe miasto skryło się pod szarym dymem. Wróż ocknął się i zdał sobie sprawę, że jeszcze nie wszystko stracone. Modląc się do wszystkich bogów, ostrożnie stąpał po lodzie w kierunku pomostu. Zorzanna wyciągnęła do niego dłoń.

– Pospiesz się – powiedziała, ocierając łzy.

– Co zrobiłaś?

Mirosław szedł, powoli stawiając stopy. Jęknął, gdy usłyszał za sobą trzask pękającego lodu.

– Nie wiem. To nie ja – wyznała. – Pośpiesz się, na bogów!

– Robię, co mogę... Co się dzieje? – spytał, by oddalić myśli od panicznego strachu o każdy krok. – Pali się? Nie czuję pożaru.

– Nie mam pojęcia. Nie ma czasu na namysł. Pośpiesz się, do licha, Mirosław!

– Robię, co mogę... – powtórzył i na ostatnim odcinku zamknął powieki, czując, że inaczej nie da rady przejść po popękanej lodowej tafli.

Gdy wgramolił się na pomost, coś zamajaczyło w oddali. We mgle rysowała się sylwetka człowieka na koniu. Przez chwilę widzieli tylko zarys postaci i zwierzęcia. Wiedźma zacisnęła palce na dłoni wróża.

– Bogowie... – wyszeptał Mirosław.

Zza gęstej mgły wyłonił się wąż. Na przysłoniętej brudnymi włosami twarzy demona połyskiwały ostre kły. Poszarpane i poplamione zeschniętą krwią ubranie odsłaniało liczne blizny i zadrapania na ciele. Gdyby nie to, że jego głowa poruszała się niczym pysk czujnego wilka, można by uznać, że to zwłoki człowieka, które lada chwila runą na ziemię. Demon odgarnął włosy z szarej, wychudzonej twarzy i łypnął na wróża spod przymkniętych powiek. Mirosław wstrzymał oddech.

– Elgan... – wyszeptał i zrobił krok w jego stronę.

W oczach węża, zamiast zwykłej irytacji, którą tak dobrze pamiętał, widział teraz tylko czystą wrogość. Wyglądał jak widmo czegoś, czym kiedyś był. Ten Elgan przywoływał mu na myśl białowłosego węża, który zaatakował ich w świątyni opuszczonego miasta. Mirosław czuł, jak jego ciało skręca się pod pełnym złości spojrzeniem dawnego towarzysza drogi.

– Miałeś pilnować mojej klaczy – wychrypiał Elgan głosem zimniejszym od lodowatej wody, która wyssała ciepło z nóg wróża.

Mirosław zaczął wydobywać z siebie dźwięki, ale nie brzmiało to nawet jak słowo.

– Miałeś pilnować mojej Zimy – powtórzył Elgan, zeskakując z białego wierzchowca. – Dlaczego jakiś patałach w zbroi Villperuny jechał na moim koniu?

– Ja... – zaczął wróż. Trząś się z zimna i strachu. – Przepraszam.

– Może daruj już sobie to przedstawienie – wtrąciła Zorzanna. Jej głos drżał, ale ciało zdawało się opanowane. Wstała i wyprostowała się na tyle, na ile starczyło jej odwagi. – Powiedz nam, co się tu, do licha, dzieje. Co to za mgła?

Wąpierz wyszczerzył kły i wykrzywił usta w słabym uśmiechu.

– Moja. To moja magia – przyznał, a wokół jego dłoni zawirowała mgła.

– Co z nim zrobiłeś? – spytała, wskazując czarodzieja.

– Tylko śpi.

– Trzeba go zabić.

– To go zabij – warknął Elgan, przewracając nogą Bryzgiela na plecy.

– To czarodziej – naciskała Zorzanna. – Zna nasze tajemnice. Zna tajemnice wiedźm. On... Zabij go.

– Nie zabijam na rozkaz.

– To niebezpieczny człowiek...

– To go zabij! – przerwał jej wąpierz i spojrzał na Mirosława. – Dlaczego przyprowadziłeś tu Zimę?

– Ja... Ona.. To znaczy Zorzanna...

– Zabrałam go z Opolicy. Uciekamy do Sibigardu.

– Po co? – zapytał Elgan. Tym razem zamiast dzikiej złości, dało się słyszeć w jego głosie ciekawość.

– Po co?! Gdzieś ty był cały ten czas? Pytasz, jakbyś kompletnie nie wiedział, co się dzieje.

– A co się dzieje? – spytał bez cienia zażenowania.

– Wojna – wycedziła wiedźma. – Ale widzę, że ciebie to już nie dotyczy. Ty stałeś się, jak na wąpierza przystało, żądną krwi pijawką...

– Powiesz mi, co się dzieje, czy wolisz się przekonać na własnej skórze, jak nisko upadłem?

Przez chwilę wąpierz i wiedźma mierzyli się wzrokiem. Słońce wzeszło już na tyle, by oświetlić wychudzoną, umęczoną twarz Elgana.

Mirosław chciał do niego podejść, zapytać, kto mu to zrobił, ale wiedźma w porę zatrzymała go, chwytając za ramię i przyciągając do siebie. Nie ufała wążowi, ale wróż, widząc teraz, że to nie szaleństwo kłębi się w oczach Elgana, a rozpacz i ból, poszedłby za nim w ogień.

– Król Villperuny sprowadził tu bandę czarodziejów – zaczęła wiedźma i splunęła na śpiącego Bryzgiela. – Zastraszają wszystkich, którzy władają mocą inną niż czarodziejska. A wiedźmy zyskały w tym królestwie szczególne względy. Zgadnij jakie? Och, nie kłopotz się myśleniem. Wysyłają nas pod granicę na mur do ciężkiej pracy... albo po prostu zabijają. Czym się kierują? Nie wiem. Może rzucają monetą? Czego się tak na mnie gapisz? O bogowie, ty naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje! Gdzie byłeś, gdy Villperuna wypowiedziała wiedźmom wojnę? – Zorzanna zaśmiała się gorzko. Kręciła głową z niedowierzaniem. – W stolicy spalili już jakąś wróżkę. Z pewnością na niej się nie skończyło, bo...

– Dorada – przerwał jej wąż. – Gdzie jest Dorada?!

Wiedźma po raz pierwszy tego dnia wyprostowała się i uśmiechnęła, pewna siebie jak dawniej.

– Powiem ci, jeśli pomożesz nam dostać się do Sibigardu.

Elgan podszedł powoli do wiedźmy i chwycił jedną ręką poły jej płaszcza. Przyciągnął ją do siebie i uniósł na wysokość wzroku, tak że wiedźma musiała stać na palcach.

– Zabiję cię, jeśli mi nie powiesz – syknął.

– Przed chwilą nie byłeś taki skory do zabijania.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

– Nie drażnij mnie. – Uniósł wiedźmę wyżej.

– Nie wiem, ale mogę się dowiedzieć – wykrztusiła, dusząc się od uścisku węża. – Inne wiedźmy mówiły mi, że Dorada podejmuje próby odnalezienia swojego świata w ogniu.

– O czym ty mówisz?!

Wąpierz zwolnił uścisk i wiedźma opadła z hukiem na pomost.

– Dziewczyna chce być wiedźmą, ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać – mówiła Zorzanna, masując szyję. – Stała się półdemonem w sposób, który nie ułatwił jej opanowania magii wiedźm. Tak przy okazji. Wiesz może, w jaki sposób stała się półdemonem?

Zaległa długa cisza. Elgan dyszał ciężko, łypiąc na wiedźmę wściekłym wzrokiem.

– Nie miałem wyjścia.

– To nie moja sprawa. – Zorzanna prychnęła i wstała. – Ty pomożesz nam dostać się do Sibigardu, a ja pomogę ci ustalić, gdzie jest Dorada.

– Najpierw ją odnajdziemy. Jeśli nam się uda, dotrzecie do Sibigardu.

Wiedźma skinęła głową.

– Jako że ja nie mam boga, na którego mogłabym przysiąc, darujemy sobie wzniosłe obietnice. Wierzę ci na słowo, wąpierz. Ale jak jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, to gorzko tego pożałujesz – syknęła, celując w niego palcem. – A teraz, wynośmy się stąd.

– Medalion – wykrztusił w końcu z siebie Mirosław.

Oczy Elgana i Zorzanny spoczęły na nim w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

– Czarodziej ma twój medalion – wyjaśnił wróż i uklęknął przed śpiącym Bryzgielem. Ostrożnie, jakby w obawie, że go wybudzi, zdjął z jego szyi złoty krążek.

– Dałem go Doradzie! – wrzasnął Elgan i wyrwał swoją własność z rąk wróża. – Skąd go miał?!

– To ja go ukradłam. Spokojnie! Nie rzucaj się na mnie! Bogowie... Jak cię po raz pierwszy widziałam, było w tobie trochę więcej ogłady...

– Mów!

– Nie ukradłam go tej dziewczynie. Ukradłam go czarodziejce. Chciałam zdobyć królewską broszę z symbolem Villperuny, żeby przejść



przez stado tych parszywych żołnierzy, którzy blokują przejście do Sibigardu przez górski tunel.

Wąpierz stał oniemiały. Zmarszczył brwi, a kły powoli chowały się pod górną wargą. Wyglądał, jakby naprawdę nie miał pojęcia, co się dzieje na świecie.

– Jakiej czarodziejce? – spytał po chwili Elgan.

– Wiedźma, która miała zaszczyt osobiście porozmawiać z nią w Białogrodzie, nazwała ją Wandą.

– Wanda... Znam to imię... Jak wyglądała?

– Ciemne, kręcone włosy, szare oczy i... jeśli ci to pomoże, pachniała czarną porzeczką.

Na dźwięk ostatnich słów Elgan zamknął powieki, przypominając sobie kąpiel w chacie w sercu pradawnej puszczy.

– Mówiła, że jedzie do Villperuny...

– No i pojechała – zadrwiła Zorzanna. – Pojechała giąć się przed królem i w imię Valdima II zabijać tych, którzy władają mocą, o jakiej czarodziejce się nie śniło.

– To dlaczego ich nie zabiłyście, skoro wasza wiedźmowa moc jest taka potężna? – zakpił Elgan.

– Bo ich jest więcej – odparła Zorzanna jakby wymijająco. – My nie mamy za sobą armii Villperuny.

Wąpierz machnął ręką, dając znać, że nie ma ochoty wysłuchiwać tych bredni.

– Idziemy stąd – zdecydował, po czym spojrzał na trzęsącego się z zimna wróża.

Pod stopami Mirosława powoli zamarzała kałuża. Wąpierz bez słowa zdjął swoje długie, skórzane buty i rzucił je wróżowi.

– Elgan... Ja...

– Nie gadaj, tylko ściągnij te mokre buty.

– Ale ty...

– Przecież ja nie czuję zimna. Tylko spróbuj mi je zniszczyć! –  
spojrzał na Mirosława, który właśnie urwał kawałek rzemienia. – Za jakie  
przewiny ja ciebie znowu spotykam, rudzielcu?



## ROZDZIAŁ XXII

**P**an Lasowic, który zachowaniem i wyglądem przypominał księcia, w zamian za pomoc w ratowaniu zbiorów zaprosił Herrigena i Doradę do swego domu na nocleg. Czar księżęcej aury prysł wraz z przekroczeniem progu domostwa Dobrosława. Doradzie jednak nawet przez myśl nie przeszło, by z niego sztydzić. Była wdzięczna za tę małą komnatę, którą dostała na wyłączność. W końcu mogła zostać sama. Choć Herrigen nie był zbyt wylewny i nie musiała słuchać jego głosu, to i tak z trudem znosiła samą jego obecność. Gdy tylko słyszała choćby jego cichy oddech, miała ochotę zadać mu ból, sprawić, by cierpiał za to, że zabił jej ojca, nawet jeśli było to konieczne. Cieszyła się, że zostanie sama, bo miała nadzieję, że gdy się uspokoi, przestanie słyszeć dziwne dźwięki, podobne do szeptów. Te same dźwięki słyszała na placu, gdy przywiązali Jagnę i ułożyli pod jej stopami stos. Domyślała się, że natrętne szepty to magia ciemności, magia jej demonicznej części, która zagnieździła się w niej po spotkaniu z kłami Elgana. Chciała ją poznać. Pragnęła jej całym sercem. Moc pozwoliłaby Doradzie wyzwolić się od łaski czarodzieja. Mogłaby wtedy uciec i sama decydować o swoim losie.

Mogłaby odnaleźć Elgana... Ale ta moc ją przerażała. Nie miała odwagi, by po nią sięgnąć.

Spojrzała na płonący w kącie mały kominek. W pobliżu ognia głosy cichły, rozplływały się jak płatki śniegu wpadające do ogniska. Potarła dłonie i uklękła na kamiennej podłodze.

– Wyzbyć się myśli... – wyszeptała, przypominając sobie wskazówki z księgi, którą kiedyś ukradła Wandzie.

Pierwszą próbę opanowania lub choćby zrozumienia swojej mocy podjęła w chacie Jagny. Później powtórzyła ją z wróżką jeszcze dwa razy, a w samotności udało jej się połączyć z ogniem tylko raz, w domu w Villperunie. Nie wiedziała, czy sama zdołałaby wyjść z niepojętego świata, czy może utkwiałaby w nim na wieki. Zawsze ktoś jej pomagał. Miała u boku wróżkę, która czuwała nad jej ciałem, a w domu połączenie z ogniem zerwał pies. Dorada zastanawiała się, czy nie poszukać jakiegoś kundla, który mógłby jej pomóc. Zwierzęta miały niezwykły zmysł i wyczuwały magię, gdy ta stawała się zbyt groźna, by zwierzę ze spokojem znosiło jej obecność. Dorada przypuszczała, że przypadkowy pies okazałby się równie mądry jak ten, którego przygarnął Ars. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Czarodziej mógłby ją przyłapać, co z pewnością skłoniłoby go do jeszcze wnikliwszego kontrolowania jej poczynań.

– Jest zmęczony. Pół dnia czarował te swoje wiry. Pewnie od razu pójdzie spać – zastanawiała się na głos.

Spojrzała z tęsknotą na ogień. Jakaś siła ciągnęła ją w roztańczone objęcia płomieni. Wielokrotnie chciała powtórzyć kontakt z ogniem, ale cały czas miała u boku czarodzieja. Zdawało jej się, że w głębi duszy Herrigen nie potępia magii wiedźm, ale nie mogła mieć pewności, że gdy wyjmie dłoń z ognia, nie zobaczy nad sobą czarodzieja, który tylko czekał na dowód zbrodni.

Wstała i zaczęła przesuwając ciężką skrzynię na ubrania, by zaryglować w ten sposób wejście. Stary mebel z pewnością nie stanowił wielkiego problemu i czarodziej prędzej czy później wyważyłby drzwi. Jednak jej chodziło tylko o jakiś dźwięk, sygnał, który mógłby ją ostrzec i przywołać do świata ludzi. Podniecona rychłym spotkaniem z płomieniami, zawzięcie przesuwała mebel kawałek po kawałku, dbając o to, by nie zwabić nikogo szuraniem. Gdy po czasie, który zdawał jej się wiecznością, uporowała się ciężkim meblem, upewniła się jeszcze, że skrzynia dokładnie przylega do drzwi.

Oblana potem usiadła przed kominkiem. Uspokoiła oddech i myśli, a gdy poczuła senność, powoli przesuwała rękę nad ogniem, czekając na moment, w którym przestanie odczuwać jego ciepło. Dłoń opadała z każdym oddechem. Dorada nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w innym świecie.

Przez chwilę zdawało jej się, że zamiast ręki wsadziła do ognia nogi. Czowała drobne, ciepłe ziarenka pod stopami, które wbijały się w skórę. Spojrzała w dół i cierpliwie czekała, aż wzrok przyzwyczai się do nowego miejsca.

– Piasek – powiedziała zaskoczona.

Zdusiła w ustach przekleństwo. Spodziewała się śniegu. Chciała powrócić do miejsca, w którym była za pierwszym razem. Chciała znów zobaczyć Elgana.

Jej złość szybko zastąpił strach, gdy piasek pod jej stopami zaczął się ruszać. Odskoczyła i w tym samym momencie złocista tafla znieruchomiała. Dorada rozejrzała się w poszukiwaniu skrawka ziemi, który nie byłby pokryty gorącymi drobinkami. Nagle z lewej strony wyłonił się pas wody. Szybko zrozumiała, że tak właśnie musi wyglądać morze, o którym opowiadał jej ojciec. Bezkres morskiej potęgi był niewiele mniej przerażający od ruchomych piasków. Jednak ból piekącej skóry stawał się nie do wytrzymania i Dorada nie miała wyboru. Pobiegnęła

w stronę błękitnego horyzontu, czując coraz wyraźniej rześki powiew, niosący zapach wodnych roślin i deszczu.

Biegła coraz szybciej po palącym piasku, który z każdym krokiem zdawał się parzyć coraz bardziej. Pragnienie, by zanurzyć stopy, tłumilo strach przed tym, co mogły skrywać głębiny potężnego żywiołu wody. Oczami wyobraźni widziała upragnioną chwilę, cudowny moment, w którym płonące pustynnym żarem stopy obmyje przyjemnie chłodna, morska woda. Biegła, wdychając pachnące rześko powietrze.

– Nie wchodź tam!

Zatrzymała się i natychmiast dostrzegła cień zataczający wokół niej koła.

– Cienie... – wyszeptała. – Teraz słyszę was tak wyraźnie. Czego chcecie?

Nad jej głową coś zaskrzeczało przeciągle. Spojrzała na latającego wysoko nad nią czarnego ptaka.

– To nie wy...

Ptak krążył niespokojnie i wbijał w Doradę przenikliwe czarne ślepie. Fascynacja bliskim kontaktem z cieniami prysła, a wraz z nią chęć odkrywania mocy, która w niej drzemie. Chciała stąd uciec. Słońce raniło oczy, a wysuszona skóra napinała się do granic możliwości. Zakryła piekące żarem powieki i zaczęła szeptać słowa modlitwy do Mokoszy.

– Pani życia, urodzaju... Schroń mnie dziś w twym żyznym gaju... Pokój ześlij na mą duszę... Bowiem cierpię tu katusze... – Czuła, jak oczy wilgotnieją od łez. – Bogowie, zabierzcie mnie stąd.

Ptak skrzeczał nad nią, a nogi stawały się coraz cięższe. Padła na kolana tuż przed nieruchomą taflą wody, pod którą migotał złoty piasek. Wyciągnęła dłoń. Pragnienie chłodnego, kojącego dotyku wilgoci było torturą ponad siły.

– Nie!

Głos ponownie dobiegł z góry. Doradzie zdawało się, że zna ten głos, ale gdy tylko próbowała przypomnieć sobie, gdzie go słyszała, miała wrażenie, że ktoś zatrzaskuje przed nią drzwi, wzbraniając dalszego przeszukiwania wspomnień.

Poczuła na ramionach chłodny dotyk. Zadarła głowę i tym razem zamiast ogromnego ptaka zobaczyła wirujące wysoko nad nią płatki śniegu.

– Nie wchodź tam – powtórzył głos łagodniej. – Odejdź od wody.

Słowa odbijały się echem w śnieżnej krainie, która zdawała się znajdować poza jej zasięgiem. Naiwnie wyciągnęła ręce do góry, licząc, że jakimś magicznym sposobem uniesie się i znów znajdzie się w tym dziwnym, mroźnym miejscu, w którym był Elgan. Chciała spytać, kim jest osoba, która zabroniła jej zaznać ukojenia, ale jej gardło było tak suche i piekące, że nie była w stanie nic powiedzieć.

– Idź do lasu – wyszeptał głos.

Rozejrzała się w poszukiwaniu tego, kto do niej przemawiał, ale zamiast człowieka dostrzegła ciągnący się po horyzont, stary las. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Powłóczyła nogami czym prędzej, marząc o tym, by skryć rozpalone stopy w cieniu drzew.

Opadła na miękką ściółkę, gdy jej stopy zanurzyły się w wilgotnym mchu. Oparła plecy o drzewo i rozejrzała się w nadziei, że znajdzie za chwilę sposób na wydostanie się z ognia. Wszystko w tym lesie wydawało się znajome i obce jednocześnie. Drzewa pięły się ku niebu, wyciągając szpony gałęzi, jakby chciały się stąd wydostać. Biły od nich niepokój i groza. Dorada podniosła się powoli, rozglądając na boki. Ostrożnie stawiała bose stopy na usłanej mchem ziemi, uciszając wyobraźnię, która bezlitośnie sugerowała, że pod zielonym, leśnym poszyciem coś się na nią czai. Kątem oka dostrzegła skrywającą się gdzieś za drzewami drobną postać. Nim całkowicie zniknęła jej z oczu, zdążyła dostrzec tylko jasne włosy i ogon.

*Na miłość bogów... Co to było?!*

Dotknęła czoła, by sprawdzić, czy nie trawi jej gorączka. Ciało zdążyło już oddać nadmiar ciepła, którym obdarzyło ją bezlitosne słońce tego świata. Świadomość, że to nie chorobowe majaki, sprawiła, że wręcz zrobiło jej się zimno. Po plecach przebiegły dreszcze niepokoju.

Nagle rozległ się cichy śmiech, dziecięcy, beztroski, a zarazem złowrogi. Usłyszała trzask łamiących się gałęzi i szepty. Zewsząd dochodziły głosy jakiejś obcej mowy. Słowa niosły się po lesie, a ten zdawał się je rozumieć. Dorada wodziła wzrokiem po drzewach, które odpowiadały szeptom, skrzypiąc gałęziami i szeleszcząc liśćmi. Nie rozumiała tego, co się dzieje, ale czuła całą sobą, że las ożył.

*To tylko moja wyobraźnia. To się nie dzieje naprawdę. To się dzieje w mojej głowie. Moje ciało klęczy w komnacie przed ogniem.*

Choć jej głowa głęboko w to wierzyła, ciało w ogóle nie chciało słuchać. Wszystko było zbyt realne, zbyt intensywne. Gorące powietrze, które na piaszczystej ziemi było gęste i niemal lepilo się do jej skóry, teraz, w tym obcym lesie, dotykało jej ciała zimnymi, niewidzialnymi palcami. Bezwiednie kołysała się w rytm leśnej melodii. Las śpiewał pradawną pieśń, która rozdzierała jej serce. Po chwili zdała sobie sprawę, że jej policzki są całe mokre od łez. Miała wrażenie, że czuje cały świat, że zagnieździł się w niej los wszystkich ludzi, każdego człowieka, który stąpał po ziemi od początku istnienia rzeczy. Czuła ból, radość i złość. Nadzieję, gorycz i zwątpienie. Wszystkie uczucia, jakie ludzie odczuwali w trakcie swego życia, teraz były w niej.

Padła na kolana, wspierając ciało na ramionach. Wbiła palce w ziemię i zawyła głosem milionów kobiet, które utraciły w życiu wszystko, co było im drogie. Ból, który mieszał się z radością, doprowadzał ją do szaleństwa.

– Zabierzcie to! – zawyła, a jej krzyk zlał się z pieśnią drzew.



Coś w oddali zamigotało złotymi refleksami. Uniosła głowę i dostrzegła zarys sylwetki. Postać nie wyglądała jak demon, a mimo to Dorada nie miała wątpliwości, że nie jest też człowiekiem. Stwór podobny do mężczyzny wpatrywał się w nią złotymi, kocimi oczami. Wodził powoli ogonem i szeptał coś w nieznanym jej języku.

– Assai. Assai dei.

Wąskie snopy światła, które sączyły się przez gałęzie drzew, migotały odbite od złocistej skóry stwora. Podłużna twarz, którą gdzieś pokrywały drobne złote łuski, przechylała się na boki, powoli i rytmicznie.

– Assai dei – powtórzył stwór i zamilkł.

Kocie oczy, czujne, nieruchome, świdrowały ją, jakby miały moc przenikania w głąb duszy. Powieki Dorady robiły się nieznośnie ciężkie. Nogi uginały się pod ciężarem owianego snem i zmęczeniem ciała.

Nagle stwór drgnął i cały czas szepcząc, ruszył w jej kierunku. Szmery zwielokrotniły się, jakby gdzieś niedaleko stały setki podobnych mu istot. Wołanie o pomoc nie miało sensu. Rozległ się śmiech, dziki i bezwzględny. Poczowała ukłucie w plecy i dopiero po kilku uderzeniach zdała sobie sprawę, że to czarny ptak dziobie ją i szarpie za suknię, zmuszając do wstania. Z trudem udźwignęła ciężar własnego ciała oraz duszy, w której teraz żyły losy całego świata. Ptak załopotał skrzydłami, uderzając ją w twarz. Szepty i melodia lasu przycichły, a ona mogła w końcu poruszyć nogami.

Uciekała przed siebie, nie mając pojęcia, gdzie w ogóle się znajduje i czy istnieje w tym dziwnym świecie jakiegokolwiek miejsce, w którym mogłaby być bezpieczna. Śmiechy narastały, zdawały się otaczać ją z każdej strony. Skryła się za drzewem. Przylegając mocno plecami do chropowatej kory, łapała łapczywie powietrze.

Zdusiła okrzyk, gdy coś spadło na jej ramię. Drobna wiewiórka o srebrnej sierści, która tak ją wystraszyła, skryła się pod gęsto rosnącymi

krzewami. Wielki ptak, krążący wokół niej jeszcze nie tak dawno na plaży, teraz szarpał nóżkami krzewy, jakby chciał dopaść niezwykłą wiewiórkę. Po chwili pod gęstwiną zarośli, która uniosła się lekko za sprawą ptaszyska, Dorada dostrzegła wąską kamienną ścieżkę. W tym samym momencie usłyszała wycie rogu. Nie miała czasu na namysł. Pobiegła na kamienistą dróżkę, przedzierając się przez obcą, bujną roślinność. Pod plątanią gałązek migotało srebrne futerko wiewiórki, wyznaczając drogę. Krew ciekła po poszarpanych przez dzikie krzewy łydkach Dorady. Mimo to zamiast tracić siły, czuła, że w końcu je odzyskuje. Gdy zostawiała za sobą serce lasu, opuszczało ją przytłaczające brzemię losów innych ludzi.

Drzewa przerzedzały się, odsłaniając niskie pasmo gór. Słońce właśnie chowało się za horyzontem, rzucając ciepłe światło na łąki i kamienną ścieżkę prowadzącą do jaskini. Wzdłuż drogi sterczały powbijane z każdej strony pochodnie. Dorada zbliżyła się do jednej i gdy tylko jej dłoń spoczęła na ciemnym drewnie, ogień wzbił się z sykiem jakby za sprawą jej dotyku. Pochodnie rozpały się jedna po drugiej, tworząc świetlisty drogowskaz. W tym świetle słońce zachodziło znacznie szybciej niż to, do którego przywykła, podziwiając zachody ze wzgórza w Villperunie. Mrok niespodziewanie spowił łąki i góry. Jedynym źródłem światła stał się wąż płonących pochodni. Dorada zatrzymała się, gdy spod jej stóp zaczęły dobywać się ciche mlaśnięcia. Chciała zboczyć z drogi, ale ciemność przerażała ją bardziej niż to, co zobaczyła. Rzeka gęstej krwi płynęła leniwie ścieżką, wijąc się między kamiennymi brzdami.

– Nie patrz pod nogi. Po prostu idź.

Dorada uniosła głowę i dostrzegła kobiecą postać migoczącą w blasku ognia. Znajomy głos znów odbił się echem w niedostępnej pamięci.

Szła, starając się nie zwracać uwagi na posokę chlupoczącą z każdym jej krokiem.

– Znam cię... – wydyszała Dorada, gdy stanęła przed kobietą. – Ty jesteś...

– Zorzanna.

– Wiedźma.

– We własnej osobie – przyznała.

– Tam... – Dorada wskazała dłonią las, z którego uciekła. – Tam były jakieś istoty. Stwór. Wyglądał jak mężczyzna. Szeptał. Był złoty i...

– Wystarczy – przerwała jej Zorzanna. – Nie mamy teraz na to czasu.

Chwyciła nadgarstek Dorady i zaciągnęła ją do jaskini. Na środku, tak jak wtedy, gdy u niej nocowała, płonęło ognisko.

– Siadaj – powiedziała Zorzanna, podając jej kubek z gęstą cieczą. – Wypij. To powinno pomóc na piekące gardło.

Dorada powąchała zawartość w obawie, że otrzymała jakąś krwistą mieszankę. Ciecz jednak była rzadka i pachniała ziołami. Upiła łyk, a gdy poczuła jej zbawienne działanie, wypila łapczywie wszystko do dna.

– Gdzie ja jestem? – spytała Dorada, ocierając usta. Płyn przyjemnie chłodził jej gardło.

– Myślałam, że skoro pchasz łapy do ognia, to przynajmniej wiesz, w jakim celu. Ale o tym później. – Wiedźma machnęła dłonią, wyraźnie zadowolona z przytyku. – Mamy mało czasu. Jestem tu, bo zawarłam układ z tym przeklętym wążem.

– Elgan!

– Siadaj, bo nie skończyłam. I nie przerywaj mi, bo jeszcze zmienię zdanie. Zacznę od tego, że masz pod żadnym pozorem nie pchać łap do ognia. Zrozumiałaś?

Dorada skinęła głową.

– W płynie, który właśnie wypijaś, były ziarna maku. Mak wyciszy tę demoniczną część ciebie, którą mogłaś już dostrzec w szeptach i cieniach wokół siebie. Widzę, że w końcu cię czymś zainteresowałam. – Zorzanna dorzuciła do ognia jakieś sproszkowane zioła. Jaskinia wypełniła się

zapachem mchu i porannego deszczu. – Przejdę więc do konkretów. Gdzie jest teraz twoje ciało?

– W Lasowicach.

– Jesteś tam sama?

– W komnacie tak, ale w drodze jest ze mną Herrigen. To czarodziej, on... Wanda... Czarodziejka Wanda kazała mu się mną zaopiekować, jeśli zajdzie konieczność. Powiedz to Elganowi. On zna Wandę.

– A ten czarodziej? Jest ci przychylny?

– Chyba tak...

Zorzanna myślała przez chwilę, uważnie jej się przyglądając.

– Dokąd zmierzacie?

– Do Staropola.

Wiedźma właśnie miała dorzucić coś jeszcze do ognia, ale jej dłoń znieruchomiała.

– Nie słyszałam o takim mieście. Jesteś pewna?

– Tak. To moje rodzinne miasto. Elgan będzie wiedział. Był tam.

– Trafi tam?

Dorada zawahała się. Nie mogła mieć pewności, że Elgan był ze Staropola. Choć kłos na medalionie wyraźnie wskazywał jego pochodzenie, nie mogła ręczyć, że Elgan się tam urodził. Mógł dostać od kogoś medalion albo go znaleźć. Choć w głowie pojawiały się kolejne domysły, w głębi duszy czuła, że Elgan jest częścią Staropola.

– Jego medalion... – zaczęła, starając się brzmieć pewnie. – On podarował mi złoty medalion z symbolem Staropola. Powiedz mu... Powiedz, że on chyba stamtąd pochodzi.

– Chyba stamtąd pochodzi? I chyba tam trafi? W taki sposób to my cię prędko nie znajdziemy. Zostań w tych Lasowicach najdłużej jak się da.

– Czarodziej będzie naciskał. Żołnierze Villperuny już nas pewnie szukają...

– To coś wymyśl. Zostań tam jak najdłużej. Jakie miasto jest następne na trasie?

– Sośnica. Ale zanim tam dotrzemy, będziemy musieli zatrzymać się w jakiejś wiosce. To daleko.

Wiedźma cisnęła kolejną porcję ziół i teraz jaskinia wypełniła się aromatem mokrej ziemi i leśnych grzybów.

– Po co ciągle wrzucasz coś do ognia? – Dorada nie wytrzymała.

– Żebyś nie postradała zmysłów. Nie jesteś gotowa, by przebywać tu tak długo. A teraz zamilcz i daj mi pomyśleć.

Cień Zorzanny wędrował po całej jaskini. Dorada obserwowała chodzącą od ściany do ściany wiedźmę, zastanawiając się, co ma, u licha, zrobić, by jak najdłużej zostać w Lasowicach.

– Może ucieknę? – zaproponowała, nie mogąc dłużej znieść tej ciszy wypełnionej szybkimi krokami wiedźmy.

– To najgłupszy pomysł, na jaki mogłaś wpaść. Spójrz na siebie. Jesteś młoda i piękna. Długo byś nie pożyła, a przynajmniej nie jako wolna kobieta. Albo zrobią z tobą, co zechcą, albo wydadzą straży za te białe włosy.

– Mogę je zabarwić.

– Nie możesz. A poza tym, to by cię nie uchroniło przed żadnymi twego piękna mężczyznami, że tak to delikatnie ujmę. Wiem! – krzyknęła i podeszła do ognia. – Jakie zioła masz przy sobie?

– Słucham?

– Zioła. Masz jakieś suszone zioła w kieszeniach płaszcza, torbie, gdziekolwiek?

Dorada przypomniała sobie o Smęcie i jaskólczym ziele, które miało łagodzić stan zatracenia demona i które powinno jeszcze spoczywać na dnie sakiewki.

– Jaskólcze ziele. Powinnam jeszcze je mieć.

– W takim razie od dzisiaj za każdym razem, gdy znajdziesz się w pobliżu ognia, wrzucisz w płomień odrobinę jaskółczego ziela i delikatnie, podkreślam, delikatnie muśniesz ogień opuszkami.

– Tak zrobię.

Wiedźma odetchnęła i wskazała wzrokiem ogień.

– No to ustalone. A teraz wracasz.

Dorada posłusznie wyciągnęła dłoń i zawiesiła ją nad płomieniami.

– Zorzanno.

Wiedźma uniosła brwi.

– Czy on ma się dobrze?

Zorzanna patrzyła na nią długo zamyślonym wzrokiem.

– Jest tak samo irytujący jak wcześniej – prychnęła i spojrzała wymownie na swoją rękę.

Dorada uśmiechnęła się i uścisnęła dłoń Zorzanny w ogniu tak, jak niegdyś zrobił to Elgan, by dowiedzieć się, jak dotrzeć do Lasu Czarnoboga.



## ROZDZIAŁ XXIII

**G**ałęzie trzaskały cicho w małym ognisku. Elgan rozejrzał się po leśnej polanie i wytężył węch, by w porę ugasić płomień w razie potrzeby. Żołnierze mogli być wszędzie, ale ich zapachu wąpierz nie mógł pomylić z żadnym innym człowiekiem. Armia Villperuny regularnie namaszczana była świętymi olejami, tworzonymi przez kapłanów świątyni Peruna – najokazalszej budowli, wzniesionej w stolicy ku chwale boga niebios. Król wierzył, że olejki wtarte w skronie i powieki żołnierzy uchronią ich przed pokusą zdrady swego władcy.

Elgan uśmiechnął się do siebie na myśl o przewrotnej ironii tego zwyczaju. Choć szczerze wątpił w posłuszeństwo armii, które miały zapewnić wonne olejki tłoczone w świątyni Peruna, to miał za to absolutną pewność, że przynajmniej uchronią one jego samego przed ludźmi na usługach Validma II.

Potarł koszulę w miejscu, gdzie spoczywał medalion. Odkąd znów go nosił, czuł, że dużo łatwiej było mu opanować magię ciemności, która wcześniej zdawała się szaleć w jego żyłach, doprowadzając stopniowo do szaleństwa. Kilka dni po opuszczeniu Villperuny, po tym jak zrobił z Dorady półdemon, ciało i umysł Elgana zaczęły popadać w ruinę.

Początkowo myślał, że to poczucie winy, ale w miarę upływu czasu coraz częściej podejrzewał o swój opłakany stan nawet Welesa. Na szczęście boga nie było w Nawii, gdy Elgan wpadł tam rozjuszony i zrobił taki bałagan, jakiego dawno nie widzieli mieszkańcy tamtej części Wyraju.

Wziął kilka gałęzi, które osuszył wcześniej magią i zaczął dorzucać do ognia, by odwrócić myśli od tamtego zdarzenia. Spojrzał na Mirosława, który siedział opatulony futrem skradzionym z domu Bryzgiela. Rudzielec wpatrywał się jak zaklęty w dłoń wiedźmy tkwiącą nieruchomo w ogniu. Zorzanna, zgodnie z obietnicą, siedziała od długiego czasu z ręką w płomieniach i szukała Dorady w jakimś niepojętym świecie. Elgan zamiast przeklinać wiedźmę w swej uwięzionej gdzieś duszy za to, że jest półdemonem i para się niebezpieczną magią, pierwszy raz od wieków modlił się w myślach do wszystkich bogów, by odnalazła tam szamankę. Nie darzył miłością i zaufaniem wiedźmowych praktyk, ale jeszcze bardziej nie znosił ludzi, którzy twierdzili, że skoro im się magia wiedźm nie podoba, to można je bezkarnie mordować. W swoim długim, wąpierzym życiu widział już przejawy władzy wymieszanej ze strachem w wielu odcieniach. Nigdy jednak nie doszło jeszcze z tego powodu do wojny, a według informacji Zorzanny ta wisiała w powietrzu już od dawna.

– Długo jeszcze będzie tak sterczała z łapą w ogniu? – Elgan nie wytrzymał.

– Ciii – syknął Mirosław, nie odrywając wzroku od dłoni Zorzanny.

– Co to się porobiło na tym świecie, żeby mnie piegowaty wróż słusznie uciszał...

Kątem oka Elgan dostrzegł uśmiech na twarzy Mirosława. Nie było jego zamiarem, by poprawiać rudzielcowi humor, ale przez cały ten czas, gdy z trudem panował nad sobą, wyrobił sobie nawyk mówienia na głos zdań, które miały przywołać go do porządku. Słowa wypowiedziane działały dużo lepiej niż pomyślane. Tak jakby jego umysł potrzebował



wyraźnego rozkazu. Wielokrotnie wycharczane zdanie „nie chcę zabijać ludzi” ocaliły nieszczęśnika, który akurat napatoczył się na jego drodze. Dopóki nie założył złotego medalionu, potrzeba krwi była nie do zniesienia. Czuł zapach ciepłej posoki krążącej w żyłach ludzi tak intensywnie, że tylko powtarzane w szaleńczym zapamiętaniu zdania powstrzymywały naturę drapieżnika. Teraz już nie potrzebował publicznego ganienia siebie, ale przyzwyczajenie było silniejsze.

*Skąd mam ten medalion?* – zastanawiał się, obracając w palcach rzemień, na którym wisiał złoty krążek. *Może tylko mi się zdaje, że to właśnie on pomaga mi nad sobą panować? Może po prostu potrzebowałem zobaczyć jakąś znajomą twarz.* Spojrzał na Mirosława. *Nawet jeśli miała to być tak irytująca gęba jak ta.*

Właśnie układał w głowie jakąś kąśliwą uwagę, by rudzielec nie pomyślał sobie, że Elgan zaczął go lubić, ale powstrzymał się, widząc, że ręka wiedźmy zaczęła wyraźnie drżeć. Zorzanna szarpnęła dłoń, jakby ogień trzymał ją w mocnym uścisku.

– Znalazłam ją – oznajmiła, patrząc ze zmęczeniem na Elgana.

Wąpierz usiadł na pniu naprzeciwko wiedźmy. Po wielu nieudanych próbach aż trudno było mu uwierzyć, że w końcu ją tam spotkała.

– Gdzie ona jest?

– Jedzie do jakiegoś Staropola.

– Psia mać! – zaklął Elgan. – Jeśli tam dotrze, to nigdy jej nie znajdziemy...

– Twierdzi, że chyba stamtąd pochodzisz. Nie patrz tak na mnie. To jej słowa.

– Odurzyłaś ją czymś w tym... świecie?

– Tej dziewczyny nie trzeba odurzać, żeby plotła głupoty.

Elgan machnął ręką.

– Gdzie teraz jest?

– W Lasowicach.

– To kawał drogi stąd – powiedział Elgan, szacując w głowie, ile czasu zajmie mu dotarcie do miasta.

– Nie jest sama – kontynuowała Zorzanna. – Jest z nią jakiś czarodziej. Ponoć czarodziejka Wanda kazała mu się opiekować Doradą. Tak. Ta sama Wanda, której ukradłam medalion.

Elgan tylko zmarszczył brwi. Rozmawiał kiedyś z tą czarodziejką, która ugościła ich w puszczy, po tym jak uciekli ze Staropola. Nie wydawała się groźna, choć jej silna potrzeba zaopiekowania się Doradą i uwolnienia jej od towarzystwa demona nad wyraz go irytowała. Trudno mu było uwierzyć, że Wanda mogłaby chcieć zrobić Doradzie krzywdę. Wtedy, w chacie czarownicy, wydawała się szczerze martwić o los szamanki.

*Tylko że wtedy Dorada nie była półdemonem...* – pomyślał z goryczą Elgan.

– Znasz ją? – spytała wiedźma.

– Znam... Ale nie dość dobrze, by ocenić jej zamiary.

– Jak daleko są te Lasowice? – zapytał Mirosław.

– Nawet na koniach zajęłoby to kilka dni. – Elgan zasepił się. – Nie mamy tyle czasu.

– Powiedziałam jej, że ma zostać tam jak najdłużej.

Wąpierz wstał i odwiązał Zimę od drzewa.

– Ruszamy – zarządził, ciągnąc klacz.

– Teraz? – Zorzanna potrząsnęła głową, niedowierzając. – Dokąd chcesz jechać w środku nocy?

– Tu niedaleko jest miasto. Do rana powinniśmy dotrzeć.

– I? – Wiedźma cała poczerwieniała i napięła mięśnie, jakby szykowała się do ataku. Płomień tańczył w jej czarnych źrenicach, gwałtownie i złowieszczo. – I co potem, wąpierz?

– Zostaniecie tam...

– Nie taka była umowa! – Zorzanna zerwała się na równe nogi. – Nie pogrywaj ze mną, przeklęty demonie.

– Umowy dotrzymam. Zapewnię wam bezpieczne schronienie i sam udam się po Doradę. Wrócę z nią i zaprowadzę was do Sibigardu. – Spojrzał na dygoczącą ze złości Zorzannę. – Będzie tak, jak obiecałem.

– Mieliśmy razem odnaleźć Doradę i razem pojechać do Sibigardu. Razem!

Elgan podszedł do Zorzanny, wysunął lekko kły.

– Razem nie damy rady odbić jej z łap tego czarodzieja, zanim dotrą do Staropola. A Staropole to miasto, na którym ciąży klątwa. Ja tam nie trafię.

Oczy wiedźmy rozszerzyły się. Uniosła głowę, najwyraźniej bardziej już zaciekawiona niż wściekła.

– Jaka klątwa?

– Tego miasta nie może odnaleźć nikt, kto się w nim nie urodził. A to oznacza, że żadne z nas nie będzie w stanie tam trafić.

– Przykazałam jej, by wrzucała do ognia jaskółcze ziele i wysyłała dotyk. Jeśli zrobi to w tym przeklętym mieście, to może...

– Może... żadne może! – ryknął Elgan. – Nie będę ryzykował. Wsiadać na konie!

– A jak niby zamierzasz tam szybciej dotrzeć? Co? Szybciej na koniu pojedziesz, jak go kłami poszczujesz?! – Wiedźma wyrwała mu lejce.



Elgan spojrział na Mirosława. Pamiętał ten poranek, gdy ocknął się w świątyni praboga i zmienił w nietoperza, stosując jedynie mgłę maskującą. Miał nadzieję, że była wystarczająco gęsta, by ukryć jego przemianę. Zdradzanie ludziom tej tajemnicy było surowo zabronione.

W tym akurat zgadzał się z Welesem całkowicie. Ludzie nie mogli wiedzieć o zdolnościach przemiany węża w koty i nietoperze. To wywołałoby niepotrzebną panikę. Człowiek za każdym razem zastanawiałby się, czy kocur, który tak pięknie łapie myszy i chroni jego zapasy przed szkodnikami, nie jest przypadkiem demonem.

*Jeszcze tego brakuje, żeby ludzie koty i nietoperze zaczęli wybijać* – myślał, nie odrywając wzroku od wróża. Twarz Mirosława była napięta z zimna i zmęczenia. Nie był w stanie wyczytać z niej, czy chłopak dostrzegł wtedy nietoperza.

- Nie twoja sprawa – powiedział Elgan po długim milczeniu.
- Tak się niestety składa, że moja. Zawarliśmy umowę.
- I jej dotrzymam – warknął, wrywając lejce z rąk wiedźmy.

Dosiadł Zimy i wciągnął głęboko powietrze, by wyłapać zapachowe wskazówki. Czuł bardzo słaby zapach ludzkiej krwi, żywicy i ciętego drewna, co oznaczało, że nie mylił się co do położenia miasta. DREWOTNIA musiała być noc drogi od nich.

– No dalej – ponaglił ich zniecierpliwiony. – Zbierać manatki i wsiadać na konie.

Mirosław posłusznie zebrał swoje rzeczy, a później Zorzanny, która najwyraźniej nie miała zamiaru się ruszyć. Wiedźma jednak struchlała, gdy Elgan pognął przed siebie.

– Ostrzegam cię – krzyknęła za nim Zorzanna, dosiadając konia. – Jeśli nie dotrzymasz słowa, znajdę cię... Nie masz pojęcia, do czego zdolna jest wiedźma!

- W obecnej sytuacji to chyba nierozsądne tak się tym chwalić.
- A niechby cię wszystkie biesy pożarły!
- Obawiam się, że miałyby po mnie niestrawność! – zawołał rozbawiony Elgan.

*Tak... Zdecydowanie brakowało mi kontaktu z ludźmi* – pomyślał, uśmiechając się do wściekłej Zorzanny i Mirosława szcękającego

z zimna zębami.

Elgan lubił to miasto, jego rytm, dźwięk rąbanego drewna, zapach żywicy i ciche szuranie noży snycerskich. To miasto było jednym wielkim pomnikiem na cześć sztuki wyrobów drewnianych. Gdy dotarli tam wczesnym rankiem, słońce kładło już promienie na zaśnieżonych chatach, licznych pracowniach snycerskich, drewnutniach i małej świątyni na środku placu.

– Kogo czczą w tych stronach? – spytała Zorzanna chrapliwym głosem, narzucając kaptur na białe włosy.

– Nie musisz się ich obawiać – zapewnił Elgan. – Ta świątynia stoi tu bardziej na pokaz niż do szczerých modlitw. Zobacz. – Wąpierz poprowadził klacz bliżej budowli. – Po bokach Weles i Perun. Tam na wieżycze stoi Świątowit, za nim Mokosz, Swaróg, Nyja i trzy Rodzanice. Jak dobrze się przyjrzyysz, to dostrzeżesz w tej drewnianej mozaice oblicze Chorsa.

Wyznawcy ostatniego boga nie byli przychyli wiedźmom. Zorzanna zgarbiła się jeszcze bardziej na dźwięk jego imienia.

– To kogo oni tutaj czczą? – Chciał wiedzieć Mirosław.

– Sztukę – odpowiedział Elgan, napawając się zapachem drewna przesiąkniętego aromatem wonnych kadzideł. – Tam, gdzie ludzie siłę i serce wkładają w sztukę, zamiast w fałszywe modły, tam i nie będą oceniać tego, jakiego koloru są twoje włosy. Im wszystko jedno, komu jesteś wierna i jaką magią się parasz, dopóki nikomu nie robisz krzywdy.

– To dlaczego nie osiedliłeś się w tym mieście, skoro tutejsi mają tak otwarte głowy? – prychnęła Zorzanna.

– Bo jestem wąpierzem. Demonem w czystej postaci.

– I?

– Sama zaraz się przekonasz – odparł Elgan i uśmiechnął się tajemniczo.

Wiedźma nie dociekała. Nasunęła bardziej kaptur, zakrywając twarz. Rozglądała się niespokojnie po śpiącym jeszcze mieście.

– Tu mogą być żołnierze armii królewskiej.

– Nie ma ich tutaj – zapewnił Elgan, wskazując na swój nos. – Wiedziałbym o tym.

Zorzanna mimo zapewnień przez całą drogę nie wyłoniła się spod czarnego kaptura. Elgan poprowadził ich w milczeniu wąską uliczką, ciągnącą się wzdłuż drewnianych budynków. W większości były to domy mieszkalne i pracownie rzemieślników. Skręcili w zaułek za karczmą, gdzie znajdowało się wejście do stajni. Elgan zeskoczył z Zimy i pociągnął ją do wejścia.

– Ale... – zaczął zdezorientowany Mirosław. – To nie trzeba najpierw gospodarza zawiadomić?

– Nie trzeba. Zobaczy konie, to będzie wiedział, że ktoś przyjechał.

– Ale zapłata – jęknął nieprzekonany do takiego postępowania wróż.

– Zobaczy obce konie, to je przywłaszczy albo sprzeda.

– Nie tutaj.

– Zaczynam żałować, że wcześniej nie znałam tego miejsca – westchnęła wiedźma.

– Wolałbym, żebyś nie upijała tutejszych mieszkańców mocnymi ziołami. Oni nie tańczą zbyt dobrze. – Elgan zaśmiał się, przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie i odurzonych, tańczących nago mieszkańców.

– Daruj sobie.

– Elgan – wtrącił się Mirosław – będziemy mogli tu zjeść?

– Zjemy u mojego... znajomego.

Oboje spojrzeli na wąpierz z zaciekawieniem.

– Prowadź więc – powiedziała wiedźma, ustępując mu drogi.

Elgan powiódł ich na obrzeża miasta, gdzie żyli biedniejsi ludzie i ci, którym mieszkanie w takim miejscu było na rękę. Wąpierz doceniał brak

religijnej obłudy wśród mieszkańców Drewotni, uwielbiał ich szczerść i trzeźwe myślenie. Nie zwykli obwiniać Mocoszy za brak urodzaju czy Welesa za rzekome klątwy ciężące na chorych i niedołącznych. Tutaj ludzie najpierw przyczyny szukali w sobie i na tych poszukiwaniach poprzestawali. Do bogów ślali modły, i owszem, ale bardziej z szacunku niż potrzeby zysku. Jednak mieszkańcy Drewotni nie uchronili się przed jedną z największych ludzkich przywar. Elgan jeszcze nie poznał takiego miejsca, gdzie choćby garstki ludzi nie ciągnęłoby do szemranych interesów. Zawsze znalazło się paru takich, którzy dla szybkiego bogactwa albo wglądu w rzeczy, do jakich przykładowy człowiek nie powinien mieć dostępu, nie cofną się przed niczym. Dzięki tej silnej ciągocie ludzi do tego, co zakazane, Elgan poznał Harlana.

Część miasta usytuowana na obrzeżach Drewotni bardziej przypominała obóz niż cokolwiek innego. Drewniane chaty były rozproszone w przypadkowych miejscach, a wolną przestrzeń zagracały liche wozy, kramy, paleniska i drewniane posągi z licznymi pęknięciami, które najpewniej tutejsi odkupili za grosze od bogatszych mieszkańców. Choć było oczywiste, że mieszkającym w tej części ludziom się nie powiodło, to i tak byli skłonni wysupłać trochę miedziaków, by przyozdobić dziełami sztuki ten chaotyczny zbiór chat i gratów.

Elgan udał się do lepianki, która znajdowała się najbliżej lasu. Sterta popękanych kociołków walała się przed wejściem, przecinając czernią śnieg.

– To jakiś znachor z zamiłowaniem do ziółarstwa? – spytała Zorzanna, trącając nogą kocioł, z którego wylała się ciemna maź.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Elgan i zapukał do drzwi.

Po chwili w progu stanął młody mężczyzna o ostrych rysach twarzy i świdrującym spojrzeniu. Cienkie pasma kasztanowych włosów przylegały do spoconego czoła, które Harlan wytarł, gdy tylko zauważył

za Elganem nieznanym. Na samego wąpierzka nie patrzył, z ręcznie omijał spojrzenie demona.

– Widzę, że nie sam tym razem postanowiłeś mnie odwiedzić – powiedział dźwięcznym, niskim głosem.

– Wpuścisz nas? – spytał Elgan z niewinnym uśmiechem.

– Najpierw muszę poznać twoich towarzyszy.

– Proszę. Ten rudzielec to Mirosław.

Elgan pchnął wróża, by ten podszedł do Harlana. Mężczyzna położył potężne dłonie na policzkach Mirosława i nachylił się, zbliżywszy twarz tak bardzo, że Mirosław mógł bezbłędnie ocenić, co Harlan jadł na śniadanie, a raczej pił. Znachor wpatrywał się w jego oczy z jakąś zawziętą myślą, która wydobywała się z jego warg ledwo słyszalnym szeptem.

– Takiego czegoś jeszcze nie widziałem, ale niech będzie. Ten może wejść – zawyrokował po chwili. – A ta?

– A ta piękna panna to Zorzanna.

Wiedźma obrzuciła Elgana pogardliwym spojrzeniem i podeszła powoli do Harlana. Przy potężnej sylwetce znachora wyglądała jak mała dziewczynka. Jej jasne włosy szczelnie zakrywał kaptur, który przewiązała rzemykiem wokół głowy, tak by nawet jeden włos nie zdołał się przedrzeć i zbyt wcześnie uprzedzić do niej znachora. Zadarła brodę i spojrzała mu w oczy, nie czekając, aż położy na jej twarzy łapska. Sama zbliżyła się wystarczająco, by ten mógł dostrzec drobne, brunatne plamy na jej czarnych źrenicach. Harlan stał nieruchomo wpatrzony w nią, jak w nabożną figurkę. Chrząkał tylko co chwila i wykręcał wargi, jakby nad czymś dumał. Nagle całkiem umilkł i zapadła niezręczna cisza. Nawet Elgan, nawykły do tutejszego zwyczaju przywitania, zaczął irytować się badawczym spojrzeniem Harlana, które uparcie nie zmieniało obiektu obserwacji.



– Dobrze – zaczął znachor, wciąż wpatrując się w ciemne oczy Zorzanny. – Skoro ty, Elgan, ręczysz, a zakładam, że ręczysz, skoroś ją do mnie przyprowadził, że godna jest zaufania... Niech wejdzie.

– Ręczę – upewnił go Elgan. – Nie musisz się jej obawiać, to dobra kobieta.

Zorzanna spojrzała na niego z ukosa, zaskoczona takim stwierdzeniem. Mirosław najwidoczniej też zdziwił się słowami wąpierza, bo stał z otwartymi ustami. Nie umknęło to uwadze Harlana, który, nie patrząc wąpierzowi w oczy, zwrócił się do niego.

– A od kiedy ich znasz? – spytał chłodno.

Elgan zeszywniał na myśl, że jego plan mógłby się nie udać.

*Harlan nie może mi odmówić* – pomyślał, choć dobrze wiedział, że jak znachor się uprze, to będzie miał problem. Nie miał pojęcia, gdzie indziej mógłby zostawić wiedźmę i wróża, by móc dotrzymać danego słowa i pomóc im w dotarciu do Sibigardu. Nie mógł jednak pozwolić na to, by ich obecność spowolniła go i uniemożliwiła odnalezienie Dorady. Nie teraz, gdy w końcu odzyskał siły. Nie teraz, gdy szamance, w której żyła jego demoniczna część, groziło niebezpieczeństwo, a on był za to odpowiedzialny.

– Znam ich od jesieni – odparł Elgan zgodnie z prawdą.

– Od jesieni? To widać chyba miłego słowa jeszcze nie słyszeli z twoich przebiegłych ust, bo stoją z tępą gębą jak krowy na łące.

– A tobie przez te wszystkie lata coś miłego powiedziałem?

Znachor milczał, a po chwili wargi na jego kwadratowej szczęce wykrzywiły się, jakby z zadowolenia.

– A też prawda – przyznał i zaniósł się śmiechem. – Ot, nas zaszczyt spotkał, takiego wąpierza mieć za przyjaciela. – Poklepał Mirosława po plecach, na Zorzanne zaś tylko skinął głową. – Właźcie do środka, a ja w sieni wyszukam czegoś do jedzenia.

Mężczyzna otworzył drzwi i z łagodnym, choć czujnym wyrazem twarzy obserwował nieznajomych, którzy wkraczali do jego chaty.

– Co to miało być? – wyszeptała Zorzanna.

Elgan upewnił się, że Harlan stoi jeszcze w sieni. Znachor najwyraźniej szukał czegoś szczególnego, bo grzebał zapamiętałe w stercie szmat.

– Elgan?

– Oni wierzą, że gdy spotkasz kogoś po raz pierwszy, w jego oczach widzisz duszę, która wyszła ci na przywitanie. Tak poznają, jakim jesteś człowiekiem i czy mogą ci zaufać. Widać potrzebował trochę więcej czasu, żeby odnaleźć w tobie duszę.

– Dlatego nigdy nie zaakceptują wąpierzka? – spytał Mirosław.

– Nie inaczej – potwierdził Elgan. – Oni nie boją się mojej magii ani tego, że mógłbym ich zabić. Oni boją się braku duszy. Sam fakt istnienia bez niej przeraża ich tak bardzo, że gotowi byliby się prędzej zabić, niż ze mną rozmawiać.

– Ale nie Harlan. – Zorzanna spojrzała pytająco na Elgana.

– On, że tak to ujmę... nie miał wyjścia. A jak już raz się przemógł, to mu tak zostało.

Wąpierz uśmiechną się do swoich myśli.

– To coś ty takiego zrobił, że zdecydował się z tobą mówić? – Wiedźma uniosła pytająco brwi i zaraz zmarszczyła je, bo Harlan właśnie wszedł z jakimś workiem.

– Znalazłem trochę suszonych grzybów. Zrobimy sobie dobre jadło z kaszą – oznajmił zadowolony, rzucając worek na popękany stół. – Elgan, dorzuć trochę do paleniska. Zrobię więcej, to na jutro jeszcze nam wystarczy. Młody, idź no na zewnątrz, wynajdź jakiś solidny kocioł. Ten, co w chacie mam, zbyt mały jest na jadło dla naszej czwórki. – Znachor zwrócił się do Elgana. – Powiesz mi w końcu, czego ode mnie chcesz? Bo przecież nie w odwiedzinie tu przylazłeś.

– Może najpierw zjemy?

– Tak... Jak człowiek najedzony, to bardziej skory do ugody – powiedział Harlan i usiadł naprzeciwko wiedźmy. – A ty czego ten łachman na głowie nosisz? Żałobę tak u ciebie obchodzą?

Zorzanna spojrzała pytająco na Elgana.

– Jest wiedźmą – wyznał wąpierz i przysiadł się do stołu.

– Na wszystkich bogów! – warknął znachor. – Czego ty ode mnie chcesz, wąpierz?!  
– Jesteś mi winien przysługę – mówił spokojnie Elgan, niezrażony złym spojrzeniem Harlana. – Pamiętasz?

– Pamiętam...

Znachor oddychał ciężko, wodząc wzrokiem po Zorzannie.

– Słyszałem, że palą całe wioski za ukrywanie wiedźmy.

– Za nieudolne ukrywanie wiedźmy – dodał Elgan. – Ale ty wiesz, jak skutecznie kogoś ukryć, więc...

– Mają jakichś czarowników.

– Czarodziejów – poprawił go Elgan. – To banda wyszczekanych nieudaczników.

– A wielu ich znasz?

– Znam – skłamał wąpierz. – Dałbyś sobie z takim radę. Ale zakładam, że nie będzie takiej potrzeby. Jest mało prawdopodobne, że zapuszczą się w te rejony. Tu przecież nie ma wiedźm.

– Zaiste nie ma – burknął pod nosem znachor, łypiąc spod czarnych rzęs na Zorzannę.

Jedli w ciszy. Dopiero gorzałka otworzyła im usta i chata znachora wypełniła się rozmową i śmiechem. Elgan nie mógł dzielić ich pijackiego humoru, bo smak tak mocnego trunku wywoływał w nim mdłości. Znachor niestety nie miał słabego piwa, które wąpierz pijał od czasu do czasu. Co prawda, żeby poczuć jakikolwiek stan upojenia, musiał wypić znacznie więcej, a i rezultat nie zawsze był zadowalający. Kolejna ludzka

pociecha na tym świecie, która już nie była mu dana. Nie czuł ani ciepła płonącego drewna w palenisku, ani ciepła rozgrzewającej ciało i serce gorzałki. Był wąpierzem. Demonem wśród ludzi, którzy z wypiekami na twarzy dogryzali sobie, zaśmiewając się z co lepszego żartu. Zazdrościł im śmiertelności, niewiedzy tego, co będzie potem. Oni mogli jeszcze marzyć.

– O czym myślisz? – zagadnęła go Zorzanna.

– O życiu.

– Życiu? – Wiedźma zaśmiała się, po czym wychyliła kubek. – Ach! Muszę przyznać, dobrą pędzi gorzałkę ten twój znachor. Napij się ze mną, wąpierz.

– Nie mogę tego pić.

– To już wiem, dlaczego ty zawsze taki spięty jesteś.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Elgan podniósł się, ale Zorzanna chwyciła rękaw jego koszuli.

– Daj spokój. Siadaj.

– Muszę się przewietrzyć. Zaraz wrócę.

– A rób jak chcesz – wybełkotała i odepchnęła go, sama omal się przy tym nie przewracając.

Elgan chodził między pokracznymi chałupami, wozami i zniszczonymi figurami bogów, które w nocy wyglądały jak zastygłe w bezruchu postacie. Musiał coś upolować przed przemianą w nietoperza. Zmiana formy wymagała wielkiego wysiłku, a on, choć zdawało mu się, że medalion przywrócił mu równowagę, nadal czuł się słabo. Szukał choćby najlichszej myszy. Wziął głęboki wdech. W powietrzu wyczuł słaby zapach wiewiórki. Zajrzał do jednego z kramów i podniósł nakrycie, pod którym leżała masa stępionych noży, popsutych stęp do tłuczenia kaszy, mis i połamanych desek. Pod słomianą pokrywą od dzieży do ciasta, która nadawała się jedynie na podpałkę, leżała drobna,

wychudzona wiewiórka. Wyglądała, jakby już od dawna kryła się tutaj przed zimnem i głodowała.

– Pozwól, że zakończę twój ciężki żywot – powiedział i zatopił w niej kły.

Krew zwierzęcia nie smakowała tak, jak ludzka. Była wręcz bez smaku. Żywnienie się zwierzętami przypominało jedzenie z zatkanym nosem. Zakatarzony człowiek jadł, bo musiał, ale nie dane mu było czerpać przyjemności z pożywienia.

Zaspokoiwszy pragnienie, odszedł w stronę chałupy Harlana w nadziei, że wszyscy już wystarczająco się spili, by nie być w stanie z nim rozmawiać.

Gdy wrócił, w pomieszczeniu panowała cisza, przerywana głośnym pochrapywaniem znachora. Mirosław spał przy stole z głową skrytą w ramionach. Zorzanna leżała w kącie, skulona jak kot. Tylko zamknięte powieki wystawały spod futra, którym zapewne okrył ją Harlan. Wiedział, że znachor nie zrobił tego na pokaz. Znał go wystarczająco dobrze, by być spokojnym o to, że dotrzyma słowa i zaopiekuje się nimi do czasu jego powrotu.

Zostawił trochę srebra w płaszczu Zorzanny i wyszedł po cichu. Ostrożnie zamknął drzwi, by nikogo nie zbudzić. Szedł szybkim krokiem, nie mogąc się doczekać, aż skryje się w lesie, przemieni w nietoperza i poszybkuje nad skrytą pod śniegiem ziemią. Nagle wyczuł znajomy zapach. Nim zdążył się odwrócić, usłyszał czknięcie Mirosława.

– Niech mnie bogowie trzymają, bo nie zdzierzę! – warknął Elgan na widok człapiącego w jego stronę wróza. – Czego chcesz?!

– Opiekowałem się Zimą – wybełkotał Mirosław, który najwidoczniej nie żałował sobie trunku tego wieczoru. – Przepra... praszam, że pozwoliłem ją sobie odebrać.

– Idź spać, rudzielcu.

– To piękna klacz – kontynuował chłopak, zbliżając się chwiejnym krokiem do Elgana. – Dlaczego zo-zostawiliśmy konie w mieście?

– Tam będą bezpieczne. Pójdiesz jutro do karczmy i zapłacisz za ich opiekę. W płaszczu Zorzanny zostawiłem wam kilka srebrnych monet. Są grube i warte o wiele więcej, niż będą wam wmawiać. Jedna powinna wystarczyć na opiekę nad końmi. Za resztę kupisz jedzenie i coś cieplejszego do ubrania dla siebie i Zorzanny.

– Elgan.

Chłopak zachwiał się i omal nie przewrócił na niego. Wąpierz przytrzymał jego ramiona i odczekał chwilę, aż Mirosław złapie równowagę.

– Co znowu?

– Obiecuj. Obiecuj, że nas tu nie zostawisz.

Elgan obserwował wychudzonego chłopaka, który choć wciąż wyglądał jak młodzik, patrzył na niego oczami mężczyzny. Nie cierpiał go za jego wróżbiarskie zdolności. Nigdy nie ufał wróżom ani wróżkom. Mieli w sobie coś, co go przerażało, tak bardzo, że nie potrafił okazać Mirosławowi żadnego innego uczucia poza pogardą. Wcześniej jedynie drażnił go jego dar. Był młody i naiwny. Teraz, gdy patrzył na żar płonący w jego bursztynowych oczach, widział młodego mężczyznę niosącego w sobie niebezpieczny dar widzenia przyszłości. Dar, którego z pewnością chłopak nie rozumiał i nie poskromił.

*Kiedyś zda sobie sprawę ze swych zdolności – myślał Elgan. Kiedyś znajdzie wróża z prawdziwego zdarzenia, który chętnie położy na nim swoje mentorskie łapy. Ile zajmie mu opanowanie mocy? Zmienił się. Wiedźma go zmieniła. Dlaczego on z nią poszedł?*

– Elgan? Obiecuj, że nam pomożesz.

– Zaufasz mojej obietnicy?

– Tak – zapewnił podpitym, chwiejnym głosem. – Nie okłamałbyś mnie. I choć wiem, że nie da-darzysz mnie przyjacielskim uczuciem... ty

byś mnie nigdy nie skrzywdził. Obiecuj, że wrócisz.

– Obiecuję – powiedział węż i odszedł w ciemność, zostawiając Mirosława z rozmarzonym, pijackim uśmiechem i łzami wzruszenia.



## ROZDZIAŁ XXIV

**U**pragniony lot nad ziemiami skutej lodem Villperuny smakował dokładnie tak, jak zawsze. Zimno, którego Elgan nie czuł, odkąd stał się wężem, miało swój niepowtarzalny smak. Wzleciał wyżej, by zanurzyć się w mroźnej czerni nocy. Chłód mroku wbijał się przez drobne nozdrza nietoperza i rozlewał w ciele niczym woda z górskiego źródła. W końcu czuł, że istnieje.

Pod jego skrzydłami spał wibrujący ciszą i grozą świat, a on leciał nad nim, przecinając krainę żywych swoją demoniczną obecnością. Tęsknił za tym. Od dnia, w którym wyszedł z domu Arsa, zostawiając budzącą się do nowego życia Doradę, nie był w postaci nietoperza ani razu. Brakowało mu na to siły, którą dawała mu krew, a on był na tyle słaby, że ciężko było mu upolować zdrowe, pożywne zwierzę. Z ludźmi polowanie szło znacznie łatwiej – ci byli mniej czujni. Zemdliło go na wspomnienie kobiety, która stanęła mu na drodze w chwili słabości.

Wziął głęboki wdech, by wyzbyć się myśli i na powrót delektować się drobnymi ukłuciami mrozu na skórze i rześką energią, która wypełniała jego głowę.



Nagle coś uderzyło go w bok. Świst spadającego nietoperza rozdarł ciszę zimowej nocy i Elgan poszybował w dół, straciwszy panowanie nad ciałem. Tuż nad koronami drzew starego lasu odzyskał równowagę i zatoczył koło, badając otoczenie. W oddali zamigotała postać nietoperza.

*Itris – pomyślał i zleciał, skrywając się między drzewami. Wyszarpie mu te jego białe włosy. Wbiję na pal. Zakopię żywcem.*

Wrócił do ludzkiej postaci i wyteżył węch. Wbił drżące od złości palce w korę starego dębu.

– Zachowaj spokój – upomniął się szeptem.

Nie mógł pozwolić, by Itris zobaczył na jego twarzy wściekłość i zastygłą rozpacz, która niegdyś płonęła w jego źrenicach. Nie chciał mu dać tej satysfakcji i stać się namacalnym dowodem zwycięstwa białowłosego.

*Chodź, Itrisie. Zapraszam. W końcu nabrałeś odwagi, by spojrzeć mi w oczy, zamiast wysługiwać się głupią Kalią? Tym razem nie potrzebuję pomocy południcy. Sam się z tobą rozprawię.*

Elgan znieruchomiał, gdy nietoperz zanurkował w koronie drzew. Po chwili usłyszał chrzęst śniegu dobywający się z miejsca odległego o kilka kroków przed nim. Czekał cierpliwie, aż wąpierz się zbliży. Potarł palcami o poszarpaną koszulę, przygotowując się do ataku. W żyłach zawirowała magia, wywołując lekkie mrowienie. Był tak blisko, że słyszał jego oddech. Nie mógł już dłużej zwlekać. Wokół dłoni zawinął się wir mgły, w której roilo się od migoczących drobinek o ciemnej, niebieskiej barwie. Najpodlejszy rodzaj magii ciemności otulał mglistą poświatą jego dłoni gotową do ataku. Wychylił się zza drzewa i wystrzelił przed siebie falę mocy. Usłyszał trzask łamanych gałęzi i cichy jęk. Ktoś klął pod nosem i Elgan z całą pewnością mógł stwierdzić, że nie jest to głos Itrisa.

– Kto, do cholery, tak mnie potraktował?! – krzyczał wąpierz, gramoląc się z krzaków. – Elgan? Na Welesa! To ty?!

Elgan próbował sobie przypomnieć, skąd zna ten głos.

– Przyznaję – wydyszał zakapturzony wąpierz – nie liczyłem na ciepłe powitanie, ale żeby tak od razu Niebieską Przyjemnością mnie traktować?

Wąpierz zrzucił kaptur, odsłaniając niemal całkowicie łysą głowę. Jedynie na środku głowy miał zapleciony czarny warkocz, który sięgał mu ramion.

– Gerd?

– Widzę, że spodziewałeś się kogoś innego.

– Tak jakby – przyznał Elgan, ciesząc się, że tym razem nie trafił celu. Sparaliżowanie potwornym bólem starego znajomego nie było jego zamiarem.

– Dlaczego mnie zaatakowałeś? – spytał Elgan.

– Zaatakowałem? Oszalałeś, stary brachu... Latałeś zbyt wysoko, a mimo to dalej wzbijałeś się w niebiosa, jakbyś do samego Chorsa chciał dolecieć. Jeszcze chwila, a Chors by cię oszołomił i spadłbyś, o tutaj, w to bagno. – Wskazał skute lodem moczary. – Prawdą zatem jest, że postradałeś zmysły...

Elgan patrzył na niego w milczeniu, zastanawiając się, ile Gerd wie i czy w ogóle może mu zaufać. Choć w ogóle nie przypominał żadnego władcy i poklasku Itrisa, minęło wiele lat, odkąd widział go ostatni raz. Gerd, jak na wąpierza, był wyjątkowo rozsądny i trzymał się zasad ustalonych przez Welesa. Nie zabijał dzieci, nie urządzał rzezi, w miarę możliwości powstrzymywał się przed wyssaniem z ofiary ostatniej kropli życia, która uwalniała duszę nieszczęśnika. Gerd był jedynym wąpierzem, któremu ufał. Ale czas zmienia ludzi, zmienia także demony. A od ich ostatniego spotkania minęło wiele lat.

*Czy los wplótł w twoje istnienie zdarzenia, które wryły w twej uwięzionej duszy skazę?* – zastanawiał się, przypatrując się uważnie Gerdowi. Tego Elgan nie mógł wiedzieć, ale jedno było pewne – każdy

wąpierz miał coś na sumieniu, skoro stał się księciem ciemności. Weles na swoich oddanych wąpierzach brał tylko ambitne jednostki, których wartości wykraczały poza moralność przeciętnego człowieka. Jednostki zdolne do czynu pozbawionego wszelkich granic, jakie narzucali sobie ludzie.

– Kogo się spodziewałeś? – przerwał mu rozmyślenia Gerd. – Czyżbyś obawiał się Itrisa?

Elgan wbił w niego badawczy wzrok. Nie podobało mu się, że wieść się tak szybko rozeszła. A jeszcze bardziej nie podobała mu się myśl, że Gerd mógł dołączyć do jego wroga.

– Skąd wiesz?

– Ta śpiewająca południca Welesa mi powiedziała.

Gerd podszedł i wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Wieki się nie widzieliśmy. Jak to się stało, że tyle lat nie biegaliśmy razem po lesie?

– Wyjechałeś.

– Tak – przyznał, puszczając dłoń Elgana. – Ale wróciłem.

– Dlaczego?

– Cały ty. Zamiast „co porabiałeś”, „jak się miewasz”, chcesz wiedzieć, po co wróciłem. Nie jesteś ciekawy, jak wygląda życie na południowych wyspach? Co jedzą, co piją rozgrzane słońcem kobiety?

– Gerd, śpieszę się. Nie mam czasu na pogadanki.

– Dobrze. Wróciłem, bo chciałem się zobaczyć z Welesem. Byłem w Wyraju. – Odchrząknął. – Słyszałem, co tam nawyrabiałeś. Nie wiedziałem, że Itris aż tak bardzo załazł ci za skórę, żebyś od razu rujnował swój pałac. Przyznaję, twoje chabernicowe służki nieźle się wystraszyły na mój widok. Wielka była ich ulga, gdy się okazało, że nie jestem Elganem, a jego starym kompanem, który przyszedł w odwiedziny. Ale na nic mi się zdała wizyta w Nawii. Nie było ani ciebie, ani Welesa. A teraz... będziesz tak łaskawy i powiesz mi, co się dzieje?

– Nie mam zamiaru opowiadać ci o moich porachunkach z Itrisem.

– Elgan. Tu nie chodzi tylko o ciebie i o tego durnia. On zdradził Welesa. Wiem, bo Marianna nie potrafi trzymać języka w gębie. Wspomniała mi coś o zdradzie. Nietrudno się domyślić, który wąpiierz się jej dopuścił. Komu teraz służy Itris? Niestety nie mogłem o to spytać Welesa, bo gdzieś przepadł. Nikt w Nawii nie ma pojęcia, gdzie jest. Słuchaj, Elgan... z południowych wysp znikają dzieci i śmiem wątpić, by była to sprawka człowieka. Ty masz na pieńku z Itrisem, który właśnie zdradził Welesa. Nie chrzań, że nie wiesz, co się dzieje. Mów. Mów, co się, do psiej krwi, tutaj wyprawia?

– Rod.

– Co?!

– Przestań wrzeszczeć, bo zaraz tabun mamun nam się tu zlezie. Powiedziałem. Rod. Prabóg powrócił.

– Żartujesz?! A mówiłeś, że nie masz czasu na żarty! Nie naigrywaj się ze mnie.

– Nie żartuję. Widziałem, jak Mokosz ukrywa pod płaszczem swojej magii nowonarodzone dzieci, by Rodzanice nie wyczuły nowego życia i nie naznaczyły ich losem, który z pewnością wyznaczył dzieciom ich odrodzony praojciec...

– To on rozpętał tę nagonkę na wiedźmy?

– Chaos zawsze sprzyjał jego działaniom. Zapisał się w legendach jako ten, który w burzy odnajduje drogę do celu. Przypuszczam, że i tym razem pieśni o pierwszym bogu okraszone będą krwią.

– Trzeba powiedzieć ludziom.

– Nie!

– Gdy się dowiedzą, zaczną się gorliwiej modlić – sugerował Gerd. – Będą zanosić do bogów obfitsze dary. To ich umocni!

– Nie. Jeśli ludzie się dowiedzą, to część z nich zrobi tak, jak mówisz, a pozostali przestraszą się i zaczną nosić krwawe ofiary do Roda. Nie

mam pojęcia, w jakim jest teraz stanie i ile mu jeszcze brakuje, by wrócić w pełni sił.

- Musimy coś zrobić.
- Jedyne, co możemy, to czekać na rozkazy Welesa.
- Tylko że go nie ma. Zniknął.
- Na pewno coś planuje. Bądź cierpliwy. Gdy przyjdzie czas, Pan nas wezwie. – Elgan powtarzał słowa południcy, choć sam w nie nie wierzył.
- Oby nie było już za późno...
- Jeśli wątpisz w Welesa, droga wolna. Idź w ślady Itrisa i pokłoń się przed Rodem.

Gerd splunął na bok i spojrzał urażony.

- Tym razem żartowałem – zachnął się Elgan.
- Niech cię lichy! Twarz masz z kamienia, bies jeden wie, kiedy kpisz, a kiedy mówisz poważnie. Ech, brakowało mi ciebie. Szkoda, że w tak parszywych czasach przyszło nam się spotkać. – Położył dłoń na ramieniu starego druha i zacisnął palce. – Jak to się skończy... jeśli się skończy, przybądź na południe. Nigdzie indziej krew młodych kobiet nie smakuje tak, jak na tych słonecznych wyspach.

Elgan darował sobie pogadankę o tym, że nie pije ludzkiej krwi. A przynajmniej nie wtedy, gdy są żywi i jest w stanie się kontrolować.

- Muszę już lecieć – powiedział.
- Zatem w drogę.
- Zobaczymy się, gdy przyjdzie czas. Weles na pewno nas wezwie.

Gerd chciał jeszcze coś dodać, ale urwał, gdy gdzieś niedaleko rozległ się trzask, a później plusk i ciche bulgotanie. Dźwięk narastał i po chwili zobaczyli utopca wychodzącego z przerębli.

- Spokój mój ważą się zakłócać – wycharczał, włącząc obrośniętym glonami cielskiem w ich stronę. – Nauczę pokory.

Wodny demon sapał i dyszał, a z każdym urażonym westchnięciem z jego zgniłych ust wylewał się muł. Gdy tylko utopiec się zbliżył, Elgan

i Gerd jednomyślnie wysunęli kły. Demon zatrzymał się w pół kroku i wybałuszył przekrwione oczy.

– Panowie wąpierzowie... to znaczy księżciowie wybaczą. Ja myślał, że to człowiek niegramotny tutaj mój spokój zakłóca.

Gerd wyciągnął przed siebie dłoń, wokół której wiła się magia. W jego oczach płonęły gniew i władza. Elgan złapał go za nadgarstek.

– Nie wyładowuj na nim swojej złości – powiedział i spojrzał wprost w jego spragnione działania oczy.

– Precz – syknął krótko Gerd, zaciskając palce w pięść.

– Rod właśnie tego chce – dodał Elgan, gdy utopiec pokornie odszedł i zniknął w bagnistej wodzie. – Rod czeka na chaos.

Nagle w głowie Elgana pojawiła się wizja ze świątyni praboga. Wizja, którą ożywiła dusza dziewczynki o wilczej twarzy. Widział siebie stojącego wśród wyznawców Roda, wśród tłumu, który wrzał z podniecenia podczas gdy na stosie płonęła młoda kobieta. Wspomnienie było tak wyraźne, że mdliło go od swądu palonego ciała. Odkąd zostawił Doradę, w jego głowie praktycznie nie było składnych myśli. Zostały tylko dzika żądza krwi, poczucie winy i nienawiść. Wspomnienia o zdarzeniach w świątyni zakopał w ciemnych zakamarkach umysłu i po raz pierwszy od bardzo dawna do nich zajrzał. Przez chwilę wmawiał sobie, że to było tylko złudzenie, obraz był jednak zbyt wyraźny, by Elgan mógł okłamywać samego siebie.

*Byłem tam – myślał, czując, jak fala niepokoju zalewa jego ciało. Byłem tam jako człowiek. Bogowie, to nie może być prawdą... Nie mogłem czcić Roda... Nie wierzę, że mogłem być tak bezduszny.*

W tym momencie coś ukłuło jego dawno niebijące serce. Myśli napierały, rozsadzając głowę od środka.

*Przecież jestem wąpierzem. Musiałem w takim razie być bezduszną, ludzką kreaturą, skoro Weles mnie przyjął. Bogowie...*

– Co się z tobą dzieje, Elgan?

– Muszę... – zakrztusił się i z trudem przełknął ślinę – muszę już lecieć. Do zobaczenia.

Wzbił się, nim Gerd zdołał cokolwiek odpowiedzieć. Obrócił się jeszcze dwa razy, by upewnić się, że za nim nie leci. Był sam. Sam w nieskończoności podniebnych przestworzy. Tylko on i jadowite myśli, które zatrzymały mu głowę.



Gdy dotarł do Lasowic, nadal panował zmrok. W powietrzu czuć było zbliżający się świt, ale na miejskich budowlach nie spoczął jeszcze promień wschodzącego słońca. Miał mało czasu, lecz z jego rachuby wynikało, że zdąży zabrać Doradę, nim dzień stanie się ich wrogiem. Mógł uśpić całe miasto, by wyeliminować ryzyko, że ktokolwiek ich zobaczy, ale wolał tę magię zachować na wyjątkową sytuację. Każde użycie sennej mgły na taką skalę pozostawiało po sobie ślad jeszcze przez wiele dni. Wolał nie pomagać Itrisiowi w poszukiwaniach, a miał silne przeczucie, że białowłosey będzie chciał się jeszcze z nim spotkać. Elgan też tego pragnął i obiecał sobie, że jeśli Itris go nie znajdzie, on to zrobi. Zemści się za Doradę i za Welesa, którego Itris zdradził w imię praboga. Zrobi to, gdy tylko się upewni, że Dorada jest w bezpiecznym miejscu.

*Sibigard* – pomyślał, lądując na tyłach domu, w którym wyraźnie wyczuwał ziołowy zapach ciała szamanki. *Może to faktycznie najbezpieczniejsze miejsce dla wiedź...*

Urwał, nie chcąc przyznać przed samym sobą, że Dorada ma coś wspólnego z wiedźmami. Nie o takim losie myślał, wpajając jej część swojej mocy. Miał nadzieje, że człowiecza dusza wyprze demoniczną część i tylko w chwilach słabości Dorada będzie zmagać się z ciężącym na niej brzemieniem. Ona jednak wybrała inne życie. Zdecydowała, by to

właśnie ta demoniczna część prowadziła ją przez świat. Nie łudził się nawet, że wybijie jej to z głowy. Już wcześniej była uparta i głucha na rady. Teraz, gdy szalała w niej jego magia ciemności, jakakolwiek próba tłumaczenia i drażnienia Dorady mogła się źle skończyć. Magia ciemności w ludzkim ciele była jedynie śpiącą pokusą. Dorada nie mogła z niej świadomie korzystać, ale czuła ją i pragnęła w chwilach słabości.

Elgan oparł dłonie o budynek i po ścianach zaczęły wić się dymne linie magii. Szare smugi wbijały się w zakamarki nieszczelnych okien, by przedłużyć sen niczego nieświadomych mieszkańców. Mgła ominęła tylko jedno okno. Dorady potrzebował przytomnej jak nigdy. Zmienił się w nietoperza i poleciał na dach. Odnalazł mały otwór, przez który bez trudu przecisnął się w tej postaci, po czym wylądował w ciemnym korytarzu na piętrze. Wziął głęboki wdech. Pokój Dorady znajdował się na końcu po prawej stronie. Jej zapach czuł już z daleka, a teraz był tak intensywny, że zdawało mu się, jakby przy nim stała. Zamierzał właśnie wrócić do postaci wąpierzka, gdy nagle na parterze zaskrzypiały drzwi. Elgan skrył się w kącie, przysłaniając skrzydłami jasne futro na brzuchu. Słyszał wyraźnie czyjeś szybkie kroki na schodach. Po chwili wyczuł słabą woń ziół.

*Przecież wszyscy powinni spać! Magia snu jeszcze nigdy mnie nie zawiodła... Tak jak mój nos, a nie czuję żadnego przytomnego człowieka...*

Spodziewał się ujrzeć jakiegoś demona, który znalazł sposób na maskowanie swego odoru, albo, co gorsza, wąpierzka. Te nie wydzielały zapachu. Jedynie jakieś charakterystyczne przedmioty lub ubrania o swoistym aromacie mogły zdradzić obecność księcia ciemności. Elgan pośpiesznie obmyślał plan ataku i ucieczki z Doradą. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Czekał więc w napięciu, gdy korytarz zalało światło świecznika, który wychylił się wraz z ręką właściciela. To była ludzka dłoń, nie miał co do tego wątpliwości. Omal nie spadł z belki, na



której siedział, gdy zobaczył człowieka w niebieskiej szacie, zbliżającego się do drzwi komnaty Dorady.

*To niemożliwe – myślał gorączkowo Elgan. On powinien spać, a ja powinienem czuć człowieka! Przecież on jest... Jest pewnie tym czarodziejem. Bogowie... Skoro czarodzieje potrafią ukrywać swój zapach, to i ja powinienem zacząć się ich bać... Pociuszające jest to, że nie do końca mu się udało, bo czuć od niego tymi ziołami, jakby się w nich wytarzał. Pewnie to właśnie one maskują woń ludzkiej krwi. Ale dlaczego on nie śpi? Czarodzieje są odporni na magię ciemności?! Słodki Perunie... Jeśli tak jest w istocie, to nawet ja będę miał problem, by poprowadzić wszystkich do Sibigardu.*

Obserwował, jak czarodziej stoi nieruchomo przed drzwiami, jakby nasłuchiwał, czy Dorada już wstała.

*Nie... Może i ten piękniś znalazł sposób na maskowanie zapachu, ale czarodzieje odporni na magię księcia ciemności? Też mi coś. To nie może być prawda. Pewnie coś poplątałem z zaklęciem – uspokajał się Elgan. Następnym razem muszę się lepiej skoncentrować. Może to zmęczenie? Na bogów! Ile on tam będzie jeszcze stał?! Zaraz mi skrzydła ścierną.*

Czarodziej nie zamierzał szybko się poddać. Tkwił z uchem przy drzwiach nieruchomy jak posąg i gdyby nie fakt, że Elgan widział, jak nieznacznie drga drogi materiał jego szaty, zapewne wziąłby go właśnie za malowaną rzeźbę. Wschód słońca zbliżał się nieubłaganie i Elgan stracił cierpliwość. Błyskawicznie wzbił się do lotu i tuż za plecami czarodzieja wrócił do wąpierznej postaci. Nim ten zdążył się wyprostować i odwrócić, Elgan wyrwał mu świecznik i przyłożył czarodziejowi w tył głowy. Nie dość mocno, by go zabić, ale wystarczająco, by stracił przytomność.

– No sam się o to prosiłeś – westchnął, gdy czarodziej zwałił się na podłogę. – Było spać, tobyś nie oberwał.

Włożył nieprzytomnemu mężczyźnie świecznik w dłoń, by trochę zamącić mu w głowie.

*Może uzna, że zasłabł, a reszta mu się przyśniła.*

Położył rękę na drzwiach, a wspomnienie dnia, w którym po raz ostatni widział Doradę, wróciło nieproszone i rozgościło się w miejscu przeznaczonym na obawy i lęki. Wtedy też stał z wyciągniętą ręką, z której wolno odpływała przesiąknięta magią ciemności krew.

*Czego ja się, do licha, obawiam?*

Pchnął drzwi, nim kolejne myśli zdążyły zalać jego głowę. Coś blokowało wejście i Elgan musiał szarpnąć mocniej, by otwór stał się na tyle duży, żeby mógł wejść. Wychylił głowę, ale na łóżku nie dostrzegł nikogo. Czuł jej zapach, tylko jej. Wszedł pewnym krokiem i po chwili poczuł, jak cienki materiał spada na jego głowę i zaciska się wokół szyi.

– Ja cię nauczę, ty, ty parszywy włamywaczu! – wrzasnęła Dorada. – To będzie twój ostatni występ.

– Choćbyś nie wiem jak się starała, mnie już nie zabijesz – wybełkotał Elgan przez krępujący jego usta materiał.

W tym momencie uścisk ustał, a chusta delikatnie ześlizgnęła się z jego twarzy.

– Bogowie... – wyszeptała Dorada. – Czy to naprawdę ty?

Elgan miał wrażenie, że rzuci mu się w ramiona i być może taka myśl nawet pojawiła się w jej głowie, jednak nie trwała zbyt długo.

– Elgan... – wyszeptała.

Wąpierz uśmiechnął się i zaraz skrzywił, gdy Dorada zdzieliła go chustą.

– Zostawiłeś mnie! – warknęła i cisnęła materiał o podłogę. – Zostawiłeś mnie w tej zgniłej do szpiku kości Villperunie!

– Myślałem, że kochasz to miasto.

– Nie waż się żartować! Ani kpić! Zostawiłeś mnie na pastwę szalonego króla i tych parszywych czarodziejów.

– Dorada, ja nie wiedziałem, że do tego dojdzie. Zostawiłem cię z Arsem. Z najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam.

– Znałeś... – poprawiła go Dorada.

Zawiesił wzrok na kaskadzie śnieżnobiałych włosów Dorady, po czym powoli przeniósł go na jej zaciętą twarz. Do Elgana powoli docierał sens słowa „znałeś”.

– Nie... – powiedział po długim milczeniu. – Nie. Jak?

– Zabił go Herrigen. Czarodziej, który mnie... chroni.

Wąpierz wziął głęboki oddech i otworzył szerzej drzwi, tak że teraz Dorada mogła dostrzec leżącego na podłodze Herrigena.

– Zabiłeś go? – spytała cicho i zakryła usta.

– Nie, ale zaraz to zrobię.

Poczuł, jak Dorada łapie go za rękaw i odciąga od niczego nieświadomego czarodzieja.

– On to uczynił, żeby mnie ratować.

Elgan spojrział na nią jak na obłąkaną topielicę. Nie mieściło mu się w głowie, że Dorada wzięła w obronę zabójcę swego ojca.

– Gdyby tego nie zrobił – mówiła, a Elgan słyszał, z jak wielkim trudem przychodziło jej każde słowo – oni poddaliby go torturom. I tak by zginął, ale śmiercią okrutną, niegodną tak wspaniałego człowieka. Żołnierze już ponoć do niego szli. Herrigen wyprzedził ich i ostrzegł Arsa. Nie było szansy na ucieczkę. Otoczyli całe wzgórze...

Elgan nie miał najmniejszej ochoty usprawiedliwiać czynu czarodzieja, ale doskonale wiedział, że leżący na podłodze człowiek postąpił słusznie. Spojrział na Doradę i zdał sobie sprawę, że młoda kobieta, która wyruszyła z nim do Staropola, już nie istnieje. Miał przed sobą zupełnie inną osobę. Ta zrozumiwała dziewczyna pełna życia i pasji, ale krucha i niecierpliwa zniknęła wraz ze złotą barwą jej włosów. Patrzył na kobietę, która była na tyle silna, by wybaczyć mordercy swojego ukochanego ojca, a przynajmniej zrozumieć jego postępowanie

i zaakceptować tę okrutną prawdę. Zrozumieć na tyle, by w szale nie zabić go albo nie uciec od źródła przekraczającego ludzkie możliwości bólu. Wiedział, że musiała dokonać nadludzkiego wysiłku, by schować swoją dumę i podróżować z tym mężczyzną.

– Przykro mi – powiedział Elgan, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Ty znałeś go dłużej. Tak naprawdę... Ja nawet nie zdążyłam go poznać.

Nie miał pojęcia, czy w ogóle istnieją takie słowa, które mogły ukoić jej ból. On przynajmniej miał wspomnienia, całe mnóstwo wspomnień z ich wspólnych wypraw. Pamiętał też, jak długo szaman skrywał swą prawdziwą naturę, nieufny jak mało kto. Musiały minąć trzy wiosny, by z twardej skorupy wyszedł pełen humoru i wrażliwości Ars. Elgan obawiał się, że w stosunku do swojej córki również potrzebował czasu. Niestety często życie ma w głębokim poważaniu ludzkie plany i potrzeby. Dorada będzie musiała pogodzić się z okrutnym losem, który pozbawił ją możliwości poznania prawdziwego Arsa.

– Uciekamy? – zapytała Dorada. Musiała wyczuć jego bezradność i sama wyszła z inicjatywą.

– Tak. Oczywiście – potwierdził i przygryzł wargi, by przywrócić się do porządku.

*Przyjdzie czas na żałobę – upomniał się w myślach. Teraz muszę się skupić na niej. Musi być bezpieczna.*

– Wrzuć tutaj tylko to, co niezbędne. – Wąpierz podał Doradzie skórzany worek.

Wzięła niewielki tobołek do ręki i z westchnieniem cisnęła go w kąt.

– Elgan, ja nie mam już niczego – powiedziała i obwiązała głowę białą chustą z zielonym haftem w kształcie dębowych liści. – Jedyne, czego potrzebuje, to kawałek tej pięknej szmatki, żeby mnie nie zabili za kolor włosów.

– Próbowalaś je czymś farbować?

– Naturalnie... ale kolor trzyma się tylko przez chwilę. Jeszcze nie znalazłam odpowiedniego barwnika. Zresztą, Zorzanna powiedziała, że tych włosów nie da się barwić.

*To znaczy, że bliżej jej już do więdźmy niż do zwykłego półdemona...*

– Idziemy?

– Tak. Tędy.

Wyprowadził ją na korytarz. Mijając nieprzytomnego Herrigena, Elgan nie powstrzymał się i kopnął go w żebra.

– Elgan! – zganiła go Dorada, ale nie była w stanie ukryć satysfakcji.

– Już wystarczy.

Wąpierz wypuścił ze świstem powietrze i minął czarodzieja. Biegiem ruszyli schodami w dół.

– Pan domu pewnie już wstał – ostrzegła go Dorada. – Może jednak...

– Śpi. Uśpiłem go magią. Ale musimy się spieszyć, słońce zaraz wzejdzie.

Opuściwszy dom Dobromira, pobiegli na tył, gdzie czekała uwiązana jasnobrzowa klacz.

– Wskakuj – polecił Elgan, odwiązując lejce.

– A ty?

– Zwierzę całkiem dobrze zniesie twoją obecność, ale gdybym jeszcze ja go dosiadł, odgryzłoby nam wszystkie kończyny.

– A Zima?

Elgan uśmiechnął się na to pytanie. Fakt, że pamiętała, jak nazwał konia, nieoczekiwanie sprawił mu radość. Biała klacz była żywym wspomnieniem ich wspólnej wędrówki w czasach pokoju, kiedy jedyną udręką były ich sprzeczki. Wiele by dał, by móc się denerwować na Doradę za te beznadziejne dyskusje, zamiast martwić się, gdzie ją ukryć, by nie przebili jej serca za to, że może być więdźmą.

– Jest bezpieczna – zapewnił wspaniał. – Jedź. Ja będę zawsze blisko ciebie.

– Jak?! Będziesz za mną biegł?

– Powiedzmy... Zaufaj mi. Wyjedź z miasta i skręć na rozwidleniu w stronę białej wieży. Ma taki zarośnięty mur i...

– Wiem, o jakiej wieży mówisz.

– Doskonale. Jedź.

– A gdzie mam się zatrzymać?

– Ja cię zatrzymam, gdy przyjdzie pora.

Skonsternowana Dorada zmarszczyła brwi i pociągnęła nosem.

– Nie. Nie zwariowałem – uprzedził jej pytanie. – Jedź, błagam.

– Muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

– Powiesz, jak się zatrzymamy. No ruszaj, bo już się dzień robi.

– Nie! To ważne. Tyle już czekałam, żeby ci to wyznać.

– To musisz się streszczać.

Dorada jak na złość zamilkła. Długo ważyła słowa, nim w końcu powiedziała coś, czego kompletnie się nie spodziewał.

– Ty pochodzisz ze Staropola.

– Co takiego? – Elgan spojrział na nią podejrzliwie.

– Medalion. Twój medalion to stary symbol Staropola. Miałabym go teraz ze sobą, ale tej przeklętej Wandzie ukradła go wiedź...

– Zorzanna czeka na nas w chacie mojego znajomego, a to – Elgan wyjął zza koszuli złoty krążek – jest już na swoim miejscu.

– O bogowie! Ty go masz! – Chwyciła medalion oburącz i utkwiała w nim wzrok, jakby sama nie dowierzała własnym oczom. Po chwili zanosła się śmiechem. Śmiechem szaleńca, który całe życie piął się na niezdojbyty szczyt, by odnaleźć szczęście, po czym na ostatnim odcinku drogi dowiedział się, że to, czego tak pragnie, jest u podnóża góry.

– To Zorzanna jej go ukradła? Słodki Perunie! Ależ Rodzanice mają wyborne poczucie humoru! – Dorada ścisnęła mocniej medalion

i spojrzała Elganowi w oczy. – Zanim Wanda dała się oskubać wiedźmie, odwiedziła jakiegoś czarownika.

– A on jej powiedział, że byłem kowalem i sam go sobie w tym Staropolu wykułem? – bardziej stwierdził niż spytał, przypomniawszy sobie słowa Welesa. Zgodnie z zapewnieniami boga, Elgan był w przeszłości rzemieślnikiem parającym się wyrobami z metalu.

– Nie. Zupełnie nie. Elgan, ty byłeś magiem.

Teraz to wąpierz zaniósł się śmiechem.

– No jedna lepsza od drugiej – zakpił. – I co jeszcze?

– Nie drwij, bo znowu po głowie dostaniesz – pogroziła mu. – Wanda oczywiście w to nie wierzy. Twierdzi, że czarownika poniosło. Jej zdaniem byłeś czarodziejem.

– Czyli jednak czarodziejka jest mniej tępa, niż przypuszczałem.

– A myśl sobie co chcesz – fuknęła Dorada. – Ale jak się okaże, że miałam rację, to...

– To co?

Dorada przymrużyła powieki i przekręciła głowę na bok.

– To uczynisz mnie wąpierzycą.

– No nie wierzę! Co do cho...

– Żartowałam – przerwała mu Dorada. – Gdybyś widział swoją minę... – Zachichotała. – Wąpierzycą być nie muszę. Wystarczy wiedźmą.

Elgan westchnął, a Dorada poruszyła lejcami, zachęcając klacz do drogi.

– Jak się okaże, że miałam rację – mówiła, już jadąc – to skopiesz tyłek tej rusałce za to, że mi miód kiedyś wyżarła!

*To akurat da się zrobić – pomyślał Elgan. Obawiam się jednak, że to wzniosłe wydarzenie będzie tylko legendą. Tak jak to, że byłem magiem.*

Pierwsze promienie słońca padły na wąską ścieżkę, po której gnała śniada klacz. Elgan odczekał chwilę i w postaci nietoperza poszybował w ślad za Doradą.



## ROZDZIAŁ XXV

Świt wdarł się przez luki w zasłonach. Do wozu wtargnął także egzotyczny zapach kwaśnych i cierpkich owoców, które Wanda jadła tylko trzy razy w życiu, będąc na wielkich ucztach w Gorent i raz na Uczcie Zaprzysiężenia w Villperunie. Zapach cytrusów wymieszał się z orzeźwiającą, morską bryzą.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Ziemowit zaraz po tym, jak czarodziejka uniosła powieki.

Śniło jej się morze. Płynęła na pokładzie wielkiego statku po wzburzonych falach. Stała na dziobie i obserwowała niespokojne wody. Nie byłoby w tym śnie nic dziwnego, gdyby nie twarz wiedźmy, która nieustannie układała się z morskiej piany i znikwała, roztrzaskując się o pokład.

Wanda bezwiednie dotknęła sukni, by upewnić się, że jest sucha.

*Co ja wyprawiam?* – zganiła się w myślach. *Źle jest ze mną, skoro mi się sen z jawą miesza.*

– Miałaś jakiś koszmar? – spytał Ziemowit i spojrzał na nią znad rękojeści miecza, którą miał w zwyczaju często polerować.

– Mówiłam przez sen?



– Nie. Ale twoja twarz... – Rycerz schował ostrze, po czym odsłonił nieco zasłonę, by wpuścić trochę światła. – Czy to wspomnienia z chaty białogrodzkiej wiedźmy cię tak męczą?

Pokręciła głową.

– Nie. Niedosłownie. Chyba... chyba po prostu jestem zmęczona. Ziemowicie... – Poczekała, aż na nią spojrzy. Potrzebowała tego, by w razie czego wyłapać kłamstwo. – Czy wiesz, jaką misję przydzielili mi tutaj Witold?

– Nie – odparł krótko i zdecydowanie.

*Nie kłamie* – pomyślała.

– Nie wiem – powtórzył. – Ale pamiętaj, że masz prawo odmówić wykonania rozkazu.

– Jeśli odmówię, zwolni mnie ze służby.

– Tak. Ale cię nie zabije – dodał, jakby miało to być wielkim pocieszeniem.

Nagle zaryczały trąby, obwieszczając pojawienie się przybyszy. Wanda wyrzała przez małe okienko i zamarła na widok potężnej bramy wjazdowej. Do tej pory znała ją tylko z rycin oglądanych na zajęciach z wiedzy o świecie. Rycina na pożółkłej karcie starej księgi nawet w połowie nie oddawała majestatu budowli, która jakby na przekór szarości poranka błyszczała pozłacanymi zdobieniami. Wozy zatrzymały się. Wanda z Ziemowitem wyszli na zalaną słońcem ziemię.

– Jeśli upadnie Hellenesti – zaczął za jej plecami stary Witold Hardy – upadnie i złoto. Zostanie tylko surowy kamień i wspomnienie dawnej potęgi.

– Zachowaj te uwagi dla siebie – zasugerował Radomir. Jego twarz napięła się, a źrenice w kocich, przebiegłych oczach zwęziły się nienaturalnie. Wanda miała wrażenie, że za chwilę przyleje staremu Witoldowi, jakby ten był jakimś niesfornym dzieckiem. Jego złość nie zdziwiła jej nawet w najmniejszym stopniu, za to uwaga Witolda już tak.

*Dlaczego Hardy nagle mówi o upadku tak potężnego królestwa? – zastanawiała się, patrząc na sieć zmarszczek, które pokrywały skórę członka Rady. Może to nieuchronnie zbliżający się kres jego istnienia na tym świecie podsuwa mu takie myśli?*

Po raz kolejny trąby zawyły nisko i przez uchylone skrzydło drzwi wyszło pięciu mężczyzn w białych, dziwnie zaplątanych na ich ciałach, długich szatach. Ubrania zdawały się niedopasowane do wzrostu, bo wszyscy ściskali w lewej dłoni rąbek tkaniny, by ta nie ciągnęła się po ziemi. Wanda podeszła bliżej, by przyjrzeć się ludziom, ale jej wzrok powędrował na potężne drzwi, których strzegły dwie monumentalne kolumny. Wyglądały, jakby wyrastały wprost spod ziemi i pięły się dumnie wzdłuż dwuskrzydłowych, żelaznych drzwi, by dźwigać piękno wijących się wokół nich metalowych winorośli. Gdy wzrok Wandy przyzwyczał się do porannego światła, dostrzegła też delikatne żłobienia na kolumnach. Wzór układał się w labirynt ścieżek, niczym plan jakiegoś niezwykłego miasta. Z kwadratowych płyt, które wieńczyły kolumny, zwisały cienkie, brązowe witki czekające na wiosnę, by rozkwitnąć i zazielenić budowlę.

Oderwała wzrok dopiero, gdy jakiś chrapliwy głos rozkazał, by wszyscy zebrali się w jednym miejscu. Zgodnie z poleceniem stanęli w równym rzędzie, a niski mężczyzna o ciemnej karnacji i przenikliwych, brązowych oczach szedł wzdłuż nich i uważnie przyglądał się każdemu przybyszowi. Na drobnym ciele mężczyzny wisiał luźny, biały płaszcz przepasany rzemieniami, na których dyndały dzwoneczki i maleńkie rzeźby w kształcie trójzębu, błyskawicy i kuli – tę ostatnią Wanda uznała za symbol słońca. Przed szereg wystąpił Witold i skłonił się nisko, gdy mężczyzna o wnikliwym spojrzeniu podszedł do niego.

– Jestem Agis, wierny sługa Seleukosa VII Nikatora, władcy Zjednoczonych Królestw Nadmorskich.

– Witold Hardy, Przewodniczący Rady Królewskiej Villperuny. Wierny sługa Valdima II – przedstawił się starzec, wsparłszy się na ramieniu Radomira, młodszego członka Rady. Witold schylił lekko głowę na znak szacunku dla Agisa.

– Pamiętam cię, Witoldzie – przyznał wysłannik Seleukosa. – Wielce jestem rad, widząc cię w zdrowiu.

– Wiek mnie nie oszczędza – przyznał Hardy. – Ale umysł wciąż mam sprawny, Agisie. Bądź łaskaw pozwolić nam spocząć w waszych pięknych komnatach. Podróż mieliśmy doprawdy długą i męczącą.

– Naturalnie. – Wierny sługa i doradca Seleukosa VII uśmiechnął się i po chwili odwrócił do stojących przed murem żołnierzy. – Otworzyć bramę!

Wszyscy wrócili do zaprzęgów. Po chwili skrzydła drzwi rozwarły się i konie szarpnęły wozem.

Dwa rzędy kolumn dumnie okalały kamienną drogę i ciągnęły się aż do pierwszego rozstaju. Powóz skręcał raz w jedną, raz w drugą stronę, tak często, że Wandzie zakręciło się w głowie. Kręte, wąskie uliczki zdawały się ciągnąć bez końca. Gdy po jakimś czasie powóz na powrót zaczął poruszać się swym monotonnym rytmem, a konie miarowo stukały kopytami, ciągnąc ich wzdłuż prostej drogi, wokół której wznosiły się piękne, kamienne, piętrowe domy, czarodziejka odetchnęła z ulgą i wróciła do podziwiania niezwykłych budowli. Żałowała, że to nie Seleukos VII zwrócił się do Akademii po usługi czarodziejów. Pokochała to miasto od pierwszego wejrzenia. Miała ochotę zostać dłużej w tym miejscu, pełnym wdzięku i obfitości. Czar jednak prysł, gdy przypomniała sobie o tajemniczej misji, którą miała tutaj wykonać. Obawiała się, że nie będzie to nic przyjemnego, skoro Witold do ostatniej chwili nie chce jej zaznajomić z zadaniem.

Powóz zatrzymał się, a Agis zawołał wszystkich pod zadaszone wejście do pięknego budynku. W oczach Wandy wyglądał jak pałac.

Czarodziejka zachłysnęła się świeżym powietrzem i przepychem, którym kipiało Hellenesti. Przez gęstą zabudowę nie widziała morza, ale je czuła. Powietrze wręcz przesycone słońcą, rześką bryzą, łagodnie pobudzało zmysły przytłumione zmęczeniem.

Poczekwała, aż Agis zamieni na osobności kilka zdań z Witoldem i Radomirem. Gdy wszyscy wymienili uprzejmości i niezbędne informacje, Agis zdecydował, że osobiście odprowadzi do komnat Wandę i Ziemowita, który z racji pełnionej funkcji musiał być zawsze goszczony w pomieszczeniu obok czarodziejki. Rycerz miał obowiązek czuwać nad Wandą do czasu, gdy ta powróci do Villperuny i odda przepowiednię.

Ruszyli przestronnym korytarzem, którego podłoga składała się z misternie ułożonych drobnych kamieni, tworzących niezrozumiałe dla niej symbole. Najpierw udali się do komnaty Ziemowita. Chwilę trwało, nim Wanda przekonała go, że nie musi jej odprowadzać pod same drzwi, które były dosłownie obok. Gdy rycerz w końcu pożegnał ich i zamknął się w swojej kwaterze, wcześniej milczący Agis jakby przypomniał sobie o uprzejmiej rozmowie, którą wypadało prowadzić w trakcie takich spotkań.

– Powiedziano mi, pani, że jesteś – urwał i wykrzywił twarz, jakby z wielkim trudem próbował sobie coś przypomnieć – czarodziejką. Tak. Witold twierdzi, że jesteś czarodziejką.

– Czyżbyś nie słyszał, panie, o naszej profesji?

– Ależ słyszałem. Słyszałem, czytałem, wielokrotnie też o magii czarodziejskiej dyskutowałem w aulach naszych akademii, ale nigdy wcześniej nie rozmawiałem z czarodziejem.

– Ja za to po raz pierwszy goszczę w Hellenesti. Chętnie z panem porozmawiam o naszej magii, ale dziś chyba nie dam rady.

– Nie śmiałybym – zapewnił szybko Agis, zanosząc się dwornym, pełnym sztucznej uprzejmości śmiechem. – Rad będę, jeśli znajdziesz dla mnie chwilę w trakcie pobytu. A tutaj – przekręcił klucz w pozłacanym

zamku – jest pani komnata. W razie potrzeby proszę kierować wszelkie prośby do służącej. Powinna się tu niedługo zjawić.

– Dziękuję – powiedziała Wanda i uśmiechnęła się do Agisa, czekając, aż ten w końcu zostawi ją samą.

Odprowadziwszy wzrokiem sługę Seleukosa VII, weszła do swojej komnaty. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to podłoga. Zamiast barwnymi dywanami, możni Hellenesti swoje kamienne posadzki dekorowali drogocennymi kamieniami, by podkreślić bogactwo i władzę. Zmrużyła powieki, gdy słońce wyłoniło się zza chmur, a jego blask zatańczył na drobnych kryształach w czarnym marmurze.

– Pani Wanda?

Czarodziejka wzdrygnęła się na dźwięk swojego imienia. Była tak pogrążona w myślach o nadchodzącej, tajemniczej misji, że nie zauważyła, że dwie służki wtaszczyły do jej komnaty lśniąca złotem balię, a trzecia klęczała tuż za nią. Widziała jedynie czubek jej kasztanowych włosów.

– Tak?

Służka podniosła się. Teraz wszystkie trzy wpatrywały się w nią, jakby była posągiem bogini, który właśnie przemówił.

– Balia już gotowa – wyszeptała jedna, spuszczać płochliwie wzrok.  
– Za chwilę przyniesiemy gorącą wodę.

– Przynieście zimną.

Służka spojrzała na nią ze strachem w oczach. Wanda mogła się tylko domyślać, jakie kary stosowali możni za niedostatecznie ciepłą wodę.

– Sama ją podgrzeję – dodała szybko. – Jestem czarodziejką. Potrafię sama podgrzać wodę.

Kobiety przy balii spojrzały po sobie, a później wszystkie trzy, jakby na zawołanie, padły na kolana.

– Litości, pani... – załkała ta przed nią. – Jeśli ktoś zobaczy, że niesiemy zimną wodę do pani komnaty...

Wanda zrezygnowała z tłumaczenia, że przynoszenie wrzątku nie ma sensu. Nie chciała, by służki w jakikolwiek sposób ucierpiały przez jej marną znajomość obyczajów Nadmorskich Królestw.

– W porządku – rzuciła, opadając na fotel. – Przynieście więc tę ciepłą wodę.

– Dziękujemy – wyszeptały wszystkie trzy i wyszły w popłochu z komnaty.

Myślami Wanda była już w pachnącej, ciepłej kąpieli. Zdjęła buty i bosą stopą przyciągnęła jedną z licznych toreb, które służący wnieśli do komnaty jeszcze zanim się w niej zjawiła. Wciągnęła skózaną torbę na kolana, a potem odnalazła drobny flakonik o obłym kształcie i barwie ciemnego fioletu. Gdy otworzyła korek, komnata wypełniła się zapachem czarnej porzeczki. Uwielbiała tę woń. Kojarzyła jej się z dzieciństwem i częstymi wyprawami z ojcem i Gerikiem do lasu. Oni polowali na dziki, a Wanda zbierała do wiklinowego koszyczka jagody, poziomki lub czarne porzeczki. To właśnie podczas zbierania tych ostatnich odkryła w sobie moc. Jej dar ożył dużo szybciej niż u większości dziewczynek. Ustawowo, każda rodzina posiadająca córkę powinna zjawić się w najbliższym oddziale Akademii Magii Czarodziejskiej nie wcześniej niż po szóstym lecie po narodzinach. Z chłopcem zaś czekano, aż upłynie osiem wiosen. Po tym jak Gerik ukończył dziewiąty rok życia, rodzice stracili nadzieje na to, że Weles obdarzy ich dzieci mocą. Dar pojawiał się bowiem najczęściej u pierworodnych. Wanda jednak już w czwarte lato uwolniła moc, wywołując zaskoczenie nie tylko wśród rodziny, lecz także całej Akademii w Rienie.

Doskonale pamiętała dzień, w którym jej życie nabrało innych barw. Stało się to w drodze powrotnej do domu, gdy niosąc koszyczek z czarnymi porzeczkami, nieumyślnie uraczyła je magią. Zamiast soczystych, twardych owoców, przyniosła do domu marmoladę. Najlepiej w jej pamięci zapisały się drobne iskierki unoszące się nad porzeczkami

w koszyku i ich intensywny zapach. Zapach narodzin jej mocy. Zapach czarnej porzeczki.

Zanim zakorkowała flakonik z aromatem, wlała kilka kropel na dno pustej balii i na dłonie. Czekała na służki, wcierała olejek w czarne loki i rozmyślała o latach beztroski, które przerodziły się w lata wypełnione pracą, nauką i magią.

Ktoś zapukał do drzwi jej komnaty.

– Wejdźcie – zawołała, uśmiechając się pod nosem na samą myśl, że za chwilę służki wypełnią balię wodą.

Znieruchomiała, gdy zamiast pokornych twarzy tutejszych kobiet zobaczyła Witolda Hardego.

– Czas, byś dowiedziała się, po co tu przybyłaś.

– Teraz?

– Tak. Ale najpierw zabezpiecz to pomieszczenie, by nikt nas nie usłyszał.

Wanda zgodnie z poleceniem wyczarowała fale maskujące rozmowę. Wokół nich pojawiły się mleczne drobinki, które leniwie krążyły, wydając przy tym odgłos podobny do szumu wiatru.

– Myślałem, że będę miał więcej czasu na przygotowanie cię do tego zadania, ale okazało się, że osoba, z którą masz się spotkać, jutro wieczorem odpływa do Alanty, stolicy Zjednoczonych Królestw Nadmorskich.

– Rozumiem. Cóż mam zatem zrobić?

Witold utkwiał wzrok w drobinach magii. Wandzie nie spodobało się to, że Przewodniczący nie patrzył jej w oczy. Sprawa musiała być trudna nawet dla niego.

– Musisz udać się do Pytii.

– Słucham?

Starzec milczał, a w Wandzie narastało oburzenie. Doskonale wiedziała, kim jest Pytia. Kobieta wychowywana przez kapłanów, przez

lata przyuczana do roli wieszczki, po uzyskaniu święceń przejmowała od starszej kapłanki miano Pytii. W przeciwieństwie do wrózek, Pytia od dziecka przechodziła serię niebezpiecznych obrzędów, które miały na celu przybliżyć ją do bogów Olimpu. Według uczonych ksiąg, kobieta nosząca ten tytuł była nieomylna, a jej słowa święte.

– Przecież to bluźnierstwo – syknęła Wanda. – To tak, jakbym odwróciła się od bogów Wyraju.

– Wiem – przyznał chłodno Witold.

– Nie mam nic przeciwko wyznawcom bogów Olimpu – kontynuowała Wanda. Jej słowa były coraz szybsze. – Może nawet nie jestem najpokorniejszym wyznawcą naszych bóstw, ale nie będę ryzykowała wiecznego potępienia. Jeśli udam się do Pytii, to tak jakbym prosiła o pomoc bogów Olimpu. To tak, jakbym przeklęła samego Welesa.

– Wiem.

– Wiesz. A mimo wszystko mnie o to prosisz.

– Możesz odmówić – rzekł i po raz pierwszy spojrzał jej w oczy.

Wanda miała ochotę wymierzyć mu policzek. W tej jednej chwili zrozumiała, dlaczego to właśnie ją zabrał do Hellenesti.

*Wie o moich długach... Wie, że nie odmówię, bo potrzebuję tych pieniędzy. Jeśli teraz dobrowolnie odejdę, nie zapłacę mi złamanego miedziaka.*

– To podłe – wydusiła z siebie.

– To konieczne.

– Dlaczego?

– „Na końcu drogi koło odwiecznej walki obróci się, zamykając bieg, da życie nowemu” – zacytował ostatnie zdanie starej przepowiedni. – Musimy się upewnić, czy nowe, które ma nadejść, nie tyczy się nowych bogów. Pójdiesz do Pytii z przepowiednią. Ona wyzna ci prawdę.

– A co, jeśli okaże się, że w istocie to bogowie Olimpu mają rozpocząć nowy rozdział na ziemiach Villperuny?



– Wtedy będziemy wiedzieli, że to wojna nie tylko nasza, lecz także bogów. Jeśli okaże się najgorsze... trzeba będzie zrobić wszystko, by umocnić bogów Wyraju.

Wanda od razu pomyślała o dzieciach i ołtarzu ofiarnym.

*Czy więdźmy juź wpadły na ten sam pomysł? Czy porywają te dzieci, by umocnić naszych bogów?*

Zrobiło jej się niedobrze. Magia opadła wraz z jej siłami.

– Czar przestał działać – uprzedziła Witolda, który zamierzał coś powiedzieć.

Przewodniczący odchrząknął, po czym skierował się do drzwi. Nim wyszedł, spojrział na nią surowym wzrokiem, w którym jednak odnalazła odrobinę współczucia.

– Jutro rano.

– Dobrze – odparła oschle Wanda.

Witold wychodząc, minął się z słuźkami niosącymi gorącą wodę. Teraz jednak perspektywa kojącej duszę i ciało kąpieli juź nie napawała jej taką radością.

*Może Mokosz zrozumie mój haniebny czyn – myślała, patrząc na wodę w balii. Może choć jeden bóg zlituje się i wpuści mą duszę do Wyraju...*



Nie powiedziała Ziemowitowi o swoim zadaniu, choć ten bardzo nalegał. Witold nie kazał jej trzymać wizyty u Pytii w tajemnicy, ale milczała, bo rycerz z pewnością próbowałby ją od tego odwieść. Przed wejściem do świątyni Apolla kilka ptaków uderzało dziobem w kamienne schody w poszukiwaniu pożywienia. Na widok Wandy zerwały się i wzbiły w zachmurzone poranne niebo.

– Niełatwy ich żywot, gdy ziemia odmawia nam swoich darów – powiedziała, wodząc wzrokiem za odlatującym ptactwem.

– Może jednak zechcesz przedyskutować ze mną swoje zadanie – zaproponował kolejny raz Ziemowit.

– Nie. Najlepiej będzie, jak już pójdę.

– Wando...

– Poczekaj tu na mnie.

Usłyszała jakiś brzęk dobywający się z wnętrza świątyni, więc postanowiła nie zwlekać dłużej i ruszyła po kamiennych schodach w stronę imponującej rzeźby boga Apolla. Opiekun piękna, wróżb i prawdy pilnował wejścia swym spokojnym, nieruchomym wzrokiem. Na kolorowym szkle witraży, które zdobiły okna świątyni, pojawiały się i znikwały migotliwe cienie. Wanda weszła do środka i zmrużyła powieki, oślepiona blaskiem ognia płonącego w ogromnej, kamiennej misie. Płomienie wdarły się do jej duszy i poruszyły te miejsca, które Wanda wolała trzymać w zamknięciu. Wspomnienie dopalającego się ogarka w domu wiedźmy wróciło teraz ze zdwojoną siłą. Poluzowała pas na płaszczu, czując, że brakuje jej tchu.

– Widok wnętrza tej wspaniałej świątyni zaprawdę zapiera dech w piersiach – przyznał kapłan, zbliżając się do Wandy.

Niski mężczyzna wyglądał, jakby był u kresu swojego życia. Jego ciemna, wypalona przez słońce skóra, marszczyła się niemal na każdym skrawku ciała. Wanda wzdrygnęła się na jego widok. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy to aby na pewno jest człowiek. Ciemne, drobne oczy spoczęły na niej z taką siłą, że straciła czucie, jakby naraz odebrano jej wszystkie zmysły. Nieprzyjemne doznanie minęło równie szybko, jak się pojawiło i teraz Wanda czuła tylko mrowienie w całym ciele.

*Kim ty jesteś?* – zastanawiała się, jednocześnie sprawdzając, czy drzwi do świątyni są dalej uchylone, tak jak je zostawiła. *Mężczyzna nie*

*może być Pytią.*

– Przyszłam zobaczyć się Pytią – zaczęła, by przerwać niezręczną ciszę. – Polecono mi, abym najpierw udała się tutaj, by... porozmawiać.

Dokładnie taką instrukcję przekazał jej tego ranka jeden z kapłanów.

– O czym chcesz porozmawiać?

– Nie wiem – przyznała z zażenowaniem Wanda.

– Usiądźmy więc i zastanówmy się, co też warte jest naszej rozmowy.

*W tak niedorzecznej sytuacji chyba jeszcze nigdy się nie znalazłam – pomyślała, po czym zajęła miejsce obok kapłana na wąskiej ławce. Czy zanim zaprzędam duszę bogom Olimpu, muszę jeszcze się przed nimi ośmieszyć?*

Siedzieli w milczeniu, patrząc na rzeźby wojowników, gigantów i bogów. Niebo musiało się przejaśnić, bo na ścianach pojawiły się kolorowe smugi. Światło wpadające przez witraże wydobyło niebieską poświatę, co sprawiło, że mimo płonącego ognia, świątynię spowijał zimny dotyk błękitnych promieni.

– Piękne rzeźby – przyznała Wanda. Im dłużej im się przyglądała, tym więcej szczegółów dostrzegała w chaosie bitwy, którą uwiecznił artysta. – To musiało być ważne wydarzenie.

– Bitwa z gigantami... – Kapłan zamyślił się. – Byli tam wszyscy bogowie Olimpu. Na ten jeden dzień zapomnieli o wszelkich waśniach i zjednoczyli siły.

Wanda zatrzymała spojrzenie na ogromnych postaciach, z których ciał przebijały się węże. Giganci wyglądali niemal jak ludzie. Choć byli wielcy i potężni, ich ciała krwawiły tak samo, jak ciała ofiar każdej wojny. Tylko rozwarte paszcze węży, które były zespolone z ciałami gigantów i straszyły kroplami jadu spadającymi z ostrych kłów, odróżniały gigantów od zwykłych śmiertelników.

– Nie warto zadzierać z siłami wielce przewyższającymi nasze pojmowanie – powiedział kapłan po chwili milczenia.

– Giganci musieli być bardzo zuchwali, skoro odważyli się podnieść rękę na bogów – przyznała Wanda.

– Wierzysz w nich? – spytał, wskazując posąg Zeusa, który ciskał piorunem w grupę rozwścieczonych gigantów.

Fala gorąca ogarnęła jej ciało.

*To próba* – pomyślała, zastanawiając się gorączkowo, jakiej odpowiedzi powinna udzielić. Jeszcze przed chwilą bała się spotkania z Pytią. Teraz zaczynała się obawiać, że do tego spotkania w ogóle nie dojdzie, jeśli rozmowa przebiegnie niepomyślnie. Musiała wykonać to zadanie. W przeciwnym razie nie zarobi w Villperunie ani miedziaka. Co gorsza, jeśli król ją po tym odeśle do Rieny, zyska złą sławę w całym Gorent.

– Moja wiara i serce należą do bogów Wyraju – odparła. Jej palce zaciskały się nerwowo na fałdzie płaszcza.

– Czasami zastanawiam się, czy oni wiedzą o swoim istnieniu.

– Wybacz, kapłanie, ale nie pojmuję twoich słów.

– Czy bogowie Olimpu wiedzą o Wyraju? Czy wasz Perun ciska gromy razem z Zeusem, gdy ludzie niszczą ten świat? A może – urwał i spojrzał Wandzie prosto w oczy – może my wierzymy w tych samych bogów?

– To dla mnie zbyt trudne pytanie. Jestem tylko czarodziejką. Nie pojmuję boskich planów. Staram się jedynie żyć w zgodzie z ich wolą i służyć światu swym talentem.

– Słusznie. Świat trzeba wypełniać naszymi talentami. Twój zaś jest wyjątkowy.

– Dziękuję.

– Wyjątkowy i niebezpieczny – dodał, przenosząc wzrok na Zeusa. – Każda broń to miecz obosieczny. Czy uczą was, czarodziejów, jakie zło może wyrządzić magia?

– Wiele lat poświęciłam na studiowanie niebezpieczeństw związanych z niewłaściwym używaniem mocy. Zapewniam, że moje

intencje są szlachetne.

Kapłan w zamyśleniu przytaknął pomarszczoną głową.

– Poznać człowieka można po tym, jak widzi świat – stwierdził i Wanda znów poczuła, że straciła z nim nic porozumienia. – Powiedz zatem, czarodziejko, co widzisz?

Wanda rozejrzała się niepewnie.

– Widzę wybitne dzieła. Widzę piękno wyrytych w skałach bogów, ludzi i gigantów i ciężką pracę artysty, który zapewne poświęcił większość swojego życia, by stworzyć to dzieło.

– Tylko tyle? – spytał kapłan.

Przez moment Wanda miała wrażenie, że uśmiechnął się zaczepnie. Szybko jednak wrażenie uleciało. Stary człowiek unosił lekko brwi, cierpliwie czekając na odpowiedź.

*Co on, do licha, chce usłyszeć? – pomyślała i po raz kolejny powiodła wzrokiem po ścianach. Czy w tym chaosie walki jest ukryta jakaś święta prawda?*

Czuła, jak wraz z zimnym potem, zraszającym jej plecy, traci cenny czas. Skrzek ptaków, które najwyraźniej wróciły przed świątynię, nie pozwalał jej się skupić. Nagle szary gołąb wleciał do środka i usiadł na posągu bogini Ateny. U jej stóp leżały włócznia i tarcza, a za plecami, w koronie oliwnego drzewka, siedziała sowa, która obserwowała walkę z góry. Wanda bezwiednie dotknęła opuszkami końcówek swoich czarnych loków. Kamienna bogini również miała kręcone włosy, które opadały na jej strudzoną od walki twarz. Atena w swych dłoniach trzymała ogromną szyję konającego giganta. Wygrywała tę bitwę, a mimo to w jej oczach artysta uwiecznił cierpienie.

– Ból – powiedziała po długim milczeniu. – Wszędzie widzę ból.

– Wojna rodzi ból – rzekł kapłan. – Niezależnie od zajmowanej strony. Tyle wojen już widziałem... Czy nie lepiej byłoby ludziom żyć w zgodzie?

– Skoro nawet bogowie nie potrafili, trudno oczekiwać tego od ludzi – skomentowała i szybko ugryzła się w język.

Ku jej zdziwieniu kapłan zaśmiał się cicho.

– Nie da się ukryć, że masz w tym, droga czarodziejko, rację – przyznał i podszedł do rzeźby Zeusa. – Gdyby nie ten piorun, wyglądałby jak jeden z nas. Zwykły człowiek.

Wanda wzdrygnęła się na to porównanie. Nie mogła uwierzyć, że właśnie usłyszała bluźniącego kapłana w jednej z najbardziej szanowanych i podziwianych świątyń w Hellenesti. Porównywanie bogów do ludzi było źle widziane, a gdzieniegdzie wręcz zakazane, zarówno wśród wyznawców bogów Wyraju, jak i wyznawców bogów Olimpu.

– Kiedyś bogowie kryli się w rzeźbach zwierząt – kontynuował kapłan, przechadzając się wzdłuż ściennych rzeźb, jak gdyby nic się nie stało. – Ludzie jednak nie są już tak blisko zwierząt co kiedyś. Pozamykaliśmy je w stajniach i trzodach. Spójrz. – Wskazał kamienną owcę w kącie świątyni. – Wszędzie bogowie w ludzkiej postaci. Zwierzę można dostrzec tylko w tle. Kto wie, co będzie za tysiąc lat?

– Sugerujesz, że przestaniemy czcić bogów?

– O, nie. To się nigdy nie wydarzy. – Zaśmiał się cicho i dobrotliwie, jakby Wanda powiedziała coś nad wyraz głupiego, ale on nie chciał jej urazić. – Człowiek musi w coś wierzyć. Bez wiary trudno byłoby żyć. Człowiek musiałby szukać przyczyn wszelkiego dobra i zła w drugim człowieku. Albo, co gorsza, w sobie. Świat się zmienia, droga czarodziejko. Być może za setki lat człowiek zamiast czcić wszystkich, wybierze tylko jednego stwórcę i pana wszechrzeczy. Może kiedyś ludzie będą chwalić tylko jednego boga?

– Jednego? – Wanda spojrzała na niego, rozbawiona samym pomysłem. – Nikt by w to nie uwierzył. Jak niby jeden bóg mógłby władać tak złożonym światem?

– Byłby wszechmogący.

– To się nigdy nie wydarzy – stwierdziła Wanda. Choć kapłan wydawał się przyjaźnie nastawiony, szybko się opamiętała i dygnęła, przepraszając na wypadek, gdyby jednak przekroczyła granicę przyzwoitości. – Wybacz. Nie chciałam cię urazić.

– Ależ nie przeszło mi to nawet przez myśl. Ten, kto urazę pielęgnuje do każdego, kto myśli inaczej, nigdy nie pozna świata. Zdania sprzeczne z naszym pojmowaniem rzeczy rodzą często istotne pytania. A mądrość czerpiemy właśnie z nich: to pytania podsycają ciekawość i chęć poznania prawdy. – Uśmiechnął się szczerze. – Cieszę się, że mogłem cię poznać, droga Wando.

Spojrzał na jej szatę. Wzrok męczyzny spoczął dokładnie tam, gdzie skrywała zapieczętowany zaklęciem list z przepowiednią.

– Chyba powinnaś spotkać się z Pytią – dodał, przenosząc powoli wzrok na jej twarz. Drgnęła, gdy ich spojrzenia się spotkały.

*Jest czarownikiem – pomyślała. Ich widzącym.*

Nagle cała rozmowa stała się zrozumiała i oczywista. Kapłan prowokował ją, by zobaczyć, jak reagują sploty magii na jej myśli i uczucia. Czytała o tym w jednej z ksiąg z działu „Magia nieokiełznana”. Trafiła na nią przypadkiem, gdy była już zmęczona pisaniem pracy o wiedźmowych praktykach. Na półkach starej biblioteki w Gorent znajdowało się kilka woluminów o magii wiedźm, w których to konkretnych informacji było niewiele, a wręcz praktycznie w ogóle. Wśród setek zdań nie znalazła ani jednej składnej myśli, która mogłaby przybliżyć zrozumienie magii wiedźm i wnieść coś ciekawego do jej pracy zaliczeniowej. Znudzona i sfrustrowana tak mglistymi zapisami, pewnego wieczoru sięgnęła po rozpadającą się księgę *O praktykach magicznych wśród wyznawców bogów Olimpu*. Teraz fragment o kapłanach, który kiedyś przepisała, zaintrygowana takim obliczem magii, wrócił z odmętów niepamięci z ogromną siłą.

*Mają wśród kapłanów czarowników, których zwą widzącymi. Podczas gdy nasi czarownicy widzą sploty magii wryte w otaczającym nas świecie, sploty historyczne, jak i też obserwować mogą ruch splotów otwierających i uginających się pod wpływem magii czarodziejskiej i innej, tak widzący wyznawców bogów Olimpu, wspomagani nieznanymi nam miksturami, potrafią ponoć obserwować zachowanie splotów względem myśli i uczuć ludzkich.*

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda nam się poprowadzić tak miłą rozmowę – rzekł kapłan i skłoniwszy się nisko, zostawił ją samą na środku świątyni.

Dzień dopiero się zaczął, a Wanda czuła się jak po intensywnym treningu uczuć u profesora Girjana na zajęciach z równowagi. Nim zdążyła zawołać kapłana, by wrócił i powiedział jej, dokąd dokładnie ma się udać, zza posągu Apolla wyłoniła się niewiele starsza od niej kobieta. Była całkiem naga, a jej jasnobrązową skórę zdobiły czarne wzory, które przywodziły na myśl ornamenty na kamiennych posadzkach tutejszych domów. Granatowe, cienkie włosy nieznanomej ciągnęły się do samej ziemi, mocząc kamienną podłogę spływającą z kosmyków wodą. Atramentowe oczy błysnęły w świetle ognia, gdy Wanda zrobiła ku niej krok.

– Chodź, czarodziejko. To ze mną dziś bogowie postanowili złączyć twój los.

Wanda podążyła za nią ciemnym korytarzem, który po chwili wyprowadził je na wąską groblę. Pomieszczenie przypominało jaskinię i tylko spiczaste sklepienie, zwieńczone ozdobną rozetą, sugerowało, że nadal są w świątyni Apolla. Rozejrzała się. Po obu stronach unosiła się aromatyczna para, a pod nią leniwie bulgotała woda. Czarodziejka domyśliła się, że kobieta, która właśnie schodziła po wąskich stopniach do tego przedziwnego stawu w świątyni, to Pytia.



– Z czym do mnie przychodzisz? – spytała kapłanka, na wpół zanurzona w pachnącej czymś cierpkim cieczy.

Wanda podała jej pergamin z przepowiednią, z którego wczoraj, na prośbę Witolda, zdjęła zaklęcie zabezpieczające.

– Chciałam prosić cię o prawdę – wyjaśniła. – To stara przepowiednia, która właśnie zaczęła się spełniać. Chciałam zapytać, czy nowe, które wedle wieszczki ma nadejść, to zapowiedź panowania bogów Olimpu.

Kapłanka przeczytała na głos tekst, po czym długo milczała. Wokół niej unosiła się pachnąca para. Co rusz zakrywała szarością postać kobiety, sprawiając, że wszystko wyglądało jak sen – nieuchwytny, rozmyty i tajemniczy. Pytia z zamkniętymi oczami wodziła opuszkami palców po starym pergaminie.

– To nie jest przepowiednia – oznajmiła.

– Jak to? Prze... – Wanda zachłysnęła się z przejęcia. – Przecież sam Terriskel, ceniony swego czasu wróż, miał wizje po przeczytaniu tych słów. Widział zrujnowane miasto. Morze krwi i ruiny...

– Skąd pochodzi ten pergamin?

– Z Villperuny.

– Czyżby? – Kapłanka uśmiechnęła się zagadkowo. – W takim razie Villperuna powinna od setek lat nie istnieć.

Czarodziejka miała wrażenie, że wszechobecna para za chwilę ją udusi.

– Niczego nie rozumiem – wyszeptała, szukając na twarzy Pytii jakiejś podpowiedzi.

– Wróż, o którym wspomniałaś, nie widział przyszłości, a przeszłość. Miejsce, z którego pochodzą te słowa, nie istnieje. Stało się z nim dokładnie to, co zobaczył ów człowiek w swoich wizjach.

– Czym są w takim razie te słowa, jeśli nie przepowiednią?

Pytia zmrużyła oczy i jeszcze raz spojrzała na pergamin.

– Ten, kto zabezpieczył te słowa przed zniszczeniem, władał potężną magią. Tak potężną, że zwykły człowiek nie byłby w stanie jej pojąć – oznajmiła, po czym zanurzyła zwój w wodzie.

– Nie! – krzyknęła Wanda, ale na próżno.

Kapłanka wyjęła mokry pergamin i wręczyła go czarodziejce. Atrament nie rozmazał się ani odrobinę.

– Po co ktoś spisał te słowa? – spytała cicho Wanda, czując, jak groza zaciska swoje szpony na jej gardle.

– Nie wiem. Pierwszy raz w życiu czegoś nie wiem – wyznała szczerze Pytia.

*Bogowie...* – Wanda opadła na kolana. Miała wrażenie, że za chwilę jej głowa rozpadnie się na setki kawałków. Nie była w stanie zmieścić w niej prawdy, która tak nagle na nią spłynęła. *Valdim rozpętał wojnę o nic. Czarownik miał rację. Rod powrócił, a dzieci znikają zapewne z jego powodu. Skoro to nie o przyszłość chodziło, a o przeszłość, to oznacza, że wszystkie wysnute wnioski obciążające wiedźmy o żądze mordy były fałszywe. A my, ja... skazałam na potępienie magię, która może okazać się przydatna, by powstrzymać wyznawców Roda... Boga, który swoją siłę czerpie z wojny i krwi... To nie o uratowanie Villperuny powinniśmy walczyć. Zamiast ścigać wiedźmy, winniśmy zanosić modły do Welesa, Peruna i Swaroga, by wzmocnić ich siłę w walce z tym, co nadchodzi.*

Wanda uniosła głowę i spojrzała na wielobarwną rozetę.

*Bogowie... Kto zatem spisał te słowa? I po co?*



## ROZDZIAŁ XXVI

**K**ażdy rozumny człowiek przyznałby, że samotna dziewczyna jadąca na koniu głównym szlakiem handlowym to najgorszy z możliwych pomysłów. Jednak właśnie tak Elgan nakazał zrobić Doradzie. Lecąc wysoko nad jej drobną postacią, myślał o bezgranicznym zaufaniu, jakim go obdarzyła. Myślał o jej ojcu, którego to właśnie zaufanie okrutnie zawiodło i wywołało lawinę okropieństw. Skutki nadmiernej wiary w możliwości Elgana najpierw dotknęły jego drogą córkę, a później samego Arsa.

Wąpierz złapał się na tym, że zaczął lecieć szybciej, niż powinien. Żądza zemsty i zgładzenia całego dworu Villperuny nagle odeszła w zapomnienie, gdy wyczuł zbliżających się w kierunku Dorady ludzi. Pot męskich ciał i zapach zwierzęcych skór, w które musieli być okutani, mieszał się ze słabą, ale wyraźnie wyczuwalną nutą starej krwi.

*To raczej nie są handlarze... ani nieszkodliwi włóczędzy. Nie czuję też tego parszywego olejku, więc raczej nie żołnierze – pomyślał i poszybował w dół w leśną gęstwinę.*

Musiał wylądować na tyle daleko, by ani Dorada, ani nikt inny, nie dostrzegł jego przemiany. Ostatnie, czego mu brakowało, to gniew

Welesa za zdradzenie tajemnicy przemiany w koty i nietoperze. Już kiedyś był świadkiem pozbawienia jednego węża mocy magii ciemności za to, że chcąc zaimponować jednej damie, zamienił się na jej oczach w pręgowanego kocura. Nigdy więcej go nie spotkał po tym zdarzeniu, ale wielokrotnie zastanawiał się, co teraz robi nieszczęsny Gress. Pozbawiony mocy, zdegradowany do demonów niższego rzędu, nieśmiertelny i wypędzony na wieki z Wyraju. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, jak mała chwila słabości może zrujnować komuś życie, nawet po śmierci.

Biegł ile sił w nogach przez leśną gęstwinę i przeklinał pod nosem swoją słabą kondycję.

*Jakim cudem moje nieżywe ciało dostaje zadyszki?! Weles i to jego przekłete poczucie humoru... Przecież mógł nas wzmocnić, uwolnić od tego dyszenia!*

Weles nigdy nie odpowiedział mu wprost na pytanie, dlaczego węża oddechają i tracą w zmęczeniu dech jak zwykli ludzie, skoro nie mają duszy, ale Elgan i tak domyślał się odpowiedzi. Weles był bogiem przebiegłym i inteligentnym. Dając książętom ciemności ogromną moc i szacunek wśród innych demonów, nie omieszkał zostawić kilku ludzkich niedoskonałości, by nie zapomnieli, że nie są bogami. Z pewnością chciał, by za każdym razem jego podopieczny pamiętał, że Weles trzyma gdzieś uwięzioną duszę swego sługi i jeśli uzna to za niezbędne, rozszarpie ją na strzępy. Elgan niemal każdego dnia myślał o Itrisie i jego przekłetej duszy, którą Weles, z jedynie sobie znanych powodów, wciąż więził nienaruszoną.

Choć korciło go, by przystanąć na chwilę i wyrównać oddech, wytrzymał i ostatkiem sił dotarł do drogi, przy której nieznajomi zdążyli już spotkać Doradę. Jeden bezzębny chudzielec właśnie podchodził do niej z parszywym uśmiechem na obitej gębie.

– To nam się ptaszynka trafiła! – Zagwizdał i stanął pięć kroków przed nią, wspierając dłonie na biodrach.

– Musi być albo głupia, albo odważna – wycharczał zapitym głosem najwyższy, brodaty blondyn, który właśnie zeskakiwał z konia. – Choć niektórzy twierdzą, że to jedno i to samo.

Dwóch pozostałych siedziało dalej na mizernych klaczach. Ich wzrok skakał w jakimś szaleńczym amoku z twarzy swoich towarzyszy na przerażoną Doradę. Szczerbaty wycofał się, gdy blondyn chwiejnym krokiem ruszył w stronę dziewczyny. Elgan zauważył, że chudzielec skłonił się lekko blondynowi, jakby z czcią. Wąpierz przyjrzał się barczystemu pijakowi i wyczuł słabą woń olejku, którym cuchną żołnierze Villperuny. Zapach był na tyle ulotny, że nie wychwycił go, szybując nad lasem. Wysoki mężczyzna o błędnym, błękitnym spojrzeniu, musiał już wielokrotnie zmywać olejek ze swojej skroni.

*Dezserter* – pomyślał Elgan i mimowolnie się uśmiechnął.

Mimo jego niecznych zamiarów w stosunku do Dorady, wąpierz poczuł odrobinę sympatii do człowieka, który sprzeciwił się władcy Villperuny. Szybko jednak ta szczypta ciepłego uczucia uleciała, gdy dłoń dezsertera spoczęła na łydce Dorady.

– Zabieraj od niej łapy – warknął Elgan, wychodząc zza drzewa.

Wąpierz stanął zadyszany na skraju drogi. W poszarpanej białej koszuli w środku mroźnej zimy musiał wyglądać jak szaleniec.

– O! Gołodupiec z lasu mi grozi. – Były żołnierz zaniósł się chrapliwym śmiechem, obrzuciwszy Elgana pogardliwym spojrzeniem. Powoli przeniósł dłoń na but Dorady. Zacisnął na nim palce, jakby chciał pokazać, że to jego własność.

– Taki silny w gębie, a nawet w oczy nie spojrzysz – zakpił blondyn.

– Chętnie bym porozmawiał o twojej dezercji, ale nie mamy na to czasu – powiedział Elgan i wokół jego dłoni zawirowała gęsta mgła.

Przerażony tym, że ktoś zna jego tajemnicę, były żołnierz wyciągnął sztylet z za pasa i puścił się pędem w stronę wąpierz. Nie zdążył jednak nawet krzyknąć, gdy przewróciwszy się, rąbnął o ziemię. W momencie upadku magia ciemności otuliła go swoją mocą i blondyn zasnął, zetknąwszy się z glebą. Reszta jego towarzyszy padła chwilę po nim.

– Czy zamiast biegać za mną po lesie, nie możesz po prostu ze mną iść?! – wydarła się Dorada, w której jeszcze pulsowało przerażenie. Zeskoczyła z konia, ledwo trzymając równowagę na chwiejnych nogach.  
– Myślałam, że mi serce pęknie ze strachu!

Elgan dostrzegł wijące się wokół stóp Dorady cienie nieznanej mu magii. Oczy dziewczyny błyszczały nienaturalnym blaskiem, a ciało drgało lekko i chwiało się, jakby w transie.

– Spokojnie – powiedział łagodnie i wyjął medalion z za koszuli.

– Nie chcę go! – warknęła i odrzuciła jego dłoń, w której trzymał złoty krążek. – Dam sobie radę bez tego.

– Załóż chociaż na chwilę – nalegał.

– Nie. Nie mogę uciekać od mojej mocy. Muszę się nauczyć nad nią panować.

– Wiesz przecież, że ja nie potrafię...

– Wiem!

Cienie wokół zawirowały gwałtownie i Dorada zakryła uszy dłońmi.

– Ty je słyszysz? – spytał przerażony Elgan. – Na litość bogów. Dorada, załóż ten cholerny medalion!

Nie czekał na pozwolenie. Siłą oderwał jej drżące dłonie od głowy i zawiesił rzemień na jej szyi. Elgan nie rozumiał, w jaki sposób działał medalion, ale jego lecznicze właściwości były niezaprzeczalne. Dorada po chwili przestała dygotać, a cienie zniknęły.

*Może medalion blokuje wszelkie żądze i niepojęte pragnienia?* – myślał, rozpatrując swój przypadek. Gdy podarował medalion Doradzie, już po kilku dniach zaczął odczuwać znacznie większą potrzebę krwi niż

wcześniej. Co gorsza, często nie był w stanie nad nią panować. Zaciśnął wargi na myśl o kobiecie, którą zabił w przyпадку szaleństwa i słabości. Miała tak silną krew, a on kompletnie nad sobą nie panował.

– Elgan? – Dorada machnęła mu ręką przed oczami. – Już mi lepiej. Dziękuję... Gdzie tak błądziłeś myślami?

– Ja?

– Elgan... Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale jak nie zaczniesz żyć... to znaczy... być tu i teraz, to czarno widzę moją przyszłość. Gdzie ty w ogóle byłeś? Dlaczego wybiegłeś z lasu?

– Ciii – uciszył ją i wziął głęboki wdech. Spojrzał w stronę drzew i zmarszczył brwi. – Chyba czuję człowieka. Albo... demony. Mamuny? Tutaj?

Weszli w leśną gęstwinię. Klacz szarpała się i prychała. Dorada z trudem utrzymywała wystraszone zwierzę, ale Elgan nie mógł jej pomóc. Klacz zaczęłaby jeszcze bardziej wierzgać, gdyby wapięz się do niej zbliżył.

– Przywiąż ją tutaj. Zaraz po nią wrócimy.

Dorada nie protestowała. Nawet nie zająknęła się o tym, że ryzykują utratą jedyne go konia.

*Czyli wciąż ciekawość jest u niej silniejsza od rozsądku* – pomyślał wapięz i uśmiechnął się, patrząc, z jaką prędkością obwiązuje drzewo.

– Przecież zaraz tu wrócimy – usprawiedliwiła się Dorada, jakby czytając mu w myślach. – Skąd dochodzi zapach?

Wapięz ruszył w głąb lasu. Za plecami słyszał chrzęst śniegu i gałęzi, które trzaskały rytmicznie pod stopami. Nagle zatrzymał się i Dorada wpadła na niego. Odbiwszy się od lnianej koszuli, powiedziała:

– Mógłbyś założyć jakiś płaszcz, choćby dla niepoznaki.

Elgan omiótł spojrzeniem swoje barki i wzruszył ramionami.

– Musiałem go gdzieś zostawić. No co? Ty byś tak zawsze pamiętała o noszeniu czegoś, co jest ci zbędne?

Spojrzał na jej liczne bransolety, które zawsze miała na szyi i nadgarstkach.

– Myślałam, że lubisz dobrze wyglądać. Tamta peleryna, którą miałeś na sobie w chacie Mirosława w Villperunie, była taka szykowna.

– Widzę, że szybko ci humor wrócił. Ciii! Chyba się zbliżają.

Chaotyczne kroki stawały się coraz głośniejsze.

– Są tam! – pisnęła podekscytowana. – To mamuny?

– W rzeczy samej, mamuny – potwierdził i po chwili Dorada również poczuła ich zapach.

Woń zgnilizny wdzierała się w przemarznięte nozdrza, jakby chciała je rozsadzić. Stali nieruchomo, obserwowali milczący marsz starych demonów. Chude, zielone ciała mamun, odstraszały licznymi bliznami, z których wypływała ropna wydzielina. Tylko jęk jednej, zabłąkanej istoty, zakłócał ich monotony pochód.

– A ta...? Kobieta? – spytała zawstydzona najpewniej tym, że trudno było jej powstrzymać odrzę.

– To topielica. Demon. Pewnie utopiła się w jakimś pobliskim stawie, a mamuny wędrują do nowego zbiornika wodnego, żeby się od niej uwolnić.

– Ale ona za nimi idzie.

– Ale będzie musiała wrócić. Jej umęczone ciało samo prędzej czy później pokieruje ją do miejsca swojej śmierci.

– Dlaczego mamuny odpychają tę nieszczęsną topielicę? – spytała szeptem Dorada.

– Bo jedna z mamun ma jej dziecko...

– Dziecko?

– Przyjrzyj się uważnie. Widzisz tę z wielką szramą na czole, z której wystaje... hmm... strzała? Albo zwykły patyk? Albo... Nieważne. – Machnął ręką, jakby odganiając pojawiające się w myślach kolejne pomysły na to, czym mógł być kiedyś kij wystający z głowy mamuny. –



W tych zawiniętych szmatach ma dziecko. Czuję wyraźnie jego zapach. Uśpiły niemowlę swoim śpiewem, ale jak widać topielica, która... wnioskując po kolorze skóry, dopiero co zmarła i jeszcze niedawno była matką, wyczuła obecność swojego dziecka.

– Dlaczego mamuny jej go nie oddadzą?

– Bo ta biedna topielica niedługo postrada rozum. Spośród wszystkich demonów niższego rzędu tylko mamuny są zdolne do opieki nad dzieckiem. Topielica prędzej czy później by je zabiła, najpewniej utopiła. Mamuna nigdy nie opuszcza swojego wychowanka. To on ucieka od niej, gdy tylko jest w stanie to zrobić.

– Ty jesteś demonem wyższego rzędu. Myślisz, że byłbyś w stanie zapewnić dziecku opiekę? – spytała Dorada z niewinnym uśmiechem na twarzy i z charakterystyczną jej naturze uszczypliwością zadarła brodę. – Ciekawe, jak długo zachowałyby swoją ludzką naturę? Hmm, moim zdaniem już w piąte lato zasilaloby zastępy demonów.

– Bardzo zabawne...

Dorada westchnęła z wyraźnym zadowoleniem. Zamyślona zawiesiła spojrzenie na pochodzie mamun.

– Niełatwa jest rola rodzica... – odezwała się po chwili.

– Ars chciał, żebyś była tak silna, odważna i mądra jak on. Chciał dla ciebie dobrze.

– Moja matka też... Jedno zawzięcie chroniło mnie przed światem, drugie wypchnęło mnie w świat w nadziei, że w lot pojmem jego potęgę.

Rozmawiali, nie patrząc na siebie. Obserwowali kwilącą topielicę, która rozpaczliwie błagała mamuny, by oddały jej dziecko. Te jednak niewzruszone maszerowały przed siebie.

– Elgan... Wiem, że już kiedyś usłyszałeś ode mnie niedorzeczną prośbę... Wąpierzycą mi się być zachciało – prychnęła i zaśmiała się, ale Elgan dostrzegł, jak ukradkiem otarła łzę. – To było głupie. Wiem. Ale teraz... Ja muszę być wiedźmą. Oni i tak już mnie za nią mają. – Dotknęła

chusty zdobionej haftem zielonych liści dębu, która skrywała jej białe włosy.

– Mam mgliste pojęcie o magii wiedźm. Nie mogę...

– Poproś Zorzannę. Ona ci nie odmówi. Przecież jesteś księciem ciemności.

Choć twarz Dorady była śmiertelnie poważna, a oczy zaszklone od łez, Elgan nie wytrzymał i wybuchł śmiechem.

– Zorzanna miałaby się mnie słuchać? Przepraszam, Dorada – dodał, gdy na jej twarzy pojawiły się wściekłe rumieńce. – Masz rację. W obecnej sytuacji, choć nie rozumiem ich magii i wolałbym, żebyś trzymała się od niej z daleka, to nie ukrywam, że byłbym spokojniejszy, wiedząc, że umiesz się bronić.

– Ona może mnie jej nauczyć.

– Może. Może, ale nie musi.

– To co mam zrobić, żeby zechciała? – jęknęła zrezygnowana Dorada.

– Nie znalazłam żadnej sensownej książki. Z jednej tylko dowiedziałam się jak... jak wejść do ognia. To znaczy, no...

– Nawet nie wiesz, gdzie byłaś...

– A ty wiesz? Może wiesz. Przecież...

– Co znowu?

– Przecież tam byłeś.

– Czy ty mi będziesz wypominała tę jaskinię do końca świata?! Musiałem chwycić rękę Zorzanny w ogniu. Musiałem tam z nią iść, cokolwiek to było. Jeślibym tego nie zrobił, nie odprowadzilibyśmy Smęta do tego cholernego lasu! Gdyby nie...

– Nie chodzi mi o to – przerwała mu Dorada. – Byłeś w moim... świecie. Chyba. Nie wiem, czy to był mój świat, ale ty tam byłeś. Ja...

Wąpierz przyglądał jej się z grymasem na twarzy wyrażającym kompletny brak zrozumienia. Jednak gdzieś w głębi siebie czuł narastający niepokój.

*Wizje. Te przeklęte wizje we śnie...* – pomyślał.

– Kiedyś... Ja... Ja weszłam do ognia jeszcze w Villperunie. Do świata w ogniu. Rozumiesz? Tak jak ty kiedyś wszedłeś do niego z Zorzanną.

– Sama się pchałaś w takie praktyki czy jakiś życzliwy demon szepnął ci coś do uszka?

– Pomagała mi Jagna. Wróżka. Ona... Oni ją spalili...

Elgan wypuścił wolno powietrze. Jego palce zacisnęły się w pięści.

– Mogłaś też tak skończyć. Co ci strzeliło do głowy, żeby robić takie rzeczy w Villperunie? Zdawałaś sobie sprawę z tego, że królowi odbiło. Musiałaś wiedzieć o tej całej nagonce na wiedźmy.

– Wtedy jeszcze nie mówili o tym tak otwarcie – burknęła. – Nawet jeśli się domyślałam, to co z tego?! Miałam czekać z założonymi rękami, aż mnie wbiją na pal za białe włosy?! Może jeszcze powinnam sama do nich pójść i poprosić o łaskę śmierci?!

– Dobrze już. Czego wrzeszczysz.

– Bo wszyscy tak dobrze dla mnie chcecie, a kończy się na czczym gadaniu!

– Bogowie... Jeszcze słowo, a...

– A co?! Powiesz mi, jak to bardzo się o mnie boisz? Jaka to niebezpieczna magia? I co z tego? Na co mi się zda taka troska?!

Elgan nie wytrzymał i chwycił ją za nadgarstki. Spojrzał jej głęboko w oczy. Dorada nawet nie drgnęła.

– Masz rację. Ty najlepiej wiesz, jak o siebie zadbać. Pomogę ci. Jedyne, o co cię proszę, to rozwaga.

– Nie jestem już dzieckiem.

– Wiem.

Elgan zwolnił uścisk, po czym wstał. Milczał, zastanawiając się nad słowami Dorady.

– Mówiłaś, że mnie widziałaś tam... w tym świecie – przypomniał i spojrzał na gałęzie drzew niby od niechcienia. Cokolwiek zrobił, będąc

jeszcze nie tak dawno temu w stanie rozpacz i szaleństwa, nie chciał dać Doradzie do zrozumienia, że sam nie miał pojęcia, co się z nim działo.

– A i owszem. Złapałeś mnie za ramiona i zacząłeś szarpać. Kazałeś mi oddać ci medalion.

Słowa południcy Marianny odbiły się w jego głowie głuchym echem: *Słyszałam, jak krzyczałeś we śnie. Chciałeś, by ktoś ci coś oddał. Co?*

– To niemożliwe – stwierdził Elgan i prychnął, by uwiarygodnić rozbawienie. Zacisnął palce w pięści, by ukryć drżenie, które pojawiło się nagle, jakby chciało mu przypomnieć, jak słaby był bez medalionu. – Nie pamiętam, żebym cię szarpał i o cokolwiek prosił. Byłem w różnych miejscach i robiłem wiele głupich rzeczy, ale czegoś takiego sobie nie przypominam.

– Nie pierwszy raz czegoś nie pamiętasz.

Elgan łypnął na nią kątem oka.

– Przepraszam. Nie chciałam... – Dorada podniosła się i stanęła obok niego. Oboje wpatrywali się w miejsce, w którym jeszcze niedawno maszerowały mamuny. – Naprawdę tam byłeś.

– To mogła być jakaś iluzja. Magia wiedźm. Nie wiem.

– Czy to możliwe, że w przeszłości parałeś się tą magią?

– Możliwe jest dosłownie wszystko. No może poza tymi bredniami o magu. A co jest prawdą? Tego może nigdy się już nie dowiem.

Dorada położyła mu dłoń na ramieniu. Elgan uśmiechnął się słabo.

– Dowiesz się. Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo.



Do Drewutni mieli jeszcze dzień drogi. Zatrzymali się więc na nocleg w małej miejscinie przy wykarczowanym lesie, który miał stać się ziemią

uprawną. Miasto było małe, ale wielki apetyt jego mieszkańców obrazowały ogromne przestrzenie wyrąbanych drzew. Ziemi przygotowanej pod uprawy roślin starczyłoby do wykarmienia trzech takich mięścin, lecz Elgan nie miał złudzeń co do celu tak zachłannego karczowania lasów. Ten, kto rządził w tym mieście, miał wielkie plany handlowe. Nie podobało mu się tutaj. Spojrzał na przemarzniętą Doradę i zrezygnował z pomysłu dalszej wędrówki. Wziął głęboki wdech, by upewnić się, że w mieście nie ma żołnierzy. Powietrze zdawało się czyste, wolne od olejków świątyni Peruna, ale mimo to coś go niepokoiło. Nie wiedział, czy dziwne widmo nieznanego mu zapachu jest rzeczywiste, czy istnieje tylko w jego wyobraźni.

– W końcu zjemy coś ciepłego. – Dorada szczęknęła zębami i roztarła dłonie. – Błagam. Elgan. Nie ociągaj się, bo zamarznę.

– Poczekaj. – Zatrzymał ją gestem dłoni i wyciągnął z worka przywiązanego do siodła gruby koc.

– O! Jak mogłam o nim zapomnieć? – zawołała Dorada i wyciągnęła drżącą rękę. Wąpierz jednak zamiast rzucić materiał na przemarzniętą dziewczynę, sam szczelnie owinął się ukradzionym z Lasowic materiałem.

– Elgan!

– Wybacz, ale potrzebuję go do przedstawienia – wytłumaczył, po czym zgarbił się lekko, jakby z zimna, i potrząsnął głową tak, by włosy zasłaniały błękitne, nasycone magią ciemności oczy. Był półmrok i ludzie krzatali się po ulicach. Załatwiając ostatnie ważne sprawy, biegali w roztargnieniu, by zdążyć, zanim świat ogarnie ciemność.

– Tutaj – powiedział Elgan, wskazując wzrokiem niewielką karcznię. – Powiesz gospodarzowi, że nas napadli. Wyglądam, jakbym był ostatnią łajzą i ktoś właśnie mnie pobił. – Uchylił lekko koc, odsłaniając poszarpaną koszulę. – Uwierzy. Dzięki temu nie będzie bał się nas przenocować. Tylko musisz od razu pokazać monety.

Wąpierz dał Doradzie dwa małe, srebrne krążki i pchnął drewniane drzwi. Przeszli przez stajnię z wozownią, w której zostawili klacz. Elgan zatrzymał Doradę ramieniem, po czym wszedł pierwszy do sali karczemnej.

– Czego? – przywitał go splunięciem śmierdzący cebulą i czosnkiem mężczyzna. – Wynocha stąd!

Sala była pusta, ale najwidoczniej doświadczony gospodarz wolał wypędzić podejrzanego włóczęgę niż ryzykować, że ten miałby choć złamany grosz miedzi. Karczmarz podwinął rękawy poplamionej koszuli i ruszył na Elgana. Zatrzymał się, gdy do środka weszła Dorada. Uśmiechała się niewinnie. Nienawykła do skromności, wyglądała jak niespełna rozumu, starając się mówić ze spuszczonego wzrokiem.

– Niech pan będzie łaskaw nas wysłuchać – przemówiła słodkim, bojaźliwym tonem. – Napadli nas! – Wstrzymała oddech i chwyciła Elgana za ramię z desperacją w oczach. – Okradli nas zwykłe zbóje! A musi łaskawy gospodarz wiedzieć, że mój brat jest poważanym... ważnym człowiekiem.

Karczmarz łypnął z zaciekawieniem na Elgana, który udawał, że dygocze z zimna.

– To... – kontynuowała z przejęciem Dorada – To jest pierwszy kapłan świątyni Welesa!

Elgan parsknął śmiechem i szybko rozkaszał się, by uszło to uwadze gospodarza.

– I niech sam pan karczmarz przyzna. Do Wyraju już takie łachudry nie pójda! Za rozbój i kradzież dóbr pierwszego kapłana sam Weles rozszarpie ich dusze! – Dorada urwała, by nabrać tchu. – Dobry gospodarzu... trzeba nam schronienia, bo nie dotarliśmy na jednym koniu na czas do świętego miejsca. Zapłacę. O!

Dorada wyciągnęła dłoń, na której zaśniły dwie srebrne monety. Karczmarz obrzucił Elgana badawczym spojrzeniem i bez słowa zgarnął

pieniądze. Prędko je schował, uśmiechając się jak chłop, który właśnie niezwykle korzystnie sprzedał chorą krowę.

– A tych monet to panience nie ukradli? – spytał podejrzliwie.

– Skryłam je pod suknią – wypaliła bez namysłu.

– A gdzie niby?

– Nie wypada pytać o takie rzeczy – skarcił karczmarza Elgan.

– Wasza świętobliwość wybaczy. Ciekawość to przywara każdego człowieka.

– Przenocujesz nas? – dopytywał zniecierpliwiony wapiarz.

– A wstawisz się za mną, kapłanie, u Welesa? Ostatnio mi interes nie idzie. Może byś zaniósł modły do boga. Ciebie, jako żeś kapłan, może Weles wysłucha.

– Może wysłucha. Zaniosę modły w twojej sprawie, jeśli nas przenocujesz.

– Dobrze więc – powiedział karczmarz, pocierając lepiące się od brudu wąsy. Poklepał się w miejscu, gdzie schował monety. – Na dwie noce starczy.

– Potrzebna nam tylko jedna – zapewniła Dorada. – Rano wyruszymy.

Przekrwione oczy karczmarza zwężyły się przebiegle, a wargi zwały się ciasno i uniosły, tworząc coś na kształt serdecznego uśmiechu. Z udawaną uprzejmością, doskonale wyuczoną w tym fachu, wskazał im ławę, na której mogli spocząć. Uprzejmość karczmarza miała oczywiście ograniczać się tylko do początku ich znajomości. Elgan nie miał złudzeń co do tego, że na odchodne nawet nie podniesie na nich wzroku, a i z pewnością splunie za nimi, kpiąc z głupoty i naiwności, z jaką oddali mu tyle srebra.

– To jak tylko jedna noc, to siadajcie do stołu – rzucił karczmarz i otarł ślinę z kącika ust. – Przyniosę polewkę i może jakiś smalec jeszcze do chleba.

– Niech Weles wynagrodzi łaskawemu karczmarzowi! – pisnęła Dorada z uwielbieniem tak głośno i przenikliwie, jakby głód ścisnął jej gardło do granic możliwości.

*Weles to by go za to skąpstwo co najwyżej za uszy mógł powiesić w tej karczmie* – zakpił w myślach Elgan, czując wyraźnie tłuste kiełbasy, gotowaną z mięsem i grzybami kaszę, a nawet suszone owoce w miodowej polewie. *Tyle tu przysmaków, a ten nam polewkę, łaskawiec, przyniesie.*

– To i piwa jeszcze dorzucę – zagrzemiał karczmarz zadowolony, że zaimponował młodej pannie.

Elgan nie mylił się co do pierwszego wrażenia i szybkiego osądu mieszkańców na podstawie wykarczowanych lasów. Apetyt karczmarza był aż nazbyt wysoki. W tych stronach za pieniądze, które dała mu Dorada, powinni dostać nocleg i porządny, mięsny posiłek. Ten jednak pożałował im jedzenia, chcąc zaoszczędzić na dwójce przybłądów.

– Bogowie... Jak tu jest cudownie ciepło – westchnęła rozmarzonym głosem, siadając przy stole. – Wybacz, Elgan.

– Żebyś ty tak zawsze przepraszała za te wszystkie przytyki.

– Prędej by mi język usechł.

Oboje roześmiali się głośno. Odetchnęli z ulgą, napawając się stukotem garnków i zapachem gotowanej polewki, który uchodził z alkierza. Gdy wychodził z domu Arsa po tym, co jej zrobił, był pewny, że nigdy więcej nie zobaczy Dorady.

*Niezbadane są splątane ścieżki losu* – pomyślał.

W zmęczonych oczach dziewczyny, które ostatnio musiało zwilżyć wiele łez, teraz panował spokój. Spokój, który Elgan zazwyczaj widział u ludzi starych, pogodzonych z losem, wokół których obecność Nyi, bogini śmierci, była z dnia na dzień coraz bardziej wyczuwalna.

Drzwi zaskrzypiały, uwalniając z alkierza intensywny zapach kwaśnej polewki. Karczmarz wniósł dwa szczerbate kubki i postawił na środku



stołu.

– Swoje – zachwalił mętną ciecz i posłał Doradzie uśmiech. – Zaraz żonka przyniesie jadło.

Sącyli powoli rozwodnione piwo. Elgan napawał się tą osobliwą radością tańczącą w zielonych oczach Dorady.

*Może jednak nie zrujnowałem jej życia? Może jeszcze będzie szczęśliwa?*

Nagle jej blada twarz zastygła, a uśmiech stopniowo przeszedł w grymas przerażenia. Elgan wyczuł w powietrzu tę samą nieuchwytną woń, która zmaćła jego spokój przed wejściem do miasta. Teraz nie miał już wątpliwości. To nie była jego wyobraźnia. Ten zapach przywodzący na myśl specyficzną mieszankę ziół skrywał w sobie potęgę, której nie rozumiał, i to go przerażało. Zdawało mu się, że już gdzieś go czuł, ale jakby czuł ten sam zapach od innej strony. Zapach, którego nie byłby w stanie zidentyfikować, choćby i spotkał się z nim setki razy. Elgan powoli odwrócił się, by zobaczyć, co lub kto obdarzony jest aromatem. W progu stał czarodziej, na którego nie zadziałała magia wąpierz. Na czole miał jeszcze gojącą się ranę po uderzeniu świecznikiem.

– Herrigen – wyszeptała jeszcze bledsza niż chwilę temu Dorada.

Czarodziej nieśpiesznie szedł w ich stronę. Uśmiechał się serdecznie, ale w jego oczach Elgan widział tylko przebiegłość i spryt, z którym przyjdzie mu się zmierzyć.

– Będiesz tak uprzejma, Dorado, i pójdziesz do karczmarza poprosić o jeszcze jedną porcję dla mnie? – spytał.

Spojrzał na Elgana. Ten skinął głową i machnięciem dłoni zachęcił ją, by wyszła z izby karczemnej. Herrigen odczekał, aż zniknie za drzwiami, i usiadł naprzeciw wąpierza.

– Dziękuję, że się nią zaopiekowałeś – powiedział Elgan po długiej chwili niezręcznego milczenia.

– Cała przyjemność po mojej stronie – przyznał Herrigen i zamknął powieki. – Gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy, nie sądziłem, że nasze

następne spotkanie nastąpi tak szybko.

– Po raz pierwszy? My się zna... – Elgan urwał, gdy czarodziej zamrugał. Jego oczy lśniły na przemian czerwienią, czernią, złotem i zielenią. W jednej chwili zrozumiał, skąd zna ten zapach.

– Sangor.... Jak to możliwe?

Elgan kątem oka spojrzał na drzwi do alkierza. Ze środka nie dobiegały żadne podejrzane dźwięki. Wysunął kły, gotów rzucić się na stwora.

Doskonale pamiętał ich spotkanie w domu Arsa, który przez roztargnienie sprowadził draka, potężną istotę, o której więcej jest legend niż sprawdzonych informacji. Elgan wzdrygnął się na wspomnienie bólu, jaki zadała mu trucizna Sangora, gdy stwór próbował powstrzymać go przed zabiciem Dorady. Drak wywiązał się z obowiązku. Dopilnował, by Elgan nie wyssał z dziewczyny całej krwi, a jedynie musnął ją magią ciemności, która ożywiła demoniczną krew, splugawioną przez Itrisa.

– Gdy ostatnim razem cię widziałem, byłeś drakiem – wycedził przez zęby Elgan. – Wielki stwór z milionem lśniących łusek. Coś ci to mówi?

Sangor tylko uśmiechnął się i jednym mrugnięciem przywrócił zwykłe, bursztynowe oczy Herrigena.

– Zabiłeś tego nieszczęsnego czarodzieja? Czy tylko go więzisz, ku własnej uciechy?

– Po co te złośliwości, Elganie? Czyż nie pomogłem ci, gdy byłeś w potrzebie? Wystarczy ulotne spojrzenie na piękną Doradę. Cała i zdrowa. Dwa razy uratowałem jej życie. Doprawdy, jak wy to mówicie, za grosz wdzięczności.

– Co zrobiłeś z tym czarodziejem? – warknął Elgan.

– Ciekawość to ludzka przypadłość, czyż nie powinieneś jej się wyzbyć, utraciwszy swą duszę? – Sangor pogładził włosy koloru

ciemnego miodu. – Przyznam, że całkiem przyjemne jest to ciało. Zadbane. Trochę kościste, ale czarodziej miał dobrą kondycję.

– Zabiłeś go.

– Nie. Nie, Elganie. My, draki, nie zabijamy. Powiedzmy, że... znalazłem się w odpowiednim miejscu, o odpowiedniej porze. Można rzec, że ten nieszczęsny czarodziej zmarł w drodze do swojej komnaty na zamku w Villperunie. Biedakowi zatrzymało się serce, gdy zobaczył mnie w postaci draka. A ja? No cóż. Uratowałem go. Zawładnąłem jego ciałem, zanim dusza zdążyła wyruszyć w drogę do Wyraju.

– Legendy o waszym okrucieństwie są zatem prawdą – przyznał z goryczą Elgan.

– Okrucieństwie?

– Więzisz tego człowieka. Jest tego świadom? Widzi mnie teraz twoimi oczami?

– Hmm. – Sangor podrapał się po brodzie. – Bardzo ciekawe pytanie. Nie wiem.

– Czego chcesz od Dorady? – warknął, czując, że kończy mu się cierpliwość.

– Od tej dziewczyny? Niczego. Chciałem po prostu się z tobą spotkać. Nietrudno było się domyślić, że prędzej czy później ją odnajdziesz. – Drak klasnął w dłonie. – I proszę. Dorada doprowadziła mnie do ciebie szybciej, niż się tego spodziewałem.

– Tak trudno mnie znaleźć? Musiałeś się nią wysługiwać?

– Czyż nie ciekawiej było podróżować z twoją przyjaciółką, zamiast szukać cię po lasach?

– Czego ode mnie chcesz? – Elgan czuł, jak kły wysuwają się jeszcze bardziej, a ostre końce wbijają w dolną wargę. Z całych sił powstrzymywał się, by się na niego nie rzucić.

– Czego chcę? Tego, co mi się należy. Drobnej przysługi. – Sangor pstryknął palcami i Dorada, która właśnie do nich wracała, nagle jakby

przypomniała sobie, że o czymś zapomniała, i wróciła do alkierza. –  
Pragnę przypomnieć ci, że przysięgałeś na Welesa.

– Trudno o czymś takim zapomnieć. Wydusisz w końcu z siebie, co mam zrobić, czy będziemy tu tak tkwić do rana?

Sangor przysunął do siebie popękaną drewnianą misę, w której stała świeca. Przechylił ją lekko i kilka kropel wosku opadło na dno naczynia. Po chwili misa wypełniła się płynnym woskiem. Drak postawił ją przed Elganem i wykrzywił wargi w złowieszczym uśmiechu. Na gęstej tafli pojawiła się niewyraźna postać.

– Chcę, byś go zabił – powiedział drak, wskazując misę.

Na powierzchni coraz wyraźniej zarysowywała się postać chudego chłopaka.

*Mirosław.*

– Dlaczego? – spytał zdezorientowany Elgan, mając wrażenie, że to jakiś ponury żart.

– Bo za każdym zobowiązaniem kryją się konsekwencje.

– Dlaczego sam go nie zabijesz?

– Już ci mówiłem, Elganie. My, draki, nie zabijamy. To nie przeze mnie ciało, w którym teraz jestem, chciało opustoszeć. No może trochę go wystraszyłem. – Wzruszył ramionami. – Nie moja to jednak wina, że miał tak słabe serce. Jak by nie patrzeć. Nie zabiłem go. Ja tylko przygarnąłem jego powłokę.

– Dlaczego więc nie zrobisz tej samej sztuczki z Mirosławem?

– Myślisz, że zadziałałaby na kogoś, kto wędrował po świecie z wężem?

Elgan nie odpowiedział. Znał rudzielca. Prędzej zabiegałby o przyjaźń tego stwora, niż skonał ze strachu.

– Gdybym mógł go zabić – podjął po chwili Sangor – zapewniam cię, że już dawno bym to zrobił.

– Co więc cię powstrzymało?

– Już mówiłem. Moja szlachetna natura. Draki nie zabijają.

– Złożyłem przysięgę. Możesz zażądać ode mnie wszystkiego, a ty mnie prosisz, żebym zabił Mirosława, jakiegoś przybłędę z Villperuny. Dlaczego?

– Czy ja pytałem, po co ci ta dziewczuszka do szczęścia potrzebna? – Sangor pochylił się nad woskowym obliczem Mirosława, mrużąc powieki.  
– Zabijesz go, bo taka jest moja wola. – Drak w ciele czarodzieja wstał, nie odrywając od Elgana wzroku. – Masz wykonać zadanie. Wiem, że jesteś świadom, gdzie teraz przebywa ten chłopiec. Jeśli więc z rozmysłem będziesz unikać wypełnienia przysięgi, to jest to jej jawne złamanie.

Zza drzwi alkierza wyszła Dorada. Zastygła jak zaklęta, gdy Sangor odwrócił się w jej stronę.

– Żegnaj, Dorado – powiedział łagodnie i skłonił się nisko. Na odchodne uśmiechnął się do Elgana, mrużąc powieki, pod którymi znów zalśniły barwy zieleni, złota, czerwieni i czerni. – Możesz zjeść moją porcję. Żegnaj, Elganie.

Oniemiała Dorada odczekała, aż czarodziej wyjdzie z izby karczemnej i biegiem wróciła do stołu. W milczeniu czekała na wyjaśnienie. Trwała w strachu i zdziwieniu, nie odrywając swoich zielonych oczu od coraz bardziej zakłopotanego Elgana. Czekwała, aż wampirz powie jej, co się właściwie stało.

– To dziwny człowiek – wydusił w końcu z siebie.

Musiał coś rzec, wymyślić jakąś wiarygodną historię. Nie mógł przecież tak po prostu przyznać, że ten potwór, który krył się w ciele czarodzieja, kiedyś uratował jej życie, powstrzymując Elgana przed wyssaniem z niej krwi. Nie był w stanie wyjawić Doradzie prawdy. Przyznać, że draka, który właśnie skazał na śmierć jej przyjaciela, przywołał nie tak dawno temu Ars.

– Elgan? Czego on, do licha, od ciebie chciał? Dlaczego tak po prostu odszedł?

– To dziwny człowiek – powtórzył jak jakiś tępak. – Nie rozumiem czarodziejów. Chciał... Chciał mi powiedzieć, że Wanda ostrzegła go przede mną, ale... Ale kiedyś rozmawiał z Arsem i ten przysiągł, że jestem godny zaufania... i... i zdecydował, że zostawi cię pod moją opieką.

Wszelkie odgłosy zdziwienia Dorady zagłuszyła karczmarka, która właśnie weszła do izby z deską pełną jadła.

– Trudno dać temu wiarę – wybełkotała Dorada ustami pełnymi chleba ze smalcem. Głód był silniejszy od ciekawości. Jadła, kręcąc głową i marszcząc nos. Elgan miał dzięki temu trochę więcej czasu na ochłonięcie.

– Wanda przecież musiała mu o tobie mówić setki razy – zaczęła Dorada, gdy zaspokoila pragnienie. – Jestem pewna, że za każdym razem wyklinała cię i bluźniła, zarzekając się przy tym na wszystkich bogów, że jesteś najgorszym, co mnie w życiu spotkało.

– Mówisz to, jakbyś kiedyś słyszała te słowa.

Dorada zaczerwieniła się i napełniła usta polewką. Elgan pogratulował sobie w myślach. Teraz zamiast skupiać się na jego ewidentnym kłamstwie, Dorada będzie tłumić w sobie poczucie winy za słuchanie wyzwisk z ust czarodziejki. Dziewczyna, zgodnie z jego oczekiwaniami, jedynie wzruszyła ramionami i żuła powoli, czekając, aż wąpierz zmieni temat. Elgan nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w szczegóły niechęci Wandy do jego osoby. Wanda jest człowiekiem, a on demonem. Nie był więc nawet odrobinę zdziwiony jej wielką wrogością, mimo tak krótkiej ich znajomości. Pamiętał siłę i determinację młodej czarodziejki. Pamiętał też zapach czarnej porzeczki, czarne, lśniące loki i szare oczy koloru nieba zwiastującego burzę. Już wtedy czuł, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Wówczas jednak przez myśl by mu nie przeszło, że

będzie o niej rozmawiać z Doradą, podczas gdy w jego głowie kołatać się będzie tylko jedno pytanie:

*Dlaczego on chce, bym zabił Mirosława?*



– Powiesz mi w końcu, o czym rozmawiałaś z Herrigenem? – spytała po raz kolejny Dorada.

Od Drewutni dzieliło ich już niecałe pół dnia drogi. Na odczepne Elgan obiecał Doradzie, że jeśli da mu spokój z pytaniami o Herrigena, on zgodzi się zaprzestać „biegania za nią” po lesie. Szedł więc obok jadącej na koniu dziewczyny. Ona jednak za nic sobie miała złożoną poprzedniej nocy obietnicę.

– No powiesz w końcu?! Okłamywanie to kłopotów wołanie – wyrecytowała jedno z wielu znanych tylko sobie przysłów.

– I mówi mi to ta, która zapomniała powiedzieć, że na Staropolu ciąży klątwa.

– Długo jeszcze będziesz mi to wypominał?

– Do śmierci – odparł i posłał jej złośliwy uśmiezek.

Zaraz jednak spochmurniał, przypominając sobie o umowie zawartej z Sangorem. Z każdym krokiem był coraz bliżej Mirosława i jego lichego życia, które przyjdzie mu zakończyć. Musiał wybrać. Albo zabije go i wypełni przysięgę, albo skaże Doradę na pewną śmierć, bo za złamanie przysięgi Weles może go nawet zdegradować do jakiejś parszywej zmory. Bez niego Doradzie nigdy nie uda się dotrzeć do Sibigardu, jedyne miejsce, gdzie byłaby w miarę bezpieczna.

– Cieszę się, że w końcu zobaczę znajome twarze – powiedziała Dorada i zaczęła nucić pod nosem wesołą melodię.

Ciasna kurtka z czarnej skóry, którą Elgan odkupił od syna karczmarza, wbijała się w jego ciało, jakby chciała jeszcze bardziej go dobić. Przypadkowe ćwieki poutykane w chaotyczny sposób odbijały światło słoneczne i drażniły konia, który zdawał się szczerze ich nienawidzić.

– Lepiej ci w tej kurtce niż w pelerynie – przyznała Dorada ni to żartobliwie, ni poważnie. – Teraz przynajmniej wyglądasz choć odrobinę groźnie. Jeszcze jakiś miecz by ci się przydał.

– Może jeszcze zbroję założę i pognam na strzydze do Villperuny, ściąć głowę temu przekłętemu Valdimowi?

– O! Ten pomysł mi się bardzo podoba! – zakrzyknęła Dorada i uniosła dłoń, udając, że dzierży w niej miecz. – A później skopiemy tyłki wszystkim czarodziejom!

Elgan zrobił minę, jakby się poważnie nad tym zastanawiał, po czym przytaknął z uznaniem i podał rękę Doradzie.

– Zgoda – powiedział i uścisnęli sobie dłonie.

– Widzisz. Jednak da się z tobą współpracować.

– Szczególnie gdy nasze ustalenia nie mają się nijak do świata, w którym żyjemy.

Widmo dzisiejszego spotkania z Mirosławem znów zawładnęło myślami Elgana, odbierając wszelką radość, jaką dawało mu towarzystwo Dorady. Zapach drewna i żywicy nabierał wyrazistości. Aromat Drewotni, który kiedyś tak lubił, teraz drażnił jego nos i wywoływał mdłości. Szedł ociężale. Ciało odmawiało posłuszeństwa. Jego nogi chciały uciekać. Biec jak najdalej od tego rudego chłopca, który przecież niczym mu nie zawinił. Nie lubił go jedynie za te jego wróżbiarskie umiejętności. Gardził nimi, bo zbyt wiele razy widział szkody wywołane wróżbami i zagmatwanymi przepowiedniami. Zbyt wielu poznał ludzi pogrążonych w cierpieniu przez źle dobrane słowa, które wróżki i wróżowie z taką lekkością wypowiadają, nie bacząc na konsekwencje zmiany kolejności



choćby jednego zdania. Nie podobało mu się więc to, że przyjaciel Dorady bawił się w niebezpieczne wróżbiarstwo. Wiedział jednak, że w głębi duszy Mirosław jest dobrym człowiekiem. Trochę naiwnym i marzycielskim. Wiecznie z głową w chmurach, ale bez cienia wrogości w oczach.

Pierwszy powóz minął ich, gdy zatrzymali się na rozstaju dróg, by odpocząć. Elgan czuł zapach Drewotni, którym oblepiony był wóz i siedzący na nim mężczyzna. Koniec ich wędrówki był blisko. Choć mijający ich chłop był dojrzałym mężczyzną, z wypłowiałym zarostem i jasnymi oczami, Elgan w pierwszej chwili dostrzegł w nim Mirosława. Dostrzegał go też w głębi lasu w powyginanych gałęziach drzew, widział niesfornego rudzielca w chmurach, w zagmatwanych wzorach lecących nad nimi ptaków, w sękach drewnianych chat, które mijali od czasu do czasu. Widział go wszędzie, bo choć umarł dawno temu, nie uwolnił się od ludzkiej przypadłości, jaką jest udręka. Przez chwilę zastanawiał się, czy istnieje jakiś bóg odpowiedzialny za te wizje.

Przewidzenia ustąpiły dopiero w nocy, gdy dotarli na miejsce.



W chacie Harlana panował gwar. Już z daleka słyszeli wrzaski Zorzanny. Elgan wszedł pierwszy. Na środku izby zobaczył Mirosława całego w popiele, a nad nim Zorzannę czerwoną ze złości, jak ogień pochodni, którą wymachiwała wróżowi przed nosem. Mirosław stał skulony i mamrotał na zmianę „przepraszam” i „myślałem, że jestem gotowy”. To był on, Mirosław z krwi i kości, nie dręczące Elgana majaki. Stał tam, wysoki i chudy, a kości rysowały się pod skórą jeszcze wyraźniej niż wtedy, gdy zobaczył go w Villperunie. Posłuszny i zakłopotany, jak zwykle.

– Powiedziałam, że masz czekać na mój znak! – krzyknęła Zorzanna i zdzieliła go czarną chustą. – Tyle popiołu poszło na marne! I czego się tak cieszysz?!

Wiedźma podążyła za rozradowanym wzrokiem Mirosława. Jej twarz złagodniała, gdy ujrzała Elgana i Doradę.

– Wróciłeś – wyszeptał rudzielec. – Obiecałeś mi i wróciłeś.

Wąpierz poczuł bolesne ukłucie w niebijącym sercu. Wróż bez wątpienia pamiętał ich ostatnią rozmowę, mimo stanu upojenia, w jakim Elgan nigdy wcześniej go nie widział.

– I... I... I uratowałeś Doradę! – załkał i już więcej nie mógł niczego powiedzieć, bo dziewczyna rzuciła mu się w ramiona.

– No. Przyznaję, że szybko się uwinąłeś – wychrypiała wiedźma zdartym od krzyczenia głosem. – Rozumiem, że jutro ruszamy do Sibigardu.

Wszystkie oczy spoczęły na Elganie. Wąpierz odchrząknął i przytaknął. Nie był w stanie mówić. Za wszelką cenę unikał pełnego uwielbienia spojrzenia Mirosława.

– Gdzie Harlan? – wydusił w końcu.

– Poszedł do lasu – powiedziała Zorzanna i ze znużeniem przewróciła oczami. – Wraca zazwyczaj późno, gdy już śpimy. Chyba za nami nie przepada.

– Pójdę go poszukać.

Nie zważając na protesty Dorady, wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Pognał do lasu i zatrzymał się dopiero, gdy chata zniknęła za konarami drzew. Opadł na ziemię, a głowę oparł o wiekowy dąb. Gałęzie skrzypiały cicho pod ciężarem ciał ciekawskich leśnych demonów. Obserwowały go z daleka. Czuł ich strach. Przez chwilę napawał się tym uczuciem, które pozwoliło mu zapomnieć o złożonej Sangorowi przysiędze.

Zza drzewa nieśmiało spoglądała na niego wiła, demon pełen wdzięku, lecz o kapryśnej naturze. Mruczała pod nosem smutną melodię,

jakby wyczuwała nastrój wąpierz. Wiła powoli wyłoniła się i usiadła przed Elganem, podkulając nogi. Długie zielone włosy rozlały się na wilgotnej od śniegu ziemi. Wokół niej latały świetliste stworzenia, które roztaczały błogi, ciepły blask. Nucąc rzewną pieśń, wpatrywała się w wąpierz ze współczuciem.

– Zabiję go – wyszeptał.

Wiła zamilkła, ale nie uciekła. Rytmiczne bzyczenie migoczących owadów wypełniło ciszę. Drzewa zaskrzypiały pod drżącymi stopami demonów.

– Czy to kogoś z tego lasu czeka śmierć?

– Nie – zapewnił szybko Elgan. – Muszę zabić człowieka.

– Jesteś księciem ciemności – zaczęła wiła łagodnym głosem. – Jesteś najmądrzejszym demonem Welesa. Jeśli taka twoja wola, widać ktoś musi zginąć.

– To nie moja wola. To obowiązek.

Las jakby się ożywił. Leśne demony, zachęczone brakiem wrogości ze strony Elgana, gromadziły się wokół niego, nasłuchując i spoglądając z ukrycia na niezwykle spotkanie wąpierz i wiły.

*No tak – pomyślał. Pewnie od setek, a może tysięcy lat nie widziały w tym lesie czegoś równie ciekawego.*

Czuł obecność dziesiątek demonów.

– To mój świat – mówił, spoglądając w ciemność, w której migotały ciekawskie oczy przeróżnych istot. – To pośród was powinienem żyć. Itris miał rację. Ludzie są słabi. Nie potrafią się bronić. Nie potrafią się bronić nawet przed dobrą wolą wąpierz. Dlaczego oni w ogóle mi zaufali? – Westchnął ciężko, jakby chciał wyrzucić z siebie te myśli. Zamknął powieki. – Dlaczego zaufał mi Ars? Dlaczego ten przeklęty rudzielec tak ucieszył się na mój widok? Ja nie jestem częścią ich świata. Dlaczego są ludzie, których ciągnie do nieznannej im potężnej mocy, podczas gdy

powinni uciekać od niej najdalej jak się da? Dlaczego mnie ciągnie do żywych, którzy od dawna nie są moim światem?

– Może tęsknota za bijącym sercem?

– Nie wiem. Być może. – Spojrzał na swoje dłonie pokaleczone w walkach, jakie stoczył, gdy włóczył się po świecie bez medalionu. – Przez moją głupotę narażam życie kobiety, która na to nie zasługuje.

Wiła przysunęła się nieco bliżej.

– Kochasz ją?

Elgan spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Kocham? Kogo?

– Tę kobietę.

Pomyślał o usianej jasnymi piegami twarzy Dorady. O jej zielonych oczach, których dawny blask zastąpił ogień nienawiści i bólu.

– Nie – odpowiedział po chwili. – Nie tak, jak mężczyzna potrafi kochać kobietę.

– Och – sapnęła nieco zawiedziona wiła. – W takim razie dlaczego tak męczy cię niebezpieczeństwo, które jej grozi?

– Bo jestem za nią odpowiedzialny. Bo... – urwał, gdy zdał sobie sprawę, dlaczego Dorada jest dla niego tak ważna. – Ona... Widzę w tych oczach wszystkie dobre cechy jej ojca, z którym spędziłem najlepsze lata mojego... życia po śmierci. Widzę w niej siłę, upór i talent, który dopiero rozkwita. Widzę w niej to, czego pewnie nikt nigdy w niej nie dostrzeże.

– Jest wyjątkową kobietą.

– Dla mnie tak.

– Musisz zatem ją ochronić.

– I zabić niewinnego chłopaka, który ma całe życie przed sobą?

– Każdy bierze odpowiedzialność za swoje czyny – odpowiedział cichy, głęboki głos. – Nie oczekuj, że odpowiedź Sariyany usprawiedliwi twój wybór.

Kątem oka wąpierz dostrzegł wyłaniającego się zza drzewa opiekuna lasu.

– Borowy – wyszeptała wiła, którą przybysz nazwał Sariyaną, i przywarła czołem do ziemi na znak szacunku.

Borowy wyglądał jak stary człowiek, ale dostrzegalna tylko dla wąpierzyczych oczu nieaktywna magia ciemności, która tliła się w ciemnych jak kora dębu oczach opiekuna lasu, zdradzała jego naturę. Borowy był, tak jak Elgan, demonem wyższego rzędu. Nie mógł władać magią ciemności, ale mógł się przed nią bronić i bronić przed nią innych. Wsparty na powykrzywianej gałęzi, dreptał w stronę Elgana.

– Jak długo żyję, nie widziałem jeszcze w tym lesie wąpierza – wychrypiał. – I to w tak ponurym nastroju. Niegdyś dałbym sobie rękę uciąć, że Weles, obdarzając was mocą władania magią ciemności, obarczył was tym samym żądzą zabijania. A tu proszę. Wąpierz siedzi pod moym drzewem i lamentuje, bo przyjdzie mu zabić człowieka.

– Nie każdy wąpierz czerpie przyjemność z zabijania.

– Ale natura taka wasza, że trzeba zabijać. Wasza magia wymaga krwi, a żądza krwi pociąga za sobą ofiary.

– Potrafię nad nią panować.

Borowy mruknął z uznaniem. Spoglądał na niego spod siwych brwi, a w oczach malowało się niedowierzenie.

– To brzmi zatem tak, jakby Weles chciał zmienić porządek świata.

– To nie Weles. Bóg stworzył mnie tak, jak i inne wąpierze. Odczuwam żądzę mordy, skręca mnie, gdy czuję krew, ale potrafię nad tym panować. Zazwyczaj – dodał, przypomniawszy sobie drobną kobietę, z której nie tak dawno wyssał całą krew. – Sam nauczyłem się kontrolować.

Dotknął koszuli w miejscu, pod którym medalion spoczywał na jego piersi.

– Może nie do końca sam – przyznał. – Ale Weles z pewnością mi w tym nie pomagał.

Wiła uniosła się i, zanurzając palce w mokrej ściółce, powoli zbliżała się na kolanach do Elgana. Jej cienkie, białe rzęsy, jakby utkane z pajęczyny, wznosiły się i opadały delikatnie, to zasłaniając, to odsłaniając zielone oczy. Oczy podobne do tych, którymi z taką ufnością wciąż patrzyła na niego Dorada.

– Skoro możesz, dobry księżę ciemności, powstrzymać się przed zabijaniem, dlaczego po prostu nie darujesz życia temu człowiekowi?

– Bo jeśli daruję mu życie, to tak, jakbym skazał na śmierć kogoś... kogoś, na kim bardzo mi zależy.

– Gdybyś był człowiekiem – zaczął Borowy – rzekłbym, że Rodzanice parszywy ci los utkały. Ty zaś demonem jesteś. Musi to oznaczać, że sam go na siebie sprowadziłeś.

Elgan uśmiechnął się gorzko do opiekuna lasu.

– Ilu mądrych głów byś nie prosił o radę, ostatecznie zawsze zostaniesz sam ze swoją decyzją – Elgan wypowiedział słowa, które kiedyś tak często słyszał od Arsa. Utkwił spojrzenie w głębi ciemnego lasu. – I nie miej złudzeń co do tego, że świat dba o twoje troski.

Elgan wstał, a razem z nim Borowy.

– Zaczekaj – poprosił opiekun lasu i pogrzebał laską w ziemi. Skinieniem głowy przywołał Sariyanę do siebie. Zielone, lekkie jak puch włosy uniosły się wraz z leśnym demonem, roztaczając zapach sosny i porannej rosy. Borowy wyszeptał coś w chrapliwym języku i po chwili uradowana tajemniczym pomysłem wiła wyrwała coś z ziemi i ostrożnie podała opiekunowi. Na pomarszczonej dłoni spoczął biały, drobny kwiatek.

– Będziesz tak dobra? – spytał Borowy, a wiła bez słowa nachyliła się nad jego dłoń.

Z jej szmaragdowych włosów zaczęły się wyłaniać drobne pająki. W mgnieniu oka otoczyły kwiat cienką warstwą pajęczyny, zostawiając dwa grubsze pasma po obu stronach. Wiła zachichotała, gdy pająki zaczęły wracać, by skryć się w jej włosach. Borowy chwycił dwie pajęcze nici i złączył, tworząc z nich coś na wzór wisiorka. Zamiast amuletu czy drogiego kamienia, na pajęczym sznurku dyndał skryty pod misterną mozaiką zimowy kwiat.

– To nadziejka – wytłumaczył Borowy. – Jedyne kwiat, który kwitnie zimą. Daje nam nadzieję i wiarę w to, że Mokosz znów obdaruje życiem naszą ziemię. Nie mogę dać ci rady, księżę ciemności. Nie mogę też zdecydować za ciebie. To jedyne, co stary Borowy może ci ofiarować.

Wąpierz schylił się, by Borowy mógł zawiesić na jego szyi nadziejkę.

– Dziękuję – powiedział, choć nie miał pojęcia, w czym w ogóle mógłby mu pomóc ten kwiat. Skrył podarek pod koszulą. – Na mnie już pora.

W chacie wszyscy spali. Na stole stały dwie puste butelki po owocowej nalewce, a pod stołem leżał ich zagorzały wielbiciel – Harlan. Elgan podejrzewał, że znachor był już dobrze wstawiony, gdy wrócił do chaty. Na posłaniu w kącie dostrzegł Zorzannę, a obok niej, pogrążoną w sennych marzeniach, skuloną w kłębek Doradę. Mirosław zasnął na skórze niedźwiedzia rzuconej obok paleniska. Ogień tlił się jeszcze słabo, a dygoczące płonienie rzucały co rusz światło na piegowatą twarz wróza.

Elgan zacisnął palce, a gdy je rozluźnił, z jego dłoni opadła gęsta mgła, która uderzyła bezgłośnie o klepisko, po czym rozlała się po całej chacie. W izbie rozległ się miarowy oddech. Wszyscy, za sprawą magii, zapadli w głęboki sen.

*Ponoć śmierć we śnie to najlepsze, co może spotkać człowieka –* pomyślał, podchodząc do Mirosława.

Ukląkł przed wiotkim ciałem chłopaka i nachylił się, by zatopić kły w jego bladej szyi. Do wschodu słońca rana powinna się zbliżnić. Dorada

nie będzie wiedziała, że to on pozbawił życia jej przyjaciela.

– Nie mogę – wyszeptał. – Nie tak... Nie w taki sposób...

Rozejrzał się obłąkanym wzrokiem po izbie. Podszedł do stołu i wziął umazany smalcem nóż. Otarł go o spodnie.

– Niech przynajmniej zginie od ostrza, nie od parszywych kłów demona...

Nie zastanawiając się nad tym, jak wytłumaczy wszystkim nóż w sercu Mirosława, uniósł ramię, by zadać śmiertelny cios. Ostrze rozbłysło w świetle płomieni i zadrżało w jego dłoni.

– Bogowie... Wybaczcie mi... Otwórzcie przed nim bramy Wyraju...

Zamknął powieki. Sztylet zabrzęczał głucho, gdy zetknął się z drewnianą podłogą. Elgan spojrzał oszołomiony na leżące na podłodze ostrze. Jego dłoń tkwiła dalej nieruchomo, uniesiona nad śpiącym Mirosławem, lecz nie było już w niej narzędzia zbrodni. Wypuścił głośno powietrze i odepchnął od siebie sztylet.

– Nie mogę – wyszeptał, a po jego policzku popłynęła łza. – Bogowie... Nie mogę.

Elgan dyszał ciężko nad śpiącym Mirosławem. Złamał przysięgę. Przysięgę złożoną w imię Welesa. Wiedział, co zaraz nastąpi. Za chwilę może stać się najplugawszym demonem, jaki akurat przyjdzie do głowy Welesowi. Spojrzał na śpiącą Doradę.

– Wybacz mi...

Mgła zgęstniała i zafalowała, jakby niesiona podmuchem wiatru. Pomieszczenie wypełnił aromat nocy i magii.

– Przybyłem tu, bo złamałeś przysięgę, Elganie.

Głosu, który dobiegł z za jego pleców, nie mógł pomylić z żadnym innym.

– Witaj, Panie – powiedział przytłumionym przez strach głosem i odwrócił się do boga.



Weles stał wśród gęstej mgły, pod powierzchnią której nikły lśniąca bielą tunika i czarny płaszcz.

– Dlaczego go nie zabiłeś? – spytał Weles i pochylił się nad Mirosławem. Położył dłoń na zamkniętych powiekach wróża i pokiwał głową, jakby właśnie utwierdził się w swoich przypuszczeniach. – Będę musiał cię ukarać, Elganie. Złamałeś przysięgę, którą złożyłeś, powołując się na mój honor. Zszargałeś moje imię.

– Wiem, Panie. Wybacz mi.

– Wybaczam.

Tego Elgan się nie spodziewał. Wbił wzrok w podłogę, oczekując wyjaśnienia.

– Wybaczam, ale będę musiał cię ukarać. Zasady to zasady. Nawet ja nie mogę ich łamać.

Nie patrząc Welesowi w oczy, Elgan otworzył usta, by zadać pytanie. Zastanawiał się chwilę nad słowami, które krzyczały w jego głowie.

– Zanim mnie ukarzesz, Panie... pozwolisz, że o coś zapytam? Proszę...

Weles tym razem nawet nie westchnął z irytacją, jak zwykł to robić za każdym razem, gdy Elganowi zbierało się na pytania. Bóg milczał. Elgan uniósł głowę i spojrzał w jego czarne, błyszczące oczy.

– Nie byłem nigdy kowalem. Panny nie uganiały się za mną dlatego, że miałem piękne ciało od machania młotem – zaczął i urwał, gdy głos mu się załamał. Odczekał chwilę i wyjął zza koszuli medalion. – Okłamałeś mnie, panie.

– Tak – przyznał Weles, nawet nie spoglądając na błyskotkę.

– Dlaczego?

– Bo tego chciałeś.

– Chciałem, żebyś mnie okłamał?

– Tak. Chciałeś, bym powiedział ci cokolwiek o twojej przeszłości. Jako że nie mogłem zdradzić ci prawdy, cóż... powiedziałem cokolwiek.

– To ty mi to zrobiłeś? – spytał Elgan, dotykając swojej głowy pozbawionej wspomnień z życia przed przemianą.

Weles milczał. W jego spojrzeniu nie widział złości, a jedynie żal.

– Musiałem. Cały panteon bogów zagłosował za karą zapomnienia. Cały. Z wyjątkiem mnie, oczywiście. Ale to pod moją opieką byłeś, Elganie, więc ja musiałem wykonać wyrok.

– Skoro ty, Panie, zesłałeś na mnie karę zapomnienia, możesz przecież ją zdjąć.

– Nie mogę. Choć bardzo bym chciał. Prawdę mówiąc, jesteś moją ostatnią nadzieją.

– Rod... To o niego chodzi.

Weles tylko skinął głową, potwierdzając słuszność domysłów Elgana.

– Pochodzę ze Staropola – wyszeptał i poczuł, jak szczelina jego pamięci pęka. Przed oczami majaczyła mu ściana z mroźnego świata, do którego kiedyś zabrała go Zorzanna. Śnieżna wichura szalała w jego głowie, a skuty lodem mur zadrżał. Szczelina zazgrzytała i z jej wnętrza wystrzelił słup jasnego światła.

– Byłem magiem... – wyszeptał Elgan z taką pewnością, jakiej nigdy wcześniej nie odczuwał. To nie były tylko szalone słowa Dorady, która dowiedziała się od Wandy o jego domniemanej przeszłości. Wtedy jej nie uwierzył, a czarodziejkę zwymyślał, ale teraz coś w jego głowie krzyczało, że jego przeszłość jest tak pełna magii, że trudno w ogóle to sobie wyobrazić. Widział wokół siebie przedziwne wzory, a język szczypał go od ciężkiego, metalicznego posmaku. Wizja zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, i teraz na powrót miał przed sobą Welesa. – Czy ja coś Rodowi... Czy ja coś mu zrobiłem?

Weles przez chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem. Podejrziwość i nadzieja mieszały się na idealnej twarzy boga.

– Nie mogę zdradzić ani słowa w tej sprawie.

– Nie zaprzeczasz jednak temu, że jestem staropolańskim magiem – syknął, zapominając o tym, że bóg przybył tu po to, by go srogo ukarać.

Weles milczał.

– Skoro jestem ostatnią nadzieją – mówił dalej Elgan, czując, że coraz ciężiej mu się oddycha – dlaczego inni bogowie po prostu nie zgodzą się na cofnięcie wyroku i przywrócenie mi pamięci?

– Nie zrobią tego, choćby miał spłonąć cały świat zamieszkały przez ludzi.

– Dlaczego?

– Bo się ciebie boją.

Cisza. Miarowe oddechy Zorzanny, Dorady, Mirosława i Harlana zwały się w jeden cichy szmer.

– Mnie?

– Wiesz, kim byłeś. Sam do tego doszedłeś, więc nie złamię przysięgi panteonu, jeśli wspomnę o tym w naszej rozmowie. Byłeś magiem. Wybitnie utalentowanym... a do tego niezwykle sprytnym. Uwielbiałem nasze rozmowy.

– Rozmawialiśmy zanim stałem się wężem?

Weles tylko uśmiechnął się z nostalgią i wzruszył ramionami w wyrazie bezsilności. Elgan zrozumiał, że nic więcej nie może powiedzieć.

– Musisz odzyskać pamięć, Elganie.

– Jak?

Bóg spojrzał na śpiącego Mirosława, który leżał nieświadomy rozgrywającej się obok niego sceny.

– On ci pomoże – oznajmił bóg i pogładził Mirosława po rudych włosach. – Ognisty chłopiec.

– Mirosław?!

– Nikt inny nie będzie w stanie ci pomóc. To syn więdźmy. Jedyne taki syn, chodzący po ziemiach ludzi od tysięcy lat.

– Jak niby ma mi pomóc w odzyskaniu pamięci?

– Tego nie mogę ci zdradzić. To tak, jakbym zdjął z ciebie karę panteonu. Nie mogę. Więcej nic nie powiem. A teraz... – Weles wyprostował się i westchnął z żalem. – Wybacz, Elganie, ale muszę cię ukarać. Od tej pory nie jesteś księciem ciemności i nie możesz wejść do Wyraju.

– Nie będę władać już mocą...

– Nie... – przyznał bóg z wyraźnym żalem w głosie. – Odzyskaj pamięć, a przypomnisz sobie, jak to jest być magiem.

– Będę mógł w tym wcieleniu posługiwać się magią, którą miałem przed przemianą w wąpierz?

– Tego nie wiem. Jesteś pierwszym takim przypadkiem w historii. Trudno mi stwierdzić z całą pewnością, ale świat nie lubi pustki. Jeśli więc kierować się tą prostą zasadą, gdy pozbawię cię magii ciemności, twoje ciało chętnie przyjmie nowe źródło mocy, jeśli tylko stworzysz ku temu warunki.

Weles podszedł do wąpierza. Nieskazitelnie czysta i lśniąca szata boga zaszeleściła, zwiastując zbliżającą się karę. Bóg położył dłoń na ramieniu Elgana i wyszeptał coś w języku, którego nie rozumiał. Poczuł, jak magia tężeje, a później napiera, rozsadzając mu żyły, wędruje po ciele w stronę dłoni boga. Gdy Weles zabrał rękę, Elgan padł na kolana, przytłoczony pustką, która teraz wdarła się w jego ciało. Obrócił się, by spojrzeć na boga. Przez chwilę nawet podobała mu się ta krucha powłoka, jaką zostawił mu Weles. Teraz bardziej przypominał człowieka. Człowieka, który utkwiał między życiem a śmiercią.

Przeniósł wzrok na śpiącego Mirosława i nagle w jego głowie rozbrzmiał głos zmory, którą spotkał w Villperunie. Zmory, którą bezmyślnie pogłaskała kiedyś Dorada i która sprawiła, że Smęt po raz pierwszy przemówił.

– Ognisty chłopiec, tak go nazwała też zmora... – wyszeptał Elgan.

Teraz zrozumiał, że wcale nie chodziło o płomiennie rude włosy, ale o to, co Mirosław nosił w środku. Ogień. Był ognistym chłopcem. Synem wiedźmy. Jedynym synem wiedźmy, chodzącym po tym świecie.

– Żaden demon nie może go zabić – zaczął Weles – ani nawet bóg. Synowie wiedźm umierają ze starości. Tylko czas może ich zgładzić lub tak perfidny podstęp, jak wymuszenie na moim słudze, by złożył w imię mego honoru przysięgę – powiedział z niekrytym podziwem dla sztuczki Sangora. Weles miał słabość do sprytu i podstępu. – Tak wymyślna intryga mogłaby doprowadzić do śmierci syna wiedźmy. Cios wymierzony w imię przysięgi złożonej bogu byłby w stanie zakończyć jego żywot. Draki to najinteligentniejsze istoty, jakie kiedykolwiek spotkałem. Drak, którego ty poznałeś, wiedział, co robi, od samego początku. Twoja, nazwijmy to, niedyspozycja pewnie trochę opóźniła jego plan, ale ostatecznie doprowadził cię do tego nieszczęsnego chłopca.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Już mówiłem. Po pierwsze, to i tak niczego by nie zmieniło. Złożyłeś przysięgę, więc byłeś zobowiązany wykonać wszystko, o co poprosi cię drak. Chyba nie możesz mi mieć za złe, że nie zachęcałem cię do zszargania mojego imienia. Nie masz pojęcia, jak wielka jest to dla mnie ujma. – Bóg zmierzył Elgana surowym wzrokiem, ale były wąpierz nie widział w jego oczach wrogości. – Po drugie... nie mogłem spotkać się z tobą i zdradzić ci natury tego chłopca. Odkąd krążą plotki o powrocie Roda, bogowie bacznie się tobie przyglądają. Mnie również nie oszczędzają swojej dociekliwości. Panteon zorientowałby się, że skontaktowałem się z tobą z własnej woli. Teraz jednak to co innego. Musiałem do ciebie przyjść, bo właśnie złamałeś daną w moje imię przysięgę. Moim obowiązkiem jest więc zjawienie się tu i ukaranie cię za tę haniebną zbrodnię. Nikt nie zarzuci mi, że znów z tobą współpracuję.

Elgan kiwnął tylko głową na znak, że rozumie.

– Choć wierzę w ciebie i gdyby to ode mnie zależało, dałbym ci wolną rękę, to muszę utrzymywać dobre stosunki z panteonem. Bez tego świat pogrąży się chaosie.

Nie pamiętał, czy na tym skończyła się ich rozmowa, czy może jeszcze Weles coś dodał. Musiał zemdleć. Obudził się rano z okropnym bólem całego ciała. Bólem straty i hańby, która sprawiała, że nie miał odwagi spojrzeć Zorzannie w oczy.

– Czas w drogę.

Usłyszał nad uchem głos wiedźmy, która nachylała się nad nim i wachała go, jakby sprawdzała, czy nie jest pijany.

– W drogę... – wychrypiał Elgan i momentalnie poczuł na sobie spojrzenie wielu par oczu. – W drogę... – Jeszcze przez chwilę patrzył na sączące się przez uchylone drzwi słońce. Słuchał głosu Dorady i Zorzanny, które naprzemiennie pytały, co się z nim dzieje. Słuchał szumiących w lesie drzew, wśród których gdzieś właśnie teraz wiła nuciła piękną melodię. Świat tętnił życiem żywych i umarłych, a jemu zdawało się, że stoi dokładnie w samym środku wspólnego świata. – W drogę – powtórzył, a później opadł na podłogę i zapadł w głęboki sen.



## EPILOG

I tris spojrział ze zgrozą na splątane gałęzie drzew, które tworzyły ogromne wrota prowadzące do siedziby Roda. Położył dłoń na głazie wystającym z ziemi tuż przed wejściem. Plątanina drewnianych nitek zaskrzypiała, wijąc się jak gromada węży. Po chwili otwór rozszerzył się na tyle, by Itris mógł swobodnie przejść. Minął stertę kamieni, z których Rod zamierzał wybudować wkrótce swój pałac. Pierwszy bóg nabierał sił coraz szybciej, co z jednej strony bardzo cieszyło wąpierz, z drugiej zaś – moc, jaką będzie dysponował Rod, gdy odzyska dawną witalność, przerażała go. Obawiał się tego, czego może od niego jeszcze zażądać, ale obietnica, jaką złożył mu prabóg, była warta poświęcenia.

Wszedł do kamiennej budowli, przypominającej ruiny zamku. Tylko niewielka część była zadaszona, a wieżyczki wyglądały, jakby miały się za chwilę zawalić.

– Itris?

Z głębi ciemnego korytarza zaszczebiotał znajomy głos.

– Co z dziećmi? – zapytał, gdy rusałka zbliżyła się do niego, niosąc na rękach niemowlę.

– Jesteśmy li już tak zmęczone śpiewaniem – poskarżyła się Lilija. – A gdy li tylko przestaniemy li nucić choćby najsmutniejszą melodię, w płacz się li zanoszą. Zaprawdę li, słuchać się tego nie da.

– Czy nasz pan zebrał już zadowalającą ilość przyszłych popleczników?

– Och! Mam li nadzieję! Ostatnio większość dzieci zostaje w zamku. Pan już chyba nie potrzebuje tylu modlitw ofiarnych. To mnie akurat li cieszy. Biedne małe istotki... Li jednak zbyt mało nas do wychowania takiej ilości dzieci. Jesteśmy li tylko rusałkami. Nie nasza to li natura, by chować nowe pokolenia. Trzeba było li mamuny prosić.

– Mamuny są zbyt głupie, by wpoić tym dzieciakom miłość do boga. Wasz śpiew – Itris zastanowił się chwilę – wasze dobrze dobrane słowa zasieją w ich głowach ziarno, które przyniesie obfite plony.

– Och, Itrisie! Ty potrafisz li humor poprawić. Jaka li szkoda, że ostatnio tak rzadko tu bywasz.

– Wykonuję rozkazy pana.

– W tobie li nasz pan pokłada wielką nadzieję. – Lilija ściszyła głos.  
– Bądź pokorny, li piękny księciu. On już li bardzo potężny się staje.

Itris skinął głową i ruszył wzdłuż korytarza. Obserwował tańczące na kamiennej posadzce cienie rzucane przez rząd pochodni. Szedł powoli, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę. Na końcu znajdowała się komnata praboga.

Wąpierz zapukał do drzwi.

– Wejdz! – zagrzmiął głos boga.

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to zapach ziół, jakby ktoś przed chwilą palił w komnacie wonne kadzidła. Itris nie przypominał sobie, żeby Rod lubował się w tego typu rytuałach. Dziwny metaliczny posmak na języku sprawił, że cały zeszywniał ze strachu.

*Czyli złość za nieudolną próbę zakopania Elgana jeszcze mu nie przeszła – pomyślał. Zatem mnie ukarze. Tylko jak? Czy jego magia już*



*zaczęła atakować moje zmysły?*

Itris skłonił się przed Rodem. Postać, która wieki temu była tak potężna, że zapoczątkowała istnienie tego świata, teraz przypominała starca u kresu wieku. Jego blade spojrzenie, przebijające się przez pasma jasnych włosów, spoczęło wyczekująco na Itrisie. Wąpierz odchrząknął, po czym wyprostował się, dając znać, że jest gotów z pokorą przyjąć każdą karę.

– Co z przepowiednią? – zapytał bóg.

– Niejaka czarodziejka Wanda jest w jej posiadaniu i zna ją na pamięć. Dopilnowałem, by wiedźma z Białogrodu na uczcie powitalnej poszła od razu do niej, aby poznać treść przepowiedni.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zatem można przypuszczać, że Sejna również zna już te słowa na pamięć. Ciekaw jestem, w jaki zmyślny sposób ona zinterpretuje ten bełkot.

Rod uśmiechnął się triumfalnie, a Itris odetchnął z ulgą. Bóg nie był w tak złym humorze, jak mu się zdawało. Istniała szansa, że nawet nie wspomni o jego porażce z Elganem.

– A więc ogień już niedługo zapłonie – zamruczał z zadowoleniem Rod. – Ziemia utonie w morzu krwi. Nadejdzie mój czas. – Zacisnął dłonie w pięści. – Tyle czekania. Tyle bólu przez jednego parszywego maga! – Uderzył pięścią w oparcie. – Spartaczyłeś już raz swoje zadanie, Itrisie. Elgan powinien leżeć w dole i czekać, aż łaskawie się do niego udam. Ale ty zamiast osobiście wykonać obowiązki, wysłałeś Kalię, która nawet z jego krwią i moją magią nie była w stanie zakopać jednego durnego wąpierza w ziemi.

Itris wzdrygnął się na wspomnienie wąpierzycy. Nie wiedział, co zrobił z nią Rod, ale od tamtego czasu słuch o niej zaginął.

– Na szczęście jest wśród moich popieczników ktoś, kto potrafi myśleć i działać.

Bóg uniósł dłoń. Po chwili z cienia wyłoniła się istota, jakiej Itris jeszcze nigdy nie widział. Wielkie cielsko draka sunęło powoli po kamiennej posadce. Łuski pokrywające skórę stworzenia mieniły się różnobarwnymi refleksami, choć w pomieszczeniu płonęły tylko dwie pochodnie. Dziewięć głów draka spojrzało na Itrisa.

– Poznaj Sangora – zaczął Rod. – Powinieneś mu podziękować, bo dzięki niemu jeszcze masz szansę na odzyskanie tego, czego tak bardzo pragniesz.

Bóg uniósł dłoń i po chwili przed Itrisem pojawiła się kula dymu spętana złotymi nićmi. Szara substancja wirowała jak oszalała, chcąc wydostać się z pęt.

*Moja dusza* – pomyślał Itris, z trudem przełykając ślinę.

– Obiecałem ci, że ją odnajdę – przypomniał mu Rod. – A ja danej obietnicy nigdy nie łamię. Mam nadzieję, że pamiętasz słowa przysięgi.

– Tak, panie. Pamiętam i zapewniam, że słowa dotrzymam.

Rod zaśmiał się.

– Oczywiście, że dotrzymasz. W przeciwnym razie przepadniesz na wieki.

Dusza Itrisa zawirowała gwałtownie, po czym zniknęła, gdy bóg zwarł palce w pięść, jakby ją w niej uwięził.

– Elgan nie może odzyskać pamięci. To mi obiecałeś, Itrisie, ale nie ty powstrzymałeś tego przekłętę maga. Podziękuj zatem Sangorowi, że w porę zorientował się, kim jest ta rudowłosa przybłęda, z którą Elgan się włączył po moich ziemiach.

– Ten wykradziony mamunie chłopak? – dopytał Itris. – Mirosław?

– Teraz już nie ma znaczenia, jak się nazywa, bo tej nocy zginie z rąk Elgana.

– Jak? – Itris spojrzał na Sangora. – Dlaczego to miałoby powstrzymać go w odzyskaniu pamięci?

– Bo to syn więdźmy – powiedziały jednocześnie wszystkie głowy drała. – Syn ognia. Syn początku i końca rzeczy. On mógł poprowadzić Elgana przez labirynt jego pamięci.

– Skąd pewność, że Elgan go zabije? – spytał Itris.

– Bo jeśli tego nie zrobi, to złamie przysięgę daną w imię Welesa.

Itris uśmiechnął się pod nosem.

*Elgan nie odważy się na pohańbienie Welesa. Zatem już niedługo odzyskam swoją duszę. Będę żył wiecznie. Będę niemal bogiem.*

– Nie ciesz się nazbyt wcześniej – upomniał go Rod, jakby czytał mu w myślach. – Zabicie chłopaka rozwiązuje tylko jeden z dwóch problemów.

– Co jest drugim?

– Dorada – wysyczała czerwonooka głowa drała.

– Dorada? – powtórzył zaskoczony Itris.

– Niestety z winy mych podopiecznych – przyznał Rod. – Gdy jeszcze nie miałem tylu popleczników, Rodzanice w akcie rozpacz, nie mogąc mnie odnaleźć, postanowiły po tylu latach, że wyznaczą człowieka, który doprowadzi je do mnie. Osiemnaście lat temu uplotły dziewczynie los, który złączył ją z Elganem. Jej przeznaczeniem jest pomóc mu odzyskać pamięć.

– Dlaczego? – Itris nie wierzył własnym uszom. – Dlaczego, panie, Rodzanice chciały, by przypomniał sobie, jak... – urwał. Bał się przypominać samemu bogu, że został pokonany przez człowieka.

– Bo tylko on wiedział, gdzie się ukryłem... Tylko on mógł wskazać im drogę. Jednak boginie losu nie wiedziały, że odzyskuję siły i sam wyjdę im na przywitanie.

– Trzeba ją zabić – stwierdził Itris, choć szybko zdał sobie sprawę ze swej głupoty.

– Los silniejszy będzie od najwymyślniejszej próby zgładzenia tej dziewczyny – upomniał go Rod. – Ale... jeśli stanie się więdźmą, to sama

oszuka przeznaczenie. Wiedźm los się nie ima. Jeśli Dorada nią zostanie, sama pokieruje swym losem, a my będziemy musieli tylko trzymać ją z dala od Elgana.

– Czyż nie są teraz razem?

– Są. I będą, dopóki ten przeklęty mag nie zaprowadzi jej do Sibigardu. Tylko Sejna może zrobić z niej wiedźmę. A Sejna nie rusza się ze swoich ziem choćby na chwilę. – Rod przeniósł spojrzenie na draka. – Sangor już rozbudził w dziewczynie ciekawość.

– Gdy słuchała o magii ognia, oczy błyszczały jej jak dziecku na widok słodkiego miodu – zapewnił drak.

– Zatem jest na dobrej drodze. – Bóg zwrócił się do Itrisa. – Domyślasz się, jakie jest twoje zadanie?

– Tak, panie. Dopilnuję, by dotarła do Sibigardu.

Rod skinął głową i machnął dłonią, dając mu znak, że może odejść.

*Z tą Doradą pójdzie łatwo. Nie będę musiał się zbytnio starać, by zechciała zostać wiedźmą. Dziewczyna sama garnie się do niebezpieczeństw. A Elgan... nie odważy się zhańbić Welesa. Zabije tego chłopaka.*

– Syn ognia – powtórzył w zamyśleniu Itris, wychodząc z komnaty boga.

Elgan zatem w końcu dostanie to, na co zasłużył, a światem ponownie będzie rządzić Rod.

**DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO EBOOK**



**Szukaj na Legimi oraz Empik Go!**